

LUCY MAUD MONTGOMERY

DOLINA TĘCZY

Tytuł oryginału Rainbow Valley

Tłumaczenie Bogusława Kaniewska

1.

NARESZCIE W DOMU

Był pogodny, majowy wieczór, powietrze pachniało świeżo jak zielone jabłka, a w ciemnym, łagodnym lustrze wody Zatoki Czterech Wiatrów odbijały się chmurki ozłoczone późnym słońcem. Morze, mimo wiosny, żaliło się smętnie, obmywając piaszczyste brzegi, ale niesforny wiatr pogwizdywał radośnie nad drogą pokrytą rdzawym pyłem. Właśnie tą drogą majestatycznie zmierzała ku wsi Glen St. Mary panna Kornelia. Dama ta była właściwie - i to już od trzynastu lat - panią Elliott, ale ciągle częściej nazywano ją panną Kornelią. Jej starzy przyjaciele byli zbyt przywiązani do określenia: „panna Kornelia”, by zrezygnować z używania go - uczyniła to demonstracyjnie tylko jedna osoba. Surowa i nieprzejednana Zuzanna Baker, ukochana służąca rodziny Blythe’ów ze Złotego Brzegu, nigdy nie przepuściła okazji, by zwrócić się do Kornelii: „pani Elliott” - tonem tak zgryźliwym i pełnym pogardy, jakby chciała powiedzieć: „Zachciało się być panią Elliott, to teraz trzeba być panią Elliott, choćby nie wiem co!”

Panna Kornelia udawała się do Złotego Brzegu, aby złożyć wizytę państwu Blythe, którzy właśnie wrócili do domu z podróży po Europie. W lutym wyjechali do Londynu, gdzie doktor Blythe uczestniczył w wielkim kongresie medycznym, i nie było ich przez całe trzy miesiące; a przez ten czas zdarzyło się w Glen tyle ciekawych rzeczy! Panna Kornelia nie mogła się już doczekać, by o nich wszystkich opowiedzieć. Państwo Blythe koniecznie muszą dowiedzieć się, że na plebanię wprowadziła się nowa rodzina. No i co to za’ rodzina! Na samą myśl o tym panna Kornelia pokręciła głową i gwałtownie przyspieszyła kroku.

Zuzanna Baker i Ania Blythe, znana dawniej jako Ania Shirley, dostrzegły ją z wielkiej werandy w Złotym Brzegu, gdzie siedziały, rozkoszując się urokiem kocich ślepiów, połyskujących w zapadającym zmierzchu, słodkim głosem drozdów, układających się do snu w gałęziach klonu, i drżącą na wietrze kępą żonkili, złocących się na tle okalającego trawnik starego, omszałego murku z czerwonej cegły.

Ania, która przycupnęła na schodach, obejmując rękami kolana, zamyśliła się. Wyglądała tak dziewczęco, jak tylko może wyglądać matka licznej gromadki dzieci, a w jej prześlicznych, szarozielonych oczach, spoglądających teraz w kierunku drogi, jak zawsze lśniły isierki radosnego rozmarzenia. Za jej plecami, zwinięta w kłębuszek w hamaku, spała sześciolatnia Rilla Blythe - pulchna, okrągła istotka, najmłodsza wśród gromadki dzieci ze

Złotego Brzegu. Dziewczynka miała wijące się, rude włoski i orzechowe oczy, teraz mocno zaciśnięte; zasypiając mrużyła je, zabawnie marszcząc czoło.

W ramionach Zuzanny drzemał mały Shirley - „Murzynek”, jak nazywała go cała rodzina. Miał ciemnobrązową czuprynę, takie same oczy, śniadą skórę i zawsze rumiane policzki. Był ulubieńcem starej Zuzanny. Kiedy się urodził, Ania długo i ciężko chorowała, a Zuzanna niańczyła niemowlę z taką miłością i czułością, jakiej nie doświadczyło od niej żadne z pozostałych dzieci, choć przecież kochała je bardzo. Doktor Blythe twierdził, że chłopiec nie przeżyłby bez opieki Zuzanny.

- Wychowywałam go tak samo, jak i pani, kochana pani doktorowo - mawiała czasem Zuzanna. - Więc jest tak samo moim dzieckiem, jak i pani.

I rzeczywiście. To Zuzanna była osobą, do której mały Shirley biegł po pocieszenie, gdy rozbił kolano; w jej ramionach usypiał i szukał schronienia, kiedy zasłużył na porządnego klapsa. Inne dzieci Blythe'ów nieraz obrywały klapsa od starej Zuzanny, gdy uznawała, że będzie on miał zbawienny wpływ na ich dusze; Shirley - nigdy. Nie pozwalała też Ani uderzyć syna, a kiedy raz mały dostał lanie od doktora Blythe'a, Zuzanna obraziła się śmiertelnie.

- Ten człowiek byłby zdolny zbić anioła, kochana pani doktorowo - oznajmiła cierpko i przez wiele tygodni nie upiekła biednemu doktorowi jego ulubionej szarlotki.

Kiedy rodzice byli w Europie, inne dzieci pojechały do Avonlea, a Shirleya Zuzanna zabrała do swego brata. Przez trzy cudowne miesiące miała go tylko dla siebie, a jednak cieszyła się z powrotu do Złotego Brzegu, gdzie znów miała wokół siebie całą ukochaną gromadkę. Złoty Brzeg był jej światem - światem, którym władała niepodzielnie. Nawet sama Ania rzadko sprzeciwiała się Zuzannie, co z ogromnym niesmakiem przyjmowała pani Małgorzata Linde z Zielonego Wzgórza. Dama ta, ilekroć odwiedzała Cztery Wiatry, rozgniewana powtarzała Ani, że pozwala Zuzannie na zbyt wiele i że to nie do pomyślenia, by domem rządziła służąca.

- Drogą od przystani nadchodzi Kornelia Bryant, kochana pani doktorowo - powiedziała Zuzanna. - Z pewnością zamierza zarzucić nas plotkami z całych trzech miesięcy.

- Nie mogę się ich doczekać - odpowiedziała Ania, ściskając dłońmi kolana. - Umieram z tęsknoty za plotkami z Glen St. Mary, Zuzanno. I mam nadzieję, że panna Kornelia opowie mi o wszystkim, co zdarzyło się tu, kiedy nas nie było - o wszystkim! Chcę wiedzieć, kto urodził dziecko, kto się ożenił, a nawet - kto się upił, kto umarł, a kto wyjechał albo przyjechał, odnalazł się albo zaginął, albo zgubił krowę, albo znalazł nową miłość. To

cudownie być znowu w domu, w Glen, między swoimi. Chcę dowiedzieć się wszystkiego! Pamiętam, że kiedy zwiedzałam Opactwo Westminsterkie, zastanawiałam się, którego ze swoich dwóch wielbicieli poślubi w końcu Millicent Drew. To naprawdę okropne, Zuzanno, ale podejrzewam nawet, że ja uwielbiam plotkować!

- No cóż, kochana pani doktorowo - przyznała Zuzanna - każda porządna kobieta lubi, oczywiście, znać najnowsze wieści. Ja też jestem odrobinę ciekawa, jak zakończy się sprawa Millicent Drew. Nigdy nie miałam narzeczonego, co dopiero mówić o dwóch, ale staropanieństwo mi nie przeszkadza. Do wszystkiego można się przyzwyczaić. A ta Millicent zawsze wygląda tak, jakby czesała się miotłą. Nie rozumiem, co ci mężczyźni w niej widzą.

- Jej śliczną, czarującą i zabawną buzię, Zuzanno. To właśnie widzą w niej mężczyźni.

- Pewnie ma pani rację, kochana pani doktorowo. Biblia poucza, że powodzenie jest zwodnicze, a piękno pełne pychy; ale - gdyby Pan Bóg dał - nie miałabym nic przeciwko temu, żeby sprawdzić to na własnej skórze. Wprawdzie wiem, że kiedy zostaniemy aniołami, wszyscy będziemy piękni, ale jaki wtedy pożytek z naszej urody? A co do plotek, to ludzie powiadają, że ta biedna pani Miller z przystani próbowała się w zeszłym tygodniu powiesić!

- Och, Zuzanno!

- Niech się pani nie denerwuje, kochana pani doktorowo. I tak jej się nie udało. Tak naprawdę, to wcale za to nie potępiam tej biedaczki. Jej mąż to straszny łotr. Choć głupio postąpiła, no bo jakby się jej udało, on miałby rozwiązane ręce i mógłby poślubić jakąś inną kobietę. Gdybym to ja była na jej miejscu, kochana pani doktorowo, to tak bym mu uprzykrzyła życie, że sam by się powiesił! No, ale oczywiście, kochana pani doktorowo, wcale nie pochwalam ludzi, którzy się wieszają, bez względu na okoliczności.

- Ale co właściwie jest z tym Harrisonem Millerem? - spytała niecierpliwie Ania. - On wszystkich doprowadza do granic wytrzymałości.

- Niektórzy ludzie nazywają to obsesją religijną, a inni - niech mi pani wybaczy to słowo, kochana pani doktorowo - perfidią. To znaczy, że nikt nie wie, jak to naprawdę jest z Harrisonem Millerem. Są takie dni, kiedy warczy na wszystkich, bo umyślił sobie, że jego przeznaczeniem jest potępienie na wieki. A zdarzają się i takie dni, kiedy mówi, że jest mu wszystko jedno, i wtedy idzie się upić. Jeśli chce pani znać moje zdanie, to on nie jest zupełnie przy zdrowych zmysłach - jak wszyscy z rodziny Millerów. Jego dziadek oszalał. Wszędzie dookoła widział ogromne, czarne pająki. Obłączyły go, a nawet fruwały w powietrzu wokół niego. Mam nadzieję, kochana pani doktorowo, że ja do śmierci pozostanę przy zdrowych zmysłach, i wierzę w to, bo wśród Bakerów nie było wariatów. Ale jeśli wszechmocna Opatrzność sprawiłaby inaczej, bardzo bym nie chciała, żeby to były czarne

pajaki. Strasznie boję się tych stworzeń. Zaś co do pani Miller, to sama nie wiem, czy zasłużyła sobie na współczucie. Niektórzy ludzie powiadają, że wyszła za Harrisona tylko po to, żeby dokuczyć Ryszardowi Taylorowi. To dość osobliwy powód wychodzenia za mąż - ja przynajmniej tak właśnie myślę. No, ale ja, kochana pani doktorowo, nie nadaję się, oczywiście, do osądzania małżeńskich spraw. O, Kornelia Bryant jest już przy furtce, więc lepiej położę mojego słodkiego, śniadego aniołka do łóżeczka i wezmę się za robótkę.

2.

PLOTKI

- A gdzie podziała się reszta dzieci? - spytała panna Kornelia, kiedy przebrzmiały pierwsze słowa powitania - z jej strony serdeczne, z ust Ani - żywiołowe, a przez Zuzannę wypowiedziane z godnością.

- Shirley już śpi, a Jim, Walter i bliźniaczki są w swojej ukochanej Dolinie Tęczy - odparła Ania. - Widzi pani, dzieci wróciły dzisiejszego popołudnia i tak bardzo się im spieszyło, że z trudem doczekały do końca kolacji. To jedyne miejsce na ziemi, które tak kochają. Nawet klonowy zagajnik nie może się równać z uwielbianą Doliną.

- Obawiam się, że uwielbiają ją nawet zbyt mocno - ponuro wtrąciła Zuzanna. - Mały Jim powiedział mi któregoś dnia, że po śmierci wolałby zamieszkać w Dolinie Tęczy zamiast w niebie. No, nie była to uwaga godna pochwały...

- Przypuszczam, że miło spędziły czas w Avonlea? - zagadnęła panna Kornelia.

- Czuły się tam nadzwyczajnie. Maryla okropnie je rozpieszcza. Zwłaszcza Jima, nie dostrzega w nim żadnych wad.

- Panna Cuthbert z pewnością jest już bardzo wiekowa - powiedziała panna Kornelia, wyjmując robótkę. Teraz mogła dotrzymać kroku Zuzannie. Zdaniem panny Kornelii, kobieta, której ręce są wciąż zajęte, góruje nad taką, której dłonie pozostają bezczynne.

- Maryla ma osiemdziesiąt pięć lat - westchnęła Ania. - Jest siwa jak gołębek. Ale, choć trudno w to uwierzyć, widzi teraz lepiej niż kiedy miała sześćdziesiąt lat.

- Cóż, Aniu złociutka, bardzo, bardzo się cieszę, że nareszcie wróciliście. Czułam się tak okropnie osamotniona.

Co wcale nie znaczy, że nudziliśmy się w Glen, możesz mi wierzyć. Nie pamiętam tak ekscytującej wiosny w moim życiu, tak wiele wydarzyło się w naszej parafii. Aniu złociutka, nareszcie udało nam się znaleźć pastora.

- To wielbny Jan Meredith, kochana pani doktorowo - wtrąciła się Zuzanna, która postanowiła nie dopuścić do tego, by panna Kornelia przekazała Ani absolutnie wszystkie wieści.

- Czy to miły człowiek? - zaciekała się Ania. Panna Kornelia westchnęła, a Zuzanna mruknęła coś ponuro.

- Tak, w gruncie rzeczy jest dość miły - rzekła pierwsza z dam - nawet bardzo miły. I niezwykle wykształcony. A także niezwykle uduchowiony. Tyle że..., och moja Aniu, on nie ma za grosz zdrowego rozsądku!

- Więc jak to się stało, że wybrano właśnie jego?

- No cóż, bez wątpienia okazał się najlepszym kaznodzieją, jaki kiedykolwiek przestąpił próg kościoła w Glen St. Mary - stwierdziła, panna Kornelia, nie przerywając robótki. - Przypuszczam, że gdyby nie to bujanie w obłokach i roztargnienie, dawno już dostałby jakąś dobrą parafię w mieście. Kazanie próbne miał po prostu cudowne, możesz mi wierzyć. Wszyscy wprost oszaleli na jego punkcie, a przy tym jak wygląda!

- To bardzo urodziwy mężczyzna, kochana pani doktorowo, a skoro wszystko już zostało postanowione, to muszę się przyznać, że lubię popatrzeć na ambonę, na której stoi przystojny pastor - wtrąciła Zuzanna, która stwierdziła, że już najwyższy czas, by znów przypomnieć o swojej obecności.

- Poza tym - dodała panna Kornelia - bardzo chcieliśmy mieć wreszcie pastora. Pastor Meredith był pierwszym kandydatem, na którego wszyscy się zgodzili. Z poprzednimi było tak, że zawsze ktoś miał jakieś zastrzeżenia. Zastanawialiśmy się, czy nie zdecydować się na wielbego Folsoma. On też jest dobrym kaznodzieją, ale niektórym nie spodobał się jego wygląd. Taki ciemny i zbyt gładko ogolony.

- Wyglądał, kochana pani doktorowo, jak wielki, czarny kocur, właśnie tak - oświadczyła Zuzanna. - Nie zniosłabym widoku takiego człowieka na ambonie, i do tego w każdą niedzielę!

- Potem pojawił się wielbny Rogers. Ten był jak ziarnko w kaszy mannie, ani dobry, ani zły - mówiła dalej panna Kornelia. - Ale choćby głosił takie kazanie, jak Piotr i Paweł razem wzięci, i tak na nic by się to nie zdało, bo akurat tego dnia do kościoła przybłąkała się owca starego Caleba Ramsaya. No i zabeczała na cały głos, akurat wtedy, kiedy wielbny Rogers zaczynał mówić. Wszyscy w kościele wybuchnęli śmiechem i biedak nie miał już żadnych szans. Potem znów myśleliśmy, żeby plebanię objął pastor Stewart, on jest tak znakomicie wykształcony. Potrafi czytać Nowy Testament w pięciu językach.

- Choć nie sądzę, żeby miał dzięki temu dostać się do nieba prędzej, niż zwykli ludzie - wtrąciła Zuzanna.

- Jednak mało komu spodobał się jego sposób mówienia - mówiła dalej panna Kornelia, nie zwracając uwagi na słowa Zuzanny. - Szczerze mówiąc, po prostu mamrotał. Z kolei wielbny Arnett w ogóle nie umie głosić kazań. A w dodatku wybrał sobie najgorszy z próbnych tekstów, jaki mógł w ogóle znaleźć: „Przeklinam cię, Merozie!”

- I tak mu się to spodobało, że zatrzasnął Biblię i krzyknął ponuro: „Przeklinam cię, Merozie!” Ten biedak Meroz, kimkolwiek był, został tego dnia doszczętnie wyklęty, kochana pani doktorowo - powiedziała Zuzanna.

- Duchowny, który stara się o otrzymanie parafii, powinien być doprawdy bardzo ostrożny, gdy wybiera temat kazania - stwierdziła z powagą panna Kornelia. - Jestem przekonana, że wielebny Pierson otrzymałby posadę, gdyby zdecydował się na inny tekst. Ale jak tylko zaczął: „I wzniosę oczy moje ku szczytom górskim”, wiadomo było, że nic z tego. Wszyscy uśmiechali się po cichu, bo pomyśleli sobie o tych dwóch pannach Górskich z portu, które od piętnastu lat usiłują upolować na męża każdego pastora pojawiającego się w Glen. Z kolei wielebny Newman miał zbyt dużą rodzinę.

- Zatrzymał się u mojego szwagra, Jamesa Clowa - odezwała się Zuzanna. - Pytam go: „To ile ma wielebny dzieci?” A on na to: „Dziewięciu chłopaków, a każdy z nich ma jeszcze siostrzyczkę”. „O mój Boże!”, zawołałam, „Osiemnaścioro dzieci, co za rodzina!” I wtedy on zaczął się śmiać tak, że nie mógł przestać. Doprawdy, kochana pani doktorowo, nie wiem, co go tak rozbawiło, ale jestem pewna, że osiemnaścioro dzieciaków to o wiele za dużo na jakąkolwiek plebanię.

- On ma tylko dziesięcioro dzieci, Zuzanno - cierpliwie, choć wyniosłym tonem, wyjaśniła panna Kornelia. - A poza tym dziesięcioro grzecznych dzieci szkodziłoby mniej i plebanii, i parafii, niż teraz tych czworo. Choć nie mogę powiedzieć, Aniu złociutka, że te dzieciaki są z gruntu złe. Właściwie to nawet je polubiłam - wszyscy je polubili. Nie można ich nie lubić. Byłaby z nich doprawdy miła gromadka, gdyby ktoś zajął się ich wychowaniem i nauczył dobrych manier. Nauczycielka mówi, że w szkole są idealne. Ale w domu zamieniają się w istne diablęta.

- A co na to pani Meredith? - zapytała Ania.

- Nie ma pani Meredith, w tym właśnie problem. Pastor Meredith jest wdowcem. Jego małżonka zmarła przed czterema laty. Gdybyśmy o tym wiedzieli, prawdopodobnie nie otrzymałby parafii, bo pastor wdowiec to jeszcze gorzej niż kawaler. Opowiadał o dzieciach, więc wszyscy spodziewaliśmy się, że jest i matka. Kiedy się sprowadzili, okazało się jednak, że przyjechała z nimi tylko stara Marta, którą dzieci nazywają ciocią. To kuzynka matki pastora Mereditha, a pastor dał jej posadę gospodyni, by - jak przypuszczam - uchronić kobiecinę od przytułku. Staruszka ma siedemdziesiąt pięć lat, jest na wpół ślepa, prawie głucha i strasznie zdziwaczała.

- I prawie nie umie gotować, kochana pani doktorowo.

- Trudno byłoby doprawdy o gorszą gospodynię na plebanii - stwierdziła z goryczą panna Kornelia. - Pastor Meredith zaś nie chce zatrudnić nikogo do pomocy, mówiąc, że to zraniłoby uczucia cioci Marty. Aniu złociutka, plebania jest w rozpaczliwym stanie, możesz mi wierzyć. Nic nie znajduje się na właściwym miejscu, za to wszystko pokrywa gruba warstwa kurzu. A zanim się sprowadzili, cały dom został pięknie odmalowany i wytapetowany.

- Więc mówi pani, że tam jest czworo dzieci? - zapytała Ania, już w głębi serca gotowa, by przygarnąć je po matczynemu.

- Tak. Idą równo, rok po roku. Najstarszy z nich, Gerald, ma dwanaście lat. Nazywają go Jerry. To bystry chłopak. Faith ma jedenaście lat i usposobienie dzikiego kota. Muszę jednak przyznać, że jest śliczna jak obrazek.

- Wygląda jak aniołek, kochana pani doktorowo, ale łobuz z niej nie lada - z powagą dodała Zuzanna. - W zeszłym tygodniu wybrałam się któregoś wieczoru na plebanie i spotkałam tam panią Millison. Przyniosła im tuzin jaj i kaneczkę mleka - była to doprawdy bardzo mała kaneczka, kochana pani doktorowo. Faith wzięła to wszystko i pobiegła zanieść do piwnicy. Na ostatnim stopniu schodów potknęła się i poleciała jak długa, razem z jajami i mlekiem. Może pani sobie wyobrazić, kochana pani doktorowo, co się z nimi stało. A ten dzieciak podniósł się i zaraz wybuchnął śmiechem. „Nie wiem już sama, czy jestem dziewczynką, czy kremem mleczno-jajecznym” - chichotała. No a pani Millison wpadła w straszliwą wściekłość. Powiedziała, że nigdy więcej nie przyniesie nic na plebanie, skoro ma to być marnowane.

- Maria Millison nigdy nie zdobyłaby się na przyniesienie czegokolwiek na plebanie, gdyby nie to, że potrzebowała jakiegoś usprawiedliwienia dla swego wścibstwa - syknęła panna Kornelia. - A biedna Faith ciągle popada w tarapaty. To żywe srebro, a w dodatku taka impulsywna!

- Zupełnie jak ja. Na pewno ją polubię - stwierdziła z przekonaniem Ania.

- To rezolutna dziewczynka, ja też lubię takie dzieci, kochana pani doktorowo - przyznała Zuzanna.

- Jest w niej coś ujmującego - zastanowiła się panna Kornelia. - Ile razy ją widzę, zawsze jest roześmiana, wtedy sama mam ochotę się roześmiać. Nawet w kościele trudno jej zachować powagę. Druga dziewczynka, Una, ma dziesięć lat. To urocze stworzonko, choć niezbyt ładne. A Tomasz Carlyle ma lat dziewięć. Ten Karol, jak go nazywają, to istny maniak. Zbiera jakieś ropuchy, żaby i inne robactwo, i znosi to paskudztwo do domu.

- Sądę, że ten zdechły szczur, leżący na fotelu w salonie tego wieczoru, gdy pani Grant odwiedziła plebanię, to jego sprawka. Pani Grant zemdłała - opowiadała Zuzanna - i nic dziwnego, bo fotele w salonie nie są odpowiednim miejscem na szczurze zwłoki. Pewnie, że mógł je tam zostawić także kot. To szatańskie zwierzę jest wielkim łakomczuchem. Moim zdaniem, kot pastora powinien przynajmniej wyglądać dostojnie, bez względu na okoliczności. A ten to prawdziwy obwieś -jeszcze czegoś takiego nie widziałam, kochana pani doktorowo. W dodatku niemal każdego dnia, o zachodzie słońca, łązi po płocie plebanii, machając ogonem - to doprawdy niestosowne, kochana pani doktorowo.

- Najgorsze w tym wszystkim jest to - westchnęła panna Kornelia - że dzieci nigdy nie są przyzwoicie ubrane. Dopóki nie spadł pierwszy śnieg, chodziły do szkoły boso. Sama dobrze wiesz, Aniu złociutka, że dzieciom pastora to nie wypada. Zwłaszcza że córeczka pastora metodystów zawsze nosi takie piękne, sznurowane butki. No i poza tym życzyłabym sobie, żeby dzieci naszego pastora nie urządzały zabaw na cmentarzu metodystów.

- To bardzo trudne, skoro zaczyna się on tuż za płotem plebanii - powiedziała Ania. - Zawsze uważałam, że cmentarz to wspaniałe miejsce do zabawy.

- Ależ skąd, kochana pani doktorowo - ujęła się za nią Zuzanna, gotowa bronić Anię nawet przed nią samą. - Wcale pani tak nie myślała. Jest pani na to zbyt rozsądna i dobrze wychowana.

- Przede wszystkim powiedzcie mi, dlaczego zbudowano plebanię tuż przy cmentarzu - zapytała Ania. - Podwórko jest tam tak małe, że dzieci nie mają się gdzie bawić, chyba że właśnie na cmentarzu.

- To był błąd - przyznała panna Kornelia. - Ale to miejsce było tanie. Poza tym żadne inne dzieci z plebanii nigdy nie bawiły się na cmentarzu. Pastor Meredith nie powinien do tego dopuszczać. Ale on zawsze siedzi z nosem utkwionym w książkach. Czyta i czyta bez przerwy, albo spaceruje zamyślony po swoim gabinecie. Jak dotąd jeszcze nie zdarzyło mu się zapomnieć o niedzielnym nabożeństwie, ale już dwa razy nie pojawił się na spotkaniu modlitewnym i ktoś ze starszyny musiał iść na plebanię, żeby mu przypomnieć. Zapomniał też o ślubie Farmy Cooper. Zatelefonowali po niego i przybiegł tak jak stał, w filcowych kapciach. Nikt by się tym nie przejmował, gdyby nie to, że metodyści śmieją się z nas do rozpuku. Chociaż w jednym mamy przewagę - nie mogą krytykować jego kazań. A ten pastor metodystów to marny kaznodzieja. Tak słyszałam, bo oczywiście nigdy nie byłam na jego kazaniu, uchowaj Boże!

Od czasu zamążpójścia panna Kornelia złagodniała nieco w swej pogardzie dla mężczyzn, ale jej pogarda dla metodystów pozostała niewzruszona. Zuzanna uśmiechnęła się chytrze.

- A powiadają, pani Elliott, że metodyści i prezbiterianie mają się zjednoczyć - mruknęła.

- Cóż, mam nadzieję, że gdy to nastąpi, ja będę już dawno wachać kwiatki od spodu - oburzyła się panna Kornelia. - Nigdy, w żadnej sprawie nie będę zadawać się z metodystami. A pastor Meredith też przekona się, że najlepiej trzymać się od nich z daleka. On się za bardzo z nimi spoufala, Aniu złociutka, możesz mi wierzyć. Po co właściwie poszedł na srebrne wesele Jakuba Drewa i w dodatku wpakował się tam w takie tarapaty?

- Jakie tarapaty?

- Pani Drew poprosiła go, aby pokrajał pieczoną gęś, bo Jakub Drew nigdy tego nie robił, więc nie potrafi. Pastor Meredith podjął wyzwanie, ale ledwo wziął nóż do ręki, gęś zsunęła się z talerza wprost na kolana pani Reese, która siedziała tuż obok. Wtedy nasz pastor powiedział swoim łagodnym, rozmarzonym głosem: „Pani Reese, czy byłaby pani tak uprzejma i oddała mi tę gęś?” Pani Reese „oddała” mu gęś, potulna jak baranek, ale w środku musiała gotować się ze złości, bo założyła tego dnia nowiutką, jedwabną suknię. A co najgorsze, ona jest przecież metodystką.

- A ja tak sobie myślę, że to całe szczęście - wtrąciła Zuzanna. - Bo gdyby pani Reese była prezbiterianką, najprawdopodobniej wystąpiłaby z kościoła, a my nie możemy sobie pozwolić na utratę parafian. A ponieważ pani Reese jest bardzo, zarozumiała i metodyści jej nie lubią, to pewnie cieszyli się z tego, że pastor Meredith zniszczył jej suknię.

- Rzecz w tym, że pastor wystawił się na pośmiewisko, a mnie osobiście wcale nie podoba się, gdy nasz pastor wystawia się na pośmiewisko, i to na oczach metodystów - oświadczyła chłodno panna Kornelia. - Gdyby miał żonę, z pewnością nie dopuściłaby do tego.

- Nawet tuzin żon nie byłby w stanie powstrzymać pani Drew przed podaniem na stół w dniu jej rocznicy ślubu twardego, żyłastego, starego gąsiora - upierała się Zuzanna.

- Powiadają, że to sprawka jej męża - oznajmiła panna Kornelia. - Ten Jakub Drew to próżny, apodyktyczny i złośliwy człowiek.

- Powiadają też, że żona odpłaca mu pięknym za nadobne, a to chyba nie przystoi ludziom połączonym węzłem małżeńskim. Choć oczywiście nie uważam się za eksperta w tych sprawach - mówiła Zuzanna, potrząsając głową. - Ale też nie należę do tych osób, które za wszystko winią mężczyzn. Z pani Drew też jest niezłe skąpiradło. Podobno jedyną rzeczą,

jaką kiedykolwiek podzieliła się z innymi, była osełka masła zrobiona ze śmietanki, do której wpadł szczur. Przyniosła to masło na zebranie kościelne. Dopiero później wszystko się wydało.

- To szczęście, że wszyscy ludzie obrażeni przez Meredithów należeli, jak dotąd, do kościoła metodystów - powiedziała panna Kornelia. - Jakies dwa tygodnie temu ich Jerry poszedł na wieczorne spotkanie modlitewne do kościoła metodystów. Usiadł obok starego Williama Marsha, a ten - jak zwykle - podniósł się do modlitwy, stękając przeraźliwie. Kiedy usiadł, Jerry spytał go szeptem: „Czy lepiej już się pan czuje?” Biedak chciał mu okazać współczucie, ale pan Marsh poczuł się obrażony i wpadł w istną furję. Z drugiej strony, Jerry nie miał nic do roboty na spotkaniu metodystów. No, ale te dzieciaki chodzą własnymi drogami.

- Mam tylko nadzieję, że nie narażą się czymś pani Davis z zatoki - dodała Zuzanna. - Wiem, że to bardzo drażliwa osoba, ale jest też zamożna i jej składki są najwyższe ze wszystkich. A mówiła podobno, że jeszcze nigdy nie spotkała tak źle wychowanych dzieci, jak mali Meredithowie.

- Wszystko, co mówicie, coraz bardziej utwierdza mnie w przekonaniu, że Meredithowie należą do ludzi, którzy znają Józefa - oświadczyła stanowczo Ania.

- Wszystko na to wskazuje - zgodziła się panna Kornelia. - I to ich ratuje. Tak czy owak, mamy ich na głowie i musimy zrobić dla nich, co się da, a przede wszystkim - chronić ich przed metodystami. Cóż, obawiam się, że na mnie już pora. Marshall zaraz wróci do domu - wyjechał dzisiaj poza zatokę - i, jak to mężczyzna, będzie czekał na kolację. Szkoda, że nie zobaczyłam się z dziećmi. A gdzie pan doktor?

- W porcie. Wróciliśmy trzy dni temu, a on od tej pory spędził we własnym łóżku zaledwie trzy godziny i dwa razy udało mu się zjeść przy własnym stole.

- No cóż, każdy, kto zachorował w ciągu ostatnich sześciu tygodni, czekał na powrót pana doktora - i wcale się tym ludziom nie dziwię. Od kiedy doktor z portu ożenił się z córką przedsiębiorcy pogrzebowego z Lowbridge, pacjenci przestali mu ufać. To nie robi dobrego wrażenia. Musicie nas wkrótce odwiedzić, Aniu złociutka, i opowiedzieć o swojej podróży. Pewnie była cudowna.

- To prawda - przyznała Ania. - Spełniły się moje marzenia sprzed wielu lat. Europa jest prześliczna, naprawdę wspaniała. Ale powrót był nie mniej cudowny i radosny. Kanada, panno Kornelio, to najpiękniejszy kraj na świecie.

- Nikt nie śmie w to wątpić - stwierdziła z zadowoleniem panna Kornelia.

- A najpiękniejsza część tego kraju to Wyspa Księcia Edwarda, z jej najcudowniejszym zakątkiem, Czterema Wiatrami - roześmiała się Ania, z zachwytem przyglądając się zachodowi słońca, roztaczającego blask nad doliną i wodami zatoki. - Nie widziałam w Europie niczego, co byłoby piękniejsze od tego widoku, panno Kornelio. Czy naprawdę musi pani już iść? Dzieci będą niepocieszone, że nie spotkały się z panią.

- Niech odwiedzą mnie jak najprędzej. Powiedz im, że talerz z pączkami jest zawsze pełny.

- Och, one już przy kolacji planowały wyprawę do pani. Pojawią się wkrótce, ale muszą też jak najszybciej wrócić do szkoły. W tym roku bliźniaczki będą brały dodatkowo lekcje muzyki.

- Mam nadzieję, że nie u żony pastora metodystów - zaniepokoiła się panna Kornelia.

- Nie, będzie je uczyć Róża West. Byłam u niej wczoraj wieczorem i wszystko omówiliśmy. Jaka to piękna dziewczyna!

- Tak, dobrze się trzyma. A przecież nie jest już taka młoda.

- Ma dużo wdzięku. Wie pani, aż dotąd właściwie jej nie znałam. Ich dom stoi tak daleko od naszego, że rzadko ją widywałam, chyba że w kościele.

- Ludzie zawsze ją lubili, choć wcale jej nie rozumieją - powiedziała panna Kornelia. - Helena zawsze trzymała ją krótko. Od dziecka ją tyranizowała i do dziś Róża ustępuje jej niemal we wszystkim. Wiesz, Aniu złociutka, przed laty Róża była zaręczona z młodym Marcinem Crawfordem. Jego statek rozbił się na Wyspach Magdaleny, a cała załoga utonęła. Róża była wtedy jeszcze dzieckiem, miała zaledwie siedemnaście lat, ale nigdy już nie przysłała do siebie. Od śmierci matki mieszkają z Heleną w swoim rodzinnym domu i są do siebie bardzo przywiązane. Czasem chodzą do kościoła w Lowbridge, ale Helena nie lubi zbyt często uczestniczyć w nabożeństwach prezbiteriańskich. To zrozumiałe, rodzina Westów zawsze należała do kościoła anglikańskiego. O Helenie dobrze świadczy to, że do metodystów nie chodzi nigdy. Siostrom West dobrze się powodzi i Róża wcale nie musi dawać lekcji muzyki. Ona to po prostu lubi. Helena i Róża są dalekimi krewnymi pani Ford - wiedziałas o tym, Aniu złociutka? Czy Fordowie przyjadą tego lata do Czterech Wiatrów?

- Nie. Wyjeżdżają do Japonii i prawdopodobnie zostaną tam cały rok. Akcja nowej powieści Owena ma rozgrywać się właśnie w Japonii. Od czasu, gdy wyprowadziliśmy się, będą to pierwsze wakacje, podczas których Domek Marzeń pozostanie pusty.

- Moim skromnym zdaniem, Owen Ford mógłby spokojnie pisać o Kanadzie, zamiast wleć swoją żonę i Bogu ducha winne dzieci do jakiegoś pogańskiego kraju, pełnego Azjatów

- mruknęła panna Kornelia. - Najlepsza książka, jaką kiedykolwiek napisał, to „Księga życia”, a materiał do niej znalazł przecież tu, w Czterech Wiatrach.

- No tak, zawdzięcza ją opowieściom kapitana Jima, a kapitan zbierał je przez całe swoje życie. Ale sama pani wie, panno Kornelio, że wszystkie książki Owena są zachwycające.

- Masz rację. W zasadzie uważam, kochanie, że ten, kto czyta powieści, popełnia grzech marnotrawienia czasu, ale jego książki przeczytałam wszystkie. Napiszę do niego, Aniu, co myślę o tej Japonii, możesz mi wierzyć. Czyżby chciał, aby Patrycja i Krzyś zostali poganami?

Zadawszy to retoryczne pytanie, panna Kornelia odeszła. Zuzanna poszła ułożyć w łóżeczku małą Rillę, a Ania usiadła na stopniach werandy. Na niebie zalśniły pierwsze gwiazdy, kiedy ta niepoprawna marzycielka, zatopiona głęboko we własnych myślach, po raz nie wiadomo który przekonała się, jak niezwykle piękny jest wschód księżyca nad Zatoką Czterech Wiatrów. Była szczęśliwa.

3.

DZIECI ZE ŻŁOTEGO BRZEGU

Dzieci państwa Blythe'ów uwielbiały bawić się wśród miękkiej zieleni i przytulnego chłodu klonowego zagajnika, rosnącego między Żłotym Brzegiem a stawem w Glen St. Mary. Z ochotą spędzały tam całe dnie, ale wieczorami żadne miejsce nie mogło im zastąpić małej dolinki, tuż za zagajnikiem. Była dla nich romantycznym schronieniem, baśniową krainą. Pewnego razu, gdy po letniej ulewie patrzyły na swoją dolinkę z okien na poddaszu Żłotego Brzegu, zobaczyły, jak wśród mgły pojawia się nad nią cudowna tęcza. Barwny łuk zdawał się sięgać od tafli stawu po krańce dolinki.

- Nazwijmy ją Doliną Tęczy - powiedział wtedy Walter z zachwytem, i tak już zostało.

Kiedy dookoła szalał i huczał wiatr, w Dolinie Tęczy czuło się tylko łagodny podmuch. Wąskie, bajeczne ścieżki wiły się wśród omszałych korzeni świerków. Gdzieś tam pojawiały się czereśniowe drzewa, które w porze kwitnienia wyglądały tak, jakby pokrywał je śnieg, bielący się na tle ciemnych, świerkowych pni. Płynął tu też mały strumyczek o kryształowo czystej wodzie, ten sam, który przepływał przez Glen. Do wiejskich zabudowań było stąd dość daleko, tylko na samym krańcu doliny stała mała, opuszczona i na poły zniszczona chatka, zwana „chatą starego Baileya”. Od lat nikt tu nie mieszkał, a w starym ogrodzie, otoczonym zarośniętym trawą rowem, dzieci Blythe'ów znajdowały fiołki, stokrotki i czerwcowe lilie, które zakwitały tam co roku. Poza tym cały ogród zarastał jakieś chwasty o drobnych, białawych kwiatach - w księżycowym świetle letnich wieczorów wyglądały one niczym szumiące, rozkołysane morze srebra.

W południowej części doliny rozciągał się staw, a za nim poszarpana linia horyzontu ginęła w purpurowym lesie, który dawał schronienie poszarzałemu ze starości, samotnemu domostwu. Znajdowało się ono na wzgórzu, wznoszącym się ponad Glen i całą okolicą portu. Choć położona blisko wsi, Dolina Tęczy sprawiała wrażenie dzikiej, leśnej krainy oddalonej od świata i właśnie dlatego dzieci ze Żłotego Brzegu pokochały to miejsce.

Dolina pełna była przytulnych zakamarków, a jeden z nich, szczególnie ulubiony, dzieci uznały za swoją własność. Właśnie tu zebrały się w ten szczególny, powitalny wieczór. Kilka młodych świerków otaczało małą, świetlistą polankę, przez którą przepływał strumień. Nad wodą stała młodziutka, smukła, niewiarygodnie strzelista brzoza, którą Walter nazwał Białą Damą. W tym samym zagajniku dwa drzewa, świerk i klon, rosły tak blisko siebie, że ich splecione gałęzie zdawały się tworzyć jedną koronę; dzieci nazywały je Leśnymi

Kochankami. Jim powiesił na nich stare dzwoneczki od sań, które dostał od miejscowego kowala, więc każdemu podmuchowi wiatru towarzyszyło cichutkie, delikatne dzwonięcie.

- Jak dobrze, że wróciliśmy do naszej Doliny! - zawołała Nan. - W Avonlea jest mnóstwo ślicznych miejsc, ale żadne nie jest tak piękne, jak Dolina Tęczy.

Dzieci lubiły Avonlea. Pobyt na Zielonym Wzgórzu sprawiał im zawsze wielką radość. Ciocia Maryla była dla nich taka dobra, podobnie jak pani Małgorzata Linde, która każdą wolną chwilę spędzała na dzierganiu bawełnianych kołder. Były one przeznaczone na wyprawę dla córek Ani. Miały tam także przyjaciół - dzieci „wujka” Tadzia i „cioci” Diany. Poznały wszystkie te miejsca, które pokochała ich matka, gdy jako mała dziewczynka mieszkała na Zielonym Wzgórzu: Aleję Zakochanych, ciągnącą się daleko wśród szpalerów kwitnących krzewów dzikich róż, przytulne podwórko, otoczone wierzbami i topolami, Fontannę Driad, jak niegdyś cudowną i lśniącą, Jezioro Lśniących Wód i Zacisze Słowika. Bliźniaczki zamieszkały w dawnym pokoiku matki na facjacie, a Maryla przychodziła tam co wieczór, kiedy już usnęły, by nacieszyć się ich widokiem. Ale i tak wszystkie dzieci wiedziały, że starsza pani najbardziej kocha Jima.

Teraz Jim był niezwykle zajęty: smażył kilka niewielkich pstrągów, które przed chwilą złapali w stawie. Miał do dyspozycji piec z rdzawych kamieni, ułożonych wokół rozpalonego ogniska, a za sprzęt kuchenny służyły mu: stara, blaszana pushka, wyklepiana na płasko, i widelec z jednym zębem. Za ich pomocą zdołał przygotować wspaniałą ucztę.

Jim był dzieckiem Domku Marzeń. Wszystkie pozostałe dzieci urodziły się już w Złotym Brzegu. Najstarszy syn Ani miał kręcone, rude włosy po matce i szczere, orzechowe oczy, odziedziczone po ojcu; zgrabny nosek Ani i wiecznie uśmiechnięte usta Gilberta. Był też jedynym spośród całej gromadki, którego kształt uszu zadowalał Zuzannę. Miał jednak z nią nieustannie na pieńku, bo nie mógł jej odzwyczaić od nazywania go „malutkim Jimem”. Trzynastoletni Jim uznawał ten zwyczaj za nieznośny. Na szczęście, mama miała więcej zdrowego rozsądku.

- Mamo, ja już naprawdę nie jestem malutki! - wykrzyknął z oburzeniem w dniu swoich ósmych urodzin. - Jestem okropnie duży.

Mama westchnęła i roześmiała się, potem westchnęła raz jeszcze, ale od tego czasu nigdy już nie nazwała go „malutkim Jimem” - w każdym razie nie w jego obecności.

Od małego był silnym i bardzo odpowiedzialnym dzieckiem. Nigdy nie łamał raz danego słowa. Nie był szczególnie gadatliwy, a nauczyciele nie dostrzegali w nim jakichś wyjątkowych talentów. Był jednak dobrym uczniem i ze wszystkich przedmiotów dostawał pozytywne oceny. Miał naturę dociekliwego niedowiarka, nie wierzył w nic, czego sam nie

sprawdził lub nie doświadczył. Pewnego razu Zuzanna powiedziała, że jeśli ktoś na mrozie przyłoży język do klamki, to zejdzie mu z niego cała skóra. Jim zrobił to natychmiast, aby sprawdzić, „czy tak naprawdę jest”. Swoją wiedzę o tym, że „tak naprawdę jest”, przypłacił wtedy wielodniowym bólem języka. Wcale przy tym nie żałował swojego postępu, uznając go za niezbędną ofiarę, złożoną na polu naukowych doświadczeń. Wrodzony zmysł obserwacji i nienasycona ciekawość pozwoliły mu na zgromadzenie ogromnej wiedzy o otaczającym go świecie, wiedzy, która wprawiała w podziw jego siostry i braci. Znał na wylot ich maleńki światek, zawsze wiedział, gdzie najprędzej dojrzewają słodkie jagody, potrafił znaleźć pierwsze, blade jeszcze fiołki, które dopiero co ocknęły się po zimowym śnie. Umiał powiedzieć, ile małych, niebieskich jajeczek rudzika kryje każde z gniazd, ukrytych w klonowym lasku. Wróżył z płatków stokrotki i wysysał miód z czerwonej K koniczyzny, na brzegach stawu wyszukiwał w ziemi jadalne korzonki, co przyprawiało Zuzannę o paniczny lęk. Bała się, że któregoś dnia otruje ich wszystkich. W omszałych naroślach na świerkach odnajdywał najwspanialszą, bursztynową żywicę, znał miejsca, w których rosną najdorodniejsze orzechy w okolicy i takie przełomy strumyka, w których zawsze kryły się łatwe do złowienia pstrągi. Umiał naśladować głos każdego ptaka i każdego żywego stworzenia zamieszkującego okolice Czterech Wiatrów, znał każdy zakątek, w którym kwitły kwiaty, wiosną czy jesienią.

Pod Białą Damą siedział Walter, a przed nim leżał otwarty tom poezji. Chłopiec jednak nie czytał wierszy. Zamyślony spoglądał przed siebie, to na przysłonięte szmaragdową mgiełką wierzby nad stawem, to na obłoki przesuwające się nad Doliną Tęczy, które wyglądały jak stadko srebrnych owiec, wypasanych na niebie przez wietrznego pasterza. W jego pięknych oczach malował się zachwyt. Walter miał naprawdę niezwykle oczy. Odbijały się w nich radość i smutek, wierność i nie zaspokojone ambicje wielu minionych pokoleń.

Z wyglądu Walter nie pasował do rodziny. Nie był podobny do nikogo spośród bliższych czy dalszych krewnych. Najładniejszy z gromadki dzieci ze Złotego Brzegu, miał twarz o przepięknych rysach w obramowaniu ciemnych, prostych włosów. Był jednak nieodrodnym synem swojej matki - odziedziczył po niej dar żywej wyobraźni i pełnego pasji umiłowania piękna. Chłodna biel zimy, świeże obietnice wiosny, letnie sny i urok jesieni wywierały na niego magiczny wpływ.

W szkole i wszędzie tam, gdzie przewodził Jim, Walter był na szarym końcu. Uznawano go za „babę” i maminsynka, bo nie lubił się bić i rzadko brał udział we wspólnych grach i zabawach. Chodził jak kot, zawsze własnymi drogami, zaszywał się gdzieś i czytał - zwykle wiersze. Poezja była światem Waltera, odkrył ją, jak tylko nauczył się czytać. Sączyła

w jego duszę dziwną muzykę, muzykę nieśmiertelności. Miał nadzieję, że może któregoś dnia on też stanie się prawdziwym poetą. Było to przecież możliwe. Ideą Waltera był niejaki wuj Jaś - o którym myślał z nabożnym szacunkiem - mieszkający w tajemniczym kraju, zwanym Stanami Zjednoczonymi. Ten wuj Jaś był przed laty zwykłym uczniem z Avonlea. Chłopcy ze szkoły w Glen nie znali marzeń Waltera, a gdyby nawet je znali, pewnie nie wywarłyby na nich żadnego wrażenia. Jednak, mimo swego „tchórzostwa”, Walter mimochodem zdobył sobie popularność wśród szkolnych kolegów - umiał opowiadać „jak z prawdziwej książki”. Nikt w całej szkole w Glen St. Mary nie mógł mu dorównać. „On mówi jak kaznodzieja” - stwierdził jeden z kolegów i dzięki temu zostawiono go w spokoju i raczej nie zaczepiano - co przecież często zdarza się chłopcom, którzy boją się bić albo po prostu nie lubią bójek.

Dziesięcioletnie bliźniaczki ze Złotego Brzegu stanowiły całkowite przeciwieństwo tego, jak ludzie wyobrażają sobie bliźniacze siostry - były do siebie zupełnie niepodobne. Anna, na którą wszyscy mówili Nan, była śliczna. Miała orzechowe oczy, aksamitne spojrzenie, lśniące, brązowe włosy i bardzo pogodne usposobienie - jak powiedziała jedna z jej nauczycielek, była radosna jak imię „Nan”, które nosiła. Miała też doskonałą, nieskazitelną cerę, co ogromnie cieszyło jej mamę.

- Tak się cieszę, że mam córeczkę, która może ubierać się na różowo - z radością mawiała pani Blythe.

Diana Blythe, zwana po prostu Di, wyglądała jak wierna kopia Ani Shirley: miała wyraziste, szarzielone oczy, z których bez przerwy bił dziwny blask, i rude włosy. Być może to sprawiło, że była ulubienicą ojca. Cieszyła się także szczególnymi względami swego brata, Waltera - tylko jej spośród rodzeństwa czytał swoje wiersze i tylko ona wiedziała, że brat w tajemnicy pracuje nad wielkim eposem, który w wielu, a nawet w zbyt wielu szczegółach przypominał słynne dzieła dawnych mistrzów. Di także zwierzała się Walterowi i nigdy nie zdradzała jego sekretów, nie dzieliła się nimi nawet z Nan.

- Te ryby pewnie zaraz będą gotowe, prawda, Jim? - spytała Nan, pociągając swym uroczym noskiem. - One tak pachną, że od razu czuję się strasznie głodna.

- Już są prawie gotowe - odpowiedział Jim, zręcznie obracając jeden z kawałków. - Dziewczyny, wyjmijcie chleb i nakrycia. A ty, Walterze, budź się.

- Jak to powietrze dzisiaj lśni - odezwał się Walter, rozmarzony. Nie dlatego, żeby gardził pieczonym pstrągiem, w żadnym wypadku. Walter po prostu już taki był - najpierw karmił swoją duszę, a potem dopiero ciało.

- Kwietny anioł przechodził dziś przez świat, przywołując swoje kwiaty. Widziałem jego błękitne skrzydła na leśnym wzgórzu.

- Wszystkie anioły, jakie dotąd widziałam, miały białe skrzydła - oświadczyła Nan.

- Ale one nie były kwietne. Kwietne anioły mają barwę bładoniebieskiej mgły, takiej, jaka unosi się nad naszą Doliną. Och, jaka szkoda, że nie umiem fruwać. To musi być wspaniałe uczucie.

- Czasem można latać we śnie - stwierdziła Di.

- Właściwie nigdy mi się nie śni, że latam - powiedział Walter. - Ale często mam taki sen, że unoszę się w powietrze i szybuję nad płotami i drzewami. Jest cudownie i wtedy zaczynam myśleć: „To nie sen. Tym razem to nie sen, jak przedtem, ale prawda” - i dokładnie w tej samej chwili się budzę. I czuję się straszliwie rozczarowany.

- Nan, pospiesz się - poganiał Jim.

Nan rozkładała właśnie ich wspaniały, choć wymagający trochę wyobraźni, stół bankietowy. Odbyła się przy nim niejedna uczta, złożona z tego, co oferowała przyroda o każdej porze roku. Rolę stołu grała szeroka deska, ułożona na dwóch omszałych głazach. Obrus zastępowały gazety, a zastawę stanowiły wyszczerbione talerze i filiżanki bez uszek, zdobyte po porządkach, jakie Zuzanna robiła w kredensie. Ze skrzynki, ukrytej wśród korzeni świerka, Nan przyniosła chleb i sól. Strumień był niewyczerpanym źródłem napoju o krystalicznej czystości. A najlepszą, istic królewską przyprawę stanowiło świeże powietrze i dziecięcy apetyt. Cały wielki świat przestawał się liczyć i mógł im tylko zazdrościć tej chwili, gdy zasiadali do uczty złożonej z suchego chleba i pstrąga pieczonego nad ogniskiem, w magicznej dolinie zalanej złotogranatowym światłem zmierzchu, wypełnionej balsamicznym, leśnym zapachem wczesnej wiosny, przysypanej białymi gwiazdkami kwiatów poziomek, dźwięczącej szelestem liści i muzyką drobnych dzwoneczków, zawieszonych wśród gałęzi.

- Siadajcie, proszę - zachęcała Nan, gdy Jim postawił na stole talerz pełen skwierczących jeszcze ryb. - Jim, dziś twoja kolej na odmówienie dziękczynienia.

- Ja już się napracowałem przy smażeniu pstrągów - obruszył się Jim, który nie znośił odmawiać dziękczynienia. - Niech Walter się pomodli. On to uwielbia. Tylko nie mów zbyt długo, Walt. Umieram z głodu.

Jednak Walter nie odmówił żadnego dziękczynienia - ani długiego, ani krótkiego. Nie zdążył nawet zacząć.

- Kto tam idzie od strony plebanii? - zapytała Di.

4.

DZIECI PASTORA

Ciocia Marta z pewnością była bardzo marną gospodynią. Wielebny Jan Meredith z pewnością był bardzo roztargnionym i wiecznie zamyślonym człowiekiem. A jednak plebanii w Glen St. Mary, choć nie posprzątaney i zaniedbanej, nikt nie mógł odmówić prawdziwie domowej, niezwykle miłej i ciepłej atmosfery. Wyczuwały ją nawet najbardziej surowe gospodynie z Glen i bezwiednie łagodziły swe krytyczne sądy. Może urok ten wypływał z przepychu winorośli, pnących się po szarym murze i drewnianych belkach domu, z przyjaznych akacji i pędów melisy, bezceremonialnie rozpychających się wokół, niczym starzy, dobrzy znajomi, a może ze wspaniałego widoku na zatokę i piaszczyste wydmy, jaki roztaczał się z frontowych okien. Jednak wszystko to było tu już wcześniej, za czasów poprzednika pastora Mereditha, kiedy to plebania była najdostojniejszym, najbardziej schludnym i najbardziej ponurym domem w całym Glen. Tyle przynajmniej trzeba było przyznać nowym jej mieszkańcom - wraz z nimi zamieszkała tu radość i wzajemna życzliwość. Drzwi plebanii stały teraz zawsze otworem dla ludzi z zewnątrz. Plebanią w Glen St. Mary rządziło teraz tylko jedno prawo - prawo miłości.

Parafianie z Glen mówili, że wielebny Meredith rozpuszcza swoje dzieci. Było to wielce prawdopodobne. Pastor nie umiał ich karcić. „Rosną bez matki” - wzdychał, kiedy jakiś wyjątkowo skandaliczny grzeszek zdołał przedrzeć się przez zamyślenie i dotrzeć do jego świadomości. Nie miał pojęcia przynajmniej o połowie poczynąń swych dzieci. Był niepoprawnym marzycielem. Okna jego gabinetu wychodziły na cmentarz, ale kiedy przechadzał się od ściany do ściany, rozmyślając nad nieśmiertelnością ludzkiej duszy, nie zauważał, że Jerry i Karol bawią się wesoło, skacząc jak żaby po płaskich kamieniach, służących jako nagrobki w miejscu wiecznego spoczynku zmarłych metodystów. Pastor Meredith miewał takie chwile, w których docierało do jego świadomości, że dzieci nie są już tak zadbane - ani fizycznie, ani moralnie - jak były niegdyś, za życia jego żony. Zdawało mu się mgliście, że dom prowadzony przez ciocię Martę wygląda trochę inaczej i jedzenie też smakuje inaczej niż wtedy, gdy wszystkim zarządzała Cecylia. Naprawdę jednak żył w krainie książek i pojęć filozoficznych, dlatego też - choć jego surdut rzadko bywał porządnie wyszczotkowany, a zbyt szczupłe dłonie i blada, przezroczysta twarz o pięknie wykrojonych rysach pozwalały się domyślać miejscowym parafiankom, że ich pastor nie dojada - nie czuł się wcale nieszczęśliwym człowiekiem.

Jeżeli jakikolwiek cmentarz można nazwać uroczym miejscem, to stary cmentarz metodystów w Glen St. Mary z pewnością nim był. Nowy cmentarz, znajdujący się tuż za kościołem metodystów, był uporządkowany i odpowiednio ponury; lecz stary zbyt długo pozostawał pod dobrotliwym, czułym zarządem Matki Natury i dzięki temu stał się pięknym, przyjaznym zakątkiem.

Z trzech stron otaczał go wał, usypany z ziemi i kamieni, w którym osadzony był chwiejny, poszarzały płot z pali. Tuż za nim rósł rząd wysokich jodeł o potężnych konarach. Ogrodzenie, usypane jeszcze przez pierwszych mieszkańców Glen, było tak stare, że musiało być piękne. Szczeliny i pęknięcia pozarastały mchem i zielskiem, wczesną wiosną u stóp ogrodzenia kwitły ciemne fiołki, a jesienią złote astry przydawały mu uroczego dostojęstwa. Między kamieniami wyrastały kępki drobnych paprotek, a tu i ówdzie także potężne liście orlicy.

Od wschodniej strony cmentarza nie ograniczał żaden płot ani wał. Po prostu wraść wien młody, jodłowy zagajnik, który bardziej na wschód gęstniał, zmieniając się w potężny, jodłowy las. Dochodził tu łagodny szum morza, jakby wygrywany na strunach harfy, wtórowała mu melodia wiekowych drzew, a każdego wiosennego ranka dźwięki te zagłuszał chór ptaków, które - ukryte w gałęziach wiązów, otaczających oba kościoły - wyśpiewywały radosny hymn na cześć życia.

Zapadnięte w ziemię nagrobki porastał powój o błękitnych kwiatkach i płatanina miętowego ziela. Tuż obok jodłowego lasu rosły krzewy borówek. Trzy rodzaje nagrobków odpowiadały trzem spoczywającym tu pokoleniom - od najstarszego, z prostokątnymi, płaskimi płytami czerwonego piaskowca, przez wierzby płaczące i złożone do modlitwy kamienne dłonie, po najmłodsze i najbrzydsze, wysokie pomniki i rzeźbione urny. Jeden z najbardziej okazałych i najszykowniejszych pomników był poświęcony pamięci niejakiego Aleksandra Davisa, który urodził się w rodzinie metodystów, ale ożenił się z prezbiterianką z rodu Douglasów. Żona uczyniła z niego prezbiterianina na całe życie, ale kiedy zmarł, nie odważyła się na pochówek w samotnym grobie na prezbiteriańskim cmentarzu, daleko za portem. Wszyscy jego bliscy leżeli tu, na starym cmentarzu metodystów - Aleksander Davis wrócił do nich po śmierci, a wdowa uczciła jego pamięć pomnikiem, na jaki żaden z metodystów nie mógłby sobie pozwolić. Dzieci pastora nie znosiły tego pomnika, choć nie miały pojęcia, skąd bierze się ich niechęć; uwielbiały natomiast stare, płaskie nagrobki, które wyglądały jak okolone wysoką trawą ławeczki. Na jednym z nich dzieciaki rozsiadły się wesoło. Jerry, zmęczony żabimi skokami, grał na harmonijce. Karol z zachwytem przyglądał się dziwnemu żukowi, którego właśnie udało mu się złapać. Una zakładała sukienkę swojej

lalce, a Faith ułożyła się wygodnie, opierając się o kamień szczupłym, opalonym ramieniem, i bosą stopą wystukiwała rytm melodii, granej przez Jerry'ego.

Jerry miał - jak ojciec - ciemne włosy i czarne oczy, które jednak lśniły przenikliwie, nie było w nich cienia ojcowskiego zamyślenia. Faith, następna z rodzeństwa, obnosiła swą niezwykłą urodę z naturalnością i beztroską pięknego kwiatu. Miała brązowe oczy o miodowym' połysku, ciemnozłote loki i zawsze rumiane policzki. Śmiała się zbyt często i zbyt chętnie, jak na gusta ojcowskich parafian, i wprawiła w prawdziwy szok panią Taylor, wielokrotną wdowę, gdy pewnego dnia oświadczyła śmiało w kościelnym przedsionku:

- Świat, pani Taylor, nie jest padołem łez. Świat jest przybytkiem radości.

Mała, marzycielska Una nie była już tak roześmiana. Proste włosy spletała w dwa kruczoczarne warkocze, a jej ciemnoniebieskie oczy w kształcie migdałów nigdy nie traciły wyrazu jakiegoś nieokreślonego smutku i dziwnego zamyślenia. Rozchylone usta ukazywały rząddek drobnych, białych zębów, a uśmiech, który czasem rozjaśniał szczupłą twarzyczkę, był nieśmiały i pełen zadumy. Una, w przeciwieństwie do Faith, bardzo przejmowała się tym, co o nich mówili ludzie; gnębiło ją niejasne przeczucie, że w ich sposobie życia było coś niewłaściwego. Bardzo pragnęła to poprawić, ale zupełnie nie wiedziała jak. Od czasu do czasu starała się odkurzyć meble, ale rzadko jej się to udawało, bo ściereczka do kurzu nigdy nie leżała na swoim miejscu. Kiedy tylko znalazła szczotkę do ubrań, czyściła na niedzielę najlepsze ubranie ojca, a raz przyszyła do niego brakujący guzik - grubą, białą nicią. Kiedy następnego dnia pastor Meredith udał się do kościoła, każde damskie oko dostrzegło ów nieszczęsny guzik, który na kilka tygodni zburzył spokój Koła Pań.

Karol patrzył na świat śmiało i szczerze niebieskimi oczyma swojej zmarłej matki, miał także jej włosy - brązowe, mieniające się złotym odcieniem. Znał się na tajemniczych sprawkach robaków i pozostawał w dziwnym porozumieniu z żukami i pszczołami. Una nigdy nie chciała siadać obok niego, bo nie wiedziała, jakie szkaradne stworzenie brat kryje w swoich kieszeniach. Jerry zbuntował się i odmówił spania z Karolem w jednym łóżku od dnia, kiedy Karol położył się razem z młodym wężem. Najmłodszy Meredith sypiał zatem w swoim starym, dzieciennym łóżeczku, które było tak krótkie, że nie mógł się w nim wyprostować, mógł za to zapraszać doń swoich niezwykłych gości. Było to możliwe pewnie dlatego, że ciocia Marta widziała już tak słabo, że nie zauważała ich ścieląc łóżka. Wszyscy razem stanowili wesołą, przemiłą gromadkę - Cecylia Meredith musiała bardzo cierpieć, kiedy uświadomiła sobie, że opuszcza swoje dzieci na zawsze.

- Gdzie chcielibyście być pochowani, gdybyście byli metodystami? - wesoło spytała Faith.

Pytanie sprowokowało interesujące spekulacje.

- Nie mamy zbyt wielkiego wyboru. To miejsce jest już wypełnione - zauważył Jerry. - Ja bym chyba wybrał tamten kąt, obok drogi. Słyszałbym wtedy przejeżdżające powozy i rozmowy przechodzących ludzi.

- A ja wybrałabym to małe zagłębienie pod płaczącą wierzba - rzekła Una. - W tym drzewie kryje się tyle ptaków i każdego ranka ćwierkają jak szalone.

- Ja wolę kwaterę Porterów, gdzie pochowanych jest tyle dzieci. Uwielbiam towarzystwo - stwierdziła Faith.

- A ty, Karol?

- Ja wcale nie chciałem być pogrzebany - powiedział Karol - ale skoro już muszę, to chciałem leżeć w mrowisku. Mrówki są okropnie interesujące.

- Jacy dobrzy musieli być ci wszyscy ludzie, których tu pochowano - zamyśliła się Una, która czytała właśnie pochwalne epitafia, wyrzeźbione na kamiennych nagrobkach.

- Wygląda na to, że na całym cmentarzu nie pochowano ani jednego złego człowieka. Metodysci muszą być lepszymi ludźmi niż prezbiterianie.

- A może u metodystów złych ludzi grzebie się byle gdzie, jak koty - zasugerował Karol. - Może wcale nie chowają ich na cmentarzu.

- Opowiadacie bzdury - powiedziała Faith. - Ci ludzie, którzy zostali tu pochowani, nie byli wcale lepsi od tych z naszej parafii. Widzisz, Uno, kiedy ktoś umiera, to nie można o nim powiedzieć nic złego, bo inaczej przyjdzie i będzie cię nawiedzał. Mówiła mi o tym ciocia Marta. A kiedy zapytałam taty, czy to prawda, to spojrzał tak, jakby widział kogoś za mną, i powiedział cichutko: „Prawda, dziecinko? Prawda? Czymże jest prawda? Czymże jest prawda, o nieszczęsny Piłacie?” Więc skoro tak powiedział, to musi to być prawda.

- Ciekawe, czy przyszedłby do mnie duch Aleksandra Davisa, gdybym rzucił kamieniem w tę wazę, stojącą na samym szczycie jego pomnika - głośno zastanawiał się Jerry.

- On może nie, ale pani Davis na pewno - zachichotała Faith. - W kościele obserwuje mnie tak uważnie, jakby była kotem polującym na myszy. W ostatnią niedzielę pokazałam jej siostrzeńcowi głupią minę, a on też się wykrzywił - musielibyście widzieć jej spojrzenie. Założę się, że po kościele wytargała go za uszy. Pani Elliott mówiła mi, że pod żadnym pozorem nie wolno nam jej urazić, gdyby nie to, pokazałabym jej język!

- Mówią, że raz Jim Blythe pokazał jej język i od tej pory nigdy już nie wezwała jego ojca, nawet kiedy pan Davis umierał - powiedział Jerry. - Właściwie to jestem bardzo ciekaw, jacy też są ci Blythe'owie.

- Są ładni - stwierdziła Faith. Dzieci pastora były akurat na stacji tego popołudnia, gdy gromadka Blythe'ów wróciła do domu. - Ale najbardziej podoba mi się Jim.

- W szkole mówią, że Walter to baba - powiedział Jerry.

- Nie wierzę - odezwała się Una, której Walter spodobał się od pierwszego wejrzenia.

- On pisze wiersze, wiecie? W zeszłym roku zdobył główną nagrodę w konkursie na najlepszy wiersz. Opowiadał mi o tym Bertie Shakespeare Drew. Mama Bertiego uważała, że to jemu nauczyciel powinien wręczyć nagrodę, ze względu na imię, jakie nosi. Bertie jednak powiedział, że nie ma zielonego pojęcia o pisaniu wierszy, bez względu na to, jak ma na imię.

- Myślę, że poznamy ich, jak tylko zaczną znów chodzić do szkoły - zamyśliła się Faith. - Mam nadzieję, że te bliźniaczki są miłe. Bo ja właściwie nie lubię dziewczynek stąd. Nawet te sympatyczne są jakieś głupie. Ale te od Blythe'ów wyglądają na wesołe. Zawsze myślałam, że bliźniaczki muszą być takie same, a te przecież wcale nie są do siebie podobne. Ta ruda jest najładniejsza ze wszystkich.

- Ich mama też mi się podoba - powiedziała Una, wzdychając cichutko. Zazdrościła wszystkim dzieciom, które miały matki. Kiedy jej mama umarła, Una miała zaledwie sześć lat, ale w serduszkach zachowała, niczym klejnoty w szkatułce, najdroższe i najmiłsze wspomnienia. Pamiętała czułe pieszczoty na dobranoc i radosne psoty na dzień dobry, pamiętała ciepłe spojrzenie, delikatne dotknięcie dłoni i najpiękniejszy na świecie, radosny śmiech.

- Mówią, że ona jest inna niż wszyscy - powiedział Jerry.

- Pani Elliott twierdzi, że to dlatego, że ona nigdy tak naprawdę nie dorosła - dodała Faith.

- Przecież jest wyższa od pani Elliott.

- No tak, ale w środku. Pani Elliott mówi, że pani Blythe w głębi serca pozostała małą dziewczynką.

- Co tu tak pachnie? - przerwał im Karol, głęboko wciągając powietrze.

Teraz oni też poczuli zapach. Smakowita woń drażniła ich noski, płynąc od strony zalesionej dolinki za wzgórzem, na którym znajdował się ich dom.

- Przez ten zapach czuję się głodny - powiedział Jerry.

- Na kolację jedliśmy tylko chleb, melasę i zimne „tocoś” z obiadu - żałośnie przypomniała Una.

Ciocia Marta miała praktyczny zwyczaj gotowania wielkiego kawałka baraniny na początku tygodnia, a potem co dzień podawała na stół zimne, tłuste mięso - dopóki się nie

skończyło. Tę wyszukaną potrawę Faith w chwili olśnienia nazwała w równie wyszukany sposób - „tocoś” - i odtąd nikt inny na plebanii nie nazywał jej inaczej.

- Chodźmy sprawdzić, skąd dochodzi ten zapach - zaproponował Jerry.

Zerwali się na równe nogi, przeskoczyli przez trawnik ze szczenięcą, radosną beztroską, błyskawicznie pokonali płot i rzucili się biegiem w dół obrosniętego trawą wzgórza. Ich przewodnikiem był upojny zapach, który z każdym susem stawał się bardziej intensywny. Wkrótce znaleźli się w tajemnym sanktuarium Doliny Tęczy, gdzie czworo młodych Blythe'ów właśnie czekało na pierwsze słowa dziękczynienia przed ucztą.

Zatrzymali się onieśmieleni. Mała Una natychmiast pożałowała, że byli tak przedsiębiorczy, ale Di Blythe okazała się nie mniej energiczna. Podeszła do dzieci, uśmiechając się przyjaźnie.

- Myślę, że wiem, kim jesteście - powiedziała. - Mieszkacie na plebanii, prawda?

Faith przytaknęła i uśmiechnęła się, pokazując urocze dołeczki w buzi.

- Poczuliśmy zapach pieczonej ryby i chcieliśmy sprawdzić, skąd dochodzi.

- Więc siadajcie i pomóżcie nam zjeść te pstrągi - zapraszała Di.

- Ale może nie wystarczyć dla was - odezwał się Jerry, nie odrywając wzroku od blaszanego talerza.

- Jest ich cała fura - odparł Jim. - Trzy sztuki. Siadajcie.

Dalsze ceremonie nie były potrzebne. Wszyscy rozsiedli się na wielkich, omszałych kamieniach. Uczta była długa i niezwykle wesoła. Wprawdzie Nan i Di umarłyby z przerażenia, gdyby tak jak Faith i Una wiedziały, że w kieszeni Karola siedzą dwie małe myszki, ponieważ jednak nie miały o tym pojęcia, wcale im to nie przeszkadzało. Czy istnieje lepszy sposób na zapoznanie się, niż wspólne jedzenie? Nim zniknął ostatni kawałek pstrąga, dzieci pastora i dzieci ze Złotego Brzegu były już przyjaciółmi na śmierć i życie. Rozpoznały się natychmiast. Wszystkie należały do ludzi, którzy znają Józefa.

Opowiedzieli sobie nawzajem, co zdarzyło się dotąd w ich niezbyt długim życiu. Dzieci pastora dowiedziały się, co to jest Avonlea i gdzie leży Zielone Wzgórze, poznały zwyczaje Doliny Tęczy i historię małego domku nad morzem, w którym urodził się Jim. Dzieci ze Złotego Brzegu usłyszały o Majowych Wodach, gdzie mieszkali Meredithowie przed przyjazdem do Glen, o ukochanej, jednookiej lalce Uny i kogucie - ulubieńcu Faith. Faith przyzwyczajona była do tego, by nie zwracać uwagi na lekceważące uśmieszki ludzi, jakimi kwitowano jej przywiązanie do koguta. Jednakże była wdzięczna Blythe'om, że przyjęli jej wyznanie bez niemądrych pytań.

- Myślę, że posiadanie ładnego koguta jest równie miłe, jak posiadanie psa czy kota - mówiła. - Gdyby Adam był kanarkiem, nikt by się nie dziwił. A ja mam go od małego, od okrągłutkiego, żółtego pisklaczka. Podarowała mi go pani Johnson, jeszcze w Majowych Wodach. Był sam, bo całe jego rodzeństwo wydusiła łasica. Dałam mu imię na cześć męża pani Johnson. Nie lubię ani lalek, ani kotów. Koty są zbyt przebiegłe, a lalki przecież nie żyją.

- Kto mieszka w tym domu, tam wysoko? - zapytał Jerry.

- Panny West, Róża i Helena - odrzekła Nan. - Di i ja będziemy tego lata chodzić do panny Róży na lekcje muzyki.

Una spojrzała na szczęśliwe bliźniaczki oczyma, w których tęsknota przytłumiła nawet zazdrość. Ach, jak bardzo by chciała chodzić na lekcje muzyki. Było to jedno z jej maleńkich, głęboko skrywanych marzeń. Nikt jednak nie chciał spełnić tego marzenia.

- Panna Róża jest słodka i zawsze nosi takie piękne sukienki - powiedziała Di. - A jej włosy mają taki kolor, jak cukierki toffi ze świeżutkiej melasy - dodała żałośnie. Di, tak jak przed laty jej matka, nie mogła się pogodzić z tym, że jej włosy mają barwę marchewki.

- Panna Helena też jest miła - powiedziała Nan. - Jak przychodziła do kościoła, zawsze dawała mi cukierki. Ale Di się jej boi.

- Ona ma takie strasznie czarne brwi i taki strasznie niski głos - powiedziała Di. - A jak okropnie przestraszyła Krzysia Forda, kiedy był jeszcze malutki. Mama opowiadała, że kiedy pani Ford po raz pierwszy przyniosła go w niedzielę do kościoła, akurat była tam także panna Helena. Siedziały obok siebie. Jak tylko Krzyś na nią spojrzął, zaczął okropnie wrzeszczeć, wrzeszczał tak i wrzeszczał, dopóki pani Ford nie wyniosła go z kościoła.

- A kto to jest pani Ford? - spytała zaciekawiona Una.

- Och, Fordowie tutaj nie mieszkają. Przyjeżdżają tu tylko na lato, choć akurat w tym roku ich nie będzie. Mieszkają w domku nad morzem, kawał drogi stąd - kiedyś był to dom mamy i taty. Ach, szkoda, że nie zobaczycie Patrycji Ford. Jest śliczna, jak z obrazka.

- A ja słyszałam o pani Ford - wtrąciła się Faith. - Opowiadał mi o niej Bertie Shakespeare Drew. Ona była przez czternaście lat żoną człowieka, który nie żył, a później ożył.

- Co za bzdury - powiedziała Nan. - To wcale nie było tak. Bertie Shakespeare nigdy nic nie rozumie. Znam całą tę historię i mogę wam ją opowiedzieć, ale innym razem, bo to strasznie długa opowieść, a my musimy już iść do domu. Mama nie lubi, gdy w takie wilgotne wieczory jesteśmy za długo na dworze.

Nikt nie troszczył się o to, jak długo - w takie wilgotne wieczory - były na dworze dzieci pastora. Ciocia Marta dawno już poszła spać, a pastor nazbyt zagłębił się w medytacji

nad nieśmiertelnością duszy, by zwracać uwagę na śmiertelne ciało. Tak czy owak, one także wróciły do domu, z serduszkami pełnymi dobrych myśli.

- Moim zdaniem, Dolina Tęczy jest jeszcze ładniejsza niż cmentarz - powiedziała Una.

- A ci Blythe'owie są tacy cudowni i kochani. To wspaniałe uczucie, kiedy spotka się ludzi, których można pokochać, bo nie wszystkich można. W ostatnią niedzielę na kazaniu tata mówił, że powinniśmy kochać każdego człowieka. Ale jak to zrobić? Jak pokochać panią Davis?

- Och, przecież tata musi tak mówić z ambony - beztrąsko wyjaśniła Faith. - Ale z pewnością ma tyle oleju w głowie, że tak naprawdę nie myśli.

Dzieci ze Złotego Brzegu także wróciły już do domu. Tylko Jim wymknął się samotnie na wyprawę w najodleglejszą część Doliny Tęczy. Rosły tam piękne zawilce i przez cały czas, kiedy kwitły, Jim codziennie przynosił mamie pachnący bukiet białych kwiatów.

5.

MARY VANCE PRZYBYWA

- Dziś jest jeden z takich dni, kiedy wszystko może się zdarzyć - stwierdziła Faith, zachwycona świeżością powietrza i urodą błękitnych wzgórz. Z rozkoszą zaprosiła samą siebie do tańca i odtąńczyła skoczną pólczkę na stopniach nagrobka starego Ezekiasza Pollocka - ku zgorszeniu dwóch starych panien, które właśnie przechodziły obok cmentarza. Zauważyły Faith w momencie, gdy podskakując wokół nagrobka na jednej nodze, wymachiwała drugą i wznosiła w górę ramiona.

- I to jest - jęknęła ze zgrozą jedna z kobiet - córka naszego pastora!

- A czegoż można się spodziewać po rodzinie wdowca? - wtórowała jej druga stara panna. Po czym zgodnie potrząsnęły głowami.

Był wczesny sobotni poranek i mali Meredithowie wyruszyli w skąpany od rosy świat z cudowną świadomością wolnego dnia. Kiedy nie chodzili do szkoły, nie mieli właściwie nic do roboty. Nawet Nan i Di Blythe musiały w sobotnie poranki pomagać przy różnych pracach domowych, tylko córeczki pastora mogły swobodnie wędrować po bożym świecie od pierwszych promieni świtu po zmrok, jeśli tylko przyszła im na to ochota. Faith była z tego ogromnie zadowolona, ale Una w głębi serca czuła się pokrzywdzona tym, że nic nie potrafiła zrobić. Jej koleżanki z klasy umiały szyć, gotować i robić na drutach, tylko ona nie potrafiła niczego.

Jerry zaproponował, by wyruszyli na daleką wyprawę - poszli więc powoli przez jodłowy las, zabierając po drodze Karola, który klęczał w mokrej trawie, przyglądając się swym ukochanym mrówkom. Minęli las i wyszli na pastwisko należące do pana Taylora, całe pokryte białym puchem dmuchawców; w odległym końcu łąki stała stara, rozwalająca się szopa, gdzie pan Taylor czasem trzymał dodatkową kopę siana - i był to jedyny cel, jakiemu służyła ta rudera. Właśnie w tym kierunku ruszyła gromadka Meredithów i po chwili cała czwórka rozsiadła się na klepisku, zarządzając kilkuminutowy odpoczynek.

- Co to było? - szepnęła nagle Una.

Wszyscy zaczęli nasłuchiwać. Z góry, gdzie trzymano siano, dobiegał cichy, lecz wyraźny dźwięk. Popatrzyli na siebie.

- Tam na górze coś jest - wyszeptała Faith.

- Pójdę sprawdzić, co to takiego - śmiało zadeklarował Jerry.

- Och, nie - Una złapała brata za ramię.

- Muszę to sprawdzić.

- Więc chodźmy wszyscy - powiedziała Faith. Wszyscy czworo wspięli się po chwiejnej drabinie: Jerry i Faith bez cienia obawy, Una, ledwo żywa ze strachu i Karol, pełen nadziei, iż na stryszku uda mu się znaleźć jakiegoś nietoperza. Marzył o tym, by zobaczyć nietoperza w świetle dnia. Kiedy tylko zeszli z drabiny, natychmiast odkryli źródło dziwnych dźwięków... To, co zobaczyli, tak ich zdumiało, że przez kilka minut żadne z nich nie wydobyło z siebie ani jednego słowa.

W wygrzebanym w sianie wgłębieniu leżała skulona dziewczynka i wyglądała tak, jakby dopiero co zbudziła się z długiego snu. Kiedy ich zobaczyła, podniosła się z trudem, jakby niepewnie czuła się na własnych nogach. W promieniach słońca, sączących się przez okna zasnutę grubymi pajęczynami, zobaczyli, że jej twarz, mimo opalenizny, wydaje się bardzo blada. Miała proste włosy o barwie lnu, zaplecione w dwa grube warkocze, i bardzo dziwne oczy - dzieci pastora nazwały je w myślach „białymi oczami” - które patrzyły na nich trochę wyzywająco, a trochę żałośnie. Niebieskie tęczęwki miały tak blady odcień, że istotnie sprawiały wrażenie niemal białych, zwłaszcza że otaczała je cieniutka, czarna obwódka. Była bez kapelusika i boso, ubrana w starą, wymiętą i wystrzępioną kraciastą sukienkę, z której w dodatku dawno już wyrosła. Patrząc na wymizerowaną, drobną buzię dziewczynki, trudno było określić jej wiek, ale wzrost zdradzał, że mogła mieć około dwunastu lat.

- Kim jesteś? - zapytał w końcu Jerry. Dziewczynka rozejrzała się dookoła z rozpaczą, jakby chciała uciec. Potem, zdesperowana i zrezygnowana, odpowiedziała:

- Jestem Mary Vance.

- Skąd jesteś? - pytał dalej Jerry.

Mary, zamiast odpowiedzieć, usiadła nagle - czy raczej upadła - na siano i wybuchnęła płaczem. Faith natychmiast podbiegła, przykucnęła obok niej i objęła jej wychudzone, drżące ramiona.

- Daj jej spokój - upomniwała Jerry'ego. Potem przytuliła do siebie włóczęgę. - Nie płacz, kochanie. Powiedz nam tylko, co ci się stało. Chcemy być twoimi przyjaciółmi.

- Jestem taka... taka... taka głodna - szlochała Mary. - Od czwartku rana nic nie jadłam, piłam tylko wodę ze strumyka.

Dzieci pastora popatrzyły na siebie z przerażeniem. Faith zerwała się.

- Teraz wstaniesz i od razu, jeszcze nim powiesz nam więcej o sobie, pójdziesz z nami na plebanie, żeby coś zjeść.

Mary wzdrygnęła się.

- Nie, nie mogę. Co by na to powiedzieli wasz tata i wasza mama? Zaraz odesłaliby mnie z powrotem.

- Nasza mama nie żyje, a nasz tata nawet cię nie zauważy, zresztą ciocia Marta też nie. Mówię ci, chodź z nami - Faith niecierpliwie tupiała nogą. Czyżby ta dziwna dziewczynka uparła się, żeby umrzeć z głodu niemal pod ich drzwiami?

Mary poddała się. Była bardzo słaba i z trudem zeszła po drabinie, ale dzieciom jakoś udało się sprowadzić ją na dół, przeprowadzić przez pastwisko, aż wreszcie znalazły się w kuchni na plebanii. Ciocia Marta, krzątająca się wokół sobotniego obiadu, nie zwróciła na Mary najmniejszej uwagi. Faith i Una pobiegły do spiżarni i przyniosły stamtąd wszystko, co tylko nadawało się do jedzenia - znalazły tam „tocoś”, trochę chleba, masła i mleka oraz wątpliwej jakości placek. Mary Vance rzuciła się na jedzenie gwałtownie i bez wybrzydzenia, a dzieci pastora otoczyły ją kółeczkiem i przyglądały się, jak je. Jerry zauważył, że ma ładne usta i białe, równiutkie zęby. Faith spostrzegła, z ukrytym przerażeniem, że Mary Vance nie ma na sobie nic poza tą wymiętą, podartą w strzępy sukienką. W Unie wzbierało uczucie litości, a Karol zdawał się nieco rozbawiony, ale wszyscy przyglądali się Mary z wielką ciekawością.

- Teraz chodźmy na cmentarz, tam opowiesz nam o sobie - zarządziła Faith, gdy apetyt Mary wydawał się już zaspokojony. Dziewczynka wyglądała dużo lepiej. Posiłek przywrócił jej energię i rozwiązał gadatliwy języczek.

- Ale nie wygadacie swojemu ojcu ani nikomu tego, co wara powiem? - upewniała się, gdy posadzili ją wygodnie na stopniach mogiły pana Pollocka. Dzieci pastora usiadły na innym grobie, naprzeciwko. To wszystko miało cudowny smak tajemniczej przygody. Zdarzyło się coś wielkiego.

- Nikomu nie powiemy.

- Dajecie słowo honoru?

- Słowo honoru.

- No dobra. Nawiałam. Mieszkalam u pani Wiley po drugiej stronie zatoki. Znacie ją?

- Nie.

- No to się cieszcie. To wstrętna kobieta. Przysięgam wam, że jej nienawidzę. Wypruwała ze mnie żyły przy pracy, a jeść nie dawała mi nawet połowy tego, co potrzebne do przeżycia, ale za to tłukła co dzień. Popatrzcie tylko.

Mary podwinęła wystrzępione rękawy. Podniosła swoje chude ramiona i obtarte od ciężkiej pracy dłonie. Były czarne od siniaków. Dzieci pastora zadrżały. Policzki Faith zapłonęły z oburzenia, a w niebieskich oczach Uny pojawiły się wielkie łzy.

- W środę wieczorem stłukła mnie grubym kijem - mówiła obojętnie Mary. - A to dlatego, że krowa kopnęła skopek i wylała mleko. A skąd ja, do licha, miałam wiedzieć, że to przekłete, stare krówsko zamierza kopnąć skopek?

Słuchające jej dzieci drżały z przejęcia i niezupełnie przykrego poczucia winy. Nigdy nie przyszłoby im do głowy, aby używać takich podejrzanych słów, ale było coś ekscytującego w tym, że słyszały je z ust innego dziecka, i to w dodatku - dziewczynki. Ta Mary Vance była z pewnością fascynującą osobą.

- Więc to nie twoja wina, że uciekłaś - powiedziała Faith.

- Och, ja wcale nie uciekłam z powodu tego lania. Lanie to dla mnie nic nadzwyczajnego. Zdążyłam przywyknąć. Ale musiałam stamtąd zwać na tydzień, bo dowiedziałam się, że pani Wiley postanowiła wynająć komuś farmę i przenieść się do Lowbridge, a mnie miała oddać swojej kuzynce, mieszkającej przy drodze do Charlottetown. Tego było już stanowczo za wiele. Ta baba jest jeszcze gorsza niż pani Wiley. W zeszłym roku, latem, pani Wiley pożyczyła mnie jej na jeden przekłety miesiąc. Wolałabym już mieszkać u samego diabła.

Taki sposób mówienia był dla nich czymś nowym. Tylko Una zdawała się mieć wątpliwości.

- Więc postanowiłam, że do tego nie dopuszczę. Miałam zaoszczędzone siedemdziesiąt centów, które zarobiłam, sadząc wiosną ziemniaki u pani Crawford. Pani Wiley nic o nich nie wiedziała. Zarobiłam je, jak ona pojechała w odwiedziny do swojej kuzynki. Pomyślałam więc, że przekradnę się tu, do Glen, kupię bilet do Charlottetown i znajdę tam sobie jakieś zajęcie. Bo musicie wiedzieć, że ja wszystko umiem robić. I pracowita jestem, jak mało kto. No więc w czwartek wstałam bardzo wcześnie, jeszcze zanim obudziła się pani Wiley, i ruszyłam piechotą do Glen. Sześć mil. Ale kiedy doszłam do stacji, okazało się, że zgubiłam pieniądze. Nie mam zielonego pojęcia, gdzie i kiedy to się stało. Co miałam robić? Gdybym wróciła, szanowna pani Wiley zdarłaby ze mnie skórę. No więc ukryłam się w tej starej szopie.

- I co teraz zrobisz? - zapytał Jerry.

- A bo ja wiem? Myślę, że będę musiała wrócić i wypić piwo, jakiego sobie nawarzyłam. Teraz, jak mam pełny żołądek, łatwiej mi o tym myśleć.

Mary powiedziała to śmiało i beztrąsko, ale jej oczy zdradzały ukryty lęk. Una nagle zsunęła się ze swego miejsca na nagrobku i usiadła obok Mary, obejmując ją ramieniem.

- Nie wracaj tam. Zostań z nami.

- Och, pani Wiley z pewnością mnie znajdzie - powiedziała Mary. - Możliwe, że już wpadła na trop. Jeżeli wasza rodzina nie ma nic przeciwko temu, to myślę, że mogę tu zostać, dopóki ona mnie nie dopadnie. Jaką byłam straszliwą idiotką, myśląc, że uda mi się przed nią uciec. Ta baba nawet lisa wystrychnęłaby na dudka. Ale czułam się taka nieszczęśliwa.

Głos Mary zadrżał, choć nie lubiła przyznawać się do własnej słabości.

- Nawet psa traktuje się lepiej niż ja byłam traktowana przez te cztery lata.

- Byłaś u pani Wiley cztery lata?

- No tak. Jak miałam osiem lat, wzięła mnie z przytułku w Hopetown.

- W tym samym sierocińcu była pani Blythe! - wykrzyknęła Faith.

- Mieszkałam tam dwa lata. Zabrali mnie do przytułku, jak miałam sześć lat, bo mama się powiesiła, a ojciec poderżnął sobie gardło.

- Na smoka świętego Jerzego! Dlaczego to zrobili? - spytał Jerry.

- Byli alkoholikami - lakonicznie odparła Mary.

- I nie masz żadnych krewnych?

- Nie wiem. Pewnie musiałam mieć jakąś dalszą rodzinę. Ochrzcili mnie prawie tuzinem rodzinnych imion. Moje pełne nazwisko to Mary Marta Lucilla Moor Bali Vance. Macie pojęcie? Mój dziadek był bogaczem. Założę się, że miał więcej pieniędzy od waszego dziadka. Ale mój stary wszystko przepił, a mama dzielnie mu pomagała. Oni też mnie bili. Właściwie to tak przywykłam do lania, że pewnie byłoby mi bez tego smutno.

Mary potrząsnęła głową. Domyśliła się, że dzieci pastora jej współczują, że litują się nad nią z powodu tych razów, a ona nie życzyła sobie, aby ktokolwiek się nad nią litował. Wolałaby, żeby jej zazdroszczono. Rozejrzała się wesoło dookoła. Jej dziwne oczy zalśniły, przygnębienie zniknęło bez śladu. Pokaże tym malcom, kim jest naprawdę.

- Strasznie często chorowałam - oświadczyła z dumą. - Mało które dziecko zdołałoby przeżyć to wszystko, co ja przeszłam. Miałam szkarlatynę i ospę, a poza tym różyczkę, i jeszcze świnkę, i koklusz, a do tego zapalenie płuc.

- A czy byłaś kiedyś śmiertelnie chora? - dopytywała się Una.

- Czyja wiem... - niepewnie odparła Mary.

- Pewnie, że nie - zaśmiał się Jerry - bo jak ktoś jest śmiertelnie chory, to umiera.

- Och, to prawda, że właściwie nigdy nie umarłam - powiedziała Mary - ale raz byłam strasznie bliska umarcia. Wszyscy już myśleli, że nie żyję, i właśnie zamierzali mnie pochować, kiedy się ocknęłam i odzyskałam przytomność.

- Jak to jest, kiedy się jest prawie martwym? - zainteresował się Jerry.

- Wcale nie jest. Już po kilku dniach nic z tego nie pamiętałam. To było wtedy, jak miałam zapalenie płuc. Pani Wiley nie wezwała lekarza. Powiedziała, że nie będzie ponosić takich kosztów dla zwykłej służącej. Stara ciotka Krystyna McAllister leczyła mnie okładami. Uratowała mnie. Choć czasem żałuję, że umarłam tylko do połowy, wolałabym umrzeć całkiem i mieć spokój. Byłoby mi wtedy lepiej.

- Pod warunkiem - odezwała się Faith tonem pełnym zwątpienia - że trafiłabyś do nieba.

- No, a gdzie indziej miałiby trafiać ludzie po śmierci? - spytała zdziwiona Mary.

- Widzisz, jest jeszcze piekło - powiedziała Una, ścisząc głos i obejmując Mary, aby złagodzić tę straszliwą nowinę.

- Piekło? A co to takiego?

- To takie miejsce, w którym mieszka diabeł - wyjaśnił Jerry. - Przecież wiesz, kto to jest diabeł. Sama o nim mówiłaś.

- No tak, prawda, ale skąd mogłam wiedzieć, że on gdzieś mieszka? Sądziłam, że diabeł po prostu włóczy się tu i tam. Jak żył pan Wiley, to często mówił o piekle. Odsyłał ludzi do diabła albo do piekła. Ale ja myślałam, że to jakieś miejsce w Nowym Brunswiku, bo on stamtąd pochodził.

- Piekło to straszne miejsce - powiedziała Faith ponuro, ale z dziwną przyjemnością, którą odczuwa się mówiąc o przerażających rzeczach. - Żli ludzie idą tam po śmierci i smażą się w ogniu przez cały, ale to cały czas.

- Kto wam o tym powiedział? - zapytała z niedowierzaniem Mary.

- Tak jest napisane w Biblii. Opowiadał nam też o tym pan Izaak Crothers w Majowych Wodach, na lekcjach szkoły niedzielnej. To był stary człowiek i miał wielkie poważanie w Kościele, więc dobrze wiedział, co mówi. Ale nie przejmuj się. Jak będziesz dobra, to pójdziesz do nieba, tylko jakbyś była zła, trafisz do piekła.

- Nie, nie chcę tam trafić - stanowczo stwierdziła Mary. - Nawet jeśli dotąd byłam bardzo niegrzeczna, to nie chcę się przez cały czas smażyć w ogniu. Wiem, jakie to okropne, bo raz dotknęłam przez przypadek rozpalonego do czerwoności pogrzebacza. Co trzeba robić, żeby być dobrym?

- Trzeba chodzić do kościoła i do szkoły niedzielnej, i czytać Biblię, i modlić się co wieczór, i składać ofiarę na misje - powiedziała Una.

- To brzmi jak jakiś regulamin - stwierdziła Mary. - I co jeszcze?

- Musisz prosić Boga, aby wybaczył ci grzechy, które popełniłaś.

- Ale... ale... ja nie popełniłam żadnych... -jąkała się Mary. - A co to właściwie jest grzech?

- Och, Mary, na pewno popełniłaś jakieś grzechy. Wszyscy je popełniają. Nigdy nikogo nie okłamałaś?

- Ja ciągle kłamię - odrzekła Mary.

- To wielki grzech - z powagą oświadczyła Una.

- Chcesz mi powiedzieć - rozzłościła się Mary - że znajduję się w piekle tylko dlatego, że od czasu do czasu kogoś okłamałam? Ale dlaczego? Przecież musiałam kłamać. Pani Wiley nieraz porachowałaby mi wszystkie kości, gdybym jej nie okłamywała. I powiem wam coś: kłamstwo może czasem uratować życie.

Una westchnęła. Ten problem wydawał się zbyt trudny, aby go rozwiązać. Zadrżała na samą myśl o tym, że ktoś mógłby zbić ją bez litości. Prawdopodobnie wtedy skłamałaby i ona. Ścisnęła zniszczoną od pracy, drobną dłoń Mary.

- Czy to jedyna sukienka, jaką masz? - spytała Faith, której radosna natura nie pozwalała na zbyt długie wgłębianie się w nieprzyjemne tematy.

- Założyłam tę sukienkę, bo nie jest zbyt porządna - zaczerwieniła się Mary. - Wszystkie ubrania kupiła mi pani Wiley, a ja nie chciałam być jej nic dłużna. A poza tym jestem uczciwą dziewczyną. Skoro postanowiłam uciec, nie mogłam zabrać z domu niczego, co miałoby jakąkolwiek wartość. Jak będę dorosła, kupię sobie błękitną suknię z atłasu. Wasze ubrania też nie wyglądają zbyt wytwornie. Zawsze myślałam, że dzieci pastora chodzą wystrojone.

Nietrudno było odkryć, że Mary miała charakter i była niezwykle drażliwa na punkcie kilku spraw. Dzieci pastora znalazły się jednak pod wpływem jej ogromnego uroku. Jeszcze tego samego popołudnia zabrały ją do Doliny Tęczy i przedstawiły Blythe'om jako „przyjaciółkę z drugiej strony zatoki, która przyjechała w odwiedziny”. Dzieci ze Złotego Brzegu przyjęły ją bez zbędnych pytań, może dlatego, że Mary zachowywała się teraz dużo stosowniej. Po obiedzie - podczas którego ciocia Marta coś tam mruczała pod nosem, a pastor był nieobecny myślami, jak zawsze, gdy przygotowywał niedzielne kazanie - Faith wymogła na Mary, aby ta założyła jedną z jej sukienek oraz kilka innych, niezbędnych części garderoby. Przebrana, ze starannie wyszczotkowanymi włosami, Mary wyglądała zupełnie przyzwoicie. Doskonale nadawała się na towarzyszkę zabaw - znała kilka nowych, ciekawych gier, a rozmowa z nią nigdy nie była nudna. Jednak kilka jej wyrażen ściągnęło na nią dziwne spojrzenia Nan i Di. Dziewczynki nie bardzo wiedziały, co powiedziałyby na jej temat ich

matka, za to były zupełnie pewne, co pomyślałyby o niej Zuzanna. Tak czy owak, była gościem na plebanii, więc pozostawała poza wszelkimi podejrzeniami.

Kiedy przyszedł czas na położenie się do łóżek, powstał problem, gdzie Mary ma spać.

- Wiesz, że nie możemy położyć jej w pokoju gościnnym - z zakłopotaniem mówiła Faith do Uny.

- Ależ ja nie mam niczego we włosach! - zawołała Mary urażonym tonem.

- Ach, wcale nie to miałam na myśli - obruszyła się Faith. - Ten pokój jest po prostu w rozsypce. Mysz wygryzła dziurę w puchowym materacu i uwiła sobie gniazdko. Nie mieliśmy o tym pojęcia, aż w zeszłym tygodniu ciocia Marta pościeliła tam wielebnemu Fisherowi z Charlottetown. I on odkrył gniazdko. Tata musiał odstąpić mu własne łóżko i spać w gabinecie na sofie. Ciocia Marta nie miała czasu, żeby naprawić materac, przynajmniej tak nam mówiła, więc na razie nikt nie może spać w tym pokoju, choćby miał nie wiem jak czystą głowę. A nasz pokój jest taki mały i łóżko takie ciasne, że się razem nie zmieścimy.

- Mogę wrócić do tej starej szopy, na siano, jeśli pożyczycie mi coś do przykrycia - stwierdziła Mary ze stoickim spokojem. - Ostatniej nocy okropnie zmarzłam, ale sypiałam już w gorszych warunkach.

- Och nie, tego nie wolno ci zrobić - powiedziała Una. - Mam pewien pomysł, Faith. Czy pamiętasz to składane łóżko, które stoi na poddaszu, to ze starym materacem, jeszcze po poprzednim pastorze? Weźmiemy pościel z pokoju gościnnego i pościelimy Mary na stryżku. Nie będzie ci przeszkadzało, że prześpisz się na poddaszu, Mary? To akurat nad naszym pokojem.

- Mogę spać wszędzie. Nigdy w życiu nie miałam porządnego miejsca do spania. U pani Wiley spałam na strychu nad kuchnią. Dach był dziurawy, więc latem kapał na mnie deszcz, a zimą padał śnieg. Całe moje łóżko składało się z siennika ułożonego wprost na podłodze. Więc możecie nie zwracać sobie głowy tym, gdzie mnie przenocujecie.

Poddasze plebanii było długim, mrocznym pomieszczeniem, na końcu którego oddzielono przepierzeniem mały pokoik. Tu właśnie dziewczynki przygotowały dla Mary łóżko, zaścielając je wykwintną pościelą, ozdobioną mereżką i ręcznym haftem. Przed laty Cecylia Meredith uszyła ten elegancki komplet z myślą o pokoju gościnnym i jakimś cudem przetrwał on w całości niewprawne pranie cioci Marty. Dzieci powiedziały sobie dobranoc i plebanię ogarnęła cisza. Una właśnie zasypiała, kiedy usłyszała jakiś dźwięk, dochodzący z pokoiku na poddaszu. Ocknęła się natychmiast i usiadła na łóżku.

- Faith, słuchaj: Mary płacze - wyszeptała.

Faith nie odpowiedziała, spała już smacznie. Una wysunęła się spod kołdry i w króciutkiej nocnej koszulce ruszyła przez hali na stryszek. Skrzypiące deski podłogi na poddaszu zdradziły jej nadejście i kiedy dotarła do małego pokoju w narożniku, panowała tam już zupełna cisza, a światło księżyca oświetlało składane łóżko i skuloną w nim małą figurkę.

- Mary - szepnęła Una. Cisza była jedyną odpowiedzią.

Una podkrađła się do łóżka i szarpnęła kołdrę.

- Mary, wiem, że płakałaś. Słyszałam. Nie chcesz być sama?

Mary spojrzała na nią, ale nadal się nie odzywała.

- Pozwól mi położyć się obok ciebie. Zmarzłam - powiedziała Una, która drżała z zimna; przez okienko poddasza wdzierał się przenikliwy chłód nocnego, morskiego powietrza.

Mary przesunęła się, a Una wślizgnęła się pod kołdrę.

- Teraz nie będziesz już czuła się samotna. Nie powinniśmy zostawiać cię tu samej pierwszej nocy.

- To nie dlatego, że czułam się samotna - pociągnęła nosem Mary.

- Więc dlaczego płakałaś?

- No bo jak zostałam tu sama, to zaczęłam sobie myśleć o różnych sprawach. Myślałam o tym, że będę musiała wrócić do pani Wiley, i o tym, że mnie zbije za ucieczkę, i jeszcze o tym, o tym... o tym, że pójdę do piekła, bo jestem kłamczuchą. I okropnie mnie to wszystko zmartwiło.

- Och, Mary - Una była kompletnie zrozpaczona - nie wydaje mi się, żeby Pan Bóg posłał cię do piekła za kłamstwa, jeżeli nie wiedziałaś, że postępujesz źle. Nie mógłby tego zrobić. Pan Bóg jest dobry i miły. Ale teraz, kiedy już wiesz, że to grzech, nie wolno ci więcej kłamać.

- Ale co się wtedy ze mną stanie? - szlochała Mary.

- Ty nic nie rozumiesz. Nie masz o tym zielonego pojęcia. Masz dom i kochanego ojca, choć wydaje mi się czasem, że on niezupełnie wie, co się wokół dzieje. No, w każdym razie on cię nie bije i zawsze jesteś najedzona, choć ta wasza stara ciotka wcale nie zna się na gotowaniu, wcale a wcale. Czy wiesz, że ja nie pamiętam, abym kiedykolwiek najadła się do syta, tak jak dziś? Przez całe życie byłam bita, nie dostawałam lania tylko przez te dwa lata, które spędziłam w sierocińcu. Tam nie było tak źle, nie bili mnie, choć przełożona była zawsze okropnie zagniewana. Wyglądała tak, jakby miała zamiar odgryźć główkę od szpilki. No, ale pani Wiley to przy niej istny potwór, właśnie - potwór. Jak tylko sobie pomyślę, że będę musiała do niej wrócić, robię się sztywna ze strachu.

- Ale może wcale nie będziesz musiała. Może coś wymyślimy. Chodź, pomodlimy się razem, żeby Bóg wysłuchał twojej prośby i żebyś nie musiała wracać do pani Wiley. Modlisz się przecież, prawda, Mary?

- No oczywiście, zawsze powtarzam jakiś tam stary wierszyk, zanim pójde spać - odpowiedziała obojętnie Mary. - Ale nigdy nie przyszło mi do głowy, że mogłabym Boga o coś prosić. Nie ma na świecie nikogo, kogo obchodziłby mój los, więc niby dlaczego Bóg miałby sobie zawracać mną głowę? Na ciebie z pewnością zwróci uwagę, w końcu jesteś córką pastora.

- Pan Bóg o ciebie troszczy się tak samo, Mary. Jestem tego pewna - powiedziała Una. - Dla Niego to nie ma znaczenia, czym jesteś dzieckiem. Tylko Go ładnie poproś, a ja też Go poproszę.

- No, dobra - zgodziła się Mary. - Nawet jeśli to nie pomoże, nie powinno też zaszkodzić. Gdybyś знаła panią Wiley tak dobrze jak ja, wiedziałabyś, że Bóg z pewnością nie zechce mieć z nią do czynienia. Ale i tak nie będę już więcej płakać z tego powodu. Przecież jest mi tu o wiele lepiej, niż zeszłej nocy w starej szopie, po której harcowały myszy. Popatrz na światło latarni morskiej w Czterech Wiatrach. Prawda, że jest śliczne?

- To jedyne okno w całym domu, skąd można je zobaczyć - powiedziała Una. - Uwielbiam na nie patrzeć.

- Naprawdę? Ja też. Ze strychu Wileyów też było je widać. Było moją jedyną pociechą. Kiedy leżałam obolała po kolejnym biciu, patrzyłam na nie i zapomniałam, że mnie coś boli. Myślałam o statkach, żeglujących coraz dalej i dalej od tego światła, i marzyłam, że odpływam na jednym z nich. W zimowe noce, kiedy nie świeciło, czułam się bardzo samotna. Uno, powiedz mi, dlaczego wy jesteście dla mnie tacy dobrzy? Przecież jestem zupełnie obca.

- Bo tak właśnie należy postępować. Biblia mówi, że trzeba kochać wszystkich swoich bliźnich.

- Naprawdę? W takim razie niewielu ludzi się tym przejmuje. Nie pamiętam, aby wcześniej ktokolwiek był dla mnie miły, daję ci słowo honoru, że nie pamiętam. Uno, popatrz na te cienie na ścianie. Piękne są, prawda? Wyglądają jak stado małych, tańczących ptaków. Wiesz co? Bardzo was wszystkich lubię i lubię też tych Blythe'ów: chłopców i Di. Wszystkich, z wyjątkiem Nan. Bo ona jest zarozumiała.

- Och, Mary, nie. Nan nie jest zarozumiała - gwałtownie zaprzeczyła Una. - Nic a nic.

- Mylisz się. Ktoś, kto trzyma głowę tak wysoko jak ona, musi być zarozumiały. Nie lubię jej i już.

- My wszyscy bardzo ją lubimy.

- No, coś mi się wydaje, że ty lubisz ją bardziej niż mnie - zazdrośnie stwierdziła Mary. - Prawda?

- Wiesz, Mary... ją znam od kilku tygodni, a ciebie zaledwie parę godzin - wyjąkała Una.

- Więc jednak ją lubisz bardziej - w głosie Mary zabrzmiał gniew. - Znakomicie! Wolicie ją ode mnie. Mam to w nosie. Poradzę sobie bez was.

Mary gwałtownie odwróciła się do ściany.

- Och, Mary - powiedziała Una, obejmując delikatnie plecy Mary - nie mów tak. Ja naprawdę bardzo cię lubię. A ty robisz mi taką przykrość.

Odpowiedzi nie było. Teraz Una zaczęła szlochać. Mary odwróciła się nagle i mocno ją objęła.

- Uspokój się - powiedziała. - Nie płacz z powodu tego, co ci powiedziałam. Byłam podła jak wszyscy diabli. Zasłużyłam na to, żeby obedrzeć mnie ze skóry. Jesteście dla mnie tacy dobrzy. Nie wolno mi myśleć, że macie mnie lubić najbardziej ze wszystkich. Naprawdę zasłużyłam na wszystkie te kije, które dostałam. No już, cicho. Jeżeli nie przestaniesz płakać, to zaraz wstanę i pójdę nad zatokę w nocnej koszuli, rzucę się do morza i utopię.

Ta straszliwa groźba sprawiła, że Una stłumiła szloch. Mary osuszyła jej łzy skrawkiem ozdobionej мережкой poszewki z gościnnego pokoju i obie, wybacząc sobie wszystkie winy, ułożyły się wygodnie na łóżku, cudownie pogodzone. Patrzyły na ścianę, gdzie liście winorośli tańczyły w blasku księżyca, aż wreszcie usnęły.

Na dole, w swym gabinecie, wielbny Jan Meredith przemierzał drogę od ściany do ściany; z zamyślonym wyrazem twarzy i błyszczącymi oczyma obmyślał kazanie na jutrzejszy dzień. Nawet nie przyszło mu do głowy, że pod jego dachem ukryła się zabłąkana dziecięca dusza, pogrążona w ciemności i niewiedzy, zwyciężona przez lęk i zmagająca się w nierównej walce z problemami nieczułego, ogromnego świata.

6.

MARY ZOSTAJE NA PLEBANII

Następnego dnia dzieci pastora postanowiły zabrać Mary do kościoła. Dziewczynce nie spodobał się ten pomysł.

- Nie chodziłaś do kościoła po drugiej stronie zatoki? - zapytała Una.

- Jak to: nie! Pani Wiley nigdy nie przejmowała się kościołem, ale ja chodziłam do kościoła każdej niedzieli, kiedy tylko miałam wolne. To cudowne miejsce, bo mogłam tam przez chwilę spokojnie posiedzieć, za co byłam wdzięczna losowi. Ale przecież nie pójdę do kościoła w takiej starej, podartej sukience.

Problem rozwiązała Faith, proponując, że pożyczycy Mary drugą ze swych najlepszych sukienek.

- Jest trochę wypłowiała i brakuje jej dwóch guziczków, ale nie wygląda tak źle.

- Guziki to ja migiem przy szyję - stwierdziła Mary.

- Ale nie w niedzielę - oburzyła się Una.

- Pewnie, że tak. Im prędzej, tym lepiej. Daj mi tylko igłę z nitką. A jak jesteś taka wrażliwa, to możesz się odwrócić.

Szkolne botki Faith i czarny kapelusz, który niegdyś należał do Cecylii Meredith, dopełniły całości. W takim stroju Mary ruszyła do kościoła. Zachowywała się tam zupełnie poprawnie, i choć kilka osób zastanawiało się, kim jest ta mała, nędznie ubrana dziewczynka, stojąca z dziećmi pastora, pojawienie się Mary nie wzbudziło żadnej sensacji. Wysłuchiwała kazania z należną czcią i z radością przyłączyła się do śpiewania pieśni. Okazało się, że Mary ma mocny, czysty głos i znakomity słuch.

„Krew jego kwiatom barwy przyda” - radośnie zaintonowała Mary. Pani Milligrew, która siedziała w ławce tuż przed dziećmi, odwróciła się i zmierzyła ją spojrzeniem od stóp po czubek głowy. Mary, w której odezwała się przekora, pokazała tej damie język, co wzbudziło w Unie szczere oburzenie.

- Nie mogłam się powstrzymać - tłumaczyła, gdy wyszli z kościoła. - Dlaczego ona tak się na mnie gapiła? Co za maniery! Bardzo się cieszę, że pokazałam jej język. Żałuję tylko, że nie wyciągnęłam go jeszcze mocniej. A wiecie, widziałam w kościele Roberta McAllistera zza przystani. Ciekawe, czy on powie o mnie pani Wiley.

Dni mijały, a pani Wiley nie pokazywała się i dzieci powoli zapominały o jej istnieniu. Mary zadomowiła się na plebanii, ale stanowczo odmawiała pójścia do szkoły.

- Nic z tego. Skończyłam z nauką - oświadczyła, gdy Faith nalegała, aby poszła razem z nimi. - Spędziłam w szkole cztery zimy, kiedy byłam u pani Wiley, i nauczyłam się już wszystkiego, co uznałam za potrzebne. Niedobrze mi się robi, jak sobie pomyślę, że znowu ktoś miałby mi prawić morały z powodu nie odrobionych zadań domowych. A czy ja miałam czas na jakieś przekłète zadania domowe?

- Nasza pani nie będzie prawić ci morałów. Ona jest bardzo miła - powiedziała Faith.

- I tak nie pójdę. Umiem czytać i pisać, i liczyć, i znam się na ułamkach. Tylko tego chciałam się nauczyć. Wy idźcie, a ja zostanę w domu. Nie bójcie się, niczego nie ukradnę. Daję wam słowo honoru, że jestem uczciwą osobą.

Kiedy dzieci pastora były w szkole, Mary znalazła sobie zajęcie: sprzątała plebanię. Po kilku dniach dom wyglądał zupełnie inaczej. Podłogi były pozamiatane, meble odkurzone, wszystko stało na swoim miejscu. Materac w pokoju gościnnym został naprawiony, oderwane guziki przyszyte do ubrań, a dziury połatane. Mary wtargnęła ze szczotką i ścierką nawet do gabinetu, i poprosiła pastora Mereditha, żeby wyszedł na chwilę, a ona doprowadzi pokój do porządku. Była jednak jedna dziedzina, której ciocia Marta nie zgodziła się oddać w ręce Mary. Stara Marta z pewnością była głucha i niemal ślepa, a do tego zdzięczniała, ale gdy raz postanowiła sobie, że nie dopuści tej dziewczynki do zarządzania domem, dotrzymywała słowa, mimo wszelkich usiłowań i podstępów energicznej panny Vance.

- Mówię wam, że gdyby tylko ta stara Marta dopuściła mnie do kuchni, zobaczylibyście, co to znaczy porządne jedzenie - pełna oburzenia powiedziała pewnego dnia dzieciom pastora. - Skończyłoby się „tocoś”, owsianka z kluchami i przypalone mleko. Co ona robi ze śmietaną?

- Daje ją kotu. Wiesz, to jest jej kot - wyjaśniła Faith.

- A to kocia jęcza! - ze złością wrzasnęła Mary. - I w ogóle, co za pożytek można mieć z kota? Koty są spokrewnione z diabłem. Widać to po ich oczach. Cóż, jeśli ta stara ciotka się uparła, to chyba nic z tego nie będzie. Aleja wprost dostaję szału, jak widzę, ile ona marnuje dobrego jedzenia.

Po szkole dzieci biegły teraz zawsze do Doliny Tęczy. Mary nie chciała bawić się na cmentarzu. Powiedziała, że boi się duchów.

- Duchy nie istnieją - oświadczył Jim Blythe.

- Czyżby?

- A widziałaś kiedyś ducha?

- Setki razy - bez zastanowienia odparła Mary.

- Jak wyglądają? - zainteresował się Karol.

- Są przerażające. To ubrane na białe kościotrupy - powiedziała Mary.

- I co zrobiłaś, jak zobaczyłaś ducha? - pytała Una.

- Zmykałam, aż się kurzyło - rzekła Mary. W tym momencie napotkała wzrok Waltera i zarumieniła się. Mary czuła jakiś dziwny respekt przed Walterem. Zwierzyła się kiedyś dziewczętom z plebanii, że jego oczy sprawiają, iż czuje się nieswojo.

- Kiedy spojrzę mu prosto w oczy - mówiła - natychmiast przypominają mi się wszystkie moje kłamstwa. I żałuję wtedy każdego z nich.

Ulubieńcem Mary był Jim. Podbił jej serce, kiedy zabrał ją na poddasze w Złotym Brzegu i pokazał muzeum osobliwości, które odziedziczył po kapitanie Jimie. Mary była szczęśliwa. Ona natomiast zdobyła sobie sympatię Karola, okazując zainteresowanie życiem jego ukochanych mrówek i żuczków. Bez wątpienia Mary lepiej dogadywała się z chłopcami niż z dziewczynkami. Z Nan pokłóciła się strasznie już drugiego dnia.

- Twoja matka jest czarownicą - powiedziała szyderczo. - Wszystkie rudowłose kobiety to wiemy.

Potem uraziła Faith. Poszło o koguta - Mary stwierdziła, że ptak ma za krótki ogon. Faith odpowiedziała jej ze złością, że jej zdaniem, Pan Bóg doskonale wie, jaki długi ogon powinien mieć kogut. Nie rozmawiały ze sobą przez cały dzień. Ukochaną, jednooką i bezwłosą lalkę Uny Mary traktowała z należytą powagą, jednak kiedy Una pokazała jej swój drugi, najdroższy skarb: obrazek z aniołem, niosącym maleńkie dziecko - prawdopodobnie do nieba - Mary stwierdziła, że jej zdaniem, ten anioł wygląda za bardzo jak duch. Una ukryła się w swoim pokoju i szlochała, ale Mary szybko ją odnalazła, objęła i gorąco przeprasząc, uzyskała przebaczenie. Na Mary nie można było długo się gniewać; nawet skłonna do chowania urazy Nan, która nigdy do końca nie wybaczyła Mary tego, że obraziła ich matkę, pogodziła się z nią. Mary była bardzo wesoła. Opowiadała im mnóstwo przeraźliwych historii o duchach. Spotkania w Dolinie Tęczy po jej przybyciu stały się znacznie bardziej ekscytujące. Nauczyła się też grać na harmonijce ustnej i wkrótce grała lepiej niż Jerry.

- Jeszcze się nie zdarzyło, żeby nie udało mi się czegoś nauczyć, jeśli tak sobie postanowiłam - oznajmiła.

Mary uwielbiała okazywać swoją przewagę i rzadko rezygnowała, jeśli nadarzyła się taka okazja. Pokazała im, jak grać na szerokich żdźbłach trawy, która rosła w ogrodzie starego Baileya. Nauczyła ich wyszukiwania wybornego szczawiu, który rósł w szczelinach ogrodu otaczającego cmentarz. Jej długie, giętkie palce znakomicie przedstawiały na ścianie teatrzyk cieni. A kiedy wyruszali na poszukiwanie żywicy w Dolinie Tęczy, Mary zawsze trafiał się „największy kęs” i chwaliła się tym głośno. Były takie chwile, kiedy jej

szczerze nienawidzili, i takie, kiedy poszliby za nią w ogień. Jednak fascynowała ich przez cały czas. Łatwo podporządkowali się jej i pod koniec dwóch wspólnie spędzonych tygodni czuli się tak, jakby była z nimi od zawsze.

- To bardzo dziwne, że pani Wiley jeszcze nie wpadła na mój trop - zastanawiała się Mary. - Nic z tego nie rozumiem.

- Może postanowiła nie zawracać sobie głowy twoją ucieczką - powiedziała Una. - W takim razie możesz zamieszkać z nami.

- Ten dom nie jest dość duży dla mnie i starej Marty - ponuro odrzekła Mary. - To cudowne mieszkać tu i mieć zawsze dość jedzenia. Czasem sobie myślę, jak by to mogło być, zwłaszcza gdyby pozwolono mi gotować. Ale pani Wiley zjawi się tu, prędzej czy później. Już ona tam naszykowała na mnie różgę, możecie być pewni. W ciągu dnia rzadko sobie o tym przypominam, ale nocą, na poddaszu, myślę o tym bez przerwy. Czasem wydaje mi się, że byłoby lepiej, gdyby przyszła i gdyby było już po wszystkim. Wydaje mi się, że jedno porządne lanie byłoby lepsze, niż te tuziny razów, które obrywam w myślach, od kiedy uciekłam od pani Wiley. Czy któreś z was dostało kiedyś lanie?

- Nie, oczywiście, że nie - odpowiedziała Faith, pełna oburzenia. - Nasz tata nigdy nie zrobiłby czegoś takiego.

- Więc nie wiecie, co to jest życie - w głosie Mary brzmiała zazdrość, pomieszana z poczuciem wyższości. - Nie macie pojęcia, przez co przesłam. I domyślam się, że Blythe'owie też nie wiedzą, co to lanie?

- Nie... chyba nie. Choć wydaje mi się, że jak byli mniejsi, to dostawali czasem klapsa.

- Klapsy się nie liczą - pogardliwie stwierdziła Mary. - Gdyby któryś z moich opiekunów dał mi klapsa, pomyślałabym, że to pieszczota. Cóż, świat nie jest sprawiedliwy. Nie miałabym nic przeciwko temu, żeby dostać tyle lania, ile na mnie przypadło. Tylko czemu na mnie przypadła taka przeklęta, wielka część?

- Nie powinnaś używać takich słów, Mary - rzekła z oburzeniem Una. - Obiecałaś mi, że nie będziesz więcej tak mówić.

- A daj że mi spokój - odrzekła Mary. - Gdybyś wiedziała, jakich słów mogłabym użyć, nie robiłabyś tyle zamieszania wokół „przeklętego”. I dobrze wiesz, że od kiedy tu jestem, ani razu nie skłamałam.

- Tak? A o tych duchach, które widziałaś na własne oczy? - zapytała Faith.

Mary zarumieniła się.

- To było co innego - powiedziała z wahaniem. - Przecież wiedziałam, że nigdy nie uwierzycie w te bajki i wcale nie chciałam, żebyście uwierzyli. Ale raz widziałam coś naprawdę niesamowitego. To było nocą, koło cmentarza za przystanią. Przechodziłam tamtędy i, daję wam słowo honoru, zobaczyłam coś dziwnego. Nie wiem, czy to był duch, czy stary siwek Sandy'ego Crawforda, ale przeraziłam się tak, że uciekając, mało nie zgubiłam butów.

RYBIA POGOŃ

Rilla Blythe kroczyła dumnie główną „ulicą” Glen. Zmierzała w kierunku plebanii, z ogromną uwagą dźwigając mały koszyczek, pełen wczesnych truskawek, które Zuzanna hodowała z wielką troską w najbardziej słonecznym zakątku Złotego Brzegu. Zuzanna wbiła w małą główkę dziewczynki, że wolno jej oddać koszyczek tylko cioci Marcie albo samemu wielebnemu Janowi Meredithowi, a Rilla, zachwycona powagą misji, jaka została jej powierzona, zamierzała ją spełnić.

Zuzanna ubrała ją prześlicznie - w wykrochmaloną, białą, haftowaną sukieneczkę, przewiazaną błękitną szarfą, i ozdobione paciorkami pantofelki. Jej długie, rude loki, pięknie dziś ułożone, lśniły w słońcu; Zuzanna pozwoliła jej nawet założyć najlepszy kapelusik - jako wyraz szacunku dla rodziny pastora. Całe to starannie dopracowane przedsięwzięcie było bardziej wyrazem upodobań Zuzanny niż gustu Ani, ale małe serduszko Rilli rozpływało się z zachwyty nad przepychem koronek, jedwabiu i kwiatów. Świadoma swego uroczego wyglądu, Rilla dostojnie wspinała się po wzgórzu ku plebanii. Trudno powiedzieć, czy to ten uroczysty wygląd, czy paradny kapelusz, czy wszystko razem zirytowało Mary Vance, która właśnie huśtała się na furtce. Mary była już nieco rozdrażniona, bo właśnie ciocia Marta nie pozwoliła jej obierać ziemniaków i kazała wyjść z kuchni.

- No pewnie! Znowu podasz na stół nie dogotowane ziemniaki, do połowy w łupinach. Ach, jak bardzo bym się cieszyła, gdybym mogła pójść na twój pogrzeb! - wrzasnęła Mary. Wychodząc z kuchni, trzasnęła drzwiami tak, że nawet ciocia Marta zdołała to usłyszeć, a zamyślony pastor Meredith w swoim gabinecie stwierdził, że te dziwne wibracje muszą oznaczać jakieś podziemne wstrząsy tektoniczne. Po czym wrócił do pracy nad swoim kazaniem. Mary zsunęła się z furtki i wyszła na spotkanie małej elegantki ze Złotego Brzegu.

- Co tam masz? - zapytała, sięgając po koszyk.

Rilla zaprotestowała.

- Koszyk jest dla pastora Mereditha - zaszczebiotała dziecinnie.

- Daj mi to. Zaniosę mu - powiedziała Mary.

- Nie dam. Zuzanna kazała, żebym go nie oddawała nikomu, tylko pastorowi albo starszej pani - nie ustępowała Rilla.

Mary spojrzała na nią surowo.

- Wydaje ci się, że jesteś taka ważna, co, boś się wystroiła jak lala? Popatrz na mnie. Moja sukienka jest cała w strzępach, ale nic mnie to nie obchodzi! Wolę mieć podartą sukienkę, niż wyglądać jak malowana lala. Wracaj do domu i każ się wstawić do serwantki. Patrz, no patrz, patrz!

I Mary odtńczyła przed przerażoną i zaskoczoną Rillą dziki taniec, wymachując podartą sukienczyną i wrzeszcząc: „Patrz, no patrz!”, aż w końcu biednej małej zakręciło się w głowie. Kiedy jednak Rilla spróbowała ruszyć w kierunku furtki, Mary skoczyła ku niej jak dzika kotka.

- Dawaj ten koszyk - rozkazała z groźną miną. Jeszcze gdy była mała, opanowała do perfekcji sztukę robienia min. Umiała nadać swojej twarzy niesamowity, nieziemski wygląd, a jej dziwne, jasne oczy lśniły groźnie i przerażająco.

- Nie dam koszyka - wyrzuciła z siebie Rilla, wystraszona, ale nieugięta. - Proszę, psepnąć mnie, Mary Vance.

Mary szybko rozejrzała się dookoła. Tuż obok furtki wisiał sznurek, na którym suszyło się pół tuzina wielkich dorszy. Kilka dni temu pastor Meredith dostał te ryby od jednego z parafian, być może zamiast składki, jaką ten człowiek powinien płacić na pensję pastora - czego nigdy nie czynił. Wielebny podziękował mu, po czym zupełnie zapomniał o rybach, które z pewnością wkrótce by się zepsuły, gdyby nie Mary. Dziewczynka oprawiła dorsze i powiesiła, by się suszyły.

Teraz ich widok nasunął jej szatański pomysł. Podbiegła do sznurka i wybrała największą z ryb - potężnego, płaskiego dorsza, niemal tak dużego, jak ona sama. Z wrzaskiem skoczyła w kierunku Rilli, wymachując swą niesamowitą bronią. W tej samej chwili zniknęła cała odwaga Rilli. Myśl o tym, że mogłaby zostać wychłostana suszoną rybą, przeszła jej wszelkie wyobrażenia o świecie. Krzycząc przeraźliwie, wypuściła koszyk i rzuciła się do ucieczki. Dorodne truskawki, tak troskliwie wybierane przez Zuzannę z myślą o pastora, potoczyły się wśród kurzu i piasku, w który wkrótce wdeptały jej stopy ścigającej i ściganej. Mary zapomniała zupełnie o koszyku i jego zawartości. Myślała tylko o tym, z jaką przyjemnością da Rilli Blythe nauczkę na całe życie. Pokaże jej, co spotyka dziewczynki, które wynoszą się z powodu swych pięknych ubrań.

Rilla zbiegła ze wzgórza i znalazła się na drodze. Strach dodał skrzydeł jej pulchnym nóżkom i udało się jej biec przed Mary, której śmiech przeszkadzał nieco w biegu, ale nie w wydawaniu walecznych okrzyków ani też w wymachiwaniu nad głową potężnym dorszem. Mknęły tak przez Glen, a przy oknach i furtkach zbierali się mieszkańcy wsi, przyglądając się niezwykle widowisku. Mary zrozumiała, że wywołała nie lada sensację i bardzo ją to

cieszyło. Mała Rilla, która ze strachu niczego już nie widziała, poczuła, że nie zdoła biec ani chwili dłużej. Jeszcze moment, a ta okropna dziewczyna z suszoną rybą dostanie ją w swoje ręce. W sekundę później małe biedactwo potknęło się i upadło w kałużę błota na samym końcu drogi, dokładnie w tej samej chwili, w której panna Kornelia opuszczała sklep Cartera Flagga.

Panna Kornelia jednym spojrzeniem oceniła sytuację. Również Mary, nie namyślając się wiele, zatrzymała się natychmiast i nim panna Kornelia zdążyła otworzyć usta, odwróciła się na pięcie i równie szybko pobiegła w drugą stronę. Panna Kornelia zacisnęła złowieszczo usta, ale od razu zdała sobie sprawę, że nie powinna nawet próbować jej zatrzymać. Podniosła więc biedną, zapłakaną, zabłoconą Rillę i zaprowadziła ją do domu. Mała była w rozpacz. Jej piękna sukienka, kapelusz i pantofelki były zniszczone, ale najbardziej ucierpiała jej sześćioletnia duma.

Zuzanna aż pobladła z oburzenia, słysząc opowieść panny Kornelii o niezwykle wyczynie Mary Vance.

- Och, co to za łotrzyca, co za mała łotrzyca! - powtarzała, zabierając Rillę, aby ją umyć i pocieszyć.

- Aniu złociutka, uważam, że sprawy zaszły za daleko - stanowczo oznajmiła panna Kornelia. - Coś trzeba z tym zrobić. Kim jest ten mały potwór, mieszkający na plebanii? Skąd się tam wzięła ta osóbką?

- Z tego, co wiem, jest to dziewczynka z drugiej strony zatoki i przyjechała do dzieci pastora w odwiedzinach - odpowiedziała Ania, która w głębi duszy śmiała się serdecznie z tej przygody. Uważała małą Rillę za dość próżną, uznała więc, że taka lekcja się jej przyda.

- Znam wszystkie rodziny z drugiej strony zatoki, które przychodzą do naszego kościoła, ale to diabelskie nasienie nie należy do żadnej z nich - odparła panna Kornelia. - Przecież ona zwykle nosi w jakieś łachmany, tylko do kościoła założyła starą sukienkę Faith Meredith. Coś się za tym kryje i ja dowiem się co, skoro nikogo innego to nie interesuje. Sądzę, że ona maczała palce w tych skandalicznych wydarzeniach, jakie miały miejsce w zaroślach koło domu Warrena Meada. Czy słyszałaś, że jego matka tak się przeraziła, że dostała ataku serca?

- Nic o tym nie wiem. Pamiętam, że wezwano do niej Gilberta, ale nie wiedziałam, co się właściwie stało.

- Cóż, Aniu złociutka, sama wiesz, jakie ona ma słabe serce. Któregoś dnia w zeszłym tygodniu siedziała sobie na werandzie, gdy nagle usłyszała jakieś przeraźliwe wrzaski. Ktoś w pobliskich krzakach krzyczał: „Mordują!” i: „Na pomoc!”, trudno było się nie przełęknać,

kochanie. Jej serce natychmiast się odezwało. Warren też usłyszał te hałasy i wyszedł ze stodoły, żeby sprawdzić, co się dzieje w krzakach. I co zobaczył? Dzieciaki z plebanii, siedzące na zwałonym drzewie i krzyczące, ile sił w płucach: „Mordują!” i: „Na pomoc!” Powiedziały mu, że się tylko tak bawiły i nie spodziewały się, że ktokolwiek je usłyszy. Bawiły się w indiańską zasadzkę. Warren wrócił do domu i na werandzie znalazł swoją zemdloną matkę.

Zuzanna, która właśnie weszła do pokoju, obruszyła się na te słowa.

- Moim zdaniem, dużo jej brakowało do omdlenia, pani Elliott, a może pani polegać na moim zdaniu. Od czterdziestu lat słyszę o słabym sercu Amelii Mead. Miała dwadzieścia lat, a już miała słabe serce. Ona po prostu uwielbia się leczyć i robić wokół siebie mnóstwo zamieszania.

- Nie wydaje mi się, żeby Gilbert stwierdził u niej poważny atak serca - dodała Ania.

- Och, być może macie rację - powiedziała panna Kornelia. - Problem jednak w tym, że wiele się mówiło o tym zdarzeniu, a sytuację pogarsza fakt, że Meadowie są metodystami. Co wyrosnie z tych dzieciaków? Aniu złociutka, czasem nie mogę w nocy spać, jak zacznę o nich myśleć. Wątpię nawet, czy są porządnie najedzone, bo ich ojciec chodzi z głową w chmurach i często sam zapomina, że ma żołądek, a ta stara, leniwa ciotka wcale się nie przejmuje gotowaniem, choć należy to do jej obowiązków. Biegają sobie, gdzie chcą, a teraz, kiedy nie muszą chodzić do szkoły, jest jeszcze gorzej.

- One się świetnie bawią - powiedziała Ania, śmiejąc się na wspomnienie któregoś z wydarzeń w Dolinie Tęczy, o których opowiadały jej dzieci. - A są przy tym odważne, szczere, lojalne i prawdomówne.

- Święte słowa, Aniu złociutka. Jak sobie pomyślę, ile szkody narobiły kościołowi te dwie plotkarki, córki naszego poprzedniego pastora, to od razu jestem skłonna widzieć same zalety w młodych Meredithach.

- No a poza tym, kochana pani doktorowo, to po prostu miłe dzieciaczki - odezwała się Zuzanna. - Pewnie, że mają wady, ale gdyby ich nie miały, ludzie z pewnością zepsuliby je ciągłymi pochwałami. Myślę tylko, że to doprawdy niestosowne, żeby bawiły się na cmentarzu, i zamierzam zrobić z tym porządek.

- Ależ one bawią się tam niezbyt głośno - broniła dzieci Ania. - Nie biegają ani nie hałasują, jak gdzie indziej. Z Doliny Tęczy dochodzą czasem dzikie wrzaski! Choć wyobrażam sobie, że i moje grzeczne maleństwa pomagały im dzielnie. Wczoraj wieczorem stoczyli tam wielką bitwę, a ponieważ - jak tłumaczył mi Jim - nie mieli artylerii, postanowili

się „zakrzykiwać”. Jim jest właśnie w tym wieku, kiedy wszyscy chłopcy marzą o tym, by zostać żołnierzami.

- Dzięki Bogu, Jim nigdy nie zostanie żołnierzem - powiedziała panna Kornelia. - Zupełnie nie podobało mi się to wysyłanie naszych chłopców do walki gdzieś w Afryce Południowej. Na szczęście mamy to już za sobą i wierzę, że nic takiego się nie powtórzy. Ludzie zmądrzeli. A co do dzieci pastora, to powtórzę jeszcze raz to, co mówiłam już wielokrotnie, że wszystko byłoby dobrze, gdyby wielebny Meredith miał żonę.

- Słyszałam, że w zeszłym tygodniu dwa razy odwiedził Kirków - rzekła Zuzanna.

- No cóż - zamyśliła się panna Kornelia - w zasadzie nie pochwalam tego, by pastor brał sobie za żonę kobietę ze swojej parafii. To mu zawsze szkodzi. Jednak w tym wypadku sprawa przedstawia się inaczej, bo Elżbieta Kirk jest bardzo sympatyczna, wszyscy ją lubią, a w dodatku mało która kobieta podjęłaby się matkowania tak licznej gromadce. Zawahałyby się nawet panny Górskie. Elżbieta byłaby świetną żoną dla pastora, musiałby jednak zwrócić na nią uwagę. Problem w tym, kochanie, że Elżbieta Kirk nie jest ładna, a nasz wielebny, choć marzyciel, lubi - jak wszyscy mężczyźni - ładne kobiety. Możesz mi wierzyć, Aniu złociutka, że jeśli chodzi o te sprawy, to wcale nie jest taki „z innego świata”.

- Elżbieta Kirk jest rzeczywiście milutka, ale powiadają, że w gościnnym pokoju jej matki goście zawsze budzili się skostniałymi z zimna, kochana pani doktorowo - ponuro stwierdziła Zuzanna. - Gdyby ktokolwiek zechciał wysłuchać mojego zdania w tak poważnej kwestii, jak małżeństwo pastora, powiedziałabym, że kuzynka Elżbiety, Sara, mieszkająca za przystanią, byłaby lepszą żoną dla wielebnego.

- Ależ Sara Kirk to metodystka - rzekła panna Kornelia z takim oburzeniem, jakby Zuzanna proponowała na narzeczoną pastora dziką Hotentotkę.

- Prawdopodobnie po ślubie z pastorem zostałaby prezbiterianką - odparła Zuzanna.

Panna Kornelia tylko pokręciła głową. W jej oczach każdy, kto był metodystą, zostanie nim do końca życia.

- Sara Kirk w ogóle nie wchodzi w rachubę - stwierdziła stanowczo. - Podobnie jak Emmeline Drew, choć cała rodzina Drewów staje na głowie, by skojarzyć tę parę. Dosłownie wmawiają mu tę biedną Emmeline, ale on nawet na nią nie spojrzy.

- Moim zdaniem, Emmeline Drew brakuje piątej kleпки - powiedziała Zuzanna. - To ten typ kobiety, kochana pani doktorowo, która w upalną noc przyniesie gościowi do łóżka gorący termofor, a rano będzie obrażona, że nie okazano jej wdzięczności. Jej matka była bardzo marną gospodynią. Czy słyszała pani kiedyś historię o ściereczce? Otóż pewnego dnia ta kobieta nie mogła znaleźć ściereczki do naczyń. Odnalazła ją następnego dnia. Ściereczka,

kochana pani doktorowo, znalazła się w nadziewanej gęsi, którą podano na obiad! Czy pani zdaniem taka kobieta mogłaby zostać teściową pastora? Bo ja uważam, że to wykluczone. No, ale lepiej wezmę się za cerowanie spodni Jima, po co mam obgadywać sąsiadów. Spodnie są w strasznym stanie po wczorajszej zabawie w Dolinie Tęczy.

- Gdzie jest Walter? - spytała Ania.

- Obawiam się, kochana pani doktorowo, że nie zajmuje się niczym pożytecznym. Siedzi na facjatce i coś tam gryzmoli w zeszycie. A nauczycielka mówiła mi, że w tym semestrze marnie mu idzie matematyka. Wiem ja dobrze, dlaczego. Zamiast liczyć słupki, pisze te swoje głupie wierszyki. Kochana pani doktorowo, jeśli tak dalej pójdzie, to ten chłopiec, uchowaj Boże, wyrośnie na poetę.

- On już jest poetą, Zuzanno.

- I pani to mówi z takim spokojem, kochana pani doktorowo? Mężczyzna powinien przede wszystkim stać mocno na ziemi. Miałam takiego wujka, który postanowił zostać poetą i skończył jako włóczęga. Całej rodzinie było za niego okropnie wstyd.

- Nie masz chyba najlepszego zdania o poetach - roześmiała się Ania.

- A któż miałby o nich dobre zdanie? - Zuzanna zdziwiła się niepominiernie.

- A Milton? Szekspir? A poeci biblijni?

- Słyszałam, że Milton wciąż kłócił się z żoną, a Szekspir nie cieszył się szacunkiem w swoich czasach. Co do Biblii zaś - cóż, w tamtych, boskich czasach wszystko wyglądało inaczej, ale muszę się przyznać, cokolwiek pani powie, że nie mam zbyt dobrego zdania o królu Dawidzie. Nie mam pojęcia, co pożytecznego miałyby wynikać z pisania poezji, więc mam nadzieję - i modłę się o to każdego dnia - że mój kochany chłopiec wyrośnie z tego. Jeśli nie, trzeba będzie spróbować tranu.

8.

MISJA PANNY KORNELII

Nazajutrz na plebanii zjawiała się panna Kornelia i wzięła Mary w krzyżowy ogień pytań. Mary Vance była młodą osobką o przenikliwym i bystrym umyśle, więc opowiedziała jej swoją historię szczerze, bez wykrętów, nie uskarżając się ani nie popisując. Panna Kornelia odniosła niezwykle korzystne wrażenie z tej rozmowy, choć uznała za swój obowiązek potraktowanie dziewczynki z odrobiną surowości.

- Czy sądzisz - pytała z powagą - że okazałaś wczoraj wdzięczność tej rodzinie, która obdarzyła cię nadzwyczajną życzliwością, napadając na to niewinne maleństwo, ich młodziutką przyjaciółkę?

- Szczerze mówiąc, to było bardzo podłe z mojej strony - przyznała Mary. - Nie wiem, co we mnie wstąpiło. Ten przeklęty, stary dorsz sam nawinął mi się pod rękę. Ale potem było mi tak strasznie przykro, że przepłakałam całą noc. Przysięgam, że tak było. Jeśli nie wierzy pani mnie, proszę zapytać Unę. Oczywiście, nie powiedziałam jej, dlaczego płaczę, bo tak strasznie było mi wstyd. I wtedy ona też zaczęła płakać, bo myślała, że ktoś zranił moje uczucia. Mój Boże, we mnie nie ma przecież takich zranionych uczuć, o których warto byłoby mówić. Jedyne, co mnie dręczy, to pytanie, dlaczego pani Wiley jeszcze mnie nie szuka. To zupełnie do niej niepodobne.

Panna Kornelia również uważała, że to bardzo dziwne, ale ograniczyła się tylko do przypomnienia Mary, że ma trzymać się z daleka od suszonych dorszy, stanowiących własność pastora, i natychmiast wyruszyła, by złożyć Ani sprawozdanie z tej rozmowy.

- Jeśli ten dzieciak mówi prawdę, to zapewne trzeba zająć się tą sprawą - powiedziała. - Słyszałam co nieco o tej pani Wiley, możesz mi wierzyć, Aniu złociutka. Marshall dobrze ją znał, kiedy mieszkał za przystanią. Zeszłego lata mówił coś o niej i dziecku, które u niej mieszkało - dokładnie takim, jak ta mała Mary. Dowiedział się od kogoś, że ta kobieta wymaga od dziewczyny pracy ponad siły, a do tego ją głodzi i oszczędza na ubraniach. Ty sama najlepiej wiesz, Aniu, że jedną z moich zasad jest niemieszanie się w sprawy ludzi z drugiej strony zatoki. Ale jutro pošlę tam Marshalla, żeby dowiedział się, co i jak i dopiero później porozmawiam z pastorem. Wyobraź sobie, Aniu złociutka, że mali Meredithowie znaleźli ją na pół martwą z głodu w starej szopie Jamesa Taylora. A my śpiamy sobie w miękkich łóżkach, z brzuchami wypchanymi dobrą, ciepłą kolacją.

- Biedactwo - powiedziała Ania, która nagle wyobraziła sobie, że którekolwiek z jej dzieci znalazło się w takim położeniu: samotne, głodne i zziębnięte. - Jeżeli tak źle ją traktowano, to nie może wrócić tam z powrotem. Dobrze wiem, co ona czuje, sama byłam osieroconym dzieckiem.

- Musimy się skontaktować z sierocińcem w Hopetown - stwierdziła panna Kornelia. - Ale ta mała nie może zostać na plebanii. Pan Bóg jeden wie, czego mogłaby nauczyć te biedne dzieci. Zauważyłam, że potrafi przeklinać. Pomyśl tylko, Aniu złociutka, Mary jest tutaj od dwóch tygodni, a pastor Meredith niczego nie zauważył! Po co takiemu człowiekowi rodzina? Kochanie, przecież on powinien był zostać zakonnikiem!

Panna Kornelia zjawiała się w Złotym Brzegu dwa dni później, o zmierzchu.

- Coś niesamowitego! - zawołała. - Tego samego ranka, gdy ta mała Mary uciekła, panią Wiley znaleziono martwą w jej własnym łóżku. Od wielu lat ciężko chorowała na serce i lekarz uprzedzał ją, że śmierć może nastąpić w każdej chwili. Tego dnia wysłała gdzieś parobka i była w domu sama. Dopiero następnego dnia odnaleźli ją jacyś sąsiedzi. Zauważyli, oczywiście, zniknięcie dziewczynki, ale pomyśleli, że pani Wiley wysłała ją do swojej kuzynki pod Charlottetown, tak jak zapowiadała. Kuzynka nie zjawiała się na pogrzebie, więc nikt nie dowiedział się, że Mary u niej nie ma. Marshall strasznie się rozgniewał, gdy ludzie, z którymi rozmawiał, opowiedzieli mu, jak pani Wiley traktowała dziewczynkę. Sama wiesz, Aniu złociutka, że Marshall wpada zawsze w furję, słysząc o krzywdzie jakiegoś dziecka. Powiedzieli, że tłukła ją bez litości za każde najmniejsze przewinienie, a nawet za zwykłą pomyłkę. Niektórzy z sąsiadów chcieli napisać do zarządu przytułku, ale jakoś nic z tego nie wyszło.

- Bardzo mi przykro z powodu śmierci pani Wiley - wybuchnęła Zuzanna - bo nie mogę iść na drugą stronę zatoki i powiedzieć jej, co o niej myślę! Głodzić i bić takie dzieciątko! Wicie panie, że nie mam nic przeciwko zasłużonemu klapsowi, ale to wszystko, na co mogę się zdobyć. I co teraz będzie z tym biednym dzieckiem, pani Elliott?

- Sądzę, że będzie musiała zostać odesłana do przytułku w Hopetown - powiedziała panna Kornelia. - Wygląda na to, że tu, w okolicy, wszyscy, którzy chcieli przygarnąć sierotę, już to uczynili. Jutro odwiedzę pastora Mereditha i zapoznam go z moim stanowiskiem w tej sprawie.

- Nie wątpię, że ona to robi, kochana pani doktorowo - powiedziała Zuzanna, gdy panna Kornelia zniknęła za drzwiami. - Ta kobieta ma wyjątkowy tupet, potrafiłaby wywiesić afisz na kościelnej wieży, gdyby jej to przyszło do głowy. Zupełnie nie rozumiem, co sobie

myśli taka Kornelia Bryant, kiedy oznajmia, że porozmawia z pastorem. Pomyślałby kto, że pastor to zwykły sąsiad zza płotu, też coś!

Kiedy panna Kornelia wyszła, z hamaka wysunęła się Nan Blythe. Zawsze się w nim uczyła. Teraz wymknęła się i pobiegła do Doliny Tęczy. Wszyscy pozostali już tam byli.

Jim i Jerry ćwiczyli rzucanie do celu starymi podkowami, pożyczonymi od kowala z Glen. Karol podglądał mrówki na nasłonecznionym wzgórzu. Walter leżał na brzuchu wśród paproci i czytał Mary, Faith, Unie i Di wspaniałą książkę z baśniami. Była to książka pełna cudownych, fascynujących opowieści o Żydie Wiecznym Tułaczem, o czarodziejskich różdżkach, o ludziach z ogonami i kobietach-syrenach, o Wyspach Szczęścia i o Szamirze, robaku, który potrafił kruszyć skały i znał drogę do jaskini pełnej skarbów. Walter był wstrząśnięty, bo dowiedział się właśnie, że Wilhelm Tell oraz dzielny Gelert żyli tylko w legendzie, a opowieść o biskupie Hatto sprawiła, że przez całą noc nie mógł usnąć. Jednak najbardziej lubił opowieść o Szczurołapie* i o Świętym Graalu. Czytał je z ogromnym wzruszeniem, a dzwoneczki na Leśnych Kochankach dźwięczały cichutko, poruszane letnim wiatrem. Powoli do Doliny Tęczy skradał się wieczorny chłód.

- No, powiedzcie sami, jakie to ciekawe łgarstwa - odezwała się z podziwem Mary, kiedy Walter zamknął książkę.

- To nie są żadne łgarstwa - oburzyła się Di.

- Chyba nie wierzysz, że to wszystko zdarzyło się naprawdę? - ze zdziwieniem spytała Mary.

- Nie, niezupełnie naprawdę. Z tymi opowieściami jest tak, jak z twoją historyjką o duchach. Ona nie była prawdziwa, ale ty wiedziałaś, że my w nią nie uwierzimy. Więc nie była kłamstwem.

- Ale ta historia o zaczarowanej różdżce jest zupełnie prawdziwa - powiedziała Mary.

- Po drugiej stronie zatoki mieszka stary Jakub Crawford i on ma taką różdżkę. Jak ktoś chce wykopać studnię, to posyła po niego. Wydaje mi się też, że spotkałam Żyda Wiecznego Tułacza.

- Och, Mary - westchnęła przestraszona Una.

- Tak, daję wam słowo honoru. Zeszłej jesieni przyszedł do pani Wiley pewien stary człowiek. Wyglądał tak strasznie staro, że musiał być kimś ważnym. Pani Wiley zapytała go, czy pale cedrowe są wytrzymałe. A on odpowiedział: „Czy są wytrzymałe? Pani, one postoją z tysiąc lat. Wiem, wypróbowałem je już dwa razy”. No, powiedzcie sami, skoro on miał dwa tysiące lat, to kim mógł być, jeśli nie Żydem Wiecznym Tułaczem?

* Saksońska opowieść, znana też w innych krajach. W tłumaczeniu Andrzeja Budzyńskiego nosi tytuł „Szczurołap z Hameln”, Wydawnictwo Alfa, Warszawa 1991.

- Nie sędę, by Żyd Wieczny Tułacz miał jakikolwiek związek z kimś takim, jak pani Wiley - stanowczo zaprotestowała Faith.

- Ja najbardziej lubię baśń o Szczurołapie - powiedziała Di. - Mama też lubi ją najbardziej. Zawsze tak strasznie mi szkoda tego kulawego chłopczyka, który nie mógł nadażyć za innymi dziećmi i został na zewnątrz, kiedy góra się zatrzasnęła.

- Ale jaka szczęśliwa musiała być jego mama - cichutko odezwała się Una. - Myślę, że ona przez całe życie była bardzo nieszczęśliwa z powodu kalectwa swego synka. Może nawet czasem płakała. Ale teraz nie będzie już płakać i nigdy więcej nie będzie nieszczęśliwa. Bo gdyby nie był kulawy, straciłaby go na zawsze.

- Pewnego dnia - odezwał się Walter rozmarzonym głosem, patrząc w niebo - Szczurołap zejdzie z tego wzgórza i zagra na swojej fujarce słodko i tęsknie, przechodząc przez Dolinę Tęczy. Wtedy pójdę za nim, pójdę na brzeg morza i dalej, dalej, aż do oceanu, coraz dalej i dalej stąd. Może wcale nie będę chciał iść za nim, ale będę musiał. Jim pójdzie ze mną, ale on będzie chciał ruszyć w tę podróż, bo on uwielbia przygody, a ja nie. Ale i tak będę musiał. Wezwie mnie jego muzyka, i będzie wzywać tak długo, aż posłucham tego wezwania.

- Wszyscy pójdziemy! - wykrzyknęła Di, która poddała się sile wyobraźni Waltera i niemal widziała już niewyraźną sylwetkę tajemniczego grajka, majaczącą we mgle zmierzchu na krańcach doliny.

- Nie. Wy zostaniecie tutaj - powiedział Walter, a jego piękne, niezwykle oczy zalśniły dziwnym blaskiem.

- Będziecie tu czekały na nasz powrót. A my, być może, nigdy już nie wrócimy, bo będziemy musieli iść i iść, dopóki prowadzić nas będzie zaczarowana muzyka. Może będziemy musieli obejść cały świat dookoła. A wy będziecie tu czekać i czekać.

- Och, przestań wreszcie - powiedziała Mary, drżąc.

- I nie patrz tak więcej, Walterze. Przechodzą mnie dreszcze. Czy chcesz, żebym zaczęła krzyczeć? Już widzę tego starego Szczurołapa, jak idzie tutaj i zabiera was, chłopców, a my, dziewczyny, zostajemy same w dolinie. Nie mam pojęcia, dlaczego tak się dzieje - bo nigdy nie byłam strachliwa - ale jak tylko zaczynasz te swoje opowiadania, zbiera mi się na płacz.

Walter uśmiechnął się triumfalnie. Lubił sprawdzać siłę swojej wyobraźni na towarzyszach zabaw - igrać ich uczuciami, przenikać ich dusze, budzić ukryty lęk. Czuł do tego jakiś instynktowny pociąg. Ale pod tym triumfującym uśmiechem kryła się tym razem odrobina jakiegoś tajemniczego, dziwnego niepokoju. Szczurołap przez chwilę stał się kimś

realnym, jakby gęsta zasłona, okrywająca przyszłość, uchyliła się na chwilę przed Walterem, jakby w cichym zmierzchu, zapadającym nad Doliną Tęczy, ujrzał nieprzyjazne widmo nadchodzących lat.

Karol, który właśnie wrócił ze wzgórza z sensacyjnymi wieściami z krainy mrówek, przywrócił ich do rzeczywistości.

- Mrówki są piekielnie interesujące! - wykrzyknęła Mary, szczęśliwa, że uwolniła się spod władzy straszliwego Szczurołapa. - W niedzielę przez całe popołudnie oglądaliśmy z Karolem mrowisko na cmentarzu. Nie miałam pojęcia, ile ich tam się mieści. Wiecie, jakie to są kłótlive przekupki? Czasem zaczynają walczyć bez żadnej przyczyny - przynajmniej tak to wygląda. Inne znów są okropnymi tchórzami. Jak coś je przestraszy, zwijają się w kulki i pozwalają innym okręcać się dookoła. One w ogóle nie stają do walki. Niektóre są leniwe i nic nie robią. Widzieliśmy, jak się obijają. A była tam też jedna taka, która umarła z żalu, że inna mrówka się zabiła. Nic nie robiła, nic nie jadła, po prostu umierała, naprawdę tylko umierała, jak Bo.... Bo... bo nie wiem co...

Zapadła pełna oburzenia cisza. Wszyscy wiedzieli, że Mary chciała powiedzieć: „Jak Boga kocham”. Faith i Di wymieniły spojrzenia, jakich nie powstydzilaby się sama panna Kornelia. Walter i Karol wyglądali na zmieszanych, a drobne usta Uny drżały.

Mary strasznie się zawstydziła.

- To mi się tak... wypsnęło niechcący, naprawdę, jak... to znaczy daję wam słowo honoru... ale przecież nie dokończyłam. Wy tutaj jesteście trochę przewrażliwieni. Cieszcie się, żeście nie słyszeli kłótni u Wilejów.

- Damy tak się nie wyrażają - powiedziała Faith z wyjątkową u niej powagą.

- Tak nie wolno - wyszeptała Una.

- Ja nie jestem damą. I raczej nie mam żadnych szans, żeby nią zostać - powiedziała Mary. - Ale mogę wam przyrzec, że postaram się więcej tak nie mówić.

- Poza tym - dodała Una - nie możesz oczekiwać, że Pan Bóg spełni twoje prośby, jeśli będziesz wzywać jego imienia nadaremnie, Mary.

- Spodziewam się, że Pan Bóg i tak nie spełni żadnej z moich próśb - powiedziała Mary bez przekonania. - Przez cały tydzień modliłam się, żeby jakoś załatwił sprawę z panią Wiley, i co? Nie będę się więcej modlić.

W tej samej chwili pojawiła się Nan.

- Och, Mary, mam dla ciebie ważną wiadomość. Zgadnij, co odkryła pani Elliott za przystanią? Pani Wiley umarła! Znaleziono ją martwą w łóżku tego samego ranka, kiedy uciekłaś. Nigdy już do niej nie wrócisz!

- Umarła - powtórzyła oniemiała Mary i zadrżała. - Czy myślisz, że moje modlitwy miały z tym coś wspólnego? - zwróciła się do Uny. - Jeśli tak, to już nigdy w życiu nie będę się modlić. Przecież ona może wrócić i mnie nawiedzać.

- Nie, Mary, na pewno nie - uspokajała ją Una. - Przecież pani Wiley umarła, zanim ty zaczęłaś się modlić.

- Masz rację - ochłonęła Mary. - Ale mi napędziłyście strachu. To byłoby straszne, gdybym wymodliła komuś śmierć. Jak prosiłam Boga o zakończenie sprawy z panią Wiley, nie przyszło mi do głowy, że ona mogłaby umrzeć. A czy pani Elliott mówiła coś na mój temat?

- Mówiła, że najprawdopodobniej będziesz musiała wrócić do sierocińca.

- I ja tak myślę - ponuro powiedziała Mary. - A potem znów mnie komuś oddadzą, komuś, kto pewnie będzie taki sam, jak pani Wiley. No cóż, jakoś to wytrzymam. Jestem bardzo wytrzymała.

- Będę się modlić o to, żebyś nie musiała wracać do przytułku - wyszeptała Una, kiedy razem z Mary wracały na plebanię.

- Zrobisz, co zechcesz, ale ja na pewno nie będę się o nic modlić - stanowczo oświadczyła Mary. - Mam powyżej uszu modlenia się, dość się przestraszyłam. Zobacz, co z tego wynikło. Gdyby pani Wiley umarła trochę później, kiedy już się modliłam, byłabym winna jej śmierci.

- Ależ skąd, Mary - powiedziała Una. - Szkoda, że ja nie potrafię ci tego dobrze wytłumaczyć, ale tata z pewnością umiałby to zrobić. Już wiem! Powinnaś z nim porozmawiać.

- Też pomyśl! Jak miałabym rozmawiać z człowiekiem, którego w ogóle nie znam? Przecież on w biały dzień przechodzi obok i mnie nie widzi! Nie, żeby był zarozumiały, ale nie jestem przecież wycieraczką!

- Och, Mary, tata już taki jest. Na nas też zazwyczaj nie zwraca uwagi. Zawsze jest zatopiony w myślach, to wszystko. A ja jednak pomodlę się do Pana Boga, żeby cię zostawił w Czterech Wiatrach, bo ja, Mary, bardzo cię lubię.

- No, dobra - zgodziła się Mary. - Tylko żeby już nie słyszała o żadnych umarłych z mojego powodu. Bardzo, ale to bardzo chciałabym zostać w Czterech Wiatrach. Lubię to miejsce, lubię przystań i lubię to światło nad morzem. Lubię też was i Blythe'ów. Jesteście jedynymi przyjaciółmi, jakich kiedykolwiek miałam i nie mogę znieść myśli o tym, że miałabym was opuścić.

9.

PROŚBA UNY

Panna Kornelia przeprowadziła z pastorem poważną rozmowę, która była wstrząsem dla tego zatopionego we własnych myślach dżentelmena. Nie przejmując się należnym duchownemu szacunkiem, dowiodła mu, że poważnie zaniedbał ojcowskie obowiązki, wpuszczając pod swój dach małą włóczęgę Mary Vance i pozwalając jej rozmawiać z dziećmi, nie sprawdzwszy, kim jest i skąd pochodzi.

- Nie twierdzę, oczywiście, że wydarzyło się coś strasznego - kończyła - ta mała Mary nie jest, w gruncie rzeczy, taka zła. Wypytałam szczegółowo pańskie dzieci oraz małych Blythe'ów, i z tego, co mi powiedzieli, wnioskuję, że poza niestarannym językiem i mało wytwornym słownictwem, nic więcej nie można jej zarzucić. Ale proszę tylko pomyśleć, co mogłoby się stać, gdyby była tak zepsuta, jak niektóre dzieci z przytułku. Sam pan wie, czego to biedne, zagubione stworzenie, przygarnięte przez Jima Flagga, nauczyło jego dzieci.

Pastor Meredith nie wiedział, ale i tak był szczerze przerażony własną beztróską.

- Ale co ja powinienem zrobić, pani Elliott? - zapytał bezradnie. - Przecież nie wyrzucę tej małej z domu. Ktoś musi o nią zadbać.

- No, oczywiście. Najlepiej byłoby od razu zawiadomić sierociniec w Hopetown. Zanim nie otrzymamy od nich odpowiedzi, dziewczynka mogłaby tu zostać jeszcze przez kilka dni. Ale niech pan ma oczy i uszy otwarte, pastorze Meredith.

Zuzanna dostałaby zawału serca, gdyby słyszała pannę Kornelię, strofującą wielbego pastora. Ale panna Kornelia opuściła plebanię z krzepiącym poczuciem dobrze spełnionego obowiązku, a pastor Meredith jeszcze tego samego wieczora poprosił Mary do swego gabinetu. Mary poszła posłusznie, choć zbladła ze strachu. Czekala ją jednak niespodzianka, której po swoich złych doświadczeniach nie mogła przewidzieć. Ten mężczyzna, przed którym stanęła ledwo żywa ze strachu, okazał się najmilszym, najbardziej delikatnym człowiekiem pod słońcem. Zanim Mary połapała się, co się dzieje, opowiedziała mu całe swoje nieszczęśliwe życie i zwierzyła wszystkie troski, otrzymując w zamian tyle współczucia i zrozumienia, że przeszło to jej najśmielsze oczekiwania. Kiedy Mary wyszła z gabinetu pastora, jej oczy i twarz miały tak łagodny wyraz, że Una ledwo ją poznała.

- Twój tata jest naprawdę dobry, jak się obudzi z zamyślenia - powiedziała, pociągając nosem, jakby tłumila szloch. - Szkoda, że nie budzi się częściej. Powiedział, że nie wolno mi obwiniać siebie za śmierć pani Wiley i że nie powinienam pamiętać tego, co było w niej złe,

lecz tylko to, co dobre. Choć, prawdę mówiąc, nie wiem, co było w niej dobrego, poza tym, że utrzymywała dom w porządku i robiła pyszne masło. Ale to ja urabiałam sobie ręce po łokcie, szorując sękatą podłogę w jej kuchni. Skoro jednak twój tata tak mówi, to pewnie ma rację.

Przez kilka następnych dni Mary była dość ponura. Zdradziła Unie, że im częściej myśli o powrocie do sierocińca, tym bardziej go nienawidzi. Una przez cały czas łamała sobie głowę nad tym, jak ją przed tym uchronić, ale to Nan Blythe wymyśliła rozwiązanie.

- Pani Elliott mogłaby wziąć Mary do siebie. Ma taki wspaniały, wielki dom, a pan Marshall ciągle ją namawia, żeby wzięła sobie kogoś do pomocy. To wprost wymarzone miejsce dla Mary. Tylko musiałyby się dobrze zachowywać.

- Och, Nan, czy myślisz, że pani Elliott ją weźmie?

- Przecież nic się nie stanie, jeśli ją o to zapytasz - odrzekła Nan.

Początkowo Una myślała, że nie zdoła tego zrobić. Była tak nieśmiała, że cierpiała, kiedy musiała kogokolwiek o coś poprosić. A do tego czuła okropny strach przed energiczną panią Elliott. Lubiła wprowadzić ją i wizyty w jej domu, jednak myśl o tym, żeby pójść tam i poprosić, aby pani Elliott adoptowała Mary Vance, wydawała się tak nieprawdopodobna, że wprawiała płochliwą duszyczkę Uny w lękliwe drżenie.

Kiedy jednak zarząd przytułku w Hopetown przysłał pastrowi Meredithowi odpowiedź z prośbą, by niezwłocznie odesłał Mary Vance do sierocińca, a Mary płakała rozpaczliwie na swym posłaniu na poddaszu plebanii, aż wreszcie usnęła wyczerpana, Una poczuła niezwykły przypływ odwagi. Następnego wieczoru wymknęła się z plebanii i ruszyła ku zatoce. Z Doliny Tęczy dochodził wesoły śmiech, ale Una nie tam kierowała swoje kroki. Była okropnie błąda z przejścia - nie zauważała nawet mijających ją ludzi, aż stara pani Flagg obruszyła się i stwierdziła, że Una Meredith będzie w przyszłości tak samo bujać w obłokach, jak jej ojciec.

Dom panny Kornelii stał w połowie drogi między Glen a Cyplem Czterech Wiatrów; upływający czas zamienił jego niegdyś jaskrawozieloną barwę w mniej oryginalny, ale łagodniejszy kolor jasnej oliwki. Marshall Elliott obsadził dom świerkami i założył ogród różany. Jeszcze kilka lat temu to miejsce wyglądało zupełnie inaczej. Dzieci pastora i dzieci ze Złotego Brzegu lubiły tu przychodzić. Miło było przespacerować się po starej, portowej drodze, a na końcu sięgnąć do zawsze pełnej puszki z przepysznymi ciasteczkami.

Zamglone morze łagodnie uderzało o piaszczysty brzeg. W kierunku portu zmierzały trzy wielkie kutry, które wyglądały z daleka jak gigantyczne morskie ptaki. Na kanale widać było szkuner. Świat Czterech Wiatrów emanował przepychem lśniących barw i cichej melodii

morza, jego blask nappełniał szczęściem każdego, kto zechciał mu się przyjrzeć. Jednak kiedy Una stanęła przy furtce ogrodu panny Kornelii, poczuła, że nogi odmawiają jej posłuszeństwa. Panna Kornelia siedziała na werandzie. Była sama. Una miała nadzieję, że zastanie w domu także pana Elliotta. Był taki potężny, dobroduszny i wesoły, że jego obecność dodałaby jej odwagi. Dziewczynka usiadła na stołeczku przyniesionym przez pannę Kornelię i próbowała zjeść pączka, którym została poczęstowana. Każdy kęs dosłownie stawał jej w gardle, ale połykała dzielnie, nie chcąc urazić panny Kornelii. Nie mogła mówić i była bardzo blada, a jej ogromne, granatowe oczy spoglądały tak żałośnie, że panna Kornelia natychmiast domyśliła się, iż to dziecko ma jakieś kłopoty.

- O czym myślisz, kochanie? - zapytała. - Widzę, że coś cię dręczy.

Una połknęła desperacko ostatni kęs pączka.

- Pani Elliott, czy nie wzięłaby pani Mary Vance? - wykrztusiła błagalnie.

Panna Kornelia osłupiała.

- Ja?! Mary Vance?! Wziąć Mary Vance! Mam ją wziąć na stałe?

- Tak... na stałe... żeby ją adoptować - skwapliwie przytakiwała Una, odzyskując odwagę. - Ach, pani Elliott, bardzo panią proszę! Ona nie chce wracać do sierocińca, co noc płacze. Tak strasznie się boi, że znów ją pošlę w jakieś okropne miejsce. Ona jest taka bystra, wszystko potrafi zrobić. Wiem, że nie będzie pani żałować, jak ją pani weźmie.

- Nigdy nie brałam tego pod uwagę - powiedziała panna Kornelia bezradnie.

- A teraz, czy pani weźmie to pod uwagę? - dopytywała się Una.

- Aleja, kochanie, nie potrzebuję żadnej pomocy. Świetnie sobie radzę ze wszystkim. I nigdy nie pomyślałabym o wzięciu dziecka, nawet gdyby pomoc była mi potrzebna.

Światelko w oczach Uny zgasło. Jej usta zadrżały. Z powrotem usiadła na stołeczku i zaczęła płakać - małe, żalosne stworzenie, które nie umie sobie poradzić z rozczarowaniem.

- Nie, kochanie, nie płacz! - zawołała przerażona panna Kornelia. Nie potrafiła znieść dziecięcych łez. - Przecież nie powiedziałam, że jej nie wezmę, ale ta myśl spadła na mnie tak niespodziewanie, jestem kompletnie zaskoczona. Muszę się nad tym spokojnie zastanowić.

- Ona jest taka bystra - powtórzyła Una.

- Hm... Tak, słyszałam. Słyszałam też, że przeklina. Czy to prawda?

- Nigdy nie słyszałam, żeby przeklinała - wyjąkała niepewnie Una - ale niestety, chyba potrafi.

- W to akurat wierzę. Czy ona zawsze mówi prawdę?

- Wydaje mi się, że tak, o ile nie boi się lania.

- I ty chcesz, żebym ja ją wzięła?

- Ktoś musi ją wziąć - szlochała Una. - Przecież ktoś musi się nią zaopiekować, pani Elliott.

- Masz rację. Może to właśnie mój obowiązek - westchnęła panna Kornelia. - No cóż, muszę o tym pomówić z panem Elliottem. Więc proszę, nic na razie nikomu nie mów. I weź sobie drugiego pączka.

Una wzięła ciastko i jadła je już z większym apetytem.

- Bardzo lubię pączki - przyznała. - Ale ciocia Marta nigdy ich nie robi. Smaży je panna Zuzanna ze Złotego Brzegu i czasem daje nam wielki talerz. Wie pani, pani Elliott, co robię, jak mam straszną ochotę na pączki, a nie mogę ich dostać?

- Nie mam pojęcia, kochanie. Co takiego?

- Sięgam po starą książkę kucharską mojej mamy i czytam sobie przepis na pączki. I inne przepisy też. Są takie smaczne. Zawsze tak robię, kiedy jestem głodna, szczególnie jak na obiad jest „tocoś”. Wtedy czytam przepis na smażonego kurczaka i pieczoną gęś. Mama umiała gotować takie dobre rzeczy.

- Te dzieci pastora zostaną zagłodzone na śmierć, jeżeli pastor Meredith nie znajdzie sobie wkrótce żony - opowiadała mężowi panna Kornelia już po odejściu Uny.

- Ale on się nie ożeni, więc co się z nimi stanie? A co z tą małą Mary, mamy ją wziąć?

- Oczywiście - odrzekł krótko pan Elliott.

- Typowo męskie podejście- stwierdziła z rozpaczą jego żona. - „Oczywiście” - i na tym koniec. Musimy rozważyć mnóstwo spraw.

- Weź ją, Kornelio, a potem zastanowimy się nad tym mnóstwem - powiedział jej mąż.

W końcu panna Kornelia zdecydowała, że weźmie dziewczynkę, i udała się do Złotego Brzegu, aby jego mieszkańców powiadomić jako pierwszych o tej nowinie.

- To wspaniale! - wykrzyknęła z zachwytem Ania. - Miałam nadzieję, że pani tak właśnie postąpi, panno Kornelio. Chcę, aby to biedactwo znalazło sobie dobry dom. Ja też przed laty byłam taką biedną, opuszczoną sierotą, jak Mary.

- Bardzo wątpię w to, czy ta mała Mary kiedykolwiek wyrośnie na taką osobę, jak ty, Aniu złociutka - odparła panna Kornelia ponuro. - To kot o innej maści. Ale w końcu ona też jest ludzką istotą, obdarowaną nieśmiertelną duszą. Mam w domu mały katechizm, a także gęsty grzebień, i spełnię swój obowiązek wobec tej zabłąkanej owieczki, skoro już przyłożyłam do tego rękę, możesz mi wierzyć, Aniu.

Mary przyjęła tę wieść z powściągliwym zadowoleniem.

- Mam więcej szczęścia, niż się spodziewałam - stwierdziła.

- Pamiętaj, że przy pani Elliott musisz być uprzejma - powiedziała Nan.

- Już ja dobrze o tym wiem - rozzłościła się Mary.
- Jak tylko zechcę, potrafię zachowywać się nie gorzej od ciebie, Nan Blythe.
- I wiesz, Mary, że nie wolno ci używać brzydkich wyrazów - dodała z niepokojem

Una.

- Przypuszczam, że panna Kornelia umarłaby z wrażenia, gdybym zrobiła coś takiego - powiedziała Mary, a jej jasne oczy zaśniły niebezpiecznie, jakby spodobał się jej ten pomysł. - Ale nie przejmuj się, Uno. Z moich ust będzie płynął wyłącznie miód. Będę wymowna i elegancka w każdym calu.

- I nie kłam - dorzuciła Faith.
- Nawet jeśli będę chciała uniknąć lania? - błagalnie spytała Mary.
- Pani Elliott nigdy, przenigdy cię nie uderzy - wykrzyknęła Di.

- Czyżby? - powątpiewała Mary. - Jeśli kiedykolwiek w moim życiu znajdę się gdzieś, gdzie nie będę bita, stwierdzę, że dostałam się żywcem do nieba. Dobrze, nie bójcie się, nie będę kłamać. Ja wcale aż tak bardzo nie lubię kłamać, właściwie to ani trochę nie lubię.

W przeddzień odejścia Mary z plebanii urządzono na jej cześć piknik w Dolinie Tęczy. Tego wieczora każde z dzieci pastora podarowało dziewczynce jakiś prezent, pochodzący ze skarbców, w których trzymały najukochańsze przedmioty. Karol dał jej swoją Arkę Noego, a Jerry drugą najlepszą harmonijkę. Od Faith dostała maleńką szczotkę do włosów, z lustreczkiem z tyłu - Mary zawsze twierdziła, że to śliczne cacko. Una wahała się pomiędzy swoją starą sakieweczką, wyszywaną perełkami, a kolorowym obrazkiem, przedstawiającym Daniela w jaskini lwa. W końcu zaproponowała Mary, aby sama wybrała sobie prezent. Mary wołała wyszywaną sakiewkę, ale ponieważ wiedziała, ile znaczy ona dla Uny, powiedziała:

- Podaruj mi Daniela. Wolę obrazek, bo uwielbiam lwy. Chociaż gdyby lew zjadł Daniela, obrazek byłby dużo bardziej ekscytujący.

Kiedy przyszedł czas na sen, Mary poprosiła Unę, żeby spała razem z nią na poddaszu.

- To ostatni raz - powiedziała - a poza tym pada deszcz, a ja tak strasznie nie znoszę spać tam sama, kiedy pada. To z powodu tego cmentarza. W pogodne noce wcale mi nie przeszkadza, ale w deszczowe nie widać nic, tylko strumienie wody, płynące po tych starych, białych kamieniach, a wiatr tak huczy, jakby zmarli powstawali z grobów i dobijali się do domu, wyjąc ze złości, że nie mogą wejść do środka.

- Lubię, gdy w nocy pada deszcz - powiedziała Una, gdy obie leżały już przytulone do siebie w małym pokoju na poddaszu. - Nan i Di też lubią.

- Mnie również nie przeszkadza deszcz, pod warunkiem, że nie śpię blisko cmentarza - odparła Mary. - Ale dziś płakałabym z samotności, i to przez całą noc. Jest mi tak okropnie źle, kiedy pomyślę, że muszę od was odejść.

- Pani Elliott na pewno będzie ci często pozwalała przychodzić i bawić się z nami w Dolinie Tęczy - powiedziała Una. - Ale będziesz grzeczna, prawda, Mary?

- No, postaram się - westchnęła Mary. - Ale nie będzie to dla mnie takie łatwe, jak dla ciebie. Ty nie pochodzisz z takiej niecnej rodziny, jak ja.

- Ale twoi krewni nie mogli mieć samych wad, musieli mieć także jakieś zalety - sprzeciwiła się Una. - To powinnaś pielęgnować, zapominając o wszystkim, co złe.

- Nigdy nie uwierzę w to, że mieli jakieś zalety - ponuro stwierdziła Mary. - Przynajmniej mnie nic o nich nie wiadomo. Mój dziadek miał dużo pieniędzy, ale podobno był łotrem. Nie, lepiej zacznę żyć na własny rachunek. To najlepsze, co mogę zrobić.

- Bóg ci w tym pomoże, Mary, tylko musisz Go o to poprosić.

- Nie byłabym taka pewna.

- Och, Mary. Przecież sama wiesz najlepiej, że prosiłyśmy Go o dom dla ciebie i On spełnił nasze prośby.

- Nie mam pojęcia, co On zrobił w tej sprawie - odpowiedziała Mary - skoro to ty podsunęłaś ten pomysł pani Elliott.

- Ale to Bóg sprawił, że jej serce zmiękło i zgodziła się ciebie wziąć. Choćbym nie wiem jak się starała, bez Jego pomocy nic bym nie osiągnęła.

- No cóż, może masz trochę racji - zgodziła się Mary. - Wiesz, ja właściwie nie mam nic przeciwko Bogu. Chętnie dam Mu szansę. Ale, jeśli mam być szczerą, wydaje mi się, że Pan Bóg przypomina twojego ojca: zawsze jest nieobecny duchem i na nikogo nie zwraca uwagi, tylko czasem budzi się na chwilę, żeby pokazać, jaki jest dobry, miły i uczynny.

- Och, Mary, nie - przeraziła się Una. - Bóg ani trochę nie przypomina taty, to znaczy On jest tysiąc razy miłszy i lepszy, i bardziej uczynny.

- Mnie wystarczy, żeby był równie dobry, jak twój ojciec - oświadczyła Mary. - Kiedy słuchałam, co mówił do mnie twój tata, czułam, że nigdy więcej nie będę zła.

- Szkoda, że nie rozmawiałaś z tatą o Nim - westchnęła Una. - Tata wytłumaczyłby ci wszystko znacznie lepiej niż ja.

- Cóż, spróbuję go zapytać, kiedy obudzi się następnym razem - obiecała Mary. - Tamtego wieczoru, gdy rozmawiał ze mną w gabinecie, wyjaśnił mi zupełnie jasno, że moje modlitwy nie mogły zabić pani Wiley. To mnie uspokoiło, ale nadal jestem ostrożna, jeśli chodzi o modlitwę. Uznałam, że ten stary wierszyk jest najbezpieczniejszy. Powiedz mi, Uno,

skoro człowiek musi się do kogoś modlić, to może byłoby lepiej, gdyby się modlił do diabła? Pan Bóg przecież i tak jest dobry, przynajmniej ty tak mówisz, więc nie zrobi ci nic złego, ale - tak myślę - trzeba się bronić przed diabłem. Więc może najrozsądniej byłoby powiedzieć mu tak: „Dobry diable, proszę, nie wódź mnie na pokuszenie. Proszę, zostaw mnie w spokoju”. No, co o tym myślisz?

- Och, Mary, nie. Jestem pewna, że nie wolno modlić się do diabła. Nic by to nie pomogło, bo diabeł jest zły. Mógłby wpaść w złość, a wtedy stałby się jeszcze gorszy.

- No dobra, zostawmy już w spokoju Pana Boga - powiedziała nie przekonana Mary. - Skoro nie potrafimy tego rozstrzygnąć, ta rozmowa nie ma sensu. Poczekajmy, aż uda nam się wszystko wyjaśnić. To najlepsze wyjście.

- Gdyby żyła mamusia, wszystko by nam wyjaśniła - westchnęła cichutko Una.

- Szkoda, że twoja mama umarła - powiedziała Mary.

- Bo nie wiem, jaki los was czeka, kiedy odejdę. W każdym razie postarajcie się utrzymać porządek w domu, bo ja nie mogę już słuchać tego, co ludzie o was gadają. No, a poza tym, jak wasz ojciec się ożeni, to, sama wiesz, dopiero się wam dostanie.

Una zdziwiła się. Nigdy przedtem nie przyszło jej do głowy, że tata mógłby się ożenić. Ten pomysł wcale jej się nie spodobał, leżała cicho, przerażona samą myślą o małżeństwie ojca.

- Każda macocha to istny potwór - mówiła dalej Mary. - Umarłabyś ze strachu, gdybyś wiedziała o macochach tyle, co ja. Mali Wilsonowie, ci, którzy mieszkali naprzeciwko pani Wiley, też mieli macochę. Nie była dla nich wcale lepsza, niż pani Wiley dla mnie. Lepiej, żebyście nie mieli macochy.

- Na pewno nie będziemy mieli - powiedziała Una drżącym głosem. - Tata nie ożeni się z żadną obcą kobietą.

- A ja myślę, że w końcu któraś go dorwie - ponuro oznajmiła Mary. - Wszystkie stare panny w okolicy chciałyby go złapać na męża. Nie ma na to rady. W macochach najgorsze jest to, że one zawsze buntują ojca przeciwko dzieciom. Przestaniecie go obchodzić. Zawsze będzie stawał po stronie macochy i jej dzieci. Zobaczysz, ona przekona go, że wy jesteście niedobrzy.

- Po co mi to wszystko mówisz, Mary - rozpląkała się Una. - Teraz czuję się taka nieszczęśliwa.

- Ależ ja cię tylko ostrzegam - powiedziała Mary przepaszającym tonem. - Zresztą twój tata jest tak rozkojarzony, że myśl o powtórным małżeństwie może mu w ogóle nie przyjść do głowy. Ale lepiej być przygotowanym, tak na wszelki wypadek.

Mary dawno już słodko spała, a Una wciąż nie mogła zasnąć. Łzy napływały jej do oczu. Och, jakie to będzie straszne, jak tata się ożeni z jakąś macochą, i przestanie kochać ją i Jerry'ego, i Faith, i Karola. Ona tego nie wytrzyma, po prostu nie wytrzyma!

Mary nie zaszczepiła w myślach dzieci pastora żadnej z tych trucizn, o które podejrzewała ją panna Kornelia. Pełna najlepszych intencji, narobiła jednak sporo zamieszania, i gdy teraz spała spokojnie, Una leżała bezsennie, wsłuchując się w rytm deszczu i zawodzenie wiatru wokół starej plebanii. Wielebny Jan Meredith, zatopiony w zyciorysie świętego Augustyna, nie zauważył, że dawno już minęła pora udania się na spoczynek. Kiedy skończył i, zaprzątnięty sprawami sprzed dwóch tysięcy lat, wszedł na górę, na dworze już szarzało. Drzwi od pokoju dziewczynek były otwarte i pastor zobaczył różową twarzyczkę śpiącej Faith, śliczną i spokojną. Zdziwił się, że nie dostrzegł Uny. Pewnie poszła do dziewczynek ze Złotego Brzegu „na całą noc”. Uwielbiała tam nocować od czasu do czasu. Jan Meredith westchnął. Czuł, że przedsięwzięcia córki nie powinny być dla niego tajemnicą. Cecylia lepiej pilnowałaby dzieci, niż on.

Gdyby tylko pozostała przy nim! Jaka była piękna i jaka wesoła! Jak cudownie brzmiały jej piosenki wśród ścian plebanii w Majowych Wodach! Cecylia odeszła tak nagle, tak niespodziewanie ucichł jej śmiech, jej śpiew - tak niespodziewanie zapadła cisza, że do dziś nie mógł otrząsnąć się ze zdumienia. Jak to możliwe, że śmierć zabrała właśnie ją, taką żywą, ciepłą i piękną?

Pastor ani razu nie pomyślał poważnie o powtórnym małżeństwie. Bardzo kochał swoją żonę, tak bardzo, że nie sądził, by zdołał kiedykolwiek pokochać inną kobietę. Miał nadzieję, że nie upłynie wiele czasu i Faith zajmie w domu miejsce matki. Jednak zanim to nastąpi, musi sobie radzić sam, i to najlepiej, jak umie. Westchnął i wszedł do sypialni. Łóżko nie zostało pościelone. Ciocia Marta zapomniała o tym, a Mary nie wchodziła do pokoju pastora, zakazała jej tego stanowczo wiekowa gospodyni. Jednak pastor Meredith nawet tego nie zauważył. Zanim usnął, pomyślał jeszcze o świętym Augustynie.

WIELKIE PORZĄDKI

- Oj - powiedziała Faith i zatrzęsła się, siadając na łóżku. - Leje. Nienawidzę deszczowych niedziel. Niedziele, nawet bez deszczu, są wystarczająco nudne.

- Nie wolno nam mówić, że niedziele są nudne - powiedziała zaspana Una, która usiłowała pozbierać myśli i uporać się z niejasnym poczuciem, że obudziły się zbyt późno.

- Ale tak właśnie jest - odparła Faith z rozbrajającą szczerością. - Mary Vance mówi, że niedziele są tak nudne, że tylko się powiesić.

- Ale my powinniśmy traktować niedziele inaczej niż Mary Vance - w głosie Uny brzmiały wyrzuty sumienia. - Jesteśmy dziećmi pastora.

- Szkoda, że nie urodziłyśmy się w rodzinie kowala - rozzłościła się Faith, szukając pończoch. - Wtedy nikt nie oczekiwałby od nas, że będziemy lepsi od innych dzieci. Popatrz tylko, jakie mam dziury na piętach. Mary pocerowała wszystkie pończochy przed swoim odejściem, ale teraz znowu się podarły. Wstawaj, Uno. Sama nie dam sobie rady ze śniadaniem. Och, szkoda, że tata i Jerry wyjechali. Wydawałoby się, że nie będzie nam go brakowało, bo jak jest w domu, to i tak prawie go nie widać. A tu katastrofa. Muszę pobiec, żeby sprawdzić, jak się czuje ciocia Marta.

- I co, lepiej? - spytała Una, kiedy Faith wróciła.

- Nie. Ciągłe jęczy z bólu. Chyba powinniśmy wezwać doktora Blythe'a. Ale ona nie chce o tym słyszeć. Mówi, że przeżyła całe życie bez lekarzy i nie ma zamiaru tego zmieniać. Powiedziała, że lekarze zarabiają na truciach ludzi. Myślisz, że to prawda?

- Ależ skąd - obruszyła się Una. - Nie wierzę w to, żeby pan Blythe mógł kogokolwiek otruć.

- No cóż, po śniadaniu będziemy musiały znów zrobić okłady cioci Marcie. Tylko trzeba będzie uważać, żeby płótna nie były za gorące, tak jak wczoraj.

Faith zachichotała, wspominając wczorajszy dzień. Mało brakowało, a z obolałych pleców cioci Marty zeszła -by cała skóra. Una westchnęła. Mary Vance na pewno wiedziałaby, jaką temperaturę powinny mieć okłady na bolące plecy. Mary wiedziała wszystko. One nic. I jak miały się tego nauczyć? Czy tylko dzięki niefortunnym eksperymentom, za które wczoraj zapłaciła biedna ciocia?

W ubiegły poniedziałek pastor Meredith wyjechał na krótki urlop do Nowej Szkocji i zabrał ze sobą Jerry'ego. W środę ciocię Martę zmógł nawrót tajemniczej choroby, którą ona

sama nazywała „dopustem Bożym”, a która - co nietrudno było przewidzieć - atakowała ją w najmniej odpowiednich momentach. Staruszka leżała w łóżku, ponieważ każdy ruch sprawiał jej nieznosny ból. O lekarzu nie chciała nawet słyszeć. Faith i Una musiały gotować i dbać o chorą. Skutki tego gospodarowania lepiej pozostawić bez komentarza - choć posiłki nie były wcale gorsze od tych, które serwowała ciocia Marta. Niejedna gospodyni z Glen chętnie przysłaby pomóc dzieciom pastora, ale ciocia Marta stanowczo zabroniła wspominać komukolwiek o stanie swojego zdrowia.

- Póki nie wstanę, musicie dać sobie jakoś radę - stękała. - Bogu dzięki, że Jan akurat wyjechał. Macie mnóstwo zimnej pieczeni i chleba, no i raz możecie same ugotować owsiankę.

Dziewczynki spróbowały, ale z marnym skutkiem. Pierwszego dnia owsianka była zbyt wodnista. Na drugi dzień wyszła tak gęsta, że mogły krajać ją w plasterki. Za każdym razem udało się im za to ją przypalić.

- Nienawidzę owsianki - złościła się Faith. - Jak kiedyś będę miała własny dom, to nigdy, przenigdy nie ugotuję ani jednej łyżki owsianki!

- A co będą jadły twoje dzieci? - zapytała Una. - Dzieci muszą jeść owsiankę, bo inaczej nie urosną. Wszyscy tak mówią.

- Albo obejdą się bez owsianki, albo zostaną Pigmejami - obstawała przy swoim Faith. - No, pomieszaj tę owsiankę, a ja nakryję do stołu. Jak się nie miesza tego paskudztwa, natychmiast się przypala. Już wpół do dziewiątej. Spóźnimy się do szkoły niedzielnej.

- Nie widziałam jeszcze żadnego dziecka, idącego do szkoły - powiedziała Una. - Mało kto wychodzi z domu przy takiej pogodzie. Popatrz, jak leje. A jak nie będzie kazania, to ci, którzy mieszkają dalej, pewnie nie przyprowadzą dzieci.

- Idź zawołać Karola - powiedziała Faith. Okazało się, że chłopca boli gardło, musiał przeziębienie się poprzedniego wieczoru, kiedy przemókł do suchej nitki, tropiąc ważki w Dolinie Tęczy. Wrócił do domu w przemoczonych butach i przez cały wieczór siedział w skarpetkach, z których kapiała woda. Nie mógł nawet jeść śniadania, więc Faith kazała mu wracać do łóżka. Dziewczynki zostawiły nie sprzątnięty stół i poszły do szkoły. Kiedy tam dotarły, w salce nie było nikogo, nikt też więcej nie przyszedł. Faith i Una posiedziały do jedenastej i wróciły do domu.

- W niedzielnej szkółce metodystów też chyba nikogo nie ma - powiedziała Una.

- To całe szczęście - stwierdziła Faith. - Nie zniosłabym myśli, że metodyści chodzą do szkoły w deszczowe niedziele, a prezbiterianie - nie. Ale dziś w ich kościele także nie ma kazania, więc może będą mieli szkołkę po południu.

W domu Una starannie zmyła naczynia, przynajmniej tyle nauczyła się od Mary Vance. Faith równie starannie zamiotła podłogę i obrała ziemniaki na obiad, kalecząc sobie palec.

- Szkoda, że mamy na obiad tylko „tocoś” - westchnęła Una. - Już mam tego dosyć. Dzieci ze Złotego Brzegu nawet nie wiedzą, co to jest. My nigdy nie jemy puddingu, a Nan i Di nie wyobrażają sobie niedzieli bez puddingu. Dlaczego my nie jesteśmy tacy, jak inni ludzie, Faith?

- Ja wcale nie chcę być taka, jak wszyscy - roześmiała się Faith, bandażując krwawiący palec. - Wolę być taka, jaka jestem. To o wiele ciekawsze. Taka Jessie Drew potrafi w domu zrobić wszystko równie dobrze, jak jej mama, ale czy chciałabyś być tak głupia, jak ona?

- Ale nasz dom nie wygląda tak, jak powinien. Nawet Mary Vance tak mówi. Ludzie opowiadają, że straszny tu bałagan.

Faith wpadła na znakomity pomysł.

- Posprzątam! - zawołała. - Zabierzemy się do pracy już jutro. Mamy świetną okazję, ciocia Marta leży i do niczego nie będzie się wtrącać. A jak tata wróci, dom będzie wyglądał pięknie i czysto, tak jak wtedy, gdy sprzątnęła tu Mary Vance. Przecież odkurzanie, zamiatanie i mycie okien to nic trudnego, każdy to potrafi. I wtedy ludzie przestaną gadać. Wprawdzie Jim Blythe twierdzi, że gadają tak tylko stare plotkary, ale i tak to przykre.

- Mam nadzieję, że jutro będzie ładna pogoda - powiedziała Una, zachwycona pomysłem siostry. - Och, Faith, jak to będzie cudownie, kiedy nasz dom będzie posprzątnany i czysty, jak u innych.

- Mam nadzieję, że „dopust Boży” cioci Marty nie minie do jutra - powiedziała Faith - bo jeśli ona wstanie, to niczego nie uda nam się zrobić.

„Życzenie” Faith spełniło się. Następnego ranka ciocia Marta wciąż nie mogła podnieść się z posłania. Chory był także Karol, który z łatwością dał się przekonać do pozostania w łóżku. Ani Una, ani Faith nie domyślały się nawet, jak poważna jest choroba ich brata. Troskliwa matka natychmiast wezwałaby do niego lekarza, ale mamy nie było i biedny Karol, z bolącym gardłem, rozpaloną głową i płonącymi policzkami, zwinął się w kłębek na wymiętym posłaniu i leżał zupełnie sam, jeśli nie liczyć dodającej otuchy obecności małej, zielonej jaszczurki w kieszonce podartej piżamy.

Po wczorajszym deszczu świat lśnił w promieniach słońca. Una i Faith, które nie mogłyby sobie wymarzyć lepszego dnia na wielkie porządki, ochoczo wzięły się do pracy.

- Posprzątam jadalnię i salon - powiedziała Faith. - Do gabinetu taty lepiej nie wchodzić, a góra nie jest taka ważna. Najpierw wynieśmy wszystko na zewnątrz.

Tak też zrobiły. Sprzęty zgromadziły na werandzie i na trawniku, a wielobarwne chodniczki powiesiły na płocie cmentarza metodystów. Później nastąpił szal zmiatania, po którym Una wzięła się za odkurzanie, a Faith przystąpiła do mycia okien w jadalni. Kosztowało to jedną wybitą i dwie pęknięte szyby. Una przyglądała się rezultatowi pracy swojej siostry z umiarkowanym entuzjazmem.

- One jednak nie wyglądają tak, jak powinny - stwierdziła. - Okna u pani Elliott i Zuzanny po prostu lśnią.

- Nie szkodzi. Przez nasze też dociera światło - beztrósco odparła Faith. - Po takiej ilości wody i mydła, jaką zużyłam, one po prostu muszą być czyste, a to najważniejsze. Już po jedenastej, więc zetrę te kałuże z podłogi i chodźmy na dwór. Ty odkurzysz meble, a ja wytrzenię chodniczki. Zrobię to na cmentarzu, żeby kurz nie opadł na trawnik.

Trzepanie chodników okazało się wspaniałym zajęciem; Faith bawiła się znakomicie, wymachując i potrząsając dywanikami na grobie starego Ezekiasza Pollocka. Tymczasem pan Abraham Clow, jeden ze starszyny kościoła w Glen, który razem z żoną przejeżdżał właśnie obok cmentarza w swym wygodnym, dużym powozie, nie mógł uwierzyć własnym oczom i przypatrywał się Faith z surowym wyrazem twarzy.

- Czyż to nie straszne? - spytał ponuro żonę.

- Nigdy w życiu bym nie uwierzyła, gdybym nie widziała tego na własne oczy - powiedziała pani Clow, jeszcze bardziej ponuro.

Faith wesoło pomachała w ich stronę wycieraczką. Nie zmartwiła się tym, że na jej pozdrowienie nie odpowiedzieli ani pan, ani pani Clow. Wszyscy dookoła wiedzieli, że od czasu, kiedy czternaście lat temu pan Abraham Clow został nadzorcą szkoły niedzielnej, uśmiech nie zagościł na jego twarzy. Poczuła się jednak dotknięta, że na pozdrowienie nie zareagowały Adela i Minnie Clow. Faith lubiła je. Były jej najlepszymi koleżankami szkolnymi, zaraz po Nan i Di, a Adeli Faith nawet pomagała w rachunkach. Oto ludzka wdzięczność. Teraz przyjaciółki odwracały się od niej tylko dlatego, że trzepie dywaniki na starym cmentarzu, gdzie - jak powiada Mary Vance - od lat nie pochowano ani jednej żywej duszy. Faith pobiegła na werandę, gdzie zastała Unę, również zasmuconą tym, że siostry Clow nie odpowiedziały na jej pozdrowienie.

- Pewnie coś je ugryzło - powiedziała Faith. - Może są zazdrosne, że ciągle bawimy się z Blythe'ami w Dolinie Tęczy. No, niech tylko zacznie się szkoła i niech Adela poprosi mnie o pomoc przy słupkach! Wtedy jej odpłacę pięknym za nadobne. Chodź, wniesiemy

wszystko do domu. Nie mam już siły, a ten pokój wcale nie wygląda dużo lepiej niż przedtem, choć wytrząsnęłam na cmentarzu całe tumany kurzu. Nienawidzę sprzątania.

Była druga, kiedy dziewczynkom udało się skończyć porządki w obu pokojach. Zjadły w kuchni jakiś obrzydliwy posiłek i zamierzały zaraz pozmywać naczynia, ale Faith akurat wpadła w ręce nowa książka, którą pożyczyła jej Di Blythe i lektura pochłonęła ją aż do wieczora. Una natomiast zaniósła Karolowi filiżankę słabej herbaty, ale zobaczyła, że brat śpi, więc skuliła się na łóżku Jerry'ego i też zasnęła. W tym samym czasie całe Glen obiegała straszliwa opowieść o córkach pastora. Mieszkańcy pytali jedni drugich, co począć z tą nieznosną gromadką z plebanii.

- Tu się nie ma, mój drogi, z czego śmiać, możesz mi wierzyć - mówiła do męża panna Kornelia, wzdychając głęboko. - Początkowo nie mogłam w to uwierzyć. Miranda Drew przyniosła te wieści dziś po południu z niedzielnej szkółki metodystów. Najpierw kpiłam sobie z tego, ale żona Abrahama przysięga, że i ona, i jej mąż widzieli to na własne oczy.

- Ale co takiego? - zapytał Marschall.

- Faith i Una Meredith nie poszły dziś do szkółki niedzielnej. Zostały w domu i robiły wielkie porządki - mówiła panna Kornelia z rozpaczą w głosie. - Kiedy państwo Abrahamowie wracali z kościoła, bo on został trochę dłużej, żeby ułożyć książki w kościelnej bibliotece, zobaczyli, jak dziewczynki trzepią dywany na cmentarzu metodystów. Już nigdy nie będę mogła spojrzeć w oczy żadnemu metodyście! Pomyśl tylko, co to za skandal!

Skandal stawał się coraz większy, w miarę tego, jak wieść o wyczynach dzieci pastora rozchodziła się po okolicy. W końcu ludzie zza przystani usłyszeli opowieść o tym, jak to dzieci pastora myły okna, prały i sprzątały cały dom w niedzielę, a do tego urządziły sobie hałaśliwy piknik na cmentarzu, w czasie gdy odbywała się szkółka niedzielna w kościele metodystów. Jedyńm domem, którego błogosławionego spokoju nie zakłóciła ta straszna wieść, była sama plebania. Faith i Una były przekonane, że następny, deszczowy ranek, wypadł we wtorek. Padało przez całe trzy dni, w tym czasie nikt nie odwiedził plebanii, a dziewczynki nie opuszczały domu. Mogły wprawdzie wybrać się do zamglonej Doliny Tęczy, ale rodzina Blythe'ów - z wyjątkiem Zuzanny i doktora - akurat wyjechała z wizytą do Avonlea.

- To ostatni bochenek chleba - powiedziała Faith.

- „Tocoś” już też się skończyło. Nie wiem, co z nami będzie, jeśli ciocia Marta wkrótce nie wyzdrowieje.

- Chleb możemy kupić w sklepie - powiedziała Una.

- I mamy jeszcze dorsza, ususzonego przez Mary. Nie wiem tylko, jak go ugotować.

- Och, to nic trudnego - roześmiała się Faith. - Po prostu bierzesz i gotujesz.

Ugotowały dorsza „po prostu”, ale nie miały pojęcia, że trzeba go przedtem wymoczyć. Ryba była tak słona, że nie nadawała się do jedzenia. Tego wieczora poszły spać bardzo głodne, ale rankiem ich kłopoty skończyły się. Niebo się wypogodziło, Karol wyzdrowiał, a „dopust Boży” cioci Marty zniknął równie nagle, jak się pojawił; na plebanię przybył rzeźnik, przeganiając widmo głodu. Szczęście nie miało granic, bo Blythe’owie też wrócili do domu i tego wieczora dzieci z plebanii miały razem z nimi i Mary Vance podziwiać zachód słońca w Dolinie Tęczy, wśród kwitnących w trawie stokrotek i słodkiej muzyki dzwoneczków z Leśnych Kochanków, rozlegającej się w pachnącej ciszy zmierzchu.

PRZERAŻAJĄCE ODKRYCIE

- No, toście nabroili, moi drodzy - przywitała ich Mary Vance, kiedy zjawiła się w Dolinie Tęczy. Panna Kornelia była w Złotym Brzegu, gdzie przeprowadzała śmiertelnie poważną naradę z Anią i Zuzanną. Mary miała nadzieję, że będzie to bardzo długa pogawędka, bo już od dwóch tygodni nie miała okazji, by spotkać się z przyjaciółmi w ukochanej Dolinie Tęczy.

- Niby co? - obruszyli się wszyscy, poza Walterem, który - jak zwykle - zatopiony był w marzeniach.

- Mam na myśli tylko was - Mary zwróciła się do dzieci pastora. - To po prostu okropne. Nawet ja nie ośmieliłabym się na taką zuchwałość, choć nie wychowywałam się na plebanii i właściwie nigdzie się nie wychowywałam, tylko tak sobie rosłam.

- Niby co takiego zrobiliśmy? - zdziwiła się Faith.

- Niby co! Lepiej byś nie pytała! Nie masz pojęcia, jak ludzie o tym gadają! Zniszczyliście karierę ojca, przynajmniej w tej parafii. On tego nie przeżyje, biedak! Bo wszyscy będą myśleć, że to jego wina. I to nie jest sprawiedliwe, ale ten świat w ogóle nie jest sprawiedliwy. Powinniście się wstydzić.

- Ale co my takiego zrobiliśmy? - zapytała ponownie Una zrozpaczonym tonem. Faith nie odezwała się, ale w jej miodowych oczach lśniły iskierki gniewu.

- No, no, nie udawajcie takich niewiniątek - syknęła Mary. - Już i tak wszyscy o tym wiedzą.

- Nie wszyscy, bo ja nie wiem - ze złością przerwał jej Jim Blythe. - I nie mam zamiaru patrzeć, jak doprowadzasz Unę do płaczu. O czym ty mówisz?

- Nie wiesz o tym tylko dlatego, że dopiero co wróciłeś do Glen - powiedziała Mary, nieco już spokojniej. Jim zawsze dobrze na nią wpływał. - Ale możesz mi wierzyć, że cała okolica wie o wszystkim.

- Ale o czym?

- O tym, że Faith i Una nie poszły w ubiegłą niedzielę do szkółki niedzielnej i urządziły sprzątanie domu.

- Nieprawda! - krzyknęły równocześnie Una i Faith, urażone do żywego.

Mary spojrzała na nie wyniośle.

- Nigdy bym nie przypuszczała, że właśnie wy, które uczyłyście mnie, że nie wolno kłamać, będziecie wypierać się prawdy - powiedziała. - I co wam z tego przyjdzie? Przecież wszyscy wiedzą, że tak właśnie było. Państwo Clow widzieli to na własne oczy. Niektórzy ludzie twierdzą, że wasz postępek zniszczy parafię, ale ja nie sądzę, aby sprawy zaszły tak daleko. No, no, nieźle z was ziółka.

Faith i Una osłupiały. Nan Blythe podniosła się i objęła je ramionami.

- Przygarnęły cię i dały ci coś do jedzenia i ubrania, kiedy marzałeś i umierałeś z głodu w szopie pana Taylora - powiedziała. - Nie ma co, to tak wygląda twoja wdzięczność?

- Właśnie, że jestem wdzięczna - odparła Mary. - Musielibyście widzieć, jak broniłam pastora Mereditha przed wszystkimi. Wystrzępiłam sobie język, broniąc go przez cały tydzień. Ciągłe powtarzałam, że to nie jego wina, że dzieci sprzątały plebanię w niedzielę. Przecież o tym nie wiedział, bo nie było go w domu. Ale oni, oczywiście, wiedzą lepiej!

- Ale my nie sprzątałyśmy w niedzielę - zaprzeczyła Una. - Sprzątałyśmy dom w poniedziałek, prawda, Faith?

- Oczywiście, że w poniedziałek - odrzekła Faith. Jej oczy lśniły. - W niedzielę poszliśmy do szkoły niedzielnej, nie zważając na lejący deszcz. I oprócz nas nikt się nie zjawił, nawet sam pan Abraham, który tak lubi stroić się w święte piórka.

- Deszcz padał w sobotę - powiedziała Mary. - W niedzielę niebo było czyste jak łąka. Nie poszłam do szkoły niedzielnej, bo bolał mnie ząb, ale wszyscy inni byli tam i widzieli te wasze graty na trawniku. A państwo Clow widzieli nawet, jak trzepałyście dywany na cmentarzu.

Una usiadła wśród stokrotek i rozplakała się żałośnie.

- Słuchajcie - powiedział stanowczo Jim - zaszła tu jakaś pomyłka. To trzeba wyjaśnić. W niedzielę, Faith, była piękna pogoda. Jak to się stało, że wydawało wam się, że niedziela jest w sobotę?

- W czwartek wieczorem było spotkanie modlitewne! - krzyknęła Faith. - W piątek Adam wpadł do garnka z zupą, bo gonił go kot cioci Marty. W ten sposób straciliśmy obiad. W sobotę znaleźliśmy węży w piwnicy i Karol musiał go wynieść na patyku. W niedzielę padał deszcz. Tak właśnie było!

- Zebranie było w środę wieczorem - powiedziała Mary. - Pan Baxter, który miał je prowadzić, nie mógł przyjść w czwartek, więc zebranie zostało przełożone na środę. Więc, Faith Meredith, pomyliłyście dni i zrobiłyście wielkie sprzątanie w niedzielę.

Faith wybuchnęła gromkim śmiechem.

- Chyba macie rację. Ładny kawał!

- Dla twojego ojca to raczej brzydki kawał - kwaśno zauważyła Mary Vance.

- Wszystko będzie dobrze, jak tylko ludzie się dowiedzą, że to była zwykła pomyłka - beztrząsco stwierdziła Faith. - Wyjaśnimy im to.

- Wyjaśniać to ty możesz, dlaczego masz brudną buzię - powiedziała Mary - ale takie wieści rozchodzą się szybciej i dalej, niż potrafisz sobie wyobrazić. Nie macie pojęcia, jacy są ludzie. Poza tym, wielu z nich nie uwierzy, że to była zwykła pomyłka.

- Uwierzą, jak im wszystko opowiem - stwierdziła Faith.

- Wszystkim nie opowiesz - powiedziała Mary. - Tak czy owak, zhańbiłyście imię swojego ojca.

Ta okrutna uwaga zepsuła Unie cały wieczór, ale Faith nie miała zamiaru się nią przejmować, a poza tym w jej głowie powstał pewien plan, który powinien wszystko naprawić. Zapomniała więc o kłopotliwej pomyłce sprzed kilku dni i z radością dała się porwać zabawie. Jim poszedł łowić ryby, a Walter ocknął się z zamyślenia i zaczął opowiadać, jak wyobraża sobie niebiański las. Mary słuchała z uwagą. Choć wciąż bała się trochę Waltera, uwielbiała jego „opowieści jak z książki”. Sprawiały, że czuła się cudownie. Tego dnia Walter czytał poezje Coleridge’a i opowiadał o niebie, gdzie

*Ogrody blask rozświećla niesfornych strumyków,
Kwiecie drzew obiecuje smak owoców wonnych,
Lasy stare jak ziemia w zieleni przepychu
Kładą suknie radosne od słońca dotyku.*

- Nie przypuszczałam, że w niebie rosną lasy - powiedziała Mary, wzdychając z zachwytem. - Myślałam, że niebo składa się z tysiąca dróg.

- Pewnie, że są tam lasy - powiedziała Nan. - Ani mama, ani ja nie możemy żyć bez drzew, więc po co miałybyśmy iść do nieba, gdyby nie było tam lasów?

- Są tam także miasta - mówił młody marzyciel - cudne miasta, mieniące się wszystkimi kolorami tęczy, z szafirowymi wieżami i świątyniami złotymi jak zachodzące słońce. Zbudowano je ze złota i brylantów, ulice wysadzone brylantami lśnią niczym gwiazdy. Na skwerach kryształowe fontanny odbijają w kroplach światło, a wszędzie kwitną niebiańskie kwiaty złotogłowu.

- Cudowne! - powiedziała Mary. - Byłam raz w Charlottetown i widziałam główną ulicę. Jest piękna, ale nawet nie umywa się do tych niebiańskich ulic. Jak tak opowiadasz, to wszystko brzmi wspaniale, ale czy w niebie nie jest przypadkiem trochę... nudno?

- Ach, myślę, że robi się wesoło, jak jakiś anioł przewróci się na plecy - śmiała się Faith.

- W niebie jest bardzo zabawnie - oświadczyła Di.

- Biblia nic na ten temat nie mówi - powiedziała Mary, która każdego niedzielnego popołudnia czytała Biblię pod okiem panny Kornelii, uważała się więc za eksperta w tej dziedzinie.

- Mama mówiła, że Biblia przemawia symbolami - odezwała się Nan.

- Czy to znaczy, że to, co tam jest napisane, to nieprawda? - z nadzieją pytała Mary.

- No nie, niezupełnie. Myślę, że to znaczy, że niebo jest takie, jak byśmy chcieli, żeby było.

- To ja bym chciała - rzekła Mary - żeby niebo przypominało Dolinę Tęczy. I żebyście byli tam wy wszyscy, żebyśmy mogli się razem bawić i śmiać. To by mi zupełnie wystarczyło. Zresztą, po co martwić się teraz o niebo? I tak dostaniemy się tam dopiero po śmierci. Idzie Jim z całą furą pstrągów, a dziś moja kolej na smażenie.

- Jako dzieci pastora powinniśmy wiedzieć o niebie więcej niż Walter - powiedziała Una, kiedy wracały wieczorem do domu.

- Wiemy akurat tyle, ile trzeba, a Walter umie sobie to wyobrazić - powiedziała Faith.

- Pani Elliott mówi, że to dar po matce.

- Jaka szkoda, że tak strasznie pomyliłyśmy się z tą niedzielą - westchnęła Una.

- Nic się nie martw. Mam wspaniały plan - powiedziała Faith. - Wyjaśnię wszystkim, co się wydarzyło, tylko muszę poczekać do jutra.

WYJAŚNIENIE I ODWAGA

Następnego dnia, podczas wieczornego nabożeństwa, kazanie w kościele w Glen St. Mary wygłaszał wielebny Cooper. Do kościoła zjechało mnóstwo ludzi z okolicy i z daleka. Pastor Cooper miał opinię wspaniałego kaznodziei, a ponieważ zawsze postępował zgodnie z zasadą, że pastor zabiera do miasta najlepsze ubrania, a na wieś najlepsze kazania, wygłosił piękną, pouczającą mowę. Jednak parafianie, którzy wracali do domów po wieczornym nabożeństwie, wcale nie rozmawiali o wielebnym Cooperze i jego kazaniu. Zupełnie o nim zapomnieli.

Pastor Cooper zakończył swoje kazanie, spoglądając przenikliwie spod krzaczastych brwi i żarliwie wzywając: „Módlmy się” - z czego znany był w całej okolicy. Zapadła chwila ciszy na bezgłośną modlitwę. Nastąpiła króciutka przerwa, nim podnieśli się Karol Baxter i Tomasz Douglas, którzy zbierali na tacę. W kościele w Glen St. Mary zbierano ofiarę, zgodnie z prawnym obyczajem, po kazaniu. Prezbiterianie nie poddali się nowemu zwyczajowi zbierania ofiary przed kazaniem - przede wszystkim dlatego, że obyczaj ten obowiązywał w kościele metodystów. Panna Kornelia i Abraham Clow nie chcieli nawet słyszeć o tym, by jakikolwiek zwyczaj przejść od metodystów. Organista skończył antyfonę, a chór przygotowywał się do rozpoczęcia pieśni, chrząkając i pokaszując. Właśnie w tym momencie podniosła się z ławki Faith Meredith, podeszła do ambony i stanęła twarzą w twarz z tłumem zdziwionych ludzi.

Panna Kornelia aż uniosła się w swojej ławce, po czym usiadła z powrotem. Jej ławka stała w głębi kościoła, toteż panna Kornelia stwierdziła, że cokolwiek Faith zamierza zrobić czy powiedzieć, zdąży to uczynić przynajmniej w połowie, nim ona zdoła ją powstrzymać. Nie było więc sensu pogarszać i tak już groźnej sytuacji. Rzucając jedno udręczone spojrzenie pani doktorowej Blythe, a drugie diakonowi Warrenowi z kościoła metodystów, zrezygnowana panna Kornelia przygotowała się na kolejny skandal.

- Gdyby była chociaż porządnie ubrana - pomyślała w duchu.

Faith, która swoją najlepszą sukienkę zaplamiła atramentem, nie martwiąc się wcale założyła starą, z wyblakłym, różowym wzorkiem. Oberwany brzeg sukienki został tylko sfastrygowany ciemnoczerwoną nitką, i to tak niezręcznie, że widać było kolorowy pasek w jego dawnych, nie wypłowiałych jeszcze barwach. Faith nie myślała jednak o swoim wyglądzie. Nagle ogarnął ją strach. To, co w wyobraźni wydawało się takie łatwe, w

rzeczywistości wyglądało zupełnie inaczej. Patrzący na nią pytająco chyba ze sto par oczu i Faith poczuła, że opuszczają całą odwagę. Lampy świeciły zbyt jasno, a cisza w kościele wydawała się taka przerażająca. Przez chwilę pomyślała, że nie wykrztusi ani jednego słowa. Ale przecież musiała TO powiedzieć, musiała oczyścić ojca z wszelkich zarzutów. Żeby tylko udało jej się znaleźć właściwe słowa...

Widziała błagalny wyraz oczu lśniących w pobladłej twarzyczce Uny, która siedziała w ich ławce. Dzieci Blythe'ów patrzyły na nią ze zdumieniem. W głębi kościoła, pod samym chórem, spostrzegła uroczy, słodki i życzliwy uśmiech panny Róży West oraz rozbawioną twarz jej siostry, Heleny. Jednak żadne z tych spojrzeń nie dodało jej odwagi. Sytuację uratował Bertie Shakespeare Drew. Bertie siedział w pierwszej ławce na chórze i na widok Faith zrobił jedną ze swych prześmiewczych min. Dziewczynka natychmiast odpowiedziała mu strasliwym grymasem, bo rozżłościło ją, że Bertie ją przedrzeźnia. Złość na Bertiego sprawiła, że Faith zapomniała o tremie. Kiedy zaczęła mówić, jej głos brzmiał czysto, donośnie i śmiało.

- Chciałabym coś wyjaśnić - powiedziała - i chciałabym to zrobić właśnie teraz, żeby usłyszeli mnie ci wszyscy, którzy już coś usłyszeli. To znaczy to, że Una i ja w zeszłą niedzielę nie poszłyśmy do kościoła, żeby posprzątać nasz dom. Prawda, że to zrobiliśmy, ale właściwie nie zrobiliśmy. Pomyliły się nam dni. I to przez pana Baxtera - w ławce Baxterów widać było niezwykle poruszenie - bo to on przeniósł zebranie na środę wieczór. Więc myślałyśmy, że czwartek to piątek, piątek to sobota, a sobota to niedziela. Karol leżał w łóżku chory, tak jak ciocia Marta, no i nie mogli wyprowadzić nas z błędu. W sobotę, kiedy tak lało, poszłyśmy do szkoły niedzielnej, ale nikt nie przyszedł. Wtedy postanowiłyśmy z Uną, że w poniedziałek posprzątamy plebanię, żeby już żadna stara plotkara - teraz poruszenie widać było w całym kościele - nie mówiła, że w naszym domu jest brudno. No i tak zrobiliśmy. Trzepałam dywaniki na cmentarzu metodystów nie dlatego, że nie szanuję zmarłych, ale dlatego, że to wygodne miejsce. I to przecież nie trupy się na to oburzyły, ale ci, co jeszcze żyją. I nie ma racji nikt, kto wini za to naszego tatę, bo on wyjechał, więc nic o tym nie wiedział, a poza tym my myślałyśmy, że jest poniedziałek. A nasz tata jest najlepszym tatą na świecie i my wszyscy kochamy go z całej siły.

Faith nagle straciła całą śmiałość i rozsłochała się. Zbiegła ze schodów i uciekła z kościoła bocznymi drzwiami. Ogarnął ją ciepły, przyjazny mrok wieczoru, rozjaśniony migotaniem gwiazd, kojąc cały ból, osuszając łzy i uciszając szloch. Poczuła się bardzo, bardzo szczęśliwa. Miała za sobą to okropne wyjaśnienie i teraz wszyscy wiedzą, że to nie

była wina taty, i że ona i Una nie są aż tak nieznośne, żeby specjalnie urządzać w niedzielę wielkie sprzątanie.

Ludzie w kościele spoglądali na siebie z ogromnym zdziwieniem. Jedynie Tomasz Douglas wstał i ruszył wzdłuż nawy. On znał swój obowiązek: choćby się waliło i paliło, trzeba zebrać ofiarę. Potem chór zaintonował kolejną pieśń, ale nieco mniej pewnie niż zwykle. Wielebny Cooper, żegnając wiernych, błogosławił ich z mniejszym namaszczeniem. Doktor Cooper był człowiekiem nie pozbawionym poczucia humoru i wystąpienie Faith szczerze go ubawiło. Poza tym Jan Meredith był dobrze znany w kręgach prezbiteriańskich duchownych.

Wielebny Meredith wrócił do domu następnego popołudnia, ale przedtem Faith udało się wywołać kolejny skandal na całe Glen. Po przeżyciach niedzielного wieczoru, po dniu wypełnionym strachem i zdenerwowaniem, w poniedziałek obudziła się tryskająca energią oraz tym, co panna Kornelia zwykła była nazywać „szatańską pomysłowością”. To ona właśnie doprowadziła do tego, że Walter Blythe przejechał główną ulicę Glen galopując na świni, tuż obok Faith, dosiadającej takiego samego wierzchowca.

Te dwie świny - spore stworzenia o zapadniętych bokach, które stanowiły własność ojca Bertiego Shakespeara Drewa - włączyły się przez kilka tygodni przy drodze wokół plebanii. Walter nie miał wielkiej ochoty na jazdę na świni przez Glen St. Mary, ale nie potrafił oprzeć się namowom Faith. Dwoje jeźdźców popędziło w dół wzgórza, a potem pogalopowało przez wieś - Faith była zgięta wpół od niepohamowanego śmiechu, jaki wzbudził w niej niezwykle wierzchowiec; policzki Waltera płonęły ze wstydu. Na drodze minęli wielebnego pastora, który szedł właśnie ze stacji, a był tego dnia nieco mniej zamyślony i roztargniony niż zwykle - przyczyną tego chwilowego przebudzenia była rozmowa, przeprowadzona w pociągu z panną Kornelią. Ta kobieta zawsze przywracała go na moment do rzeczywistości, zauważył więc dzieci na świniach i pomyślał, że będzie musiał zwrócić uwagę Faith na niestosowność takiego zachowania. Nim jednak Jan Meredith dotarł do drzwi plebanii, zdążył już zupełnie zapomnieć o tym zabawnym zdarzeniu.

Walter i Faith przegalopowali także obok pani Davis, która na ich widok wrzasnęła z przerażenia, minęli też Różę Westta z kolei roześmiała się i westchnęła. W końcu zatrzymali się, tuż przed tylnym wejściem do gospodarstwa państwa Drewów, w którym oba zwierzęta zniknęły, aby nigdy już nie pokazać się światu - gdyż szok, jakiego doznały, był zbyt wielki. Dzieci zeskoczyły ze świńskich grzbietów akurat w chwili, gdy drogą przejeżdżał powóz państwa Blythe'ów.

- Więc to tak wychowujesz moich synów - powiedział Gilbert do Ani, udając surowość.

- Och, może są nieco rozpuszczeni - powiedziała ze skrucą Ania - ale wiesz, Gilberte, kiedy przypomnę sobie moje dzieciństwo, nim przybyłam na Zielone Wzgórze, nie potrafię być dla nich surowa. Jakaż byłam wtedy spragniona miłości, jak bardzo tęskniłam za jedną radosną chwilą! Byłam nie kochanym, bezdomnym stworzeniem, które nigdy nie zaznało smaku beztroskiej zabawy. A oni właśnie tego szukają razem z dziećmi pastora.

- Ale co im zawiniły te nieszczęsne świnię?

Ania bardzo się starała, aby wyglądać na osobę poważną i skruszoną.

- Czy sądzisz, że dzieci wyrządziły im jakąś krzywdę? - spytała. - Nie wydaje mi się, by cokolwiek mogło zaszkodzić tym paskudnym stworom. Tego lata są prawdziwym utrapieniem całej okolicy, ale nikt nie był w stanie skłonić Drewów, żeby zamknęli je w zagrodzie. Oczywiście, przeprowadzę z Walterem poważną rozmowę, o ile zdołam powstrzymać się od śmiechu.

Tego popołudnia Złoty Brzeg odwiedziła panna Kornelia, aby dać upust emocjom, związanym z wydarzeniami poprzedniego wieczora. Ku swemu zdumieniu odkryła, że Ania widzi postępek Faith w całkiem innym świetle niż ona.

- Uważam - mówiła Ania - że to bardzo odważne i niezwykle wzruszające, że zdecydowała się stanąć przed kościołem pełnym ludzi i przyznać się do błędu. Wyglądała na śmiertelnie przerażoną, a jednak zdobyła się na to, by bronić ojca. Podziwiam ją za to.

- No tak, oczywiście, to biedne dziecko miało szlachetne intencje - westchnęła panna Kornelia - ale to, co zrobiła, było po prostu straszne. Ludzie gadają teraz jeszcze więcej, niż po niedzielnych porządkach. Tamte komentarze zaczęły już powoli cichnąć, a tu masz, babo, placek, wszystko zaczęło się od nowa. Róża West myśli tak samo, jak i ty - wczoraj wieczorem, kiedy wychodziła z kościoła, powiedziała, że Faith zachowała się niezwykle odważnie, jak na dziecko w jej wieku. Mówiła też, że bardzo było jej żal dziewczynki. Zaś Helena West potraktowała to jak dobry żart i powiedziała, że od lat tak dobrze nie bawiła się w kościele. No tak, ale ich to nic nie obchodzi, należą w końcu do kościoła anglikańskiego. Obchodzi jednak nas, prezbiterian, zwłaszcza że w kościele było tylu przyjezdnych i tłum metodystów! Pani Crawford tak się przejęła, że zaczęła płakać. A pani Davis powiedziała, że takie zuchwalstwo należałoby ukarać porządnym laniem.

- Pani Crawford zawsze płacze w kościele - pogardliwie oznajmiła Zuzanna. - Wzrusza się przy każdym kazaniu. Za to na liście składek rzadko można znaleźć jej nazwisko, kochana pani doktorowo. Łzy wychodzą taniej. Któregoś dnia próbowała mnie zagadać na

temat ciotki Marty i jej marnego gospodarowania i już miałam na końcu języka: „O ile mi wiadomo, to właśnie panią widziano, jak wyrabiała pani ciasto w kuchennym zlewie, pani Crawford!” Nie powiedziałam tego, kochana pani doktorowo, tylko dlatego, że nazbyt się szanuję, aby wdawać się w pogawędki z takimi, jak ona. Gdybym miała skłonność do plotek, opowiedziałabym wam jeszcze gorsze rzeczy o tej pani Crawford. Co zaś się tyczy pani Davis, to gdybym była przy tym, kochana pani doktorowo, wie pani, co bym jej odpowiedziała? Powiedziałabym tak: „Nie wątpię, szanowna pani Davis, że z przyjemnością zbiłaby pani małą Faith, na szczęście nigdy nie będzie pani miała okazji, by tknąć córkę pastora - ani na tym świecie, ani na tym, który dopiero nadejdzie”.

- Gdybyż ta nieszczęsna Faith była chociaż przyzwoicie ubrana - panna Kornelia znów zaczęła lamentować - nie wypadłoby to tak źle. Ale kiedy stanęła przed wszystkimi, jej sukienka wyglądała tak nędznie.

- Ale czyściutko, kochana pani doktorowo - wtrąciła Zuzanna. - To bardzo schludne dzieci. Są może trochę szalone i nie wychowane, temu nie przeczę, kochana pani doktorowo, ale za to uszy mają zawsze czyste.

- Pomyśleć tylko, że Faith pomyliła niedzielę z sobotą - nie ustępowała panna Kornelia. - Przecież ona wyrośnie na osobę równie niepraktyczną i beztroską, jak jej ojciec. Myślę, że gdyby Karol nie był chory, na pewno nie doszłoby do tej pomyłki. Nie wiem, co mu było, ale przypuszczam, że najadł się borówek rosnących na cmentarzu. Nic też dziwnego, że się rozchorował. Gdybym była metodystką, zadbałabym o wygląd swojego cmentarza.

- A ja sądzę, że Karol po prostu najadł się szczawiu, rosnącego przy płocie - z nadzieją odezwała się Zuzanna. - Nie wydaje mi się, aby syn pastora był zdolny do wyjadania borówek, rosnących w miejscu spoczynku nieboszczyków. Jedzenie tego, co rośnie przy płocie, kochana pani doktorowo, nie jest tak naganne.

- Najgorsze w tym wczorajszym zamieszaniu było to, że zanim Faith zaczęła mówić, wykrzywiła się okropnie do kogoś w kościele - mówiła panna Kornelia. - Pan Clow zaklina się, że to do niego robiła takie miny. A czy słyszałaś, Aniu złociutka, że dziś widziano ją jeżdżącą na świni?

- Sama ją widziałam. Był z nią Walter. Dałam mu za to małą burę, naprawdę bardzo niedużą. Niewiele mówił, ale odniosłam wrażenie, że był to jego pomysł, nie Faith.

- No, kochana pani doktorowo - wykrzyknęła Zuzanna, podnosząc w górę obie ręce - w coś takiego to ja nigdy nie uwierzę! Walter już taki jest, że całą winę bierze na siebie, ale, kochana pani doktorowo, temu szlachetnemu chłopcu nie przysłoby nawet do głowy, żeby wsiąść na świnię. Mimo że pisze wiersze.

- No, ja nie mam żadnych wątpliwości, że ten szaleńczy pomysł zrodził się w głowie Faith Meredith - powiedziała panna Kornelia. - I prawdę mówiąc, wcale nie szkoda mi tych starych świń Amosa Drewa, bo wreszcie dostały przyzwoitą nauczkę. No, ale żeby córka pastora...!

- I syn lekarza! - dodała Ania, naśladując ton panny Kornelii. Wybuchnęła śmiechem.
- Kochana panno Kornelio, przecież to tylko małe dzieci. I sama pani wie, że nigdy nie zrobiły nikomu krzywdy. One po prostu kipią pomysłami, są impulsywne i szalone - ja też kiedyś taka byłam. Wyrosną, staną się poważne i rozsądne, jak ja.

Panna Kornelia także się roześmiała.

- Aniu złociutka, kiedy czasem spojrzę ci w oczy, widzę, że ten twój rozsądek jest jak założony na chwilę strój, bo w głębi duszy palisz się do tego, żeby zrobić coś szalonego i nieodpowiedzialnego - jak dziecko. Cóż, dodałaś mi otuchy. Rozmowa z tobą, kochanie, zawsze podnosi mnie na duchu. Odwrotnie niż rozmowa z Barbarą Samson. Ile razy ją spotkam, zawsze wydaje mi się, że wszystko idzie źle, a będzie jeszcze gorzej. Choć, oczywiście, trudno się uśmiechać, jeśli spędza się całe życie z kimś takim, jak Joe Samson.

- To bardzo dziwne, jak się pomyśli, że Barbara wyszła za Joe'go Samsona, skoro miała tylu starających - zauważyła Zuzanna. - Jako młoda dziewczyna cieszyła się ogromnym powodzeniem. Lubiła się przechwalać, że miała dwudziestu jeden kandydatów na męża, nie licząc pana Pethicka.

- Kim był pan Pethick?

- Był jednym z jej wielbicieli, ale nie miał poważnych zamiarów, kochana pani doktorowo. Pomyśleć tylko: miała dwudziestu jeden starających się, a ja ani jednego! Ale Barbara szukała patyków w lesie pełnym drzew. I w dodatku ludzie gadają, że jej mąż piecze lepsze bezy niż ona, więc zawsze jak mają gości na podwieczorku, on piecze ciastka.

- Co przypomina mi, że jutro ja mam gości na podwieczorku i muszę wracać do domu, żeby upiec chleb - powiedziała panna Kornelia. - Wprawdzie Mary powiedziała, że ona mogłaby to zrobić i z pewnością potrafiłaby, ale póki żyję i mogę się ruszać, sama będę piekła swój chleb, możecie mi wierzyć.

- A jak Mary się sprawuje? - zapytała Ania.

- Muszę przyznać, że całkiem nieźle - odparła panna Kornelia dość ponuro. - Trochę przytyła, jest schludna i bardzo grzeczna. Choć czuję, że nie przeniknęłam jej skrytej duszy. To spryciara. Choćbyś tysiąc lat kopła, i tak nie dokopiesz się do tego, co kryje na dnie serca, możesz mi wierzyć! Ale jest nieprawdopodobnie pracowita. Wprost rzuca się na robotę. Pani Wiley mogła być dla niej okrutna, ale na pewno nie można powiedzieć, że zmuszała ją

do pracy. Ona sama się do niej rwie. Czasem się zastanawiam, co zdoła szybciej zużyć: język czy nogi. Ostatnio nie mam właściwie nic do roboty, a to niedobrze, bo brak pracy sprzyja popełnianiu głupstw. Dlatego poczuję się szczęśliwsza, jak rozpocznie się szkoła - wtedy będę mogła coś zrobić w domu. Wprawdzie Mary nie chce chodzić do szkoły, ale nie zamierzam ustąpić - powiedziałam, że musi. Nie pozwolę sobie na to, żeby metodyści mówili, że nie puszczam dziecka do szkoły, żeby pławić się w bezczynności.

DOM NA WZGÓRZU

W jednym z najodleglejszych zakątków Doliny Tęczy, tuż obok bagna, znajdowało się niewielkie źródło z krystalicznie czystą, zimną jak lód wodą. Rząd smukłych brzoź chronił je przed ludzkim wzrokiem, więc niewielu mieszkańców Glen wiedziało o jego istnieniu. Znały je, oczywiście, dzieci ze Złotego Brzegu i dzieci pastora - dla nich magiczna dolina nie miała żadnych tajemnic. Zachodziły tu czasem, aby napić się wody, a w wielu zabawach źródło stawało się romantyczną fontanną. Znała je też Ania, znała i kochała, gdyż przypominało jej ukochaną Fontannę Driad z Zielonego Wzgórza. Znała je także Róża West - dla niej było to prawdziwe źródło miłości. Przed osiemnastu laty usiadła tu pewnego wiosennego wieczoru z Marcinem Crawfordem, który opowiedział jej o swym gorącym, młodzieńczym uczuciu. Na jego wyznanie odpowiedziała, szepcząc cicho o własnej miłości - wtedy pocałowali się po raz pierwszy i przyrzekli sobie wierność. Nigdy więcej nie spotkali się już przy źródle - Marcin wkrótce wyruszył w swój ostatni rejs. Dla Róży West ten zakątek na zawsze pozostał wyjątkowym miejscem, świętym miejscem nieśmiertelnej godziny miłości i młodości. Ilekroć znalazła się w pobliżu, zawsze pojawiała się tu, na potajemnym, miłosnym spotkaniu ze swymi młodzieńczymi marzeniami, które dawno już przestały sprawiać jej ból, niosąc z sobą tylko niezapomnianą słodycz odwzajemnionej miłości.

Niełatwo było odnaleźć to źródło. Można było przechodzić pięć metrów dalej i nawet nie podejrzewać jego istnienia. Kiedy żyli jeszcze pradziadkowie dzisiejszych mieszkańców Glen, przewróciła się na nie ogromna, wiekowa sosna. Z drzewa pozostał tylko potężny, spróchniały pień, z którego wyrastały strumienie zielonych paproci, tworząc gęste, ażurowe sklepienie nad krystaliczną wodą. Tuż obok rośło drzewo klonu, o fantastycznie poskręcanym, wykrzywionym pniu, który - nim wystrzelił w górę - przywarł krótkim odcinkiem tuż przy ziemi, tworząc niezwykłą ławeczkę. Wrzesień ozdobił to zaciszne ustronie błękitnymi astrami.

Pewnego wieczoru Jan Meredith wracał z jakiejś kościelnej wizyty za przystanią i skrócił sobie drogę, idąc przez Dolinę Tęczy. Postanowił zboczyć trochę, aby napić się wody z ukrytego źródła. Dowiedział się o nim zaledwie kilka dni wcześniej - pewnego popołudnia pokazał mu to miejsce Walter Blythe, z którym uciął sobie długą pogawędkę na klonowym siedzisku. Jan Meredith, pod osłoną nieśmiałości i roztargnienia, krył duszę małego chłopca. Nikt w całym Glen nie uwierzyłby, że kiedy był dzieckiem, nazywano go

Jankiem. Pastor i Walter przypadli sobie do gustu i rozmawiali jak równy z równym. Jan Meredith dotarł do najbardziej sekretnych myśli i pragnień, ukrytych na samym dnie serca Waltera - tych, o których istnieniu nie wiedziała nawet Di. W ciągu tej jednej, szczególnej godziny zostali prawdziwymi przyjaciółmi i Walter wiedział już, że nigdy więcej nie będzie czuł lęku przed pastorem.

- Nigdy bym nie przypuszczał, że można się zaprzyjaźnić z pastorem - powiedział matce tego wieczora.

Jan Meredith zaczerpnął wody swoją szczupłą, białą dłonią, której żelazny uścisk zawsze zaskakiwał ludzi nie znających pastora, napił się i usiadł na pniu klonu. Nie spieszyło mu się, miejsce było piękne, a on potrzebował chwili odpoczynku po dniu pełnym banalnych rozmów z mnóstwem ludzi - bardziej i mniej rozgarniętych. Na niebie właśnie wschodził księżyc. Dolina Tęczy w tym odległym zaciszu grała tylko szumem wiatru i lśniła promieniami gwiazd, ale z jej przeciwległego krańca dobiegało echo radosnych, dziecięcych głosów.

W świetle księżycy uroda bladych astrów zdawała się niemal niebiańska, a migotliwy blask źródełka, jego łagodny, wodny szept i szeleszczący wdzięk paproci rzuciły magiczny czar na serce Jana Mereditha. Zupełnie zapomniał o parafialnych sporach i problemach duchowych; ta czarodziejska chwila zdjęła z niego brzemię przeżytych lat - na powrót stał się młodym studentem teologii, a czerwcowe, purpurowe róże emanowały cudownym zapachem na ciemnej, królewsko pięknej głowie jego Cecylii. Siedział rozmarzony jak młodzieniec. I w tej właśnie szczęśliwej chwili Róża West skrzyła ze ścieżki i stanęła obok niego przy cudownym źródełku o niebezpiecznej, magicznej mocy. Kiedy podeszła bliżej, pastor wstał i - choć widział ją przecież już przedtem - zobaczył ją naprawdę po raz pierwszy w życiu.

Jan Meredith raz czy dwa spotkał Różę West w kościele i powitał ją roztargnionym podaniem ręki. Pastor witał tak każdego, kogo napotkał w nawie, idąc w stronę ołtarza. Nie widywał jej przy innych okazjach - rodzina Westów należała do anglikańskiej parafii w Lowbridge, nigdy więc nie nadarzyła się okazja, by odwiedzić siostry w domu na wzgórzu. Gdyby ktokolwiek zapytał wcześniej Jana Mereditha, jak wygląda Róża West, pastor nie potrafiłby udzielić odpowiedzi. Aż do dzisiejszego wieczoru. Dziś, w cudownym świetle księżycy, nad źródełkiem, jawiła mu się taka, jaką miał zapamiętać na zawsze.

Róża West w niczym nie przypominała Cecylii, która była dla niego ideałem kobiecej urody. Żona pastora była ciemnowłosą, niewysoką osobką, tryskającą energią - Róża była wysoką blondynką i emanował od niej pogodny spokój. Jan Meredith pomyślał jednak, że nigdy w życiu nie widział równie pięknej kobiety.

Była bez kapelusza i jej złote włosy - których barwa kojarzyła się Di Blythe z kolorem miodowych toffi ze świeżej melasy - upięte były dookoła głowy niczym połyskliwa korona. Miała ogromne, błękitne oczy, zawsze pogodne i promieniejące życzliwym ciepłem, wysokie, jasne czoło i regularne rysy twarzy.

Wszyscy nazywali ją „słodką istotą”. Miała w sobie tyle wdzięku, że mimo jej wysokiego pochodzenia i zamożności, nikt nigdy nie powiedział, że „zadziera nosa”, co wobec każdej innej osoby byłoby w Glen St. Mary nieuniknione. Życie nauczyło ją, jak być odważną i cierpliwą, jak kochać i jak wybaczać. Kiedy statek z jej ukochanym na pokładzie wypływał z Czterech Wiatrów wprost, zdawałoby się, ku zachodzącemu słońcu, żegnało go jej spojrzenie. Jednak, choć długo wpatrywała się w horyzont, nie udało się Róży doczekać jego powrotu. Może właśnie to czekanie, na którym upłynęła jej cała młodość, sprawiło, że wciąż wyglądała jak młoda dziewczyna. Może właśnie dlatego zdołała zachować świeże, wspaniałe zadziwienie światem, z którego większość z nas wyrasta, kiedy przestajemy być dziećmi - zadziwienie to sprawiło, że nie tylko Róża czuła się młodo, ale każdemu, z kim rozmawiała, zdawało się, że nagle odmłodziła.

Urok Róży zaskoczył Jana Mereditha. Ona zaś była zdziwiona jego obecnością. Nie przypuszczała, że mogłaby kogokolwiek spotkać nad tym zapomnianym źródłem, a już na pewno nie tego odludka z plebanii w Glen St. Mary. Omal nie wypuściła z rąk ciężkiego stosu książek, które właśnie wypożyczyła z biblioteki, lecz zaraz - by ukryć zmieszanie - uciekła się do jednej z tych kobiecych sztuczek, po jakie sięgają nawet najzacniejsze z pań.

- Ja... Zachciało mi się pić - powiedziała, jękając się lekko, w odpowiedzi na pełne powagi: „Dobry wieczór, panno West”, jakim przywitał ją pastor. W tym momencie poczuła się jak głupia gaska i najchętniej potrząsnęłaby sama sobą. Jan Meredith nie grzeszył próżnością, wiedział więc, że gdyby na jego miejscu znajdował się stary pan Clow, panna West byłaby równie zmieszana - gdyż nie spodziewała się zastać kogokolwiek w tym ustroniu. Jej zmieszanie sprawiło, że zapomniał o własnej nieśmiałości, a poza tym nawet najbardziej wstydliwemu mężczyźnie zdarza się czasem, że w świetle księżyca zmienia się w prawdziwego śmiałka.

- Pozwoli pani, że podam jej kubeczek - powiedział z uśmiechem. Rzeczywiście, dzieci z Doliny Tęczy schowały pod klonem błękitną, obtłuczoną filizankę bez uszka, jednak pastor nie miał pojęcia o jej istnieniu. Podeszedł zatem do jednego z brzozowych pni i zerwał z niego niewielki pas białej kory. Zręcznym ruchem uformował korę w naczynie o trzech rogach, nappełnił je źródlaną wodą i podał Róży.

Róża wzięła kubeczek z kory i wypila wodę do ostatniej kropli, choć wcale nie była spragniona. Wypicie sporego naczynia, kiedy nie chce się wcale pić, to ciężka próba, ale Róża postanowiła ponieść wszelkie konsekwencje swego niemądrego zachowania. Wspomnienie tego miało się jednak okazać bardzo przyjemne. Wiele lat później porównywała tę chwilę do tajemniczego misterium - zapewne ze względu na to, co zrobił pastor, kiedy panna West oddała mu naczynie z kory. Jan Meredith napełnił je znów wodą ze źródła i wypił. Musiał to oczywiście być przypadek, że pijąc przyłożył usta dokładnie w tym samym miejscu, z którego wcześniej piła ona. Zdarzenie to wywarło jednak na Róży duże wrażenie. Oboje pili z tego samego kubka! Dobrze pamiętała słowa jednej ze swoich wiekowych ciotek, że jeśli dwoje ludzi pije z tego samego naczynia, ich losy splatają się na zawsze, na dobre i na złe.

Jan Meredith niepewnie obracał w dłoniach kubek. Nie bardzo wiedział, co z nim zrobić. Zdrowy rozsądek nakazywałby go wyrzucić, ale jakoś nie mógł się na to zdobyć. Róża wyciągnęła rękę po kubek.

- Czy mogłabym go zatrzymać? - spytała. - Tak z pewnością pan go zrobił. Od kiedy, przed wielu laty, zmarł mój mały braciszek, nie widziałam, żeby ktokolwiek potrafił zrobić brzozy kubeczek.

- Nauczyłem się je robić, kiedy sam byłem małym chłopcem. Pokazał mi tę sztuczkę pewien stary myśliwy, z którym wyprawiałem się do lasu - powiedział pastor. - Pozwoli pani, panno West, że poniosę te książki?

Róża znów się zmieszała i, krygując się, skłamała, że, ach, wcale nie są takie ciężkie. Mimo to pastor wziął je od niej stanowczym, nie znoszącym sprzeciwu gestem i dalej poszli razem. Po raz pierwszy w życiu Róża West stanęła nad źródłem, nie poświęcając ani jednej myśli Marcinowi Crawfordowi. Pryśł czar tajemnych spotkań z przeszłością.

Poszli wąską ścieżką, wijącą się obok bagien, a potem zagłębili się w las, rosnący na wzgórzu, na szczycie którego stał dom Róży West. Przez gałęzie drzew prześwitywał księżycowy blask, oświetlając rozległe, płaskie pola, wyłoczone latem. Ścieżka przez las był wąska i mroczna. Otaczała ją gęstwina drzew, a drzewa po zmroku wydają się mniej przyjazne ludziom niż w świetle dnia. Sprawiają wrażenie, jakby zamykały się przed nami. Szepczą coś tajemniczo i groźnie. Jeśli nawet wyciągają w naszą stronę ramiona, to ich dotyk jest badawczy i niemal wrogi. Ludzie, którzy nocą wędrują wśród drzew, mimowolnie, instynktownie, starają się trzymać blisko siebie, zawierając duchowy i fizyczny sojusz, by bronić się przed nieznana siłą, która otacza ich ze wszystkich stron. Suknia Róży ocierała się lekko o ubranie Jana Mereditha. Nikt, nawet roztargniony pastor, który wierzył wprawdzie, że przeżył już jedyną miłość swego życia, ale był - bądź co bądź - młodym mężczyzną, nie

zdołałby się oprzeć urokowi tej nocy, dróżki wśród drzew i pięknej kobiety, idącej obok niego.

Nigdy nie należy sądzić, że przeżyliśmy już w życiu wszystko. To niebezpieczne. Kiedy myślimy, że nasza opowieść właśnie się skończyła, ślepy los odwraca stronicę, by otworzyć przed nami następny rozdział. Tych dwoje także myślało, że ich serca nieodwołalnie należą do przeszłości, ale obojgu sprawił wielką przyjemność spacer po lesie na wzgórzu. Róża odkryła, że pastor z Glen St. Mary nie jest takim nieśmiałym milczkiem, za jakiego uchodzi. Swobodna, miła rozmowa przychodziła mu bez trudu. Gospodynie z Glen byłyby bardzo zaskoczone, gdyby słyszały słowa wielebnego. No tak, ale gospodynie z Glen rozmawiały o cenach jajek albo obgadywały bliźnich, a żaden z tych tematów nie interesował Jana Mereditha. Opowiadał Róży o książkach, o muzyce i o wieściach z dalekiego świata, mówił jej także trochę o swoim życiu, odkrywając w niej życzliwą i pojętną słuchaczkę. W trakcie rozmowy okazało się, że panna West ma książkę, której pastor nie znał, a bardzo chciał przeczytać. Zaproponowała więc, aby wszedł z nią do domu i pożyczył ją. Tak oto Jan Meredith po raz pierwszy przekroczył próg domu na wzgórzu.

Szary dom był już dosyć stary, obrosnięty winoroślą, przez którą prześwitywało światło z salonu. Siedziba panien West górowała nad całym Glen, z jej okien rozpościerał się widok na srebrzącą się w świetle księżyca przystań, na piaszczyste wydmy i szumiący ocean. Do domu wchodziło się przez ogród, w którym zawsze pachniało różami, nawet wtedy, gdy kwiaty nie kwitły. Przy samej furtce rosły dwie bliźniacze kępy lilii, wzdłuż ścieżki ciągnęły się długie, wąskie rabatki, pełne astrów, a za domem, na skraju wzgórza, widać było szpaler smukłych jodeł.

- Kiedy staje pani na progu, ma pani u stóp cały świat - westchnął z zachwytem Jan Meredith. - Cóż to za widok! Cóż za widok! W Glen czasem czuję się, jakbym się dusił. Tu można oddychać pełną piersią.

- Wieczór jest dziś spokojny - roześmiała się Róża.

- Gdyby wiał wiatr, nie mógłby pan odetchnąć pełną piersią. To bardzo wietrzne miejsce. Ono właśnie powinno nosić nazwę Czterech Wiatrów, a nie port.

- Lubię wiatr - powiedział. - Dni bez wiatru wydają mi się martwe. Mnie wietrzna pogoda budzi - roześmiał się z zażenowaniem. - Spokojne dni sprawiają, że śnię na jawie. Z pewnością słyszała pani o tym, panno West. Jeśli przy następnym spotkaniu nie odezwę się do pani ani słowem, proszę nie brać tego za oznakę złego wychowania. Proszę zrozumieć, że oznacza to tylko zatopienie w myślach, wybaczyć i po prostu odezwać się do mnie.

Gdy weszli do środka, Helena West siedziała w salonie. Na ich widok zdjęła z nosa okulary, odłożyła je na książkę, którą akurat czytała, i spojrzała wzrokiem, w którym zaskoczenie mieszało się z jakimś innym, trudnym do określenia uczuciem. Jednak uścisk jej dłoni był przyjazny, a kiedy Róża poszła poszukać obiecannej książki, pastor usiadł obok Heleny West i wkrótce prowadzili ożywioną rozmowę.

Helena, o dziesięć lat starsza od siostry, była tak do niej niepodobna, że trudno było uwierzyć w ich bliskie pokrewieństwo. Była to mocno zbudowana kobieta, o ciemnych włosach, gęstych, smolistych brwiach i oczach w kolorze chłodnego, szarawego błękitu oceanu. Miała dość surową powierzchowność osoby nieprzystępnej, ale naprawdę była bardzo wesoła, a jej głośny śmiech i przyjemny, łagodny, choć niski głos brzmiały nieco po męsku. Wspomniała kiedyś Róży, że chętnie porozmawiałaby z pastorem z Glen, żeby sprawdzić, czy - przyparty do muru przez kobietę - zdołałby wykrztusić z siebie choć jedno słowo. Teraz skorzystała z okazji i natychmiast skierowała rozmowę na kwestie polityczne. Panna Helena bardzo dużo czytała i akurat pochłaniała tom poświęcony władcy Niemiec, zażądała więc od wielebnego, aby podzielił się z nią swoją opinią o cesarzu.

- To niebezpieczny człowiek - brzmiała odpowiedź.

- Całkowicie się z panem zgadzam! - pokiwała głową panna Helena. - Niech pan zapamięta moje słowa, pastorze Meredith, ten człowiek jeszcze wywoła wojnę. Wprost pali się do walki. On skłóci ze sobą cały świat.

- Jeśli chce pani przez to powiedzieć, że jego jedynym celem jest wywołanie wielkiej wojny, to trudno mi się z panią zgodzić - powiedział pastor Meredith. - Te czasy już dawno minęły.

- Oby to pan miał rację - zagrzmiała panna Helena. - Obawiam się, że dla niektórych ludzi i narodów te czasy nigdy nie miną, bo zawsze znajdzie się ktoś chętny do wywołania jakichś niepokojów. Koniec tysiąclecia nie jest jeszcze taki bliski, pastorze Meredith, i pan zdaje sobie z tego sprawę nie gorzej ode mnie. A co do cesarza, niech pan zapamięta moje słowa, przysporzy on jeszcze światu mnóstwo kłopotów - panna Helena energicznie stuknęła palcem w okładkę książki. - Jeśli nie stłumi się tego w zarodku, narobi kłopotów również nam. Pan tego dożyje, pastorze, i ja, niestety, także. Przekonamy się na własne oczy. Bo kto zdoła go powstrzymać? Powinna to zrobić Anglia, ale nie robi. Proszę mi powiedzieć, pastorze Meredith, kto zdoła go powstrzymać?

Jan Meredith nie potrafił jej odpowiedzieć, ale oboje zatopili się w dyskusji o niemieckim militarystyce. Rozmowa trwała jeszcze długo po tym, jak Róża przyniosła książkę. Róża nie włączyła się do rozmowy, usiadła obok Heleny w bujanym fotelu i w

zamyśleniu głaskała wielkiego, czarnego kota, który usiadł jej na kolanach. Jan Meredith toczył z Heleną West wielką, europejską wojnę, ale częściej patrzył na Różę, niż na jej siostrę. Nie uszło to uwadze Heleny. Kiedy Róża odprowadziła pastora do drzwi i wróciła do salonu, Helena spojrzała na nią z wyrzutem.

- Ten człowiek zamierza cię poślubić, Rózo - oświadczyła.

Róża zadrżała. Słowa Heleny były dla niej jak uderzenie obuchem. Niezwykły nastrój przyjemnego wieczoru prysł w jednej chwili. Nie dopuściła jednak do tego, by Helena spostrzegła, jak bardzo ją dotknęła.

- Nonsens - powiedziała, wybuchając nieco zbyt beztroskim śmiechem. - Ty, Heleno, za każdym krzakiem widzisz mężczyznę, który tylko czeka, by mnie poślubić. A on przez cały wieczór opowiadał mi o swojej żonie, ile dla niego znaczyła i jak pusty wydaje się świat po jej odejściu.

- Może właśnie w ten sposób się zaleca - odrzekła Helena. - Mężczyźni, o ile mi wiadomo, mają różne sposoby. Ale ty, Rózo, musisz pamiętać o swoim przyrzeczeniu.

- Nie muszę o nim pamiętać, tak samo jak nie muszę zapominać - powiedziała Róża zmęczonym głosem. - Ty, Heleno, wciąż zapominasz o tym, że jestem starą panną. Tylko ty, siostrzko, ulegasz złudzeniu, że ciągle jestem młoda, piękna i niebezpieczna. A pastor Meredith chce być najwyżej życzliwym przyjacielem, a może nawet nie. Jeszcze nie dojdzie do plebanii, a już zapomni o naszym istnieniu.

- Nie mam nic przeciwko jego przyjaźni - zgodziła się Helena - o ile na niej poprzestanie. Nigdy nie ufałam wdowcom. Oni nie mają pojęcia o romantyzmie zwyczajnej przyjaźni. Mają złe skłonności. A wracając do tego prezbiteriańskiego pastora, wyjaśnij mi, dlaczego ludzie mówią, że jest taki nieśmiały? On wcale nie jest nieśmiały, najwyżej trochę roztargniony - najlepszy dowód, że nawet nie powiedział mi dobranoc, kiedy ty wstałaś, żeby odprowadzić go do drzwi. Ale on ma głowę na karku. Tu, w okolicy, niewielu jest takich, do których w ogóle warto się odezwać. Miło spędziłam wieczór i z przyjemnością znowu go u nas zobaczę. Pod jednym warunkiem, Rózo - żadnego flirtowania, żadnego!

Róża dobrze znała te ostrzeżenia. Słyszała je zawsze, ilekroć zamieniła kilka słów z jakimkolwiek mężczyzną zdolnym do małżeństwa, od osiemnastolatka do osiemdziesięcioletniego staruszka. Zawsze szczerze bawiły ją słowa siostry. Tym razem było inaczej - zirytowała się. Kto zamierzał flirtować?

- Nie bądź taką prowincjonalną gęsią, Heleno - powiedziała z niezwykłą oschłością, zabierając na górę swoją lampę. Odeszła do swojego pokoju, nie życząc siostrze dobrej nocy.

Helena potrząsnęła głową z powątpiewaniem i popatrzyła na wielkiego, czarnego kota.

- O co ona się tak złości, St. George? - spytała. - Powiadają: „Uderz w stół, a nożyce się odezwą”. Ale ona, George, przyrzekła, a my, Westowie, zawsze dotrzymujemy słowa. Więc jak on chce się zalecać, niech się zaleca. Ale ona obiecała, więc ja nie muszę się martwić.

Róża siedziała w swoim pokoju na górze i długo wyglądała przez okno, patrząc na ogród i daleki, lśniący w świetle księżyca port. Była niespokojna, zupełnie wytrącona z równowagi. Czuła się zmęczona życiem pełnym nie spełnionych marzeń. Nagły podmuch wiatru rozrzucił w ogrodzie ostatnie płatki róż. Lato odchodziło, pospiesznymi krokami zbliżała się jesień.

WIZYTA PANI DAVIS

Jan Meredith wracał do domu powolnym krokiem. Najpierw myślał o Róży, ale zanim dotarł do Doliny Tęczy, zapomniał o niej, gdyż pochłoneły go rozmyślenia o niemieckiej teologii, wywołane rozmową z Heleną West. Nawet nie zauważył, kiedy przeszedł przez Dolinę Tęczy. Urok tajemniczej doliny był zbyt słaby, by przeciwstawić się potędze germańskiej teologii. Gdy przekroczył próg plebanii, pierwsze kroki skierował do swojego gabinetu. Zdjął z półki grubą księgę, aby sprawdzić, kto miał rację - on czy Helena. Rozważanie tego problemu pochłoneło go bez reszty aż do świtu, kiedy wpadł na nowy trop myślowy. Ten okazał się tak fascynujący, że zajął mu kolejny tydzień, dosłownie odgradzając pastora od spraw tego świata, własnej rodziny i parafii. Czytał dniami i nocami, zapominał o posiłkach - jeśli w domu nie było Uny, która sprowadzała go do jadalni - i nie poświęcił nawet jednej myśli Róży ani Helenie. Starsza pani Marshall zza przystani posłała po niego, aby udzielił jej ostatniego namaszczenia, ale jej list leżał nie odpieczętowany na biurku, pokrywając się coraz grubszą warstwą kurzu. Pani Marshall wprawdzie wyzdrowiała, ale do końca swoich dni żywiła urazę do pastora. Kiedy na plebanie przyszła jakaś młoda para z prośbą, by wielbny udzielił im ślubu, pastor Meredith zrobił to nie uczesany, ubrany w spłowiały surdut i domowe kapcie. Na domiar złego zaczął odprawiać obrządek pogrzebowy, a kiedy doszedł do słów: „Z prochu powstałeś i w proch się obrócisz”, zorientował się, że coś tu nie pasuje.

- Dobry Boże - powiedział w roztargnieniu - to dziwne, to bardzo dziwne.

Panna młoda, osoba bardzo nerwowa, wybuchnęła płaczem. Pan młody, pozbawiony nerwów, zaczął chichotać.

- Proszę wybaczyć, pastorze, ale wielbny chciałby nas pochować, a my wolelibyśmy wziąć ślub - powiedział.

- O, przepraszam - odparł pastor Meredith, jakby nie miało to większego znaczenia, i zaczął odprawiać właściwe nabożeństwo. Udzielił młodym ślubu, ale panna młoda do końca życia nie czuła się właściwie zaślubiona.

Po raz kolejny zapomniał o zebraniu modlitewnym - choć tym razem bez konsekwencji, bo tego wieczora padał deszcz i w kościele nikt się nie pojawił. Być może zapomniałby nawet o niedzielnej mszy, gdyby nie pani Davis. W sobotę po południu do gabinetu weszła ciocia Marta, aby powiedzieć pastorowi, że w salonie czeka na niego pani

Davis, która pragnie z nim pomówić. Wielebny westchnął. Pani Davis była jedyną kobietą w całej parafii Glen St. Mary, której Jan Meredith serdecznie nie znosił. Niestety, była również najbogatszą z jego parafianek, więc starszyzna kościelna przestrzegała go wielokrotnie, że nie wolno mu jej urazić. Pastor Meredith rzadko zastanawiał się nad kwestią tak przyziemną, jak jego własna pensja, ale doradcy pastora mieli zmysł praktyczny. Byli też dość sprytni. Udało im się wbić w głowę wielebnego, że nie wolno mu urazić pani Davis, nie wspominając przy tym, że zakaz ten związany jest z pieniędzmi. W przeciwnym wypadku pastor zapomniałby o przybyciu gościa natychmiast po wyjściu cioci Marty. Tymczasem, zirytowany nieco, wielebny położył tom Ewalda do góry grzbietem i udał się do salonu.

Pani Davis rozsiadła się na sofie z ponurą miną i pogardliwie rozglądała się dookoła.

Taki salon to po prostu skandal! Bez zasłon na oknach. Pani Davis nie mogła wiedzieć, że dzień wcześniej Faith i Una zdjęły zasłony, gdyż potrzebna im była kurtyna do przedstawienia teatralnego, a potem zapomniały je zawiesić. Gdyby wiedziała, co przydarzyło się zasłonom, jej oburzenie byłoby zapewne jeszcze większe. Rolety w oknach były popękane i podarte, a obrazki na ścianach wisiały krzywo. Dywaniki leżały nierówno, a w wazonach tkwiły bukiety dawno zwiędłych kwiatów. Wszędzie widać było stosy - dosłownie stosy! - kurzu.

- Do czego to dojdzie? - spytała samą siebie pani Davis, wyniośle wykrzywiając swoje brzydkie usta.

Kiedy tylko przeszła przez hali, z góry zjechali po poręczy schodów Jerry i Karol, wrzeszcząc przeraźliwie. Nie zauważyli gościa w salonie, więc nie przerwali swojej hałaśliwej zabawy, jednak pani Davis była pewna, że chłopcy celowo ją zlekceważyli. Natomiast ulubieniec Faith, kogut Adam, który dostojnie przemierzał hali, zatrzymał się w drzwiach salonu, aby przyjrzeć się pani Davis. Jej wygląd musiał nie przypaść mu do gustu, bo nie zaryzykował wejścia do środka. Pani Davis prychnęła oburzona. Cóż to za plebania, mój Boże, gdzie koguty paradują po salonach i gapią się na porządnych ludzi, wyprowadzając ich z równowagi.

- Sio stąd, ale już! - rozkazała, celując w Adama swą składaną, jedwabną parasolką z falbankami.

Adam przestraszył się nie na żarty. W ciągu pięćdziesięciu lat swego życia pani Davis ukręciła łeb niejednemu kogutowi - i to własnymi, wypielęgnowanymi rękami - a jej postawa zdradzała rzeźnicką wprawę. Biedny Adam uciekł przez hali, a do salonu wszedł pastor Meredith.

Pastor był w kapciach i domowym, znoszonym surducie, na wysokie brwi spadały mu pukle nie uczesanych, ciemnych włosów. Mimo to wyglądał jak dżentelmen w każdym calu. Natomiast pani Davis, spowita w jedwabną suknię, w kapeluszu ozdobionym piórami, złotym łańcuchu na szyi i w rękawiczkach z koziej skórki, wyglądała na ordynarną prostaczkę, którą w istocie była. Oboje czuli, że się nie polubią. Pastor Meredith zadrżał, lecz pani Davis przygotowała się do natarcia. Przyszła na plebanie, by złożyć pastorowi pewną propozycję i nie miała zamiaru trwonić swego cennego czasu. Postanowiła wyświadczyć wielebnemu przysługę - przysługę, która była dla niego wielkim dobrodziejstwem - i uważała, że im prędzej pozna on jej szlachetne intencje, tym lepiej. Zastanawiała się nad tym całe lato i w końcu podjęła decyzję. Zdaniem pani Davis, skoro ona podjęła decyzję, sprawa była przesądzona. Kiedy coś postanowi, nie ma odwołania. Nikt nie ma nic do powiedzenia. Pani Davis żywiła takie przeświadczenie przez całe życie. Kiedy zdecydowała, że poślubi Aleksandra Davisa, wyszła za niego za mąż i już. Aleksander nie bardzo wiedział, jak to się stało, ale to nie miało znaczenia. Tak samo będzie i w tym przypadku - pani Davis wszystko już zaplanowała i była z siebie bardzo zadowolona. Teraz do zrobienia pozostała już tylko jedna rzecz - poinformować o wszystkim pastora Mereditha.

- Czy mogę prosić o zamknięcie drzwi? - powiedziała oschle pani Davis, lekko wydymając usta. - Mam coś ważnego do zakomunikowania, ale nie mogę tego powiedzieć przy takim rwetesie, jaki panuje w waszym hallu.

Pastor Meredith posłusznie zamknął drzwi. Usiadł naprzeciwko pani Davis, ale niezupełnie zdawał sobie sprawę z jej obecności. Jego myśli wciąż krążyły wokół argumentów Ewalda. Pani Davis wyczuła jego roztargnienie i rozzłościła się.

- Przyszedłam oświadczyć panu, pastorze Meredith - odezwała się gniewnie - że postanowiłam adoptować pańską córkę, Unę.

- Adoptować... adoptować... Unę! - Jan Meredith popatrzył na nią osłupiały, nie rozumiejąc ani słowa z jej oświadczenia.

- Owszem. Przemyślałam to sobie dokładnie. Od śmierci mojego męża często zastanawiałam się nad zaadoptowaniem jakiegoś dziecka. Ale tak trudno jest dostać kogoś odpowiedniego. Niewiele jest takich dzieci, które chciałabym wprowadzić do mego domu. Dziecko z sierocińca w ogóle nie wchodzi w rachubę, to zwykle potomstwo jakichś wyrzutków społecznych. A o inne dziecko naprawdę trudno. Zeszłej jesieni zmarł jeden z rybaków z przystani, zostało po nim sześcioro drobiazgu. Usiłowali na mnie wymóc, żebym wzięła jedną z tych sierot, ale prędko dałam im do zrozumienia, że nigdy nie przyszło-by mi do głowy adoptować kogoś z tej hołoty. Podobno ich dziadek ukradł kiedyś konia, no a poza

tym to byli sami chłopcy, a ja potrzebuję dziewczynki - cichej, grzecznej dziewczynki, którą mogłabym wychować na prawdziwą damę. Una świetnie się do tego nadaje. Byłaby całkiem miłym stworzeniem, gdyby ktoś o nią należycie zadbał - w przeciwieństwie do swojej siostry. Oczywiście, nigdy nie przyszłoby mi do głowy, żeby adoptować Faith. Ale Unę, pastora Meredith, owszem, wezmę i zapewnię jej dobry dom i odpowiednie wychowanie. A jeśli będzie posłuszna, zapiszę jej po śmierci cały swój majątek. W żadnym wypadku nie dopuszczę do tego, by któryś z moich krewnych dostał choć jednego centa z moich pieniędzy. Tak postanowiłam. Pomyślałam o adoptowaniu dziecka przede wszystkim dlatego, żeby im dokuczyć, tak, pastora Meredith. Una otrzyma odpowiednią garderobę, zostanie dobrze wychowana i wykształcona, poślę ją na lekcje muzyki i rysunku. Będę ją traktować, pastora, jak własne dziecko.

Pastor Meredith całkowicie ocknął się już z zamyślenia. Na jego bladych policzkach widniał teraz lekki rumieniec, a w pięknych, ciemnych oczach lśnił jakiś groźny blask. Więc ta kobieta - obwieszona złotem baba, po której równie wyraźnie widać bogactwo, jak prostacką duszę - przyszła go prosić, aby oddał jej Unę? Jego najdroższą, najmądrzejszą Unę o ciemnobłękitnych oczach Cecylii, to samo dziecko, którego główkę tuliła do piersi umierająca matka, kiedy resztę płaczącego rodzeństwa wyprowadzono już z pokoju? Jedną Unę Cecylia tuliła do ostatniej chwili, ją jedną trzymała w ramionach, póki nie rozdzieliła ich nieubłagana śmierć. Patrzyła na męża ponad ciemną, dziecięcą główką.

- Dbaj o nią, Janie - wyszeptała. - Jest taka malutka... taka wrażliwa. Tamci umieją sobie radzić - ale ją świat będzie ranił. Och, Janie, nie wiem, jak wy dwoje poradzicie sobie beze mnie. Warn jestem najbardziej potrzebna. Niech Una zawsze będzie blisko ciebie... miej ją zawsze blisko siebie...

Były to ostatnie słowa Cecylii, jeśli nie liczyć tych kilku, na zawsze zapamiętanych, lecz przeznaczonych tylko dla niego. I właśnie o tym dziecku mówi pani Davis swym chłodnym, nieprzyjemnym głosem, bo postanowiła zabrać je sobie. Pastor wyprostował się i popatrzył na panią Davis. Ta, choć miał na sobie znoszony surdut i wystrzępione domowe pantofle, poczuła nagle niezwyklej respekt wobec pastora, ten sam lęk przed godnością osoby duchownej, jaki wpajano w nią w dzieciństwie. Mimo wszystko ten skromny, oderwany od świata, roztargniony człowiek był przedstawicielem Kościoła.

- Doceniam pani intencje, pani Davis - powiedział pastor Meredith spokojnie i uprzejmie, lecz ozięble, wyniośle i zdecydowanie - ale nie mogę oddać pani mojego dziecka.

Pani Davis osłupiała. Nawet nie przyszło jej do głowy, że mogłaby spotkać się z odmową.

- Ale dlaczego, pastorze Meredith? - zapytała zdziwiona. - Pan musi być sz... to znaczy: chyba źle pana zrozumiałam. Powinien pan to przemyśleć, niech się pan zastanowi, ile zyska na tym dziecko.

- Nie ma takiej potrzeby, pani Davis. Nie będę się nad tym zastanawiał. Nie ma o czym mówić. Żadna z możliwości, które zyskałaby moja córka dzięki pani pieniądzom, pani Davis, nie zdoła zastąpić jej ojcowskiej miłości i troski. Raz jeszcze pani dziękuję, ale sprawę uważam za ostatecznie zakończoną.

Rozczarowanie tak rozwścieczyło panią Davis, że zapomniała o starym, dobrym nawyku panowania nad sobą bez względu na okoliczności. Jej nalana twarz spurpurowiała, a głos drżał.

- Sądziłam, że będzie pan uszczęśliwiony moją propozycją - warknęła.

- Dlaczego pani tak sądziła? - spokojnie spytał pastor.

- Przecież wszyscy dookoła wiedzą, że dzieci wcale pana nie obchodzą - odparła pani Davis, kipiąc oburzeniem. - Pan je skandalicznie zaniedbuje, pastorze. Wszyscy o tym mówią. Są niedożywione i źle ubrane, nie mówiąc już o dobrych manierach! Mają ich tyle, co banda dzikich Indian. Panu nawet nie przyjdzie do głowy, żeby zająć się nimi jak prawdziwy ojciec. Nigdy. Pozwolił pan, żeby sprowadziły do domu tę małą włóczęgę i przez dwa tygodnie nawet nie zauważył pan jej obecności. A ta mała klnie jak szewc, przynajmniej tak mi mówiono. I mogła zarazić dzieci ospą, ale to pana też nic nie obchodzi. Faith robi z siebie widowisko, wygłaszając mowę podczas nabożeństwa! I galopuje po ulicy na świni, a pan się temu spokojnie przygląda. Pana dzieci zachowują się w sposób przechodzący ludzkie pojęcie, a pan palcem w bucie nawet nie kiwnie, żeby je utemperować, żeby je czegokolwiek nauczyć! A kiedy przychodzę tu, żeby zaproponować jednemu z nich właściwy dom i wychowanie, obraża się mnie odmową. Ładny z pana ojciec, co to umie tylko gadać o trosce i miłości do dzieci!

- Kobieto, dość - powiedział pastor Meredith. Wstał i spojrzał na nią tak, że słowa uwięzły jej w gardle. - Dość - powtórzył. - Nie mam ochoty słuchać pani dłużej, pani Davis. I tak powiedziała pani zbyt wiele. Być może nie jestem ojcem, który dobrze wypełnia wszystkie swoje obowiązki, ale pani nie będzie mi o nich przypominać, a już zwłaszcza nie w taki sposób. Pozwoli pani, że ją pożegnám.

Pani Davis nigdy jeszcze nie wypowiedziała żadnych słów z taką nienawiścią, jaką włożyła tym razem w swoje: „Do widzenia”, ale ruszyła w kierunku wyjścia. Właśnie mijała pastora, kiedy wielka, tłusta ropucha, którą Karol ukrył pod kanapą, wskoczyła wprost pod jej stopy. Pani Davis zapiszczała i - próbując ominąć obrzydliwego stwora - straciła równowagę,

wypuściwszy z rąk parasolkę, na której się opierała. Nie upadła, lecz potknęła się, i zataczając się w sposób całkowicie pozbawiony dystynkcji, wybiegła z pokoju, wpadając z hukiem na zamknięte drzwi. Pastor Meredith, który nie zauważył ropuchy i zastanawiał się, czy nie jest to przypadkiem atak apopleksji albo objawy nagłego paraliżu, pospieszył, aby pomóc dostojnej damie. Jednak pani Davis, odzyskawszy straconą równowagę, powstrzymała go z pasją.

- Niech pan się nie waży mnie tknąć - prawie krzyczała. - Spodziewam się, że to znowu sprawka pańskich dzieci. To nie jest miejsce dla szanującej się kobiety. Nie zobaczy mnie pan nigdy więcej ani w swoim domu, ani w swoim kościele.

Pastor Meredith spokojnie podniósł wspaniałą parasolkę i podał ją właścicielce. Pani Davis chwyciła ją i wymaszerowała z plebanii. Jerry i Karol przestali już zjeżdżać po poręczy i razem z Faith siedzieli na werandzie. Jak na złość, cała trójka śpiewała na cały głos: „Oj, będzie gorąco tej nocy w miasteczku naszym na północy”, a pani Davis była przekonana, że wysławiają to specjalnie jej na złość. Stała więc i potrząsnęła parasolką.

- Wasz ojciec jest skończonym głupcem! - krzyknęła - a wy, trzy szelmy, zasługujecie na porządne baty.

- Nieprawda, nie jest! - wrzasnęła Faith.

- Nie zasługujemy! - wtórowali jej bracia. Pani Davis już nie było.

- Oj, ona chyba oszalała, nie? - powiedział Jerry. - Co to właściwie znaczy: „szelmy”?

Jan Meredith przez kilka minut spacerował po salonie, potem poszedł do swego gabinetu i usiadł przy biurku. Nie wrócił jednak do problemu niemieckiej teologii. Był zbyt wzburzony. Słowa pani Davis podziały na niego jak zimny prysznic. Czy naprawdę jest takim niedbałym, beztroskim ojcem, jak mówiła? Czy miała rację, twierdząc, że skandalicznie zaniedbuje stan ducha i ciała czworga małych, pozbawionych matki istot, zdanych tylko na niego? Czy ludzie rzeczywiście oceniają go tak surowo, jak twierdzi pani Davis? Widocznie tak jest, skoro pani Davis przyszła tu po Unę całkowicie przekonana, że bez zastanowienia odda jej dziecko i będzie uszczęśliwiony, że pozbył się jednego kłopotu, zupełnie jakby Una była bezdomnym, nie chcianym kocięciem. A skoro pani Davis miała rację, to co on powinien teraz począć?

Jan Meredith jęknął, podniósł się i rozpoczął swój zwykły spacer po zakurczonym, nie posprzątanym pokoju. Co mógł zrobić? Kochał swe dzieci tak mocno, jak tylko kochać je może ojciec, i wiedział - bez względu na to, co sądziła pani Davis i jej podobni - że one też kochają go bezgranicznie. Czy był jednak człowiekiem, któremu można było powierzyć czworo dzieci? Jak nikt inny znał swoje słabości i swoje możliwości. Potrzebował wsparcia -

wsparcia kobiety, która poprowadziłaby dom, dobroczynnego wpływu kobiecej dłoni i zdrowego rozsądku. Skąd jednak miał je wziąć? Gdyby nawet zdołał znaleźć odpowiednią gospodynię, ciocia Marta czułaby się dotknięta do żywego. Staruszka wierzyła, że świetnie daje sobie ze wszystkim radę, że jest niezbędna. Przecież nie może wyrządzić takiej krzywdy starej, ubogiej kobiecie, której tyle zawdzięcza on sam i cała jego rodzina. Jakże ona była przywiązana do Cecylii! Cecylia prosiła go, aby był miły dla cioci Marty. Nagle przypomniał sobie, że staruszka wspomniała mu kiedyś, iż powinien się powtórnie ożenić. Zaakceptowałaby jego żonę, choć nie zniosłaby wynajętej gospodyni. Małżeństwo nie wchodziło jednak w rachubę. Nigdy nie zależało mu na nikim poza Cecylią i nigdy zależeć nie będzie. Więc co ma zrobić? Niespodziewanie przyszło mu do głowy, że powinien pójść do Złotego Brzegu i porozmawiać o tym z panią Blythe. Żona doktora należała do tych nielicznych kobiet, przy których nie czuł się skrępowany i mógł swobodnie rozmawiać. Miała w sobie tyle współczucia i potrafiła naprawdę pokrzepić. Może ona znajdzie jakieś rozwiązanie dręczących go problemów. A nawet jeśli nie, to pastor Meredith czuł, że po wizycie pani Davis niczego mu tak nie potrzeba, jak towarzystwa dobrych, życzliwych ludzi - takich, którzy zatarliby niesmak, jaki pozostał mu po spotkaniu z nią.

Ubrał się pospiesznie i zjadł kolację z mniejszym roztargnieniem niż zazwyczaj. Spostrzegł, że posiłek był bardzo skromny. Przyjrzał się też swoim dzieciom: wszystkie poza Uną miały rumiane policzki i wyglądały zdrowo. Una zawsze była bardzo delikatna i słaba, nawet gdy żyła jej matka. Cała czwórka śmiała się i gadała bez przerwy, bez wątpienia wyglądali na szczęśliwych. Szczególnie szczęśliwy był Karol, bo dookoła jego talerza wędrowały dwa przepiękne pajaki. Dziecięce głosy dźwięczały radośnie, a zachowywali się przyzwoicie - byli dla siebie mili i uważni. A jednak pani Davis twierdzi, że ich zachowanie jest przedmiotem parafialnych plotek.

Pastor Meredith wychodził właśnie z plebanii, kiedy drogą przejechał powóz zmierzający w stronę Lowbridge. Siedzieli w nim państwo Blythe. Twarz pastora posmutniała. Pani Blythe wyjechała, a więc wizyta w Złotym Brzegu nie miałaby żadnego sensu, a on tak bardzo łaknął czyjś towarzystwa. Bezradnie popatrzył na horyzont, oświetlony promieniami zachodzącego słońca. Jeden z nich zalśnił, odbijając się w oknie starego domu rodziny Westów. Różowy blask był jak zwiastun dobrej nadziei - pastor przypomniał sobie o istnieniu Róży i Heleny West. Pomyślał, że chętnie stawilby czoła zawadiackim zaczepkom panny Heleny, i że miło byłoby zobaczyć łagodny, słodki uśmiech Róży i znowu spojrzeć w jej spokojne, błękitne oczy. Jak brzmiał ten stary wiersz Sidneya... „pociecha w pięknej twarzy blasku...” - to znakomicie do niej pasuje. Potrzebował pociechy.

Dlaczego nie miałby ich odwiedzić? Przypomniawszy sobie, że Helena prosiła, aby je czasem odwiedzał, no i powinien oddać książkę Róży - musi ją oddać, zanim całkiem o niej zapomni. Dręczyło go niejasne przeczucie, że wiele książek z jego biblioteki zostało dawno temu pożyczonych od prawowitych właścicieli, ale on zapomniał o ich oddaniu. Tym razem nie wolno mu do tego dopuścić. Wrócił do gabinetu, wziął książkę i ruszył w kierunku Doliny Tęczy.

NOWE PLOTKI

Wieczorem, po pogrzebie pani Myry Murray zza przystani, panna Kornelia razem z Mary Vance odwiedziły Złoty Brzeg. Pannie Kornelii leżało na sercu kilka spraw i chciała pozbyć się tego ciężkiego brzemienia. Oczywiście, najpierw należało omówić pogrzeb, z którego właśnie wracały. Tę część rozmowy rozdzieliły między sobą panna Kornelia i Zuzanna, gdyż Ania nie gustowała w tak upiornych tematach, nie brała więc udziału w konwersacji. Usiadła nieco z boku, przyglądając się jesiennemu blaskowi dalii rosnących w ogrodzie i bajkowemu widokowi portu, ozłoconego światłem wrześnieowego, zachodzącego słońca. Mary Vance przycupnęła obok niej, pilnie oddając się robótce. Serce dziewczynki wyrywało się ku Dolinie Tęczy, skąd dochodził radosny gwar dziecięcych głosów, ale jej palce posłusznie pracowały pod czujnym spojrzeniem panny Kornelii. Zanim będzie mogła pobiec do Doliny, musi najpierw przerobić wyznaczoną liczbę rzędków w swojej pończosze. Mary dziergała, powstrzymując swój ruchliwy języczek i skwapliwie nastawiając uszu.

- Nigdy nie widziałam tak miło wyglądającej nieboszczki - oznajmiła panna Kornelia wyrokującym tonem. - Myra Murray zawsze była ładną kobietą - pochodziła z tych Coreyów z Lowbridge, a oni znani są z przyjemnej powierzchowności.

- Gdy przechodziłam obok nieboszczki, szepnęłam jej: „Biedaczko, mam nadzieję, że jesteś taka szczęśliwa, na jaką wyglądasz” - westchnęła Zuzanna. - Nie była bardzo zmieniona. Pochowano ją w tej samej sukni z czarnego ałasu, w której była przed czternastu laty na ślubie swojej córki. Jakaś ciotka powiedziała jej wtedy, żeby zachowała ją sobie do trumny, a Myra roześmiała się i powiedziała: „Zgoda, cioteczko, założę ją na własny pogrzeb, ale przedtem dobrze ją znoszę”. I tak zrobiła. Myra Murray nie była z tych, co grzebią się za życia. Wiele razy widziałam ją w towarzystwie, rozbawioną, i myślałam sobie: „Tak, tak, Myro Murray, atrakcyjna z ciebie kobieta i ładnie wyglądasz w tej sukni, która w końcu stanie się twoim całunem”. I, pani Elliott, sama pani widzi, że moje słowa się spełniły.

Zuzanna westchnęła głęboko. Uwielbiała to. Pogrzeby były niezwykle ciekawym tematem rozmów, więc i teraz miło spędzała czas.

- Lubiłam towarzystwo Myry - powiedziała panna Kornelia. - Była taka wesoła i pełna życia, wystarczyło, że podała rękę na powitanie, a już czułam się lepiej. We wszystkim umiała znaleźć dobre strony.

- To prawda - potwierdziła Zuzanna. - Opowiadała mi jej szwagierka, że kiedy doktor wyznał w końcu, że nic już nie może dla niej zrobić i że nigdy więcej nie podniesie się z łóżka, Myra powiedziała pogodnie: „Cóż, skoro tak, to całe szczęście, że zdążyłam z wszystkimi zaprawami i że nie będę musiała robić jesiennych porządków. Uwielbiam sprzątać dom na wiosnę, ale nienawidzę sprzątania przed zimą. W tym roku mnie to ominie, dzięki Bogu”. Niektórzy uznaliby to za niepoważne, pani Elliott, i wydaje mi się, że jej szwagierka trochę się za nią wstydziła. Mówiła nawet, że pewnie z powodu choroby Myra stała się taka lekkomyślna. Ale ja powiedziałam jej na to: „Niepotrzebnie się pani trapi, pani Murray. Myra właśnie taka była, we wszystkim widziała tylko dobre strony”.

- Jej siostra Luella była zupełnie inna - dodała panna Kornelia. - Wszystko widziała w czarnych barwach. Przez całe lata powtarzała, że umrze za tydzień. „Już niedługo pozbędziecie się ciężaru” - oznajmiała ponuro swojej rodzinie. A kiedy którekolwiek z nich odważyło się snuć jakieś plany na najbliższą przyszłość, zaczynała biadolić: „Ach, jaka szkoda, że mnie już wtedy nie będzie wśród żywych”. Kiedy ją odwiedzałam, zawsze przyznawałam jej rację, i to wprawiało ją w taką wściekłość, że przez kilka następnych dni czuła się dużo lepiej. Była zdrowsza od Myry, ale nie miała jej radości życia. Myra była zupełnie inna. Wszystko, co robiła i co mówiła, dodawało innym ducha. Może sprawili to mężczyźni, za których wyszły za mąż. Mąż Luelli był jakimś dzikusiem, możecie mi wierzyć, a Jim Murray to prawdziwy mężczyzna. Dziś wyglądał na zupełnie załamanego. Nieczęsto szkoda mi mężów, którzy chowają swoje żony, ale Jima Murraya jest mi serdecznie żal.

- Nic dziwnego, że rozpacza - stwierdziła Zuzanna.

- Nieprędko znajdzie sobie taką żonę, jak Myra. Może nawet nie będzie próbował. Ich dzieci są już dorosłe, a Mirabel może spokojnie zająć się domem. Trudno jednak przewidzieć, co uczyni wdowiec, ja w każdym razie nawet nie próbuję się domyślać.

- Będzie nam jej brakowało w kościele - powiedziała panna Kornelia. - Tyle dla nas robiła. Nigdy się nie poddawała. Jeśli nie radziła sobie z jakimś problemem, starała się go obejść, a jak nie udało się obejść, udawała, że go nie ma. I to skutkowało. „Będę się uśmiechać aż do końca mojej podróży” - powiedziała mi kiedyś. No i cóż, jej podróż dobiegła kresu.

- Tak pani myśli? - Ania nagle ocknęła się z zamyślenia. - Nie potrafię sobie wyobrazić, że jej podróż się skończyła. Czy potraficie wyobrazić sobie Myrę siedzącą z założonymi rękami - z jej dociekliwym charakterem, z jej zabawnym wyglądem? O nie, moim zdaniem śmierć otworzyła jej bramy do krainy pełnej nowych, wspaniałych wyzwań.

- To możliwe, Aniu - zgodziła się panna Kornelia.

- Czy wiesz, złociutka, że i mnie nie przekonuje pomysł wiecznego odpoczynku? Mam nadzieję, że nie opowiadam teraz jakichś herezji, ale w niebie chciałabym się krzątać tak samo, jak na ziemi. Łudzę się, że istnieje jakiś niebiański odpowiednik pączków i szarlotki, coś, co można zrobić własnymi rękami. Oczywiście, czasem człowiek czuje się okropnie zmęczony - im jesteś starsza, tym częściej odczuwasz zmęczenie. Ale ci najbardziej zmęczeni powinni mieć zapewniony jakiś krótki odpoczynek w wieczności; nie dotyczy to, oczywiście, leniuchów.

- Kiedy znowu spotkam Myrę Murray - powiedziała Ania - chcę, żeby wyszła mi na spotkanie taka, jak zawsze: śliczna i roześmiana, bo taka witała mnie tu, na ziemi.

- Och, kochana pani doktorowo - odezwała się wstrząśnięta Zuzanna - pani chyba nie sądzi, że w tym przyszłym świecie Myra będzie się głośno śmiać?

- Dlaczego nie, Zuzanno? Myślisz, że będziemy tam tylko płakać?

- Ależ nie, kochana pani doktorowo, źle mnie pani zrozumiała. Sądzę, że nie ma tam miejsca ani na płacz, ani na śmiech.

- A na co jest?

- Cóż - odrzekła Zuzanna, zmuszona do odpowiedzi - moim zdaniem, kochana pani doktorowo, wszyscy będziemy tam wyglądać dostojnie jak święci.

- I uważasz, Zuzanno - pytała Ania, starając się zachować absolutną powagę - że Myra Murray i ja zdołamy przez cały, ale to cały czas zachowywać się ze świętym dostojenstwem?

- No cóż - ociągała się Zuzanna - mogę się domyślać, że pani, kochana pani doktorowo, i Myra uśmiechniecie się od czasu do czasu, ale nigdy nie zgodzę się na to, żeby w niebie urządzano jakieś śmichy-chichy. Już sama myśl o tym wydaje się wysoce nieestosowna, kochana pani doktorowo.

- Lepiej wracajmy na ziemię - powiedziała panna Kornelia. - Kto przejmie klasę Myry w szkółce niedzielnej? Od kiedy Myra zachorowała, uczy tam Julia Clow, ale ona zimą wyjeżdża do miasta i będzie potrzebny ktoś na jej miejsce.

- Słyszałam, że chciałaby tam uczyć pani Laura Jamieson - powiedziała Ania. - Jamiesonowie chodzą do kościoła bardzo regularnie, od kiedy przenieśli się z Lowbridge do Glen.

- Pierwsze koty za płoty! - powątpiewała panna Kornelia. - Poczekajmy rok i dopiero wtedy się przekonamy, ile są warci.

- Ja, kochana pani doktorowo, nie polegałabym znów tak bardzo na pani Jamieson - poważnie oświadczyła Zuzanna. - Kiedyś była przecież umierająca, wymierzili ją już do

trumny i ubrali przepięknie jak nieboszczkę, a ona co? Ozdrowiała! Po tylu przygotowaniach! Sama pani widzi, kochana pani doktorowo, że na takiej kobiecie trudno polegać.

- I w każdej chwili może zostać metodystką - powiedziała panna Kornelia. - Doszły mnie słuchy, że kiedy Jamiesonowie mieszkali w Lowbridge, chodzili do kościoła metodystów równie często, jak do prezbiterian. Tu jeszcze ich na tym nie przyłapałam, ale wcale nie pochwalam pomysłu, aby powierzyć szkółkę niedzielą pani Laurze. Choć, z drugiej strony, nie wolno nam ich urazić. Ponosimy zbyt wielkie straty - śmierć i złe humory zabrały nam wielu parafian. Nikt nie wie, dlaczego pani Davis wystąpiła ze zgromadzenia. Powiedziała w zarządzie, że nie da więcej złamanego centa na pensję dla pastora. Ludzie gadają, że obraziły ją dzieci pastora, ale ja nie sądzę jednak, żeby to była prawda. Próbowałam wyciągnąć coś od Faith, ale opowiedziała mi tylko o tym, że pani Davis, w bardzo dobrym humorze, przyszła zobaczyć się z jej ojcem, jednak kiedy wychodziła, była rozzłoszczona i nazwała ich „szelmami”!

- „Szelmami”, też coś! - rozgniewała się Zuzanna.

- Czyżby pani Davis zapomniała, że jej wuj ze strony matki był podejrzany o otrucie własnej żony? Wprawdzie, kochana pani doktorowo, niczego mu nie udowodniono i mogła to być zwykła plotka. Ale gdyby to mój wujek miał żonę, która zmarła nagle i zupełnie bez powodu, nie odważyłabym się biegać po świecie i wyzywać od szelm niewinne dzieci.

- Problem w tym - powiedziała panna Kornelia - że pani Davis wpłacała regularnie sporą kwotę na kościół. Strata tej składki sama w sobie jest dotkliwa. A co się stanie, jeśli pani Davis skłoni innych Douglasów do odwrócenia się od pastora Mereditha? Obawiam się, że będzie musiał odejść.

- Nie wydaje mi się, żeby pani Davis cieszyła się szczególną sympatią we własnej rodzinie - powiedziała Zuzanna. - Niepodobna, żeby zdołała ich przekonać.

- Douglasowie zawsze trzymali się razem. Kiedy urazi się jednego, to tak, jakby uraziło się wszystkich. Jedno jest pewne - nie poradzimy sobie bez ich wsparcia. Połowa pensji pochodzi z ich składek, bo czego by o nich nie powiedzieć, nie jest to rodzina skąpców. Norman Douglas, zanim wiele lat temu przestał chodzić do kościoła, dawał co roku okrągłą setkę.

- Dlaczego się wycofał? - zapytała Ania.

- Oświadczył, że któryś z członków zarządu oszukał go przy grze w karty. Od dwudziestu lat jego noga nie powstała w kościele. Kiedy żyła jego żona, przychodziła na mszę co niedzielę, ale nigdy nie pozwalał jej dawać na tacę więcej niż jednego centa. Czuła się tym okropnie upokorzona. Nie wiem nawet, czy był dobrym mężem, bo ona nigdy się nie

skarżyła, ale zawsze wyglądała na przestraszoną. Nie była tą kobietą, którą trzydzieści lat temu Norman pragnął pojąć za żonę, a Douglasowie nie lubią wybierać po raz drugi.

- Kim była ta pierwsza?

- To Helena West. Właściwie nie byli zaręczeni, w każdym razie tak mi się wydaje, ale spotykali się przez dwa lata. I nagle zerwali ze sobą - nikt nie wiedział, dlaczego. Zapewne pokłócili się o jakieś głupstwo. Norman był zawsze w gorącej wodzie kąpany, więc zanim przeszedł mu gniew, poślubił Esterę Reese, z pewnością tylko po to, by zrobić na złość Helenie. Całkiem po męsku! Esterą była stworzeniem ładnym, miłym, ale całkowicie pozbawionym charakteru - a jeśli nawet miała go co nieco, to Norman szybko pozbawił ją tych resztek. Była zbyt potulna. On potrzebował kobiety, która potrafiłaby mu się sprzeciwić. Helena trzymałaby go w ryzach, a on kochałby ją za to jeszcze bardziej. Esterą zaś pogardzał, właśnie dlatego, że ustępowała mu we wszystkim. Jeszcze kiedy był kawalerem, dawno, dawno temu, powtarzał często: „Dajcie mi odważną kobietę - taką, która się mnie nie boi”. A potem poślubił dziewczynę, która byle gęsi zeszlaby z drogi. Ta rodzina Reese'ów egzystuje jak rośliny - niby żyją na świecie, ale nie potrafią z życia korzystać.

- A Russel Reese dał swej drugiej żonie obrączkę po pierwszej - przypomniała Zuzanna. - Moim zdaniem, kochana pani doktorowo, to nadmierna oszczędność. Jego brat Jan postawił sobie na cmentarzu po drugiej stronie zatoki nagrobek i kazał wyryć na nim wszystkie napisy poza datą śmierci. A teraz chodzi i ogląda go co niedzielę. Mało kto uznałby takie zajęcie za interesujące, ale jego to musi bawić. Ludzi cieszą takie dziwne rzeczy. A ten Norman Douglas, kochana pani doktorowo, to istny gbur! Poprzedni pastor zapytał go kiedyś, dlaczego nigdy nie przychodzi do kościoła, a on na to: „Za dużo tam brzydkich kobiet, wielebny, za dużo brzydkich kobiet!” Ja, kochana pani doktorowo, najchętniej poszłabym do tego poganina i przypomniała mu, że piekło istnieje.

- Ależ Norman Douglas nigdy by w to nie uwierzył - powiedziała panna Kornelia. - Mam nadzieję, że zrozumie swój błąd w godzinie śmierci. Słuchaj, Mary, przerobiłaś już swoje trzy cale, więc możesz pobiec pobawić się z dziećmi przez jakieś pół godzinki.

Mary nie trzeba było tego dwa razy powtarzać. Jak na skrzydłach pobiegła wprost do Doliny Tęczy, gdzie od razu opowiedziała Faith Meredith wszystko, co usłyszała na temat pani Davis.

- I pani Elliott mówiła też, że ona zbuntuje przeciwko waszemu ojcu wszystkich Douglasów, i wtedy on będzie musiał wyjechać z Glen, bo nie starczy na pensję dla niego - kończyła swą opowieść Mary. - Szczerze ci mówię, że nie wiem, co teraz zrobić. Gdyby stary

Norman Douglas wrócił do kościoła i zaczął płacić składkę, nie byłoby tak źle. Ale on nie wróci, a gdy reszta Douglasów odejdzie, będziecie musieli stąd wyjechać.

Tego wieczoru Faith zasypiała z ciężkim sercem. Nie mogła znieść myśli o opuszczeniu Glen. Nigdzie na świecie nie znajdzie takich przyjaciół, jak Blythe'owie. Kiedy opuszczali Majowe Wody, jej małe serduszek ścisnęło się z żalu. Uroniła wiele gorzkich łez, żegnając przyjaciół z Majowych Wód i opuszczając starą plebanię, w której mieszkali razem z mamą i w której mama umarła. Nie potrafiła wyobrazić sobie kolejnego, jeszcze bardziej bolesnego rozstania. Po prostu nie mogła wyjechać z Glen, nie mogła opuścić ukochanej Doliny Tęczy, ani ślicznego, starego cmentarza.

- To straszny los, urodzić się w rodzinie pastora - chlipała w poduszkę Faith. - Ledwo gdzieś ci się spodoba, już każą ci wszystko zostawić i wyjechać. Jak będę duża, nigdy, przenigdy nie wyjdę za pastora, choćby był nie wiem jak miły.

Faith usiadła na łóżku i wyjrzała przez małe okienko, obrośnięte winoroślą. Noc była niezwykle spokojna, w głębokiej ciszy słyszała tylko równy oddech Uny. Faith poczuła się przeraźliwie samotna. Widziała Glen St. Mary, usypiające pod rozgwieżdżonym, jesiennym niebem. W dali, za doliną, widziała Złoty Brzeg, w oknach bliźniaczek i w pokoju Waltera świeciło się jeszcze światło. Faith zastanawiała się, czy biednego Waltera nie boli znowu zęb. Westchnęła, czując niewielkie, lecz głębokie ukłucie zazdrości. Zazdrościła Nan i Di - one miały mamę i spokojny dom, ich los nie zależał od wspaniałomyślności obcych ludzi, gotowych rozgniewać się bez powodu i zdolnych do nazwania dzieci szelmami bez żadnej przyczyny. Daleko, poza granicami Glen, wśród spokojnych, uśpionych pól, lśniło jeszcze jedno maleńkie światełko. Faith wiedziała, że świeci ono w domu Normana Douglasa. Słyszał z tego, że przesiadywał do późnej nocy, czytając książki. Mary mówiła, że gdyby on był skłonny wrócić do kościoła, wszystko byłoby dobrze Właściwie, dlaczego nie? Faith popatrzyła na piękną jasną gwiazdę, lśniąca nad strzelistym świerkiem, rosnącym przy bramie kościoła metodystów, i przysła jej do głowy pewna myśl. Już wiedziała, co trzeba zrobić, i wiedziała, że zrobi to ona, Faith Meredith. Uratuje swoją rodzinę. Z westchnieniem ulgi odwróciła się od dalekiego, obcego świata, i skuliła się w ciepłym łóżeczku obok Uny.

TRAFIŁA KOSA NA KAMIEŃ

Gdy Faith coś postanowiła, natychmiast brała się do dzieła. Nie traciła ani chwili na zbędne rozmyślanie. Nazajutrz, zaraz po powrocie ze szkoły, wyruszyła do Glen. Kiedy mijała pocztę, spotkała Waltera Blythe'a.

- Mama wysłała mnie do pani Elliott - powiedział. - A ty, Faith, dokąd idziesz?

- Muszę coś załatwić dla parafii - odrzekła Faith dość wyniośle. Nie miała zamiaru udzielać mu dalszych wyjaśnień i Walterowi zrobiło się trochę przykro. Przez chwilę szli w milczeniu. Był ciepły wieczór, wiał wiatr, niosąc z sobą słodką woń żywicy. Morze za piaszczystymi wydhami było szare, spokojne i piękne. Bystry nurt strumyka niósł w dół złotopurpurowe liście, które kołysały się na wodzie niczym baśniowe fregaty. Na gryczanym ściernisku, należącym do Jamesa Reese'a, lśniącym wszystkimi odcieniami czerwieni i brązu, zebrał się cały wroni parlament, z powagą kraczący o tym, jak idą interesy w królestwie wron. Faith z całym okrucieństwem zerwała ich dostojne obrady, wdrapując się na płot i ciskając w ptaki odłamanym kawałkiem sztachety. W jednej chwili niebo zasnuło się chmurą czarnych, łopoczących skrzydeł i rozwrzeszczało chórem przerażonych wron.

- Dlaczego to zrobiłaś? - oburzył się Walter. - Było im tak dobrze.

- Nienawidzę wron - rzuciła beztrosko Faith. - Są takie czarne i gładkie, że muszą być fałszywe. Wiesz, one wiosną wykradają z gniazd jajka mniejszych ptaków. Zeszłej wiosny widziałam to na własne oczy na naszym trawniku. Walter, czemu jesteś dziś taki blade? Znowu wczoraj bolał cię ząb? Walter zadrżał.

- Oj, tak. Wściekle. Nie mogłem zmrużyć oka, więc chodziłem po pokoju i wyobrażałem sobie, że jestem jednym z pierwszych chrześcijańskich męczenników, torturowanych na rozkaz cesarza Nerona. To mi nawet na chwilę pomogło, ale potem ząb tak mnie rozbolał, że niczego już nie mogłem sobie wyobrazić.

- Płakałeś? - z ciekawością dopytywała się Faith.

- Nie, ale leżałem na podłodze i jęczałem - przyznał się Walter. - Potem przyszły dziewczyny i Nan włożyła mi do zęba pieprz, wtedy zaczęło mnie boleć jeszcze bardziej, więc Di kazała mi trzymać w ustach zimną wodę. Od niej ząb rozbolał mnie tak, że nie mogłem już wytrzymać, więc zawołały Zuzannę. Zuzanna powiedziała, że zasłużyłem sobie na to, bo wczoraj siedziałem na zimnym poddaszu, wypisując jakieś poetyckie brednie. Ale i tak rozpałała ogień w kuchni i dała mi butelkę z gorącą wodą. No i przestało mnie boleć. A

jak tylko przestało mnie boleć, zaraz powiedziałem Zuzannie, że moje wiersze nie są żadnymi bredniami, a ona nie musi ich oceniać. Odpowiedziała mi, że rzeczywiście, dzięki Bogu, nie musi, i wprawdzie nie zna się na poezji, ale i bez tego wie, że to same kłamstwa. Wiesz, Faith, ona nie ma racji. Lubię pisać wiersze właśnie dlatego, że można w nich powiedzieć tak wiele prawdziwych rzeczy, które jako proza wcale nie są prawdziwe. Tłumaczyłem to Zuzannie, ale ona powiedziała, żebym przestał ruszać szczęką i usnął, zanim ostygnie butelka, bo w przeciwnym wypadku zostawi mnie samego, żebym sprawdził, czy wiersze ulecżą mój bolący ząb, i dopiero będę miał nauczkę.

- Dlaczego nie pójdziesz do dentysty w Lowbridge, żeby wyrwał ci ten ząb?

Walter znowu zadrżał.

- Chcą, żebym to zrobił, ale ja nie chcę. To będzie bolało.

- Boisz się takiego małego bólu? - z pogardą spytała Faith.

Walter zarumienił się.

- To byłby ogromny ból. Nie lubię, jak mnie boli. Tata powiedział, że nie ma zamiaru mnie namawiać, poczeka, aż sam zdecyduję się pójść.

- To trwa krócej niż ból zęba - przekonywała Faith. - Miałeś już pięć ataków. Gdybyś poszedł do dentysty i dał sobie wyrwać ząb, skończyłyby się nie przespane noce. Ja też miałam kiedyś wyrywany ząb. Jęknęłam i było po wszystkim, tylko trochę leciała mi krew.

- Ale krew jest właśnie najgorsza. To takie obrzydliwe! - zawołał Walter. - Zrobiło mi się niedobrze, gdy zeszłego lata Jim skaleczył sobie stopę. Zuzanna się dziwiła, że Jim był ranny, a ja wyglądałem, jakbym miał zaraz zemdleć. Ale ja nie mogłem patrzeć na nogę Jima. To okropne, Faith, że zawsze ktoś musi się skaleczyć. Nie znoszę tego. Najchętniej uciekłbym wtedy gdzieś daleko, przed siebie, jak najdalej, żeby nic nie widzieć i nie słyszeć.

- Ale po co robić tyle zamieszania wokół jednego skaleczenia - Faith potrząsnęła lokami. - Pewnie, że jak się skaleczysz bardzo mocno, to nawet możesz płakać, a widok krwi nie jest przyjemny, sama nie lubię, jak się ktoś skaleczy. Ale wcale nie chcę wtedy nigdzie uciekać, tylko pomóc temu komuś. Przecież twój ojciec też czasem musi kogoś zranić, żeby go wyleczyć, prawda? Co by było, gdyby on też zaczął uciekać?

- Wcale nie powiedziałem, że ja bym uciekł. Mówiłem, że chciałbym uciec, a to zupełnie co innego. Ja też chcę pomagać ludziom. Ale wolałbym, naprawdę bym wolał, żeby na świecie nie było żadnych obrzydliwych, przerażających rzeczy, żeby świat składał się z tego, co dobre i piękne.

- Cóż, nie ma sensu zastanawiać się nad tym, czego nie ma - stwierdziła Faith. - Zwłaszcza że życie i tak jest dosyć zabawne. Gdybyś był trupem, to ząb by cię nie bolał, ale

czy sto razy więcej nie wolisz być żywy niż martwy? Bo ja tak. O, idzie Dan Reese. Pewnie był w porcie po ryby.

- Nie znoszę go - powiedział Walter.

- Ja też. Żadna dziewczynka go nie lubi. Przejdę obok niego, jakby był powietrzem. Popatrz tylko!

Faith zadarła w górę brodę i minęła Dana dostojnym krokiem, a jej twarz wyrażała pogardę. Dan poczuł się urażony. Odwrócił się za nią i wrzasnął:

- Świniarka! Świniarka! Świniarzycy! - wykrzykiwał coraz głośniejsze.

Faith szła dalej, jakby go nie słyszała, ale wargi drżały jej lekko z oburzenia i gniewu. Wiedziała, że nie dorównałaby Danowi, gdyby przyszło do wymiany obelg. Żałowała, że zamiast Waltera nie było przy niej Jima Blythe'a. Gdyby Dan ośmielił się nazwać ją świniarką w obecności Jima, ten sprząłby go na kwaśne jabłko. Po Walterze nie mogła się tego spodziewać i nawet nie miała do niego żalu. Wiedziała, że Walter nigdy się nie bije. Tak samo jak Karol Clow. Najdziwniejsze w tym wszystkim było to, że Karolem pogardzała za jego tchórzostwo, ale nigdy nie przy-szłoby jej do głowy pogardzać Walterem. On po prostu był z innego świata, świata swoich wyobrażeń, a tam obowiązywały inne prawa. Tak, jak nie mogła spodziewać się, że młody anioł o gwiazdzistym spojrzeniu zacznie okładać pięściami brudnego, obszarpanego Dana, nie mogła też oczekiwać, że uczyni to Walter. Nie obwiniłaby anioła, tak samo jak nie obwiniła Waltera, choć wołałaby, żeby był tu stanowczy Jim lub Jerry, bo wyzwiska Dana mocno zraniły jej dumę.

Walter nie był już blady. Na jego policzkach widniały ciemne rumieńce, a w pięknych oczach pojawił się gniew i wstyd. Wiedział, że powinien wystąpić w obronie Faith. Jim potrafiłby to zrobić - Dan musiałby przełknąć wszystkie swoje słowa. Ritchie Warren pokonałby Dana jego własną bronią - wyzwiskami dużo gorszymi od tych, jakimi Dan obraził Faith. Ale Walter nie potrafił, po prostu nie potrafił rzucać wyzwiskami. Znał najgorsze z nich, ale żadne wulgarne, obrzydliwe słowo nie przeszłoby mu przez gardło, choć Dan posługiwał się nimi z taką łatwością. Walka na pięści w ogóle nie wchodziła w rachubę - Walter nie umiał się bić. Nie znosił nawet myśli o bójce. Walka na pięści była brutalna i bolesna, a co najgorsze - obrzydliwa. Nigdy nie rozumiał Jima, który pragnął triumfować przy każdej okazji. Tym razem jednak żałował, że nie umie zbić Dana. Czuł się straszliwie upokorzony, gdyż Faith została obrażona w jego obecności, a on nawet nie próbował wymierzyć zasłużonej kary jej prześladowcy. Był pewny, że nim pogardza. Od chwili, gdy Dan nazwał ją „świniarką”, nie odezwała się ani słowem. Walter odetchnął z ulgą, kiedy ich drogi w końcu się rozeszły.

Faith również pożegnała chłopca bez żalu, choć z zupełnie innych powodów. Chciała zostać sama, bo nagle poczuła, że oblatuje ją strach. Determinacja, z jaką wyruszyła, opadła, szczególnie po tym, jak Dan boleśnie zranił jej poczucie godności. Wiedziała, że musi spełnić swoją misję, straciła jednak entuzjazm i wiarę, które dotąd umacniały ją w postanowieniu. Szła, aby zobaczyć się z Normanem Douglassiem i namówić go do powrotu na łono kościoła, ale zaczęła się go bać. To, co w Glen wydawało się takie proste, tu okazało się niezwykle trudne. Faith słyszała niejedno o Normanie Douglassie i wiedziała, że boją się go największe szkolne łobuziaki. A jeśli nazwie ją jakimś brzydkim słowem? Słyszała, że potrafi to zrobić, a Faith była bardziej wrażliwa na słowa niż na prawdziwe ciosy. Mimo to pójdzie do niego. Faith Meredith nie poddaje się tak łatwo.

Zobaczyła ten dom na końcu długiej alei. Był to spory, starodawny budynek, którego strzegł szpaler czarnych topoli. Z tyłu, na werandzie, siedział z gazetą Norman Douglas we własnej osobie. U jego stóp leżał pies. We wnętrzu domu, w kuchni, krzątała się pani Wilson, gospodyni. Z kuchni dochodził gniewny szczęk naczyń - pani Wilson, która właśnie przygotowywała kolację, pokłóciła się przed chwilą ze swoim chlebodawcą. Pan Douglas był w związku z tym w fatalnym nastroju. Nic też dziwnego, że kiedy Faith znalazła się na werandzie i Norman Douglas odsunął płachtę gazety, żeby na nią spojrzeć, dziewczynka ujrzała przed sobą rozwścieczone oczy starego choleryka.

Norman Douglas był, jak na swój wiek, przystojnym mężczyzną. Na jego szeroką pierś spływała bujna, ruda broda, a potężną głowę zdobiła czupryna o tej samej barwie, nie przyprószone siwizną. Wysokie, białe czoło wciąż pozbawione było zmarszczek, a w niebieskich oczach zapalały się jeszcze ogniki świadczące o iście młodzieńczym temperamencie. Potrafił być uroczym człowiekiem, jeśli miał na to ochotę, ale bywał też straszny. Biedna Faith, która szczerze pragnęła uzdrowić sytuację panującą w kościele, trafiła na zły dzień Normana Douglasa.

Nie znał jej i przyglądał się dziewczynce z niechęcią. Norman Douglas uwielbiał wesołe, przekorne i energiczne dziewczynki, a Faith była wystraszona i blada. Jej uroda opierała się na kolorach - bez rumieńców na policzkach wyglądała niepozornie i nieciekawie. Miała wylęknione, przepaszające oczy, które obudziły bestię w sercu Normana Douglasa.

- A coś ty za jedna, u diabła? I po coś tu przylazła? - spytał swym dudniącym, potężnym głosem, nie kryjąc złości.

Po raz pierwszy w życiu Faith odebrało głos. Nie spodziewała się, że Norman Douglas może być taki. Strach dosłownie ją sparaliżował. Mężczyzna spostrzegł to i rozgniewał się jeszcze bardziej.

- Co z tobą, u licha?! - huknął. - Wyglądasz, jakbyś chciała coś powiedzieć, ale cię zatkało. O co chodzi, do diabła? Gadaż! Tylko głośno!

Nie. Nie zdoła wykrztusić z siebie nic, a już na pewno nie głośno. Brakło jej słów. Usta jej drżały.

- Nie becz, na miłość boską! - wrzasnął Norman. - Nie znoszę ryków. Jak masz coś do powiedzenia, to gadaż i już. O Matko Boska, czyżby ten dzieciak był głuchy jak pień? Nie gap się tak na mnie, nie jestem potworem w klatce! Nie mam ogona i wyglądam jak człowiek. Coś ty za jedna, pytam?!

Krzyki Normana słyszać było chyba aż w porcie. Krzątania w kuchni ucichła. Pani Wilson zamieniła się w słuch. Norman Douglas położył swoje potężne, brązowe dłonie na kolanach i pochylił się ku Faith, spoglądając w jej pobladłą, drżącą twarz. Zastygł nad nią niczym potężny, groźny smok z bajki. Poczuła, że jeszcze chwila, a pożre ją do ostatniej kosteczki.

- Ja... ja... jestem Faith... Meredith - wykrztusiła prawie szeptem.

- Meredith, co? Od tego pastora, co? Słyszałem o was co nieco! Jeździcie na świniach i pracujecie w niedzielę! Przyjemne stadko! No i czego ty tu szukasz, co? Po coś przyszła do starego poganina, co? Ja tam nie chcę żadnych przysług od pastorów, a im też nie zamierzam w niczym pomóc. Czego tu szukasz, pytam?

Faith pragnęła znaleźć się teraz na końcu świata. Wyjąkała swą prośbę, nie owijając w bawełnę:

- Przyszłam, bo... bo chciałam pana prosić, żeby... żeby przyszedł pan do kościoła... i płacił... składkę na... tatusia.

Norman wbił w nią wzrok i pochylił się jeszcze bardziej.

- Ty mała, przebiegła łotrzyczo! - wybuchnął. - Kto cię tu przysłał, bezczelna istoto? Kto?

- Nikt - odparła biedna Faith.

- Łżesz! Nie próbuj mnie okłamywać! Pytałem, kto cię tu przysłał, u licha! Bo przecież nie twój ojciec, wprawdzie brak mu piątej klepki, ale nie kazałby ci zrobić czegoś, czego sam nigdy by nie zrobił. Więc kto, u diabła? Pewnie któraś z tych przeklętych starych panien z Glen. Co? Odpowiadaj!

- Nie... ja... ja... sama.

- Uważasz mnie za idiotę?! - wrzasnął Norman.

- Nie. Myślałam, że pan jest dżentelmenem - powiedziała cichutko Faith, która z pewnością nie miała zamiaru być ironiczna.

Norman zerwał się na równe nogi.

- Nie wtykaj nosa w nie swoje sprawy, mała. Nie chcę słyszeć już ani jednego słowa. Gdybyś nie była dzieciakiem, nauczyłbym cię respektu dla cudzych spraw. Jak mi będzie potrzebny ksiądz albo jaki felczer, sam po nich poślę. Inaczej wara im ode mnie. Jasne? A teraz zmykaj, ty gapo.

Faith wyszła. Po omacku zeszła ze schodów, minęła furtkę. Przeszła połowę alejki, kiedy poczuła, że lęk ją opuszcza i nadchodzi fala wściekłości. Zanim doszła do końca alei, ogarnęła ją taka furia, jakiej nigdy jeszcze nie czuła. Obelgi Normana Douglasa zapadły w jej dumną duszę i rozpałyły w niej prawdziwy pożar. Zaciśnęła zęby i zwinęła dłonie w pięści. Iść do domu? O, nie! Wróci tam i wygarnie temu staremu draniowi, co o nim myśli. Już ona mu pokaże! Gapa, też coś!

Zawróciła bez wahania. Weranda była pusta, a drzwi do kuchni - zamknięte. Faith otworzyła je bez pukania i weszła do środka. Norman Douglas właśnie zasiadł do kolacji, ale nie odłożył jeszcze gazety. Faith podeszła do niego, wyrwała mu ją z rąk, rzuciła na podłogę i podeptała. Stała przed nim z płonącymi oczyma i szkarłatnym rumieńcem na policzkach. Mała złoźnica wyglądała tak uroczo, że Norman Douglas ledwie ją poznał.

- Co sprowadza cię z powrotem?! - ryknął, raczej zdziwiony niż zagniewany.

Bez lęku spojrzała mu w oczy, wytrzymując wzrok, który był postrachem całej okolicy.

- Wróciłam, żeby powiedzieć panu, co o panu naprawdę myślę - oświadczyła Faith czystym, dźwięcznym głosem. - Wcale się pana nie boję. Jest pan bezczelnym, niesprawiedliwym, despotycznym i kłótlwym staruchem. Zuzanna mówi, że z pewnością trafi pan do piekła, a ja zawsze pana żałowałam, ale teraz już nie żałuję. Pana żona przez dziesięć lat nie miała nowego kapelusza, nic dziwnego, że umarła. Będę zawsze robić brzydkie miny na pana widok i zawsze będę deptać panu po piętach. Mój tata ma w jednej książce wizerunek diabła i jak tylko wrócę do domu, pójdę prosto do gabinetu i podpiszę go pana nazwiskiem. Pan jest starym wampirem i niech zagrają panu szkockie skrzypki!

Faith nie miała pojęcia, co to znaczy: „wampir”, ani co to są szkockie skrzypki, ale słyszała kiedyś, jak używała tych słów Zuzanna., a z jej głosu wynikało, że oznaczają coś bardzo złego. Norman Douglas natomiast dobrze to wiedział. Wysłuchiwał przemówienia Faith w absolutnej ciszy. Kiedy zamilkła na chwilę dla zaczerpnięcia tchu, tupiąc przy tym nogą, Norman wybuchnął szczerym, głośnym śmiechem. Mocno klepnął dłonią kolano i zawołał:

- A to ci zuchwała dziewczuszka, lubię taki temperamencik! Chodź, siadaj, no, usiądź!

- Nie usiądę - oczy Faith rozbłysły jeszcze większym gniewem. Sądziła, że ten człowiek stroi sobie z niej żarty, wyśmiewa się, kpi. Zniosłaby wybuch gniewu, ale kpina zraniła ją głęboko. - W tym domu nie usiądę. Wracam na plebanię. Ale cieszę się, że przyszedłam panu powiedzieć, co o panu myślę.

- I ja też... ja też się cieszę - chichotał Norman. - Podobasz mi się... Jesteś ładna... i dzielna. Te policzki i taka zuchwałość! Nazwałem cię gapą? Oj, myliłem się. Siadaj. Gdybyś od razu tak zaczęła, dziewczyno! Więc napiszesz moje nazwisko na obrazku z diabłem, tak? Ale diabeł, dziewczyno, jest czarny, a ja jestem rudy. To nie pasuje, ani trochę nie pasuje! I masz nadzieję, że zagrają mi szkockie skrzypki? Oj, nie życz mi tego, znam je z młodości. Siadaj, siadaj. Poczęstuję cię czymś pysznym.

- Nie, dziękuję - powiedziała wyniośle Faith.

- Ależ tak, dziewczyno, ależ tak. No już, przepraszam, przepraszam, mała. Zrobiłem z siebie głupka i teraz mi przykro. Uczciwie postawiłem sprawę, prawda? No to teraz zapomnijmy o wszystkim. Podajmy sobie dłonie, dziewczyno. No patrz, nie poda mi ręki! Musisz mi wybaczyć, musisz! Posłuchaj mnie, dziewczyno - jeśli podasz mi rękę i zjesz ze mną kolację, będę płacił na kościół tyle, co zawsze, i w każdą pierwszą niedzielę miesiąca pojawię się na mszy. I jeszcze zatkam gębę Kitty Davis. Tylko ja w całej rodzinie mogę to zrobić. Ubijamy interes, dziewczyno?

To rzeczywiście był dobry interes. Faith uściśnęła dłoń potwora i usiadła z nim przy stole. Jej gniew minął - gniew Faith zawsze trwał krótko - ale przeżyty wybuch wciąż dodawał blasku jej oczom i rumieńców policzkom. Stary Norman Douglas z zachwytem przyglądał się dziewczynce.

- Wilson, przynieś tu najlepsze ze swoich zapraw - rozkazał - i przestań się już bocyć, kobieto, no. Nawet jeśli się pokłóciliśmy, co z tego? Dobra kłótnia oczyszcza powietrze i rozjaśnia umysły. Tylko po co te fochy i dąsy, kobieto, po co? Nienawidzę tego. Lubię w kobiecie temperament, ale łzy to nie dla mnie. Ej, dziewczyno, masz tu trochę mięsa z ziemniakami. Zacznij od tego. Wilson ma dla tej potrawy jakąś wymyślną nazwę, ale ja nazywam ją po prostu: „maźdyrda”. Wszystko, co jest trudne do określenia, a służy do jedzenia, nazywam „maźdyrdą”, a wszystko, co mnie złości i jest mokre, nazywam „chlapakiem”. Herbata, którą zaparza Wilson, to „chlapak”. Przysiagłbym, że robi ją z chwastów. Tylko nie popijaj tego czarnego, bezbożnego napoju, masz tu trochę mleka. Nie pamiętam, jak ci na imię.

- Faith.

- „Faith” znaczy wiara. Co za okropne imię! Nie przejdzie mi przez gardło. Nie masz jakiegoś innego?

- Nie mam, proszę pana.

- Nie podoba mi się. Co to za imię! Przypomina mi moją ciotkę Jinny. Miała trzy córki i nazwała je Wiara, Nadzieja i Hojność. Wiara w nic nie wierzyła, Nadzieja była od urodzenia pesymistką, a Hojność była skąpiradłem. Ty powinnaś mieć na imię Czerwona Różyczka - bo jak się złościś, wyglądasz jak ten kwiatek. I tak zamierzam cię nazywać. A więc, Czerwona Różyczko, wymogłaś na mnie, abym chodził do kościoła, tak? Ale pamiętaj, tylko raz na miesiąc. Posłuchaj, dziewczyno, może zwolnisz mnie z tej obietnicy? Dwadzieścia lat temu chodziłem do kościoła i płaciłem setkę rocznie. Jeśli dołożę drugą setkę, to zwolnisz mnie z chodzenia do kościoła? Co, dziewczyno?

- Nic z tego, proszę pana - powiedziała Faith, uśmiechając się łobuzersko. - Chcę, żeby chodził pan do kościoła.

- Cóż, jak interes, to interes. Wydaje mi się, że przetrzymam te dwanaście nabożeństw na rok. Zobaczysz, jaką sensację wzbudzi moje pojawienie się w niedzielę! A stara Zuzanna Baker mówi, że będę się smażył w piekle, tak? A jak ty myślisz, trafię do piekła, co?

- Mam nadzieję, że nie, panie Douglas - wyjąkała zmieszana Faith.

- A czemu masz taką nadzieję? No, dalej dziewczyno, podaj mi jakiś powód. Czemu masz nadzieję?

- Bo piekło, proszę pana, chyba nie jest zbyt przyjemnym miejscem.

- Niezbyt przyjemnym? A, to już zależy od upodobań i od towarzystwa, dziewczyno. Nudziłbym się wśród aniołów. Wyobraź sobie tylko, stara Zuzanna w aureoli, co?

Faith wyobraziła sobie Zuzannę jako anioła i wybuchnęła śmiechem. Norman spojrzał na nią z uznaniem.

- No, masz poczucie humoru. Jesteś wspaniała, dziewczyno, naprawdę przypadłaś mi do gustu. A co do tego kościoła, to czy twój ojciec umie głosić kazania?

- Jest znakomitym kaznodzieją - odparła zgodnie z prawdą Faith.

- Naprawdę? Przekonamy się o tym, co? Będę śledził każde jego spotkanie. Niech lepiej uważa na to, co będzie mówił w mojej obecności. Już ja przyłapię go na każdym fałszu... zastawię pułapkę... przypilnuję tych jego... argumentów. Lubię wyśmiewać się z tych kościelnych banialuków. Czy często wygłasza kazania o piekle?

- No... nie, chyba nie.

- Wielka szkoda. Uwielbiam kazania o piekle. Powiedz swojemu ojcu, że jeśli chce wprawić mnie w dobry nastrój, powinien co pół roku wygłosić świetne, mrozące krew w

żyłach kazanie o piekle - im bardziej siarczyste, tym lepiej. Przepadam za zapachem dymu. No i z przyjemnością myślę, jak miłe to będzie dla tych wszystkich starych panien. Będą mogły patrzeć na Normana Douglasa i myśleć: „To dla ciebie, ty stary grzeszniku. Czeką cię potępienie i ogień piekielny”. Za każde kazanie o piekle, na które namówisz swojego tatę, dołożę ekstra dziesięć dolarów. O, Wilson niesie powidła! To nie jest „maźdyrda”, spróbuj tylko!

Norman Douglas podał jej wielką łyżkę powideł, które Faith posłusznie przełknęła. Na szczęście były dobre.

- To najlepsze powidła śliwkowe na świecie - powiedział Norman, napełniając salaterkę i stawiając ją przed Faith. - Cieszę się, że ci smakują. Dam ci kilka słoików do domu. Nie jestem skąpy, wiesz? Diabeł nie będzie mógł mnie wrzucić do jednego kotła z kutwami. To nie była moja wina, że Estera przez dziesięć lat chodziła w tym samym kapeluszu. Sama była sobie winna, bo rezygnowała z kapeluszy, żeby posyłać pieniądze tym żółtym ludziom z Chin. Ja nigdy w życiu nie dałem na nich złamanego centa i nigdy nie dam. I nawet nie próbuj mnie do tego zmusić, dziewczyno! Stówka na pensję i jedno nabożeństwo w miesiącu - ale nigdy nie przyłożę ręki do tego, żeby przyzwoitych pogan zamieniać w byle jakich chrześcijan! Przecież, dziewczyno, oni nie pasują ani do nieba, ani do piekła. To zwykłe marnotrawstwo, zwykłe marnotrawstwo. Hej tam, Wilson, uśmiechnęłaś się wreszcie? Oj, do licha, jak wy, kobiety, potraficie się naburmuszyć! Ja nigdy w życiu nie byłem obrażony - raz wybuchnę i huknę, a potem, psst, balonik pęknie i po kłótni, słoneczko wychodzi na niebo i można mi jeść z ręki.

Po kolacji Norman uparł się, że odwiezie Faith do domu, i załadował powóz po brzegi jabłkami, dyniami, ziemniakami, ogórkami i, oczywiście, słoikami powideł.

- W szopie mam ślicznego kodaka. Jeśli chcesz, to go dostaniesz. Tylko powiedz - zaproponował.

- Nie, dziękuję - stanowczo odmówiła Faith. - Nie lubię kotów, a zresztą mam koguta.

- No, słuchajcie tylko! Ale z kogutem nie możesz się bawić tak jak z kotkiem. Czy kto słyszał, żeby głaskać koguta? Weź lepiej Toma. Chciałbym, żeby miał dobry dom.

- Nie. Ciocia Marta ma kota, a on pewnie zabiłby obcego kociaka.

Norman przyjął jej argumenty z pewnym powątpiewaniem. Jego ukochany, nieokiełznany dwulatek zapewnił Faith emocjonującą podróż do domu. Norman wysadził dziewczynkę przy kuchennych drzwiach plebanii, zrzucił cały ładunek na werandę i odjechał, wołając:

- Pamiętaj, raz na miesiąc, tylko raz na miesiąc! Faith poszła od razu na górę i położyła się do łóżka.

Kręciło jej się w głowie i była lekko zdyszana, jakby właśnie wyrwała się z objęć trąby powietrznej, która jednak okazała się niegroźna. Była uszczęśliwiona i wdzięczna losowi. Nie musiała się już bać, że będzie musiała opuścić Glen, Dolinę Tęczy i stary cmentarz. Jednak kiedy zasypiała, powróciło do niej nieprzyjemne poczucie upokorzenia, którego doświadczyła, gdy Dan Reese nazwał ją świniarką. Wiedziała, że skoro raz wymyślił taką wspaniałą obelgę, będzie jej używał przy każdej nadarzającej się okazji.

PODWÓJNE ZWYCIĘSTWO

W pierwszą niedzielę listopada Norman Douglas pojawił się w kościele, wzbudzając tym niemałą sensację, dokładnie tak, jak zamierzał. Zamyślony pastor Meredith uścisnął mu dłoń na kościelnych schodach i wyraził w roztargnieniu nadzieję, że pani Douglas dobrze się czuje.

- Nie czuła się najlepiej, kiedy musiałem ją pochować dwa lata temu, ale domyślałem się, że teraz cieszy się lepszym zdrowiem - huknął Norman, ku zgorszeniu i rozbawieniu słuchaczy. Tylko Jan Meredith, który był całkowicie pochłonięty jedną myślą: czy ostatnie zdanie jego kazania jest wystarczająco zrozumiałe, niezupełnie pojął słowa Normana, tak jak nie bardzo zdawał sobie sprawę ze słów, którymi go powitał.

Norman przyłapał Faith przy drzwiach. - Dotrzymałem słowa, Czerwona Różyczko, sama widzisz, dotrzymałem. Teraz mam spokój aż do pierwszej niedzieli grudnia. No, dziewczyno, niezłe kazanie, całkiem niezłe. Twój ojciec ma więcej w głowie, niż można by się spodziewać. Chociaż raz sam sobie zaprzeczył - powiedz mu, że raz sobie zaprzeczył. A, i powiedz mu jeszcze, że w grudniu chcę usłyszeć to piekielne kazanie. To znakomity sposób na pożegnanie starego roku, poczuć zapach piekła, prawda? I niech pomyśli o ładnym, smakowitym kazaniu o niebie na początek Nowego Roku. Choć nie będzie ono nawet w połowie tak ciekawe, jak to o piekle, dziewczyno, nawet w połowie. Ale ja chciałbym wiedzieć, co twój tata myśli o niebie, wiesz? Bo on naprawdę myśli. Niespotykane! Myślący pastor to rzadki okaz. A jednak zaprzeczył sobie. Ha, ha, ha! Jak się któregoś razu obudzi, to powinnaś, dziewczyno, zadać mu takie pytanie: Czy wszechmogący Bóg może stworzyć kamień tak wielki, że sam go nie uniesie? Nie zapomnij. Chciałbym znać jego zdanie. Już niejednego pastora zapędziłem tym w kozi róg.

Faith była szczęśliwa, kiedy wreszcie się rozstali i mogła pobiec do domu. Dan Reese, stojący wraz z innymi chłopcami przy kościelnej bramie, już otwierał usta, żeby zawołać: „Świniarka!”, ale nie starczyło mu odwagi, by wykrzykiwać obelgi pod kościołem. W szkole to co innego. Nazajutrz podczas długiej przerwy Faith natknęła się na niego w świerkowym zagajniku za szkołą i Dan wrzasnął wniebogłosy:

- Świniarka! Świniarka! Kogucia mama!

Spod kępy jodeł niespodziewanie podniósł się Walter Blythe, który siedział tam na miękkim posłaniu z mchu i czytał książkę. Był bardzo blady, ale jego oczy płonęły.

- Powściągnij swój język, Danie Reese! - powiedział.

- Och, witam pannę Walterównę - odparł Dan, zupełnie nie zmieszany. Wskoczył zwinnie na płot i zaczął bezczelnie wyśpiewywać:

Oto tchórz, wielki tchórz, Tupnij tylko, umknie już. Oto tchórz, wielki tchórz.

- Jesteś megaloman! - rzucił pogardliwie Walter, jeszcze bardziej pobladły. Nie bardzo wiedział, co oznacza słowo „megaloman”, a Dan miał o tym jeszcze mniejsze pojęcie, domyślał się tylko, że musi to być jakaś straszliwa obelga.

- Tak, tchórz, tchórz! - krzyknął znowu. - Twoja matka wypisuje same łgarstwa, łgarstwa, łgarstwa! A Faith Meredith to świniarka, świniarka, świniarka! I kogucia mama, kogucica! Ha, ha, ha. Oto tchórz, wie...

Nie dokończył. Walter rzucił się naprzód i jednym, precyzyjnym ciosem zwałił Dana z płotu. Dan rozpląszczył się jak żaba, a Faith powitała to zdarzenie wybuchem śmiechu i oklaskami. Dan pozbierał się szybko i, purpurowy z gniewu, zaczął z powrotem wspinać się na płot. Jednak w tej samej chwili rozległ się dzwonek na lekcje, a Dan wiedział, co spotyka chłopców, którzy spóźniają się na lekcje pana Hazarda.

- Oberwiesz za to - warknął. - Ty tchórze!

- Kiedy będziemy się bić? - spytał Walter.

- Och, Walterze, nie - zaprotestowała Faith. - Nie bij się z nim. Niech sobie gada, nic mnie to nie obchodzi, nie zwracam uwagi na takich, jak on.

- Obraził nie tylko ciebie, ale i moją matkę - powiedział Walter, wciąż śmiertelnie poważny. - Dziś po szkole, Dan.

- Dziś po szkole muszę od razu wracać do domu, żeby pomóc tacie przy wykopkach - powiedział pośpiesznie Dan. - Ale jutro po południu mogę.

- Więc jutro po południu - zgodził się Walter.

- Natrę ci tę twoją wymuskaną gębę - obiecał Dan. Walter zadrżał - nie tyle ze strachu, ile z niesmaku, jaki wzbudziły w nim te wulgarne, obrzydliwe słowa. Podniósł jednak wysoko głowę i dumnie ruszył w stronę szkoły. Faith, w której walczyły sprzeczne uczucia, pobiegła za nim. Nie mogła znieść myśli, że Walter będzie musiał się bić z tym małym, podłym łobuzem, ale jak wspaniale się zachował! I ma bić się właśnie o nią - w obronie godności Faith Meredith, aby ukarać tego, kto ją obraził! Walter wygra - w jego oczach już lśnił blask zwycięstwa.

Do wieczora wiara Faith w triumf Waltera nieco osłabła. Przez cały dzień w szkole chłopiec był milczący i przygnębiony.

- Gdyby na jego miejscu był Jim - westchnęła Faith, gdy wieczorem siedziały z Uną na cmentarzu, na nagrobku Ezekiasza Pollocka. - On umie się bić. Położyłby Dana jednym ciosem. Ale Walter nie ma pojęcia o walce.

- Strasznie się boję, że coś mu się stanie - wzdychała Una, która szczerze nienawidziła bójek i nie mogła pojąć ukrytej ekscytacji, jaką dostrzegła w Faith.

- Nie powinno - odparła zaniepokojona Faith. - Jest prawie taki duży, jak Dan.

- Ale Dan jest od niego starszy - powiedziała Una.

- Prawie o cały rok.

- Ale jak się dobrze policzy, to Dan wcale się tak często nie bije - stwierdziła Faith. - Myślę, że tak naprawdę jest tchórzem. Nie spodziewał się, że Walter zechce się z nim bić, i właśnie dlatego przezywał mnie przy nim. Och, Uno, gdybyś widziała, jak Walter popatrzył na Dana! Spojrzałam na jego twarz i przeszył mnie dreszcz. Dreszcz radości. Wyglądał jak Sir Galahad z tego wiersza, który tata czytał nam w niedzielę.

- Wolałabym, żeby ktoś ich powstrzymał, bo nie mogę znieść myśli o tym, że będą się bić - powiedziała Una.

- Och, teraz to już niemożliwe! - krzyknęła Faith.

- To sprawa honorowa. Uno, nie wolno ci nikomu o tym mówić. Jak komuś powiesz, nigdy już nie zdradzę ci żadnej tajemnicy.

- Nie powiem nikomu - obiecała Una. - Ale jutro nie będę na to patrzeć. Wracam prosto do domu.

- No, dobrze. Ja muszę przy tym być. W końcu Walter bije się właśnie o mnie. Zamierzam przypiąć mu na ramieniu swoją wstążkę, tak właśnie damy postępują ze swoimi rycerzami. Jakie to szczęście, że pani Blythe podarowała mi na urodziny błękitną wstążkę do włosów. Miałam ją na sobie tylko dwa razy, więc jest zupełnie jak nowa. Szkoda tylko, że nie mam pewności, czy Walter wygra. Jeśli przegra, będę... będę upokorzona.

Faith wierzyłaby jeszcze mniej w triumf swojego bohatera, gdyby zobaczyła go w tej chwili. Walter wrócił ze szkoły w bardzo kiepskim nastroju, dawno już wygasł jego słuszny gniew. Nazajutrz miał stanąć do walki z Danem Reese'em, a nie miał na to najmniejszej ochoty. Przerażała go sama myśl o bójce, nie potrafił jednak przestać o niej myśleć, nawet na chwilę. Czy to będzie bardzo bolało? Strasznie bał się bólu i wstydu, jaki oznaczała przegrana.

Podczas kolacji nie mógł niczego przełknąć. Zuzanna usmażyła całą furę jego ukochanych racuchów, ale Walter zdołał wmusić w siebie zaledwie jednego. Jim zjadł cztery. Walter nie był w stanie pojąć, jak można tyle zjeść. Jak w ogóle ktokolwiek mógł w taki dzień

jeść kolację? Jak to możliwe, że oni wszyscy rozmawiali sobie wesoło, jak gdyby nigdy nic? Mama miała radosne spojrzenie i rumieńce na policzkach. Ona przecież nie wiedziała, że nazajutrz jej syn stanie do śmiertelnej walki. Walter zastanawiał się ponuro, czy gdyby wiedziała, też byłaby taka wesoła. Jim zrobił zdjęcie Zuzanny swoim nowym aparatem i rezultat jego doświadczenia właśnie podawano sobie z rąk do rąk, ku oburzeniu sfotografowanej.

- Wiem, że nie jestem żadną piękną, kochana pani doktorowo, zawsze to wiedziałam - powiedziała Zuzanna urażonym tonem - ale nigdy, przenigdy nie uwierzę w to, że jestem tak obrzydliwą maskarą, jak na tym zdjęciu.

Słyszając to, Jim wybuchnął śmiechem, a Ania mu zawtórowała. Tego Walter po prostu nie mógł znieść. Zerwał się od stołu i pobiegł do pokoju.

- Temu dziecku coś dolega, kochana pani doktorowo - oświadczyła Zuzanna. - Prawie nic nie zjadł na kolację. Czy myśli pani, że zastanawia się nad jakimś wierszydłem?

Biedny Walter był jak najdalszy od baśniowego, poetyckiego nastroju swych wierszy. Oparł się łokciami o okienny parapet i ponuro zwiesił głowę.

- Walter, chodź nad morze! - krzyknął Jim, wpadając do pokoju. - Chłopaki będą dziś wieczorem podpalać trawy na wzgórzu i tata pozwolił nam pójść. Chodź.

Każdego innego dnia Walter byłby zachwycony. Uwielbiał łunę bijącą od traw płonących na wzgórzu. Tym razem stanowczo odmówił bratu i nie przekonały go ani prośby, ani logiczne argumenty. Rozczarowany Jim, któremu nie uśmiechał się samotny spacer do Czterech Wiatrów po zmroku, zaszył się z książką w swoim muzeum na strychu. Wkrótce zresztą zapomniał o rozczarowaniu, zatapiając się w przygodach bohaterów ze starego romansu i przerywając czytanie tylko po to, by wyobrazić sobie, że jest wielkim generałem, prowadzącym do zwycięskiej walki swoją dzielną armię.

Walter przez cały wieczór wyglądał przez okno. Do jego pokoju wślizgnęła się Di, z nadzieją, że dowie się, co go dręczy, ale on nie był w stanie wyznać tego nikomu, nawet Di. Opowiadać o tym to tak, jak bić się naprawdę, a to przyprawiało Waltera o dreszcz przerażenia. Już samo myślenie było dość straszne. Suche liście szeleściły na gałęziach klonu rosnącego za oknem. Płomienna, różowa poświata zniknęła już ze srebrnego nieba, a nad Doliną Tęczy wschodził dumnie okrągły, wielki księżyc. W oddali, na horyzoncie za wzgórzami, czerwony ogień pysznił się blaskiem na niebie. Powietrze było przejrzyste i ostre. Był to jeden z tych wieczorów, kiedy dźwięki niosą się daleko po okolicy. Gdzieś nad stawem rozlegało się poszczekiwanie lisa, na stacji w Glen pohukiwała lokomotywa, w klonowym zagajniku wrzeszczała błękitna sówka, a na trawniku plebanii słychać było czyjeś śmiechy. Jak

ludzie mogą się śmiać? Jak to możliwe, że lisy, sójki i lokomotywy zachowują się, jak gdyby nigdy nic, jakby jutro nic nie miało się zdarzyć?

- Och, żeby już było po wszystkim - westchnął Walter.

Tej nocy niewiele spał i z ogromnym trudem przełknął owsiankę, którą Zuzanna podała na śniadanie. Zuzanna miała swoje zasady: owsianka musiała być zjedzona do ostatniej łyżki. Pan Hazard nie był tego dnia szczególnie zadowolony ze swojego ucznia. Faith Meredith także wydawała się jakaś nieswoja. Dan Reese pod ławką rysował dziewczynki z głową świni albo koguta i ukradkiem podnosił swoją tabliczkę, tak jednak, żeby wszyscy ją widzieli. Wieść o bójce rozniosła się, toteż kiedy Dan i Walter zjawili się w świerkowym zagajniku, czekali tam na nich niemal wszyscy chłopcy i wiele dziewcząt. Una poszła do domu, ale zjawiała się Faith, która obwiązała ramię Waltera swoją błękitną wstążką. Walter cieszył się, że wśród tłumu widzów nie było Jima ani bliźniaczek. Na szczęście nie dowiedzieli się, na co się zanoszą, i pobiegli do domu. Teraz, kiedy stanął twarzą w twarz z Danem, przestał się bać. W ostatniej chwili jego strach gdzieś przepadł, ale wciąż dręczyło go uczucie niesmaku. Wszyscy zauważyli, że Dan był pod swymi piegami bardzo blady, bledszy nawet niż jego przeciwnik. Któryś ze starszych chłopców dał znak i Dan uderzył Waltera w twarz.

Walter zachwiał się lekko. Uderzenie go ogłuszyło, ale po chwili chłopiec nie czuł już żadnego bólu. Ogarnęło go dziwne uczucie, nie doświadczył go nigdy przedtem - coś porwało go niczym rwąca fala. Twarz mu poczerwieniała, oczy płonęły. Uczniowie szkoły w Glen St. Mary nigdy przedtem nie widzieli takiej „panny Walterówny”, nie mieli pojęcia, że może wyglądać tak groźnie. Walter rzucił się naprzód i zaatakował Dana z furią dzikiego kociaka.

Walki chłopców ze szkoły w Glen nie toczyły się według określonych reguł. Każdy bił się, jak umiał, byle trafić przeciwnika. Dan nie zdołał powstrzymać wściekłości i dziwnej, walecznej radości, jakie wstąpiły w Waltera. Wszystko trwało nadspodziewanie krótko. Walter nie do końca zdawał sobie sprawę z tego, co robi, a kiedy nagle czerwona mgła ustąpiła, zobaczył, że klęczy na rozciągniętym na ziemi ciele Dana, a z nosa jego rywala - to straszne! - cieknie krew.

- Masz dość? - wycodził Walter przez zaciśnięte zęby.

Dan ponuro skinął głową.

- Czy moja matka pisze łgarstwa?

- Nie.

- Czy Faith Meredith jest świniarką?

- Nie.

- A kogucią mamą?
- Nie.
- A ja jestem tchórzem?
- Nie.

Waltera korciło, by zapytać: „A ty jesteś kłamcą?”, ale poczuł litość i postanowił nie poniżać Dana jeszcze bardziej. No i ta krew, wyglądała tak okropnie.

- Możesz iść - powiedział z pogardą.

Chłopcy siedzący na płocie nagrodzili Waltera gromkimi oklaskami, ale kilka dziewcząt płakało. Były przerażone. Widywały już przedtem szkolne bójki, ale czegoś takiego, jak pokazał Walter - nigdy. Było w tym chłopcu coś przerażającego. Wydawał się tak zaślepiony, jakby zamierzał zabić Dana. Teraz, kiedy było już po wszystkim, wybuchnęły histerycznym płaczem. Faith stała wśród nich bez ruchu, jej policzki płonęły.

Walter nie zamierzał świętować swojego triumfu. Przeskoczył przez płot i pobiegł wśród świerków w dół wzgórza - do Doliny Tęczy. Nie czuł radości zwycięstwa, lecz tylko spokojną satysfakcję z dobrze spełnionego obowiązku - ocalił honor. Ale kiedy tylko pomyślał o rozkwaszonym nosie Dana, natychmiast robiło mu się niedobrze. Wyglądało to tak obrzydliwie, a Walter nie znosił takich widoków.

Powoli zaczęło do niego docierać, że on też nie uszedł cało. Miał spuchniętą, rozciętą wargę, a jedno oko dziwnie go bolało. W Dolinie Tęczy natknął się na pastora Mereditha, który wracał akurat z popołudniowej wizyty u panien West. Wielebny dżentelmen przyjrzał mu się z uwagą.

- Wygląda na to, Walterze, że stoczyłeś jakąś walkę - stwierdził z powagą.
- Tak, proszę pana - odparł Walter, spodziewając się bury.
- Dlaczego się biłeś?
- Dan Reese powiedział, że moja matka pisze łgarstwa, a Faith nazwał świniarką - prosto z mostu odrzekł Walter.
- O! No, skoro tak, to miałeś rację.
- Więc pan uważa, że można się bić? - zdziwił się Walter.
- Nie w każdym przypadku, ale czasem, rzadko, zdarzają się takie sytuacje, że można, tak, zdarzają się - powiedział Jan Meredith. - Na przykład wtedy, gdy ktoś obrazi bliską ci kobietę, a tak było w tym wypadku. Zawsze wyznawałem taką zasadę, Walterze: Nie bij się, jeśli naprawdę nie musisz, a jeśli musisz - nie daj się pokonać. Pomimo tych wszystkich siniaków, wyglądasz na zwycięzcę.
- Owszem. Dostał za swoje.

- To znakomicie, znakomicie, Walterze. Choć nigdy bym nie przypuszczał, że potrafisz się bić.

- Bo ja nigdy przedtem się nie biłem. I właściwie nie chciałem się bić, aż do ostatniej chwili - wyznał Walter, który postanowił szczerze przyznać się do wszystkiego - ale kiedy już się zaczęło, spodobało mi się to.

Wielebny Jan Meredith zamrugał.

- Bałeś się trochę na początku?

- Bałem się strasznie - szczerze przyznał Walter. - Ale już nigdy nie będę się niczego bał, proszę pana. Strach jest gorszy niż to, czego się boimy. Poproszę tatę, by zabrał mnie jutro do Lowbridge, do dentysty, żeby mi wyrwał ząb.

- Masz rację, Walterze. „Lęk przed cierpieniem boli bardziej niż cierpienie, którego się lękasz”. Czy wiesz, kto to napisał? Shakespeare. Chyba nie ma takiego uczucia, takiego doświadczenia, takiego poruszenia ludzkiego serca, którego by nie opisał ten genialny człowiek. Kiedy wrócisz do domu, powiedz swej matce, że pastor jest z ciebie dumny.

Walter nie powtórzył jej tego, opowiedział jednak o pozostałych zdarzeniach. Rozumiała go, współczuła mu, ale powiedziała też, że jest szczęśliwa, bo stanął w obronie jej dobrego imienia i w obronie Faith. Opatrzyła skaleczenia i natarła wodą kolońską obolałą głowę.

- Czy wszystkie mamy na świecie są takie dobre? - spytał Walter, przytulając się do Ani. - Warto było bić się o ciebie.

W salonie czekały na nią panna Kornelia i Zuzanna. Z ogromnym zainteresowaniem wysłuchały relacji z walki. Zuzanna była szczególnie zadowolona.

- To mnie naprawdę cieszy, kochana pani doktorowo. Miło słyszeć, że ten chłopak się porządnie pobił. Może wreszcie wywietrzeją mu z głowy te poetyckie brednie. Ja sama nie znoszę, po prostu nie znoszę tego małego gada, Dana Reese’a. Może usiądzie pani bliżej kominka, pani Elliott. Listopadowe wieczory bywają chłodne.

- Dziękuję ci, Zuzanno. Nie jest mi zimno. Zanim tu przyszłam, wpadłam na chwilę na plebanie i tam się ogrzałam, chociaż musiałam siedzieć w kuchni. Nigdzie indziej nie było napalone. W tej kuchni brakowało tylko dziada z babą, możecie mi wierzyć. Pastora Mereditha nie było w domu. Nie miałam pojęcia, dokąd poszedł, choć podejrzewam, że był na wzgórzu, u panien West. Wiesz, kochanie, ludzie mówią, że bywał tam regularnie przez całą jesień. Wszyscy sądzą, Aniu złociutka, że odwiedza je po to, aby się zobaczyć z Różą West.

- Miałby uroczą żonę, gdyby zdecydował się ją poślubić - powiedziała Ania, dokładając cały stos polan do kominka. - To jedna z najbardziej zachwycających kobiet, jakie znam. No i należy do ludzi, którzy znają Józefa.

- Tak... tak... ale... ale ona jest anglikanką - z powątpiewaniem odrzekła panna Kornelia. - To oczywiście lepsze, niż gdyby miała być metodystką. Ale wydaje mi się, że pastor Meredith mógłby znaleźć całkiem przyzwoitą partię w swojej własnej parafii. Zresztą, może to tylko ludzkie gadanie. Zaledwie przed miesiącem powiedziałam mu: „Pastorze Meredith, pan powinien się ożenić”. Popatrzył na mnie z takim zdziwieniem, jakbym złożyła mu jakąś niestosowną propozycję. „Ja już się raz ożeniłem, pani Elliott. Moja żona leży w grobie” - powiedział tym swoim cichym, natchnionym głosem. „Tak właśnie mi się wydawało” - powiedziałam - „w przeciwnym wypadku nie doradzałabym panu małżeństwa”. Zdziwił się jeszcze bardziej. Więc nie bardzo wierzę w te opowiadki o Róży West. Jeśli samotny pastor zajrzy dwa razy do domu, w którym mieszka niezamężna kobieta, od razu wszyscy sądzą, że rusza w konkury.

- Mnie to się wydaje, jeśli mogę wypowiedzieć swoje zdanie, że pastor Meredith jest zbyt nieśmiały, by postarać się o drugą żonę - z powagą wtrąciła Zuzanna.

- On wcale nie jest nieśmiały, możecie mi wierzyć - odparła panna Kornelia. - Owszem, jest roztargniony, ale nieśmiały? Nie. Jest oderwany od życia i zatopiony w myślach, to prawda, ale poza tym ma o sobie wysokie mniemanie, jak to mężczyzna. A kiedy przebudzi się z tego swojego zamyślenia, z pewnością potrafi oświadczyć się kobiecie. Problem tkwi gdzie indziej: pastor trwa w przekonaniu, że jego serce zostało pogrzebane w grobie żony, podczas gdy ono bije w jego piersi tak samo, jak u każdego człowieka. Może chciałby poślubić Różę West, a może nie. Jeśli tak, powinniśmy się z tego cieszyć. To miła kobieta i świetna gospodyni, z pewnością byłaby dobrą matką dla tych czworga biednych, zaniedbanych dzieciaków. Prawdę mówiąc - kończyła panna Kornelia z rezygnacją - jedna z moich babć też należała do kościoła anglikańskiego.

MARY PRZYNOSI ZŁE WIEŚCI

Mary Vance, którą pani Elliott posłała w pewnej sprawie na plebanie, wędrowała przez Dolinę Tęczy w stronę Złotego Brzegu, gdzie - w nagrodę za dobre sprawowanie - miała spędzić całe niedzielne popołudnie z Nan i Di. Bliźniaczki razem z Faith i Uną zbierały żywiczną gumę w lasku obok plebanii, a teraz rozsiadły się na zwalonym pniu sosny przy strumyku i - nie da się ukryć - z pasją żuły gumę. Dziewczynkom ze Złotego Brzegu nie wolno było żuć gumy nigdzie poza Dolinę Tęczy, ale dzieci z plebanii nie znały takich zakazów, więc żuły wszędzie z równym zapalem, w domu i poza nim, ku zgodnemu zgorszeniu całego Glen. Któregoś dnia Faith zaczęła żuć w kościele, ale Jerry spostrzegł niestosowność takiego zachowania i udzielił jej surowego, braterskiego pouczenia. Faith musiała przyrzec, że nigdy więcej się to nie powtórzy.

- Ale Jerry - broniła się Faith - ja byłam taka głodna, że musiałam wziąć coś do ust, cokolwiek. Sam wiesz najlepiej, co mieliśmy dziś na śniadanie. Nienawidzę przypalanej owsianki i mój żołądek po prostu skręcał się z głodu. Guma mi pomaga, no i żułam po cichu. Nic nie było słychać, bo nie zrobiłam ani jednego balona.

- Ale w kościele nie żuje się gumy, więc nie powinnaś tego robić - upierał się Jerry. - Żebyś cię więcej na tym nie przyłapał.

- Ty sam żułeś gumę na zebraniu modlitewnym w zeszłym tygodniu! - wrzasnęła Faith.

- To zupełnie co innego - z godnością odparł Jerry.

- Spotkania modlitewne nie odbywają się w niedziele. A poza tym usiadłem z tyłu, było ciemno, więc nikt mnie nie widział. Za to ty siedziałaś z przodu i wszyscy cię widzieli. No i ja wyjąłem gumę przed ostatnią pieśnią i przykleiłem ją do ławki. A potem wyszedłem i zupełnie o niej zapomniałem, a jak wróciłem na drugi dzień, już jej nie było. Pewno Rod Warren ją świsnął. Szkoda. Taki świetny kawałek gumy.

Mary Vance wędrowała przez Dolinę z dumnie zadartą głową. Miała na sobie nowiutki, aksamitny, niebieski kapelusik ze szkarłatną różyczką, granatowy płaszczyk i futrzaną mufkę. Rozpierała ją duma. Miała starannie ułożone włosy, policzki okrągłe i rumiane, jasne oczy pełne blasku. W niczym nie przypominała tego bezradnego, przerażonego, obdartego stworzenia, które mali Meredithowie odnaleźli w szopie pana Taylora. Una bardzo się starała jej nie zazdrościć. Mary miała nowy kapelusik, a ona i Faith

będą musiały przechodzić kolejną zimę w starych, zniszczonych, popielatych beretach. Nikomu nie przyszło do głowy, żeby kupić im nowe kapelusze, a same bary się poprosić ojca. Gdyby nie miał pieniędzy, sprawiłyby mu ogromną przykrość. Mary wyjaśniła im kiedyś, że każdy pastor ma okropnie mało pieniędzy i z trudem potrafi związać koniec z końcem. Od tego czasu Una i Faith wołały chodzić w starych, podartych ubraniach, niż prosić ojca o kupienie nowych rzeczy - o ile tylko mogły się bez nich obejść. Nie przejmowały się swoim wyglądem, ale taka odmieniona i dumna Mary Vance okazała się dla nich ciężką próbą. Ciepła, futrzana mufka była kroplą, która przepełniła czarę goryczy. Faith i Una nigdy w życiu nie miary mufki i uważały się za szczęściary, jeśli trafiły im się rękawiczki bez dziury. Ciocia Marta miała zbyt słaby wzrok do cerowania i choć Una starała się łątać dziury, rezultaty jej starań były opłakane. Dlatego dziś nie potrafiły serdecznie powitać Mary. Ona jednak albo nie zwróciła na to uwagi, albo się tym nie przejęła - nie była przewrażliwiona. Lekko wskoczyła na pień, a nieszczęsną mufkę położyła na gałęzi. Una zauważyła, że mufka ma podszewkę z marszczonego atłasu i małe, czerwone frędzelki. Spojrzała w dół na swoje spękane od mrozu, sine, drobne dłonie i zaczęła się zastanawiać, czy kiedykolwiek będzie miała okazję, by ogrzać ręce w takiej mufce.

- Dajcie trochę gumy - powiedziała Mary. Nan, Di i Faith równocześnie wyjęły z kieszeni po kilka kawałków miodowozłotej gumy i wyciągnęły je w kierunku Mary. Una nie poruszyła się. W kieszeni swego ciasnego, wytartego zakietu miała cztery wspaniałe kawałki, ale nie miała zamiaru dzielić się nimi z Mary Vance. Nie da jej ani kawałeczka. Niech sama sobie zbiera gumę! Ludzie, którzy noszą futrzane mufki, nie powinni sądzić, że wszystko na świecie należy do nich.

- Śliczny dzień, prawda? - zagadywała przyjaźnie Mary, wymachując nogami; może chciała pokazać swoje nowe botki, z pięknymi cholewkami, ozdobionymi futerkiem. Una podkuliła pod siebie stopy. Jej buty zdobiła tylko spora dziura, a obcasy były niemal zupełnie zdarte. A i tak lepszych nie miała. Och, ta Mary Vance. Po co zabrali ją wtedy z szopy pana Taylora?!

Unie nigdy nie przeszkadzało to, że dziewczynki ze Złotego Brzegu są ubrane znacznie lepiej niż ona i Faith. Di i Nan nosiły swoje piękne ubrania z naturalną beztroską i wdziękiem, nigdy nie zwracały szczególnej uwagi na swój wygląd. Przy nich nie czuła się biednie ubrana. Ale kiedy wystroiła się Mary, Una poczuła się jak na pokazie mody - wszystko obracało się wokół ubrań, nie można było przestać o nich myśleć. Teraz, gdy siedziała w dobrotliwym cieple grudniowego słońca, muskającego ją miodowymi promieniami, dotkliwie odczuwała skromność swego stroju. Myślała o spleśniałym berecie,

swoim najlepszym nakryciu głowy, o przyciasnej kurteczce, którą nosiła już trzecią zimę, o dziurach w sukience i przemakających butach, a niedostatek zbyt cienkiej bielizny dawał się jej we znaki przenikliwymi smagnięciami chłodu. Oczywiście, Mary szła w gości i była ubrana wizytowo, ale gdyby to ona, Una, szła w gości, nie mogłaby włożyć na siebie niczego innego niż to, w co właśnie była ubrana. I to bolało ją najbardziej.

- Wspaniała ta guma. Patrzcie, jakiego zrobię balona. W Czterech Wiatrach nie ma żywicznych świerków - paplała wesoło Mary. - Czasem dałabym się pokroić za kawałek gumy. Ale pani Elliott nie pozwala mi żuć. Mówi, że damie to nie przystoi. To całe bycie damą strasznie mnie wykańcza, nie potrafię się w tym wszystkim połapać. Ej, Una, co z tobą? Kot cię ugryzł w język, czy co?

- Nie - powiedziała Una, która nie mogła oderwać zachwyconego wzroku od futrzanej mufki. Mary odchyliła się do tyłu, chwyciła mufkę i wetknęła ją w rękę Uny.

- Włóż sobie do niej łapki na chwilę - rozkazała. - Wyglądają na zziębnięte. Ładna mufka, prawda? Pani Elliott dała mi ją w zeszłym tygodniu na urodziny. A na Gwiazdkę dostanę kołnierz. Podśluchałam, jak mówiła o tym panu Elliott.

- Pani Elliott jest dla ciebie bardzo dobra - powiedziała Faith.

- Pewnie, że tak. Ale ja też jestem dobra dla niej - odparła Mary. - Haruję od świtu do nocy, żeby jej pomóc i żeby wszystko było tak, jak lubi. Zostałyśmy dla siebie stworzone. Nie każdy dałby sobie z nią radę tak dobrze, jak ja. Ma bzika na punkcie porządku, ale ja na szczęście też, więc świetnie się dogadujemy.

- Mówiłam ci, że nie będzie cię biła.

- Miałaś rację. Nigdy nie podniosła na mnie ręki, a ja ani razu jej nie okłamałam, daję wam słowo honoru. Czasem daję mi niezłą burę, ale słowa spływają po mnie jak woda po kacze. Słuchaj, Una, czemu nie włożyłaś mojej mufki?

Una odłożyła mufkę na sosnową gałąź.

- Jest mi ciepło, dziękuję - powiedziała chłodno.

- Jak chcesz. Mnie wszystko jedno. Co wy na to, że stara Davis wróciła do kościoła pokorna jak Hiob i nikt nie wie, dlaczego? Za to wszyscy opowiadają o tym, jak Faith nawróciła Normana Douglasa. Jego gospodyni mówiła, że byłaś u niego i okropnie na niego nakrzyczałaś. Naprawdę to zrobiłaś?

- Ja tylko poszłam i poprosiłam go, żeby zaczął chodzić do kościoła - powiedziała niezadowolona Faith.

- Ależ ty jesteś odważna! - z podziwem wykrzyknęła Mary. - Nie jestem tchórzem, ale czegoś takiego bym nie zrobiła. Pani Wilson opowiadała, że była okropna awantura, ale ty go

pokonałaś, więc w końcu zaprosił cię na kolację i stał się bardzo miły. Słuchaj, czy jutro twój tata będzie miał kazanie?

- Nie. Tata zamienił się z wielbnym Perrym z Charlottetown. Tata pojechał tam dziś rano, a pastor Perry przyjedzie do nas wieczorem.

- No właśnie. Wiedziałam, że coś wisi w powietrzu, choć stara Marta nic mi nie chciała powiedzieć. Ale ja domyśliłam się, że nie zabijałaby tego koguta bez powodu.

- Jakiego koguta? O czym ty mówisz? - zawołała Faith, blednąc.

- Nie wiem jakiego. Przecież go nie widziałam. Kiedy wasza ciotka odbierała masło, które przyniosłam od pani Elliott, powiedziała mi, że była w stodole, bo musiała zabić koguta na jutrzejszy obiad.

Faith zeskoczyła z sosnowego pnia.

- Adam! Nie mamy innego koguta! Zabiła mojego Adama!

- Czekaj, spokojnie. Marta mówiła, że rzeźnik w Glen nie miał w tym tygodniu mięsa, a ona musi coś ugotować na obiad. Kury wysiadują jajka, więc są za chude.

- Jeżeli ona zabiła Adama... - Faith nie dokończyła i pobiegła w stronę wzgórza.

Mary wzruszyła ramionami.

- Ona zwariuje. Była taka przywiązana do tego Adama. A on już dawno powinien znaleźć się w garze, bo teraz będzie twardy jak podeszwa. Nie chciałabym być w tej chwili na miejscu starej Marty. Faith aż pobladła ze złości. Uno, powinnaś za nią pobiec, może ją powstrzymasz. Mary wraz z Nan i Di uszła zaledwie kilka kroków, kiedy Una zawróciła nagle i dogoniła je.

- Masz tu gumę, Mary - powiedziała przeproszającym tonem, podając jej wszystkie cztery kawałki. - Cieszę się, że masz taką śliczną mufkę.

- No, dziękuję - powiedziała zaskoczona Mary. Kiedy Una odeszła, Mary zwróciła się do dziewczynek ze Złotego Brzegu: - To ci małe dziwadło, prawda? Ale zawsze wiedziałam, że ma dobre serce.

BIEDNY ADAM!

Kiedy Una wróciła do domu, zastała Faith leżącą na łóżku z twarzą ukrytą w pościeli. Nic nie mogło jej pocieszyć. Ciocia Marta zabiła Adama. Spoczywał teraz w spiżarni, na srebrnym talerzu, wypatroszony, przyprawiony i gotowy do upieczenia. Ciocia Marta wcale nie przejęła się wybuchem złości i rozpacz, jakim powitała ją Faith.

- Musiałam z czegoś przygotować obiad dla tego obcego pastora - oświadczyła. - Jesteś już za duża na to, żeby beczeć z powodu starego koguta. Przecież wiedziałaś, że prędzej czy później ptaszysko musi trafić do garnka.

- Powiem ojcu, co ciocia zrobiła, niech tylko wróci do domu! - szlochała Faith.

- Ani mi się waż. Będzie zawracała głowę swemu biednemu ojcu. I bez tego ma dość zmartwień. A poza tym to ja prowadzę gospodarstwo.

- Ale Adam był mój. Dała mi go pani Johnson. Ciocia nie miała prawa go zabijać! - wrzeszczała Faith.

- Nie ma powodu do rozpacz. Kogut został zabity i już. Przecież obcemu pastorowi nie wypada dać na obiad zimnej baraniny. Tak mnie wychowano i nic na to nie poradzę.

Tego wieczoru Faith nie zeszła na kolację, a rano nie poszła do kościoła. Kiedy jednak nadeszła pora obiadu, zjawiła się w jadalni. Miała bardzo poważną minę, a oczy zapuchnięte od płaczu.

Pastor James Perry był zadbanym mężczyzną o rumianych policzkach. Miał krzaczaste, siwe brwi, bujne wąsy oraz lśniąca łysinę. Trudno byłoby nazwać go przystojnym, za to z pewnością należał do ludzi nudnych i nadętych. Zresztą nawet gdyby był piękny jak sam archanioł Gabriel i przemawiał do ludzi mową aniołów, Faith i tak znienawidziłaby go od pierwszego wejrzenia. Zręcznie pokrajał biednego Adama, prezentując przy tym białe, pulchne dłonie i piękny sygnet z wielkim brylantem. Krojąc koguta, pozwolił sobie na kilka żartobliwych uwag, które rozśmieszyły Jerry'ego i Karola. Una uśmiechała się tylko, sądząc, że tego właśnie wymaga grzeczność. Faith siedziała ponura i nachmurzona. Wielebny James Perry uznał, że to dziecko jest wyjątkowo źle wychowane. Kiedy po chwili pastor zwrócił się do Jerry'ego z jakąś obłudną uwagą, Faith bezczelnie mu zaprzeczyła. Wielebny zmarszczył swe krzaczaste brwi i groźnie spojrzał na Faith. - Grzeczne małe dziewczynki nie przerywają dorosłym - powiedział - i nie powinny podważać zdania ludzi znacznie od nich mądrzejszych.

Faith rozgniewała się jeszcze bardziej. Nazwał ją „małą dziewczynką”, jakby była niewiele większa od pyzatej Rilli ze Złotego Brzegu! Takiej zniewagi nie mogła znieść spokojnie. I jak ten ohydny pastor jadł! Wysysał kosteczki biednego Adama. Ani Faith, ani Una nie wzięły mięsa do ust, a na braci patrzyły jak na ludożerców. Faith poczuła, że jeśli ten obrzydliwy posiłek zaraz się nie skończy, ona zakończy go sama, ciskając czymś w lśniąca łysinę wielbnego pastora z Charlottetown. Na szczęście twarda jak podeszwa szarlotka cioci Marty okazała się zbyt ciężką próbą nawet dla silnych szczęk pastora Perry’ego i zakończyli obiad długim dziękczynieniem, w którym wielbny dziękował łaskawej i miłosiernej Opatrzności za wszystkie dobra tego skromnego posiłku.

- Pan Bóg nie miał nic wspólnego z tym, że ty zjadłeś biednego Adama - szeptała pod nosem zbuntowana Faith.

Uszczęśliwieni chłopcy natychmiast pobiegli na dwór, Una poszła pomóc cioci Marcie przy zmywaniu - choć gderliwa staruszka niechętnie przyjmowała jej cichą pomoc - a Faith ukryła się z książką w gabinecie ojca, gdzie w kominku wesoło trząsał ogień. Dziewczynka miała nadzieję, że w ten sposób zejdzie z drogi temu wstrętnemu pastorowi - pan Perry bowiem oświadczył, że zamierza uciąć sobie drzemkę w swoim pokoju. Faith właśnie usadowiła się z książką w przytulnym kąciku, kiedy do gabinetu wkroczył wielbny Perry. Stał przy kominku i przyglądał się pomieszczeniu wzrokiem pełnym dezaprobaty. W gabinecie pastora Mereditha panował swojski rozgardiasz.

- Książki twego ojca znajdują się w sporym nieładzie, moja mała dziewczynko - powiedział surowo.

Faith skuliła się w kąciku i nie powiedziała ani słowa. Nie będzie się odzywała do takiego potwora!

- Powinnaś je uporządkować - mówił dalej pastor Perry, bawiąc się złotym łańcuszkiem od zegarka i spoglądając na Faith z wyższością. - Przecież jesteś już na tyle duża, aby podołać takim obowiązkom. Moja córeczka ma tylko dziesięć lat, a już jest wspaniałą gospodynią i wielką pomocą oraz pociechą dla swojej matki. Ach, cóż to za urocze dziecko. Wielka szkoda, że nie możesz jej poznać. Mogłabyś się od niej wiele nauczyć. Oczywiście, zostałaś pozbawiona bezcennego daru matczynej opieki i troski. To wielka i przykra strata, niezwykle przykra. Nieraz upominałem waszego ojca i szczerze wskazywałem mu uchybienia w jego rodzicielskich obowiązkach, ale, jak dotąd, bezskutecznie. Wciąż jednak żywię nadzieję, że ocknie się, nim będzie za późno. Zanim jednak to się stanie, właśnie ty powinnaś przyjąć na siebie chwalebne obowiązki twojej świętej pamięci matki. Powinnaś wpłynąć na wychowanie swoich braci i maleńkiej siostry, powinnaś zastąpić im

matkę. Obawiam się, że wcale nie myślisz o tym, co jest twoją powinnością. Pozwól, drogie dziecko, że uświadomię ci twoje obowiązki wobec rodziny.

Natrętny głos dudnił miarowo. Pastor Perry był w swoim żywiole. Niczego nie lubił tak bardzo, jak narzucać innym prawa, upominać ich i nakazywać. Nie znał w tym umiaru, więc wcale nie zamierzał skończyć. Stał przed kominkiem, na małym dywaniku, i pławił się w powodzi pompacyjnych nauk. Faith nie słuchała go. Właściwie nie docierało do niej ani jedno słowo. Za to z ogromną uwagą obserwowała długie, czarne poły surduta pastora, a jej brązowe oczy robiły się okrągłe z niekłamanego zachwytu. Wielebny Perry stał bardzo blisko kominka. Zbyt blisko. Poły jego surduta już się tliły, materiał zaczął dymić. Pastor wciąż przemawiał, z upodobaniem popisując się własną elokwencją. Poły surduta dymiły coraz bardziej. Z płonących drewn wyskoczyła maleńka iskierka i upadła wprost na ciemną materię surduta. Przywarła do niego, by po chwili zmienić się w radosny płomień. Faith nie mogła już wytrzymać i zachichotała.

Pastor Perry przerwał swą mowę, oburzony impertynencją dziewczynki. Nagle poczuł w pokoju swąd. Rozejrzał się wokół, ale niczego nie zauważył. Wtedy chwycił za poły surduta i uniósł je. Zobaczył wielką, wypaloną dziurę. To był jego najnowszy surdut. Wyraz twarzy i zachowanie pastora tak rozśmieszyły Faith, że nie mogła się już opanować i wybuchnęła głośnie śmiechem.

- Czy widziałas, że palą się poły mojego surduta? - spytał ze złością.

- Tak, proszę pana - poważnie odparła Faith.

- Więc dlaczego nic mi nie powiedziałaś? - pytał, patrząc na nią surowo.

- Ponieważ powiedział pan, że małe dziewczynki nie powinny przerywać starszym - jeszcze poważniej odpowiedziała Faith.

- Gdybym... gdybym był twoim ojcem, sprawiłbym ci takie lanie, że zapamiętałabyś do końca życia, moja panno - powiedział wielebny pastor, rozgniewany nie na żarty, i wyszedł z gabinetu. Zapasowy świąteczny garnitur Jana Mereditha okazał się za ciasny na pastora Perry'ego, który musiał odprawić wieczorne nabożeństwo w przypalonym surducie. Zrezygnował jednak ze spaceru wzdłuż nawy, co zwykł był czynić, zaszczycając tym wiernych i kościół. Nigdy już nie zamienił się z pastorem Meredithem, a kiedy spotkał go nazajutrz na stacji, potraktował go bardzo chłodno. Faith odczuwała coś w rodzaju ponurej satysfakcji. Biedny Adam został pomszczony.

NOWA PRZYJACIÓŁKA FAITH

Następny dzień w szkole był dla Faith ciężką próbą. Mary Vance opowiedziała wszystkim o kogucie i wszystkie dzieci, poza młodymi Blythe'ami, uznały, że to niezwykle zabawne zdarzenie. Dziewczynki współczuły jej chichocząc, a chłopcy posyłali ironiczne liściki z kondolencjami. Kiedy biedna Faith wróciła do domu, czuła się wykpiona i urażona do żywego.

- Pójdę do Złotego Brzegu - szlochała - i porozmawiam z panią Blythe. Ona jedna mnie nie wyśmiej. Muszę, po prostu muszę porozmawiać z kimś, kto zrozumie, jak bardzo jest mi przykro.

Pobiegła przez Dolinę Tęczy w stronę Złotego Brzegu. Poprzedniej nocy musiał tu zawitać jakiś czarodziej. Na dolinę spadło trochę śniegu i przyprószone białym pyłem jodły śniły swój sen o wiośnie i radości, jaką przyniesie ona światu. Rozległy stok wzgórza czerwieniał się królewską barwą bezlistnych buków. Bładoróżowa poświata zachodu okrywała ziemię niczym leciutki pocałunek. Wśród wszystkich bajkowych, urokliwych miejsc, czarujących ludzi swym niebiańskim wdziękiem, królowała tego zimowego wieczoru właśnie Dolina Tęczy, najpiękniejsza z nich. Biedne, zranione serduszko małej Faith nie pozwalało jej zachwycić się urodą ukochanego miejsca.

Kiedy Faith przechodziła obok strumyka, znienacka natknęła się na Różę West, siedzącą na sosnowym pniu. Róża wracała właśnie ze Złotego Brzegu, gdzie udzielała dziewczynkom lekcji muzyki. Zabawiła nieco dłużej w zaśnieżonej Dolinie Tęczy, podziwiając cudowne widoki, i dała się ponieść marzeniom. Musiały być piękne, bo twarz miała rozjaśnioną łagodnym uśmiechem. A może to dźwięk dzwoneczków na Leśnych Kochankach wywołał ten uśmiech, który błakał się teraz na jej ustach. A może uśmiechała się do myśli, że Jan Meredith spędza poniedziałkowe wieczory w szarym domu na szczycie wysmaganego wiatrem wzgórza.

W łagodne marzenia Różę West wkroczyła nagle Faith Meredith, pełna goryczy i żalu do świata. Na widok panny West, Faith stanęła w miejscu. Słabo ją знаła, akurat na tyle, żeby powiedzieć: „Dzień dobry” i zamienić kilka słów przy okazji niespodziewanego spotkania. W tej chwili nie miała ochoty z nikim rozmawiać - z nikim poza panią Blythe. Wiedziała, że zdradzają spuchnięte oczy i czerwony nosek, a nie znośiła przyznawać się do słabości przed obcymi ludźmi.

- Dobry wieczór, panno West - powiedziała z ociąganiem.

- Faith! Co się stało? - łagodnie zapytała Róża.

- Nic - odpowiedziała krótko Faith.

- Ach! - uśmiechnęła się Róża. - Nic, o czym chciałabyś rozmawiać z kimś obcym, prawda?

Faith spojrzała na pannę West z nagłym zaciekawieniem. Ona musi wiele rozumieć. I jaka jest piękna! Złote włosy, wymykające się spod śliwkowego kapelusza, lśnią w słońcu. I takie ma rumiane policzki. Ślicznie wygląda w tej welwetowej pelerynce. A jej błękitne oczy spoglądają z taką życzliwością! Faith poczuła, że panna Róża mogłaby być prawdziwą przyjaciółką, gdyby... gdyby nie była obca!

- Idę... idę opowiedzieć o tym pani Blythe - powiedziała Faith. - Ona mnie zawsze rozumie. I nigdy się ze mnie nie śmieje. Jak mam kłopoty, opowiadam o tym właśnie jej. I to pomaga.

- Oj, moja maleńka, strasznie mi przykro, że muszę ci o tym powiedzieć, ale pani Blythe nie ma w domu - powiedziała z żalem panna West. - Wyjechała dziś do Avonlea i wróci dopiero pod koniec tygodnia.

Usta Faith zadrżały.

- No to mogę już wracać do domu - powiedziała bezradnie.

- Obawiam się, że tak. Chyba że... chyba że zgodziłabyś się, abym w zastępstwie ja wysłuchała twojej opowieści - łagodnie rzekła panna Róża. - Czasem wystarczy o wszystkim opowiedzieć, żeby poczuć ulgę. Dobrze znam to uczucie. Nie sądzę, abym zdołała zrozumieć cię tak dobrze, jak pani Blythe, ale mogę ci przyrzec, że nie będę się śmiać.

- No tak, głośno nie - zawahała się Faith. - Ale będzie się pani śmiać w duchu.

- Nie, w duchu też nie będę się śmiać. Z czego tu się śmiać? Widzę, że spotkała cię jakaś krzywda, a cudza krzywda nigdy nie pobudza mnie do śmiechu, choćby nawet wydawała się błaha. Jeśli tylko czujesz, że możesz opowiedzieć mi o tym, co sprawiło ci tak ogromną przykrość, chętnie cię wysłucham. Ale jeśli sądzisz, że nie możesz tego zrobić, wcale się nie pogniewam, kochanie.

Faith raz jeszcze popatrzyła pannie Róży głęboko w oczy. Mówiła poważnie - nie było w nich ani śladu śmiechu. Wzdychając cichutko, Faith usiadła na pniu starej sosny i opowiedziała swojej nowej przyjaciółce historię Adama i jego okrutnej śmierci.

Róża nie śmiała się, wcale nie było jej do śmiechu. Rozumiała ją i współczuła - prawie tak samo jak pani Blythe - tak, zupełnie tak samo, jak ona.

- Pan Perry jest pastorem, ale powinien być zostać rzeźnikiem - z goryczą mówiła Faith. - Ćwiartowanie mięsa sprawia mu prawdziwą przyjemność. Cieszył się, że może pokrajać biednego Adama. Pokroił go na porcje, jakby Adam był zwyczajnym kogutem.

- Między nami mówiąc, Faith, ja też nie lubię pastora Perry'ego - powiedziała Róża, śmiejąc się cichutko. Ale nie śmiała się z Adama, tylko z pastora, Faith dobrze o tym wiedziała. - Nigdy go nie lubiłam. Chodziłam z nim do szkoły, wiesz? On przecież pochodzi z Glen. Już wtedy był obrzydliwym, małym zarozumialcem. Wszystkie dziewczyny go nienawidziły za te jego tłuste, lepkie łapy, z którymi miały do czynienia podczas różnych zabaw. Ale pamiętaj, kochanie, że on nie miał pojęcia, że Adam był twoim ulubieńcem, że należał do ciebie. Myślał, że zjada zwyczajnego koguta. Musimy być sprawiedliwi, bez względu na to, jak bardzo nas zraniono.

- Pewnie ma pani rację - zgodziła się Faith. - Ale, panno West, dlaczego teraz wszystkich śmiesz to, że ja tak bardzo kochałam Adama? Gdyby Adam był wstrętnym, obrzydliwym, starym kotem, nikt by nie uważał mnie za dziwaczkę. Kiedy kosiarka obciąła nogi kotkowi Lotty Warren, wszyscy jej współczuli. Płakała przez dwa dni, ale nikt w szkole się z niej nie śmiał, nawet Dan Reese. I wszystkie jej koleżanki były na pogrzebie tego kotka, nawet pomagały jej go pochować - nie mogły tylko pochować tych małych, odciętych łapek, bo nikt nie mógł ich znaleźć. To straszne, prawda? Ale o wiele straszniej jest patrzeć, jak twoje zwierzątko zostaje po prostu zjedzone. I w dodatku wszyscy się z ciebie śmieją.

- Myślę, że to dlatego, że śmiesz ich samo słowo „kogut” - powiedziała poważnie Róża. - Jest w nim coś zabawnego. Co innego ze słowem „kurczaczek”. Mówienie o tym, że się kocha kurczaczka, nie wydaje się już takie śmieszne.

- Adam był najśladszym kurczaczkiem na świecie, panno West. Wyglądał jak mała, złota piłeczka. Zawsze do mnie przybiegał i jadł mi z ręki. Kiedy dorósł, też był piękny. Miał piórka białe jak śnieg i piękny, zakrzywiony ogon, także biały. Choć Mary Vance zawsze uważała, że jest za krótki. Znał swoje imię i zawsze przychodził, kiedy go wołałam, był bardzo inteligentnym ptakiem. A ciocia Marta nie miała prawa go zabijać. Był mój. To nie było w porządku, prawda, panno West?

- Masz rację. Ona nie miała prawa - kategorycznie stwierdziła panna Róża. - I to nie było w porządku. Pamiętam, że jak byłam małą dziewczynką, to miałam swoją kurę. Była ślicznym ptakiem o brązowych, lśniących piórach. Kochałam ją tak samo, jak wszystkie moje zwierzęta. Ale nikt jej nie zabił, zdechła ze starości. Mama nigdy nie zabiłaby jej, wiedziała, że to moja kura.

- Gdyby żyła moja mamusia, nigdy nie pozwoliłaby zabić Adama - powiedziała Faith.
- Tata też nigdy by się na to nie zgodził, gdyby tylko był w domu i wiedział o wszystkim. Jestem pewna, że by się nie zgodził, panno West.

- Ja też jestem tego pewna - powiedziała panna Róża. Jej policzki zarumieniły się nieco mocniej. Zmieszała się trochę, ale Faith tego nie zauważyła.

- Czy bardzo źle postąpiłam, nie mówiąc pastorowi Perry'emu o jego surducie? - pytała niespokojnie dziewczynka.

- Oj, bardzo, bardzo źle - powiedziała Róża, przewracając oczami. - Ale powiem ci, że na twoim miejscu zachowałabym się tak samo okropnie. Nic bym mu nie powiedziała o tłącym się surducie. Nie sądzę też, żeby było mi z tego powodu przykro.

- Una twierdzi, że powinnam mu była powiedzieć.

W końcu jest pastorem.

- Wiesz, kochanie, jeśli pastor nie zachowuje się jak dżentelmen, wcale nie musimy czuć szacunku dla jego nowiutkiego surduta. Byłabym zachwycona, gdybym mogła zobaczyć, jak pali się ubranie na Jimmym Perrym. To musiało być śmieszne.

Obydwie wybuchnęły śmiechem. Później Faith gorzko westchnęła.

- No tak, ale biedny Adam nie żyje, a ja już nigdy nie pokocham żadnego zwierzęcia.

- Nie mów tak, kochanie. Człowiek bardzo wiele traci, nie kochając. Im bardziej i więcej kochamy, tym bogatszy staje się nasz świat, nawet jeśli są to przyjaciele w piórkach czy futerkach. A może, Faith, chciałabyś mieć kanarka? Małego, złocistego ptaszka? Jeżeli chcesz, dostaniesz ode mnie kanarka. Mamy w domu dwa.

- Och, bardzo bym chciała! - wykrzyknęła Faith. - Kocham wszystkie ptaki. Ale... czy nie pożre go kot cioci Marty? To takie tragiczne, jak ulubiony zwierzak zostaje zjedzony. Drugi raz już bym tego nie przeżyła.

- Nie sądzę, by kot go dosięgnął, pod warunkiem, że powiesz klatkę daleko od ściany. Powiem ci, jak powinnaś się nim opiekować i zostawię go dla ciebie w Złotym Brzegu, gdy będę tam następnym razem.

W duchu Róża powiedziała sobie: „Wywoła to wielką falę plotek w Glen i okolicach, ale nie będę się tym przejmować. Tak bardzo chciałabym ukoić ból tego biednego, małego serduszka”.

Faith uspokoiła się. Współczucie i zrozumienie okazały się skutecznym lekarstwem. Siedziały na zwalonym pniu starej sosny, póki łagodny zmrok nie zapadł nad spokojną, białą doliną, a nad szarym, klonowym zagajnikiem nie zaśniła wieczorna gwiazda. Faith opowiadała pannie Róży o wszystkim, co spotkało ją w jej krótkim życiu, o swych małych i

wielkich nadziejach, o tym, co kocha i czego nienawidzi. Mówiła o dobrych i złych stronach życia na plebanii, o swoich szkolnych wzlotach i upadkach. Zanim się rozstały, zawarły prawdziwą przyjaźń.

Pastor Meredith zasiadł do kolacji, ale - jak zwykle - był nieobecny duchem i zatopiony w rozmyślaniach. Ocknął się jednak nagle i powrócił do rzeczywistości na dźwięk pewnego znanego mu imienia. Faith opowiadała Unie o swoim spotkaniu z panną Różą West.

- Wiesz, ona jest naprawdę cudowna - mówiła Faith.

- Jest równie miła, jak pani Blythe, chociaż zupełnie inna. Aż chciałoby się ją uściskać. No i ona naprawdę mnie uściskała, tak miło, mięciutko, aksamitnie. I mówiła do mnie: „Kochanie”. Aż przeszły mnie okropne dreszcze. Mogłabym powiedzieć jej wszystko.

- Więc spodobała ci się panna West, Faith? - zapytał pastor Meredith, a jego głos brzmiał dość dziwnie.

- Ja ją wprost uwielbiam! - zawołała Faith.

- O! - powiedział Jan Meredith. - O!

SŁOWO NIE DO WYPOWIEDZENIA

Tego grudniowego wieczora powietrze było czyste i rześkie. Jan Meredith, głęboko zamyślony, szedł powoli Doliną Tęczy. Otaczające ją wzgórza były okryte białymi czapami śniegu i wysrebrzone światłem księżyca. Każde, nawet najmniejsze jodłowe drzewko nuciło pieśń mrozu i wiatru. Dzieci pastora wraz z dziećmi ze Złotego Brzegu zjeżdżały po śniegu ze wschodniego stoku wzgórza i ślizgały się na zamrzniętym stawku. Bawiły się znakomicie, po całej dolinie niosły się ich wesołe głosy, a wybuchy radosnego, beztroskiego śmiechu nikły gdzieś w oddali, pomiędzy bajkowymi drzewami. Po prawej stronie Doliny Tęczy, zza klonowego zagajnika, zachęcająco mrugały światła Złotego Brzegu. Dom państwa Blythe'ów wabił ciepłym blaskiem, który zapowiadał to wszystko, co kryło się w jego wnętrzu - atmosferę miłości i pogody, życzliwą dla każdego żywego stworzenia. Pastor bardzo lubił spędzać tam wieczory, podczas których toczyli nieustanne spory z doktorem Blythe'em, grzejąc się przy wesołym ogniu, trzaskającym w kominku, którego strzegły dniem i nocą słynące na całą okolicę dwa wielkie psy z chińskiej porcelany, przypominające niezwykle bóstwa. Dziś jednak nawet nie spojrzał w tamtą stronę. Daleko, po zachodniej stronie nieba, nad wzgórzem, lśniła inna, bledsza, lecz bardziej nęcąca gwiazda. Pastor Meredith szedł z wizytą do Róży West, aby powiedzieć jej o czymś, co dojrzewało w jego sercu bardzo powoli, ale nieprzerwanie, od chwili ich pierwszego spotkania, a co rozkwitło niczym piękny kwiat tego wieczoru, kiedy Faith z takim zachwytem opowiadała o swoim uwielbieniu dla Róży.

Wtedy właśnie Jan uświadomił sobie, jak bardzo zależy mu na tej kobiecie. Oczywiście, nie znaczyła dla niego tak wiele, jak Cecylia. To było zupełnie co innego. Pastor uważał, że taka miłość jak tamta, cudowna, romantyczna, pełna marzeń i snów, nie może przytrafić się po raz drugi. Piękna, słodka Róża była jednak drogą jego sercu, nawet bardzo droga. Nigdzie nie czuł się tak dobrze, jak w jej towarzystwie. Przy niej przypomniał sobie, co to znaczy być szczęśliwym, a nigdy nie przypuszczał, że kiedykolwiek jeszcze poczuje się szczęśliwy. Byłaby idealną panią domu i wspaniałą matką dla jego dzieci.

Przez wiele lat wdowieństwa pastorowi wielokrotnie sugerowano, że powinien ożenić się po raz drugi. Radzili mu to inni duchowni prezbiteriańscy i parafianie, którzy nie mieli wobec niego żadnych ukrytych zamiarów, a także parafianki, wiążące z jego osobą określone nadzieje. Żadna z tych sugestii nie wywarła na nim najmniejszego wrażenia i wszystkim się

zdawało, że roztargniony pastor po prostu ich nie zauważa. Jednak Jan Meredith doskonale zdawał sobie z nich sprawę. Kiedy odzywało się w nim coś, co ludzie zwykli nazywać zdrowym rozsądkiem, dochodził do wniosku, że małżeństwo byłoby w jego przypadku najsensowniejszym rozwiązaniem. Zdrowy rozsądek jednak nie był najsilniejszą cechą osobowości Jana Mereditha - chłodne rozpatrzenie wszystkich „za” i „przeciw” odpowiednich kandydatek na żonę i rozważne wybranie kobiety, która najlepiej pełniłaby obowiązki gospodyni domu i parafii, okazywało się czynnością ponad jego siły. Już sam dźwięk słowa „odpowiednia” budził w nim odruch niechęci. Przypominał mu wielbego Jamesa Perry’ego. To właśnie ów tłusty duchowny radził mu, w sposób daleki od delikatności, wziąć sobie „odpowiednią kobietę w odpowiednim wieku”. Jan Meredith poczuł wtedy zupełnie nieprawdopodobną ochotę, by natychmiast ruszyć w konkury do najmłodszej i najmniej odpowiedniej panny w okolicy.

Pani Elliott z pewnością była mu życzliwa i pastor szczerze ją lubił. Jednak kiedy prosto z mostu oznajmiła mu, że powinien się ożenić, pastor poczuł się tak, jakby zdarła zasłonę, którą odgradzała od świata najświętsze, najbardziej sekretne zakamarki swego serca. Od tamtej chwili czuł zawsze pewien lęk przed panią Elliott. Pastor doskonale wiedział, że wśród jego parafianek jest wiele pań „w odpowiednim wieku”, które poślubiłyby go bez chwili wahania. Jego nieobecny umysł odkrył to wkrótce po tym, jak przybył, aby objąć probostwo w Glen St. Mary. Były to dobre, solidne i zupełnie nieciekawe istoty, niektóre miały nawet dość przyjemną powierzchowność, pozostałym brakowało, nawet tego. Myśl o ślubie z którąś z nich wydawała się Janowi równie pociągająca, jak myśl o szubienicy. Pastor Meredith miał własne ideały i nie zamierzał ich zdradzać, skoro nie było to konieczne. Nie mógł prosić żadnej kobiety o to, by zajęła w jego domu miejsce Cecylii, jeśli nie był w stanie zaoferować jej nawet części tego uczucia i uwielbienia, jakie ofiarował swej młodej narzeczonej. A gdzie mógł znaleźć taką kobietę on, samotnik?

Róża West pojawiła się w jego życiu tamtego jesienno popołudnia, przynosząc ze sobą powiew czegoś, w czym jego dusza odnajdywała znajome tony. Podali sobie przyjazne dłonie ponad murem obcości. W ciągu dziesięciu minut spędzonych wspólnie przy ukrytym źródleku zdołał poznać ją lepiej niż przez rok Emmeline Drew, Elżbietę Kirk czy Amy Douglas. Wiedział, że nie zrozumie tych kobiet, choćby znał je wiek cały. Kiedy pani Davis zraniła go tak okrutnie, szukał pocieszenia u Róży i znalazł je. Od tamtej pory był częstym gościem w domku na wzgórzu. Pod osłoną zmroku przemykał wąskimi ścieżkami Doliny Tęczy tak bezszelestnie, że plotkarki z Glen nigdy nie zyskały absolutnej pewności, czy i

kiedy pastor odwiedził Różę West. Raz czy dwa natkną się w salonie panien West na innych gości - i to było wszystko, czym Koło Pań mogło zaspokoić swoją ciekawość.

Jednak plotka rozniosła się po Glen, a kiedy dotarła do Elżbiety Kirk, ta, nie zmieniając wyrazu swej miłej, ale nieładnej twarzy, porzuciła nadzieję, którą - tak przynajmniej jej się wydawało - nosiła ukrytą na dnie serca. Emmeline Drew postanowiła, że kiedy znów spotka tego starego nauczyciela z Lowbridge, nie będzie dla niego tak opryskliwa, jak poprzednio. Oczywiście, jeśli Róża West zastawiła swoje sidła na pastora, on na pewno w nie wpadnie, wyglądała przecież dużo młodziej niż Emmeline, a mężczyźni uważali, że jest ładna. Poza tym siostry West były bogate!

- Cała nadzieja w tym, że nasz roztargniony pastor nie oświadczy się przez pomyłkę Helenie - powiedziała panna Drew do swojej pełnej współczucia siostry. Była to jedyna złośliwa uwaga, na jaką sobie pozwoliła. Emmeline nie miała żalu do Róży. Prawdę mówiąc, wolny od zobowiązań nauczyciel był znacznie lepszą partią niż wdowiec z czwórką małych, niezdolnych dzieci. Tylko prestiż, jaki wiązał się z zamieszkaniem na plebanii, zawrócił w głowie Emmeline tak, że o mały włos przegapiłaby taką świetną partię.

Rozpędzone sanki z rozwrzeszczaną, trzyosobową załogą minęły pastora Mereditha, mknąc w stronę stawu. Wiatr rozwiewał długie loki Faith i niósł jej czysty, dźwięczny śmiech. Pastor odprowadził ich czułym i zatroskanym wzrokiem. Cieszył się, że jego dzieci znalazły sobie takich przyjaciół, jak młodzi Blythe'owie, cieszył się, że mają przyjaciółkę w osobie tak subtelnej, mądrej i wesołej, jak pani Blythe. Jednak wiedział, że one potrzebują czegoś więcej, i to „coś” dostaną w tej samej chwili, w której wprowadzi na starą plebanie pannę młodą - Różę West. Ta kobieta promieniowała macierzyńskimi uczuciami.

Był sobotni wieczór. Wielebny rzadko spędzał sobotnie wieczory poza domem, ten czas przeznaczał zwykle na rozważania dotyczące niedzielного kazania i na ostatnie poprawki. Wybrał ten właśnie dzień, gdyż dowiedział się, że Helena West wychodzi wieczorem i Róża zostanie sama. Choć spędził w domku na wzgórzu wiele miłych wieczorów, to nigdy, poza tym pierwszym spotkaniem przy źródle, nie był z Różą sam na sam. Helena zawsze dotrzymywała im towarzystwa.

Prawdę mówiąc, obecność Heleny wcale mu nie przeszkadzała. Bardzo ją polubił, świetnie się rozumieli i byli prawdziwymi przyjaciółmi. Helena miała niezwykle logiczny, niemal męski umysł i specyficzne poczucie humoru, które bardzo odpowiadało jego nieśmiałej, ale przecież dowcipnej naturze. Podobało mu się jej zainteresowanie polityką i ciekawość spraw tego świata. Żaden z mężczyzn mieszkających w Glen, nawet doktor Blythe, nie mógł dorównać przenikliwości jej sądów.

- Moim zdaniem, człowiek powinien interesować się wszystkim, dopóki żyje - powiedziała kiedyś. - Jeśli nic człowieka nie interesuje, jak odróżni, czy jest jeszcze żywy, czy już martwy?

Lubił jej niski, dudniący, ale przyjemny głos; lubił szczery śmiech, którym zawsze kończyła swoje wesołe, znakomicie opowiedziane historyjki. Nigdy nie udzielała mu dobrych rad na temat wychowania dzieci, a robiły to wszystkie mieszkanki Glen; nigdy też nie zanudzała go miejscowymi plotkami; nie miała tu ani wrogów, ani przyjaciółek „od serca”. Zawsze szczerze mówiła to, co myśli. Pastor Meredith, któremu podobał się sposób, w jaki oceniała ludzi panna Kornelia, uznał, że Helena należy do ludzi, którzy znają Józefa. Krótko mówiąc: Helena West znakomicie nadawała się na szwagierkę. Co nie zmieniało faktu, że gdy mężczyzna chce oświadczyć się kobiecie, woli nie czynić tego w obecności innej kobiety, choćby najbardziej szczerze podziwianej. A Helena zawsze była w domu. Nie była natrętna, pozwalała Róży na rozmowy z pastorem Meredithem przez większą część jego wizyt. Często zdarzało się tak, że Helena wycofywała się zupełnie z rozmowy, zaszywała gdzieś w kącie z kotem George’em na kolanach, pozwalając Róży i Janowi rozmawiać, czytać książki czy śpiewać. Chwilami zupełnie zapominali o jej obecności, ale Helena była i czuwała. Ilekroć rozmowa stawała się swobodniejsza i zmierzała ku temu, co Helena nazywała flirtowaniem, lub jeśli nie spodobał jej się duet, który właśnie wybrali, starsza panna West wkraczała, niszcząc zagrożenie w zarodku. Przez resztę wieczoru nie dopuszczała Róży do głosu. Ale nawet najbardziej czujny i groźny cerber nie zdołałby uciszyć tajemnego języka dyskretnych spojrzeń, łagodnych uśmiechów i wymownej ciszy, więc mimo wszystko starania pastora nie pozostawały bez odpowiedzi.

Kiedyś musiał jednak nastąpić moment ostatecznego rozstrzygnięcia, a mogło to się zdarzyć tylko wtedy, gdy Róża była sama. Tymczasem Helena rzadko wychodziła, zwłaszcza zimą. Uważała bowiem, że ciepły fotel przy kominku to najprzyjemniejsze miejsce na świecie. Nie lubiła się nigdzie włączyć. Ceniła towarzystwo, pod warunkiem, że zbierało się pod jej dachem. Jan Meredith bliski był już tego, by wszystko, co miał do powiedzenia, wyznać Róży w liście, gdy pewnego wieczora Helena najspokojniej w świecie oświadczyła, że w następną sobotę wybiera się na srebrne wesele. Była druhną panny młodej, a teraz dawni państwo młodzi zapraszali swych gości sprzed lat. Róża była wtedy za mała, więc i teraz nie znalazła się wśród zaproszonych. Pastor Meredith nadstawił uszu i jasny blask zalśnił w jego ciemnych oczach. Zauważyły to obie, Helena i Róża, i obie przeszły dreszcz - zrozumiały, że w sobotni wieczór pastor odwiedzi dom na wzgórzu.

- No, St. George, nareszcie będzie po wszystkim - Helena przemawiała z powagą do czarnego kota, kiedy pastor Meredith poszedł już do domu, a Róża bez słowa zamknęła się w swoim pokoju. - On zamierza się jej oświadczyć, jestem tego absolutnie pewna, St. George. Trzeba zatem mu to umożliwić, żeby dowiedział się, że nigdy jej nie dostanie. Ona pewnie chętnie by za niego wyszła, George. Wiem. Ale przecież dała słowo i musi dotrzymać obietnicy. Prawdę mówiąc, jest mi trochę przykro. Bo gdybym miała mieć szwagra, ten człowiek bardzo by się na niego nadawał, ale ja nigdy nie będę mieć szwagra. Właściwie nie mam nic przeciwko niemu, St. George, poza tym, oczywiście, że nie tylko nie widzi, jakim wielkim zagrożeniem dla Europy jest cesarz Niemiec, ale i nie chce dać się przekonać, że tak właśnie jest. To jego słaby punkt, ale poza tym lubię jego towarzystwo. Można mu powiedzieć wszystko, bez obawy, że nie zrozumie, o co chodzi kobiecie. Taki mężczyzna to rzadkość, skarb cenniejszy od brylantów, mój drogi St. George. Ale Róży nie dostanie i spodziewam się, że kiedy się o tym przekona, porzuci nas obie. A nam będzie go bardzo brakowało, St. George, bardzo. Ale skoro dała słowo, będę czuwała nad tym, by dotrzymała obietnicy!

Twarz Heleny, zacięta w swym postanowieniu, wyglądała niemal odpychająco. Na górze, w swoim pokoju, Róża płakała w poduszkę.

Pastor Meredith zastał Różę w domu samą. Wyglądała bardzo pięknie. Nie założyła na tę okazję żadnej szczególnej sukni, choć początkowo miała taki zamiar. Potem stwierdziła, że to absurdalne - stroić się dla mężczyzny, któremu zamierza się dać kosza. Miała więc na sobie zwykłą, ciemną suknię popołudniową, lecz wyglądała w niej jak królowa. Zdenerwowanie, które tak bardzo starała się ukryć, sprawiło, że jej zarumieniona twarz wyglądała olśniewająco, a wielkie, błękitne oczy spoglądały mniej spokojnie niż zazwyczaj.

Marzyła o tym, żeby było już po wszystkim. Przez cały dzień myślała o rozmowie z pastorem z wielką obawą. Czuła i wiedziała, że się nie myli, iż - wbrew pozorom - Janowi Meredithowi bardzo na niej zależy, choć z pewnością nie tak samo, jak zależało mu na jego pierwszej miłości. Zdawała sobie sprawę z tego, że dotknie go boleśnie swoją odmową, ale miała nadzieję, że nie zmarnuje mu życia. A jednak myśl o odmowie sprawiała jej ogromną przykrość, zarówno z powodu jego, jak i - Róża była wobec siebie bezlitośnie szczera - jej zawodu. Wiedziała, że pokochałaby Jana Mereditha, gdyby tylko... gdyby tylko wolno jej było to uczynić. Wiedziała też, że jej życie stanie się przeraźliwie puste, gdy on - zraniony w swych uczuciach i odrzucony - przestanie być także jej przyjacielem. Miała pewność, że uszczęśliwiłby ją w małżeństwie, a ona odpłaciłaby mu tym samym. Ale drzwi do szczęścia

były dla niej zamknięte, zapieczętowane przyrzeczeniem, jakie przed laty złożyła swojej siostrze, Helenie.

Róża nie pamiętała ojca. Miała zaledwie trzy latka, kiedy umarł. Helena, która miała wtedy lat trzynaście, pamiętała go dobrze, ale wspominała bez czułości. Ten poważny i pełen rezerwy mężczyzna był znacznie starszy od swej wesołej, pięknej żony. Pięć lat później zmarł również ich dwunastoletni brat i od jego śmierci dziewczynki zamieszkały tylko z matką. Raczej nie udzielały się w życiu towarzyskim, choć wszędzie, i w Glen, i w Lowbridge, były mile widziane - Helenę ceniono za dowcip i rozsądek, Różę uwielbiano za urodę i wdzięk. Obydwie, jako młode dziewczyny, przeżyły coś, co ludzie nazywają „miłosnym rozczarowaniem”. Ukochanego Róży na zawsze odebrało jej morze, a Norman Douglas, w tamtych latach potężny, przystojny młody mężczyzna o rudej czuprynie, słynny z szalonego powożenia końmi i hałaśliwych, choć nieszkodliwych eskapad, po jakiejś kłótni po prostu sobie poszedł, zostawiając rozgoryczoną Helenę na zawsze. Później pojawiło się wielu kawalerów, chętnych do zajęcia miejsca Marcina czy Normana, jednak żaden z nich nie znalazł dostatecznego uznania w oczach panien West, które powoli, nieodwracalnie, choć bez żalu, zaczęły żegnać się z młodością. Z ogromnym oddaniem opiekowały się chronicznie chorą i niesprawną matką. Stworzyły sobie mały, domowy świat, złożony z książek, kwiatów i zwierząt - i w tym świecie wydawały się zupełnie zadowolone i szczęśliwe.

Śmierć pani West, która odeszła w dniu dwudziestych piątych urodzin Róży, była dla nich bolesnym ciosem. Po raz pierwszy poczuły nieznośny ciężar samotności. Odbiło się to zwłaszcza na Helenie, która nie potrafiła otrząsnąć się ze smutku i rozpacz, a długie godziny jej ponurego milczenia przerywały tylko ataki niepowstrzymanego, gwałtownego płaczu. Stary lekarz z Lowbridge powiedział wtedy Róży, że obawia się stanu permanentnej melancholii albo nawet czegoś gorszego.

Któregoś dnia, gdy Helena nadal się nie odzywała i odmawiała schodzenia na posiłki, Róża przyklękła u boku siostry.

- Heleno, przecież ciągle masz jeszcze mnie - powiedziała błagalnie. - Czy ja już się zupełnie nie liczę? Zawsze tak się kochałyśmy.

- Ale nie zawsze będziemy się kochać - odezwała się szorstko Helena, przerywając nagle swoje milczenie. - Ty wyjdiesz za mąż, a ja zostanę sama. Nie mogę znieść tej myśli. Wolę umrzeć, niż pogodzić się z takim losem.

- Ja, Heleno, nie wyjdę za mąż - powiedziała Róża. - Nigdy nie wyjdę za mąż.

Helena pochyliła się i badawczo spojrzała siostrze w oczy.

- Przyrzekniesz mi to naprawdę? - zapytała. - Przysięgniesz na Biblię naszej matki?

Róża zgodziła się bez chwili wahania. Bardzo chciała pocieszyć Helenę. No i jakie to miało znaczenie? Myślała wtedy, że nigdy już nie będzie chciała wyjść za mąż. Jej miłość pochłonęło morze razem z Marcinem Crawfordem, a nie wyobrażała sobie, żeby mogła wyjść za mąż nie kochając. Przystała więc chętnie na propozycję Heleny, choć siostra uczyniła z tej obietnicy dość ponury rytuał. Poszły razem do opustoszałego pokoju matki, położyły dłonie na Biblii i przyrzekły sobie, że nigdy nie wyjdą za mąż i będą mieszkać razem do końca życia.

Od tej chwili stan Heleny zaczął się poprawiać. Wkrótce powróciła jej dawna radość życia. Przez dziesięć lat żyły w starym domu i były tu szczęśliwe, nie myśląc o małżeństwie. Przyrzeczenie nie ciążyło ani Róży, ani Helenie. Wprawdzie Helena przypominała o nim siostrze zawsze wtedy, gdy w polu ich widzenia znalazł się jakikolwiek mężczyzna zdolny do małżeństwa, ale przestraszyła się naprawdę dopiero pewnego jesiennego wieczora. Był to dzień, gdy Róża przyprowadziła do domu pastora Jana Mereditha. Obietnica, o której tak skwapliwie przypominała jej Helena, nie była dla Róży ciężarem. Ale ostatnio wszystko się zmieniło. Teraz traktowała ją niczym bezlitosne brzemie, które sama wzięła na swoje ramiona, ale od którego sama nie może się uwolnić. Ta obietnica miała jej zamknąć tego wieczora drogę do szczęścia.

To prawda, że dziewczęce, nieśmiałe, świeże i słodkie uczucie, jakim darzyła przed laty swego pierwszego chłopca, nie mogło już powrócić. Róża wiedziała jednak, że dojrzała, kobieca miłość, jaką mogła ofiarować Janowi Meredithowi, była jeszcze wspanialszym darem. On dotarł do głębin jej prawdziwej natury, tych, których Marcin Crawford nie mógł się nawet domyślać - choć może wcale jeszcze nie zaistniały w jej młodziutkiej, siedemnastoletniej duszy. A ona będzie musiała go odprawić, skazać na powrót do pustego, samotnego życia, wypełnionego problemami, z jakimi nie potrafił sobie sam poradzić - tylko z powodu przysięgi, że nigdy nie wyjdzie za mąż, złożonej przed laty Helenie na Biblię matki.

Jan Meredith nie od razu wykorzystał nadarzającą się okazję. Wprost przeciwnie - przez dwie godziny rozmawiał z nią na różne tematy, mówił nawet o polityce, choć to strasznie Różę nudziło, starannie omijając wszystko, co bardziej osobiste. W końcu Róża pomyślała, że myliła się co do jego intencji, i że jej pełne lęku oczekiwanie jest śmieszne i absurdalne. Poczuła się jak głupia gąska. Płomień zniknął z jej twarzy, a oczy straciły niespokojny blask. Jan Meredith wcale nie zamierzał poprosić jej o rękę.

I wtedy to się stało. Pastor zupełnie niespodziewanie wstał, podszedł do krzesła, na którym siedziała, i poprosił, by została jego żoną. W pokoju zapadła przeraźliwa cisza. Nawet

St. George przestał mruczeć. Róża słyszała bicie swojego serca i była pewna, że słyszy je także Jan.

Przyszedł czas, aby powiedzieć: „Nie”, łagodnie, lecz stanowczo. Już od dawna miała przygotowaną uprzejmą, wyrażającą żal formułkę. I nagle nie mogła odnaleźć w głowie żadnego potrzebnego słowa. Musiała powiedzieć: „Nie” - i poczuła nagle, że nie potrafi. Było to słowo nie do wypowiedzenia. Uświadomiła sobie nagle, że nieprawdą jest, iż mogłaby pokochać Jana Mereditha. Ona już go kochała. Myśl o tym, że miałby zniknąć z jej życia, sprawiała jej nieopisany ból.

Coś jednak musiała odpowiedzieć. Podniosła więc swą kształną, złotą głowę i, jękając się, poprosiła go o kilka dni do... do namysłu.

Jan Meredith był nieco zdziwiony. Nie był szczególnie próżnym mężczyzną, ale spodziewał się, że Róża West powie: „Tak”. Był niemal pewny, że zależy jej na nim. Skąd więc ta zwłoka, to wahanie? Przecież Róża nie była małą dziewczynką, niepewną własnych uczuć. Czuł gorzki smak rozczarowania i konsternację. Przystał na jej prośbę ze swą zwykłą, nienaganną uprzejmością, ale od razu wyszedł.

- Odpowiem panu za kilka dni - powiedziała Róża, wbijając wzrok w podłogę. Jej twarz płonęła.

Kiedy zamknęły się za nim drzwi, wróciła do salonu i ukryła twarz w dłoniach.

ST. GEORGE WIE O WSZYSTKIM

Była północ. Helena West wracała do domu ze srebrnego wesela państwa Pollocków. Została chwilę dłużej niż inni goście, żeby pomóc siwowłosej jubilatce w zmywaniu. Do domu miała blisko, droga była bezpieczna, więc Helena rozkoszowała się spacerem w świetle księżyca.

Przyjęcie było bardzo udane. Helena, która nieczęsto brała udział w towarzyskich spotkaniach, bawiła się znakomicie. Wszyscy goście byli jej dobrymi znajomymi sprzed wielu, wielu lat, żadna obca młodzież nie psuła niepowtarzalnej atmosfery, gdyż jedyny syn państwa młodych uczył się w odległym college'u, więc nie mógł uczestniczyć w uroczystości. Na przyjęciu zjawiał się też Norman Douglas, którego spotkała po raz pierwszy od lat, choć widziała go już tej zimy w kościele raz czy dwa razy. To spotkanie nie przyprawiło Heleny o choćby jedno mocniejsze uderzenie serca. Jeśli w ogóle powracała myślą do tamtych lat, to zawsze ze zdziwieniem - nie miała pojęcia, jak to możliwe, że odejście Normana zraniło ją wtedy tak mocno, że tak bardzo przeżywała jego niespodziewane małżeństwo. Teraz, po tylu latach, miło jej było zobaczyć go znowu. Już zapomniała, że potrafi być taki zajmujący i spontaniczny. Spotkanie, na którym pojawiał się Norman Douglas, nie mogło być nudne. Wszyscy byli zdziwieni, że przyszedł, bowiem Norman od lat nikogo nie odwiedzał. Pollockowie zaprosili go, gdyż był jednym z weselnych gości, ale nie spodziewali się, że zaszczyci ich swoją obecnością. Towarzyszyła mu jedna z jego kuzynek, Amy Douglas, dla której był wyjątkowo uprzejmy. Helena siedziała po przeciwnej stronie stołu i toczyła z nim zażartą dyskusję. Ani jego krzyki, ani złośliwości nie zdołały zbić jej z tropu i ostatecznie pokonała go w tej walce na argumenty. Poniósł klęskę tak całkowitą i niespodziewaną, że zamilkł na całe dziesięć minut. Potem mruknął w gęstwinie swej rudej brody: „Zuchwała dziewczuszka, zuchwała jak zawsze” - i zaczął zaczepiać swoją kuzynkę Amy, która chichotała głupiutko w odpowiedzi na każde jego zuchwalstwo. Gdyby na jej miejscu była Helena, umiałaby znaleźć złośliwą ripostę na te docinki.

Helena wspominała przyjęcie w drodze do domu, raz jeszcze rozkoszując się urokiem chwil spędzonych u Pollocków. Mroźne powietrze połyskiwało w świetle księżyca. Pod jej stopami cichutko skrzypiał śnieg. Widziała przed sobą całe Glen i ośnieżoną przystań w oddali. W gabinecie, na plebanii, świeciło się jeszcze światło. A więc Jan Meredith wrócił już do domu. Czy oświadczył się Róży? Ciekawe, w jaki sposób mu odmówiła. Helena bardzo

chciałaby to wiedzieć, ale zdawała sobie sprawę, że nigdy się nie dowie. Róża nie powie na ten temat ani słowa, a ona nie odważy się zapytać. Musi wystarczyć jej świadomość, że siostra odrzuciła pastora Mereditha. W gruncie rzeczy tylko to jest ważne.

- Mam nadzieję, że będzie miał tyle oleju w głowie, żeby od czasu do czasu nas po przyjacielsku odwiedzić - powiedziała głośno sama do siebie. Helena bała się samotności i głośne myślenie było jednym ze sposobów na jej odstraszenie. - To okropne nie mieć wokół siebie nikogo, kto miałby na tyle poukładane w głowie, żeby można z nim było czasami porozmawiać. A w tej sytuacji należy się spodziewać, że pastor nie pojawi się nigdy więcej. Jest jeszcze Norman Douglas - lubię go i nie miałabym nic przeciwko temu, aby co pewien czas spróbować swoich sił w jakiejś ożywczej dyskusji z nim. Jednak on nigdy nie odważy się przyjść na wzgórze. Będzie się obawiał gadania, że znowu ruszył do mnie w konkury; boję się, że takie plotki zaraz by się rozniosły, choć dziś jest mi on bardziej obcy niż Jan Meredith. To, że byliśmy kiedyś narzeczonymi, wydaje się teraz tak nieprawdopodobne, jakby zdarzyło się w snach. No, ale tak to jest: w całym Glen mieszka zaledwie dwóch mężczyzn, z którymi w ogóle miałabym ochotę porozmawiać, a głupie plotki i idiotyczne skłonności do romansów sprawiły, że prawdopodobnie z żadnym z nich nigdy już się nie zobaczę. Ja - Helena zwróciła się z gniewną niechęcią do gwiazd, nieporuszonych na wysokim niebie - ja umiałabym stworzyć lepszy świat.

Stała przed furką i nagle ogarnął ją niepokój. W salonie wciąż świeciło się światło, a za zasłoniętymi oknami widać było cień kobiecej sylwetki, spacerującej niespokojnie po pokoju, tam i z powrotem. Co Róża robi w salonie o tak późnej porze? Dlaczego wędruje jak lunatyczka?

Helena po cichu weszła do środka. Gdy tylko otworzyła drzwi do korytarza, z salonu wyszła Róża. Miała purpurowe rumieńce i oddychała z trudem. Promieniowało z niej zdenerwowanie i ogromne napięcie.

- Dlaczego jeszcze nie śpisz, Rózo? - zapytała Helena.

- Wejdz, proszę - powiedziała niespokojnie Róża. - Mam ci coś do powiedzenia.

Helena spokojnie zdjęła płaszcz, buty i weszła za siostrą do ciepłego salonu, oświetlonego ogniem z kominka. Stała, oparła rękę na stole i czekała. Wyglądała bardzo pięknie ze swoją oryginalną, ciemną urodą. Miała na sobie nową, czarną suknię z aksamitu, z trenem i głębokim dekoltem. Uszyta specjalnie na dzisiejsze przyjęcie, nadawała jej potężnej sylwetce dostojny, szlachetny wygląd. Wokół szyi lśnił ciężki naszyjnik ze szlifowanych bursztynów w kształcie kropli, odziedziczony po matce. Zimowy, nocny spacer, zabarwił jej policzki, ale błękitne oczy o stalowym spojrzeniu były zimne i nieporuszone, niczym dalekie,

obce, grudniowe niebo. Stała i czekała w zupełnej ciszy, którą przerwała z wielkim trudem Róża. - Heleno, był tu dzisiaj pastor Meredith.

- Tak?

- I... i... poprosił mnie o rękę.

- Spodziewałam się tego. Odmówiłaś mu?

- Nie.

- Rózo? - Helena mimowolnie zacisnęła pięści i posunęła się o krok do przodu. - Chyba nie chcesz mi powiedzieć, że przyjąłś jego oświadczenia?

- Nie... nie.

Helena odzyskała panowanie nad sobą.

- Więc co mu właściwie powiedziałaś?

- Poprosiłam go... poprosiłam o kilka dni do namysłu.

- Nie bardzo rozumiem, dlaczego - powiedziała Helena z lodowatym spokojem - skoro możesz mu udzielić tylko jednej odpowiedzi.

Róża złożyła dłonie błagalnym gestem.

- Heleno - powiedziała z rozpaczą - ja go kocham. I chcę zostać jego żoną. Czy mogłabyś zwolnić mnie z przysięgi?

- Nie - bezlitośnie odparła Helena. W głębi serca drżała z lęku.

- Heleno... Helenko...

- Posłuchaj mnie - przerwała jej siostra. - Ja cię nie prosiłam o tę obietnicę. Sama mi ją dałaś.

- To prawda... prawda. Myślałam wtedy, że nigdy już nikogo nie pokocham.

- Sama mi ją dałaś - powtórzyła niewzruszona Helena. - Przysięgłaś na Biblię naszej matki. To nie była zwykła obietnica. To było święte przyrzeczenie. A teraz zamierzasz je złamać.

- Nie, Heleno. Proszę cię, abyś ty mnie z niego zwolniła.

- A ja tego nie zrobię. Bo dla mnie obietnica to obietnica. Proszę bardzo, możesz ją złamać, możesz stać się krzywoprzysięzcą, jeśli tego chcesz. Ale nie wymagaj ode mnie, żebym się na to zgadzała.

- Jesteś okrutna, Heleno.

- Okrutna, dobre sobie. A co ze mną? Pomyślałaś choć przez chwilę, co mnie czeka? Pomyślałaś o tym, jak bardzo będę samotna, kiedy stąd odejdziesz? Nienawidzę samotności. Nie zniosę jej. Zwariuję, jeśli zostanę sama. Czy nie byłam dla ciebie dobrą siostrą? Czy nie spełniałam wszystkich twoich życzeń? Nie ulegałam we wszystkim?

- Ależ tak.

- Więc dlaczego postanowiłaś opuścić mnie dla człowieka, którego jeszcze rok temu nie znałaś?

- Kocham go, Heleno.

- Kochasz! Gadasz jak pensjonarka, a nie dorosła kobieta. Ale on cię nie kocha. Potrzebna mu gosposia, kucharka i guwernantka. I ty też go nie kochasz. Po prostu wolisz zostać mężatką niż starą panną. Jak każda z tych ograniczonych kobiet uważasz, że brak męża to hańba. I tyle.

Róża drżała. Helena nie rozumiała jej, albo nie chciała rozumieć. Nie warto było z nią dyskutować.

- Więc nie zwolnisz mnie z przysięgi, Heleno?

- Nie. I nie chcę więcej o tym słyszeć. Przysiękłaś i musisz dotrzymać przysięgi. To wszystko. A teraz idź spać. Popatrz, która godzina! Jesteś zmęczona i nastrojona romantycznie. Jutro odzyskasz zdrowy rozsądek. No i w żadnym wypadku nie wracajmy już do tych bzdur. Śpij dobrze.

Róża nie powiedziała więcej ani słowa. Błada i roztrzęsiona, poszła do swojego pokoju. Helena przez kilka minut spacerowała gniewnie po pokoju, aż w końcu zatrzymała się przy fotelu, na którym spokojnie drzemał St. George. Na jej ciemnej twarzy powoli pojawiał się powściągliwy uśmiech. Tylko jeden jedyny raz w swoim życiu - po śmierci matki - Helena nie zdołała zmienić tragedii w komedię. Nawet przed wielu, wielu laty, gdy gorzko rozpaczała po stracie Normana Douglasa, który oszukał ją tak nikczemnie, śmiała się sama z siebie. Oczywiście, tylko wtedy, kiedy nie płakała.

- Spodziewam się, St. George, że teraz się trochę poboczy. Tak, tak, George, czeka nas kilka pochmurnych dni. Ale rozwiejemy te złe humory. Tak, tak, St. George, mieliśmy już do czynienia z niesfornymi dziećmi. Róża obrazi się na jakiś czas, a potem jej przejdzie i wszystko będzie jak dawniej, George. Przecież musi dotrzymać słowa. I koniec już z tym, nie będę więcej o tym rozmawiać, ani z nią, ani z tobą, St. George.

Helena nie mogła usnąć do rana.

Róża jednak nie obraziła się. Następnego dnia była bardzo blada i milcząca, ale poza tym Helena nie dostrzegła w niej żadnej zmiany. Wszystko wskazywało na to, że nie ma żalu do Heleny. Była sztormowa pogoda, więc siostry nie poszły tej niedzieli do kościoła. Po południu Róża zamknęła się w swoim pokoju, aby napisać list do Jana Mereditha. Wiedziała, że nie zdoła powiedzieć mu: „Nie” prosto w oczy. Była pewna, że jeśli usłyszy w jej głosie wahanie, nie zechce przyjąć takiej odpowiedzi, a ona nie zniosłaby jego pytań czy próśb.

Musiała zachować się tak, aby był przekonany, że wcale jej na nim nie zależy, a mogła to osiągnąć tylko w jeden sposób - pisząc list. Ułożyła więc najbardziej chłodną i nieżyczliwą odpowiedź, jaką można było sobie wyobrazić. Jej list był daleki od uprzejmości i mogła być pewna, że ostudziłby zapał najbardziej natarczywego konkurenta, a Jan Meredith nie był przecież natarczywy ani bezczelny. Pastor zadrżał, gdy następnego dnia w dusznym gabinecie przeczytał bezlitosne słowa Róży. Poczuł się dotknięty i zawiedziony. Śmiertelny zawód, jakiego doznał, pozwolił mu dokonać kolejnego, strasznego odkrycia. Przez cały czas wydawało mu się, że nie kocha Róży równie głęboko, jak kochał Cecylię. Jednak teraz, kiedy ją stracił, przekonał się, że nie miał racji. Róża West była dla niego wszystkim, wszystkim! A teraz będzie musiał o niej zapomnieć. Nawet przyjaźń nie była już możliwa. Życie, które go czekało, wydało mu się nagle przerażająco puste. A on nie mógł się poddać - miał pracę, dzieci - ale nic nie mogło go pocieszyć. Przez cały wieczór nie wychodził ze swego zimnego, nieprzytulnego gabinetu - siedział przy biurku z głową ukrytą w dłoniach.

W domu na wzgórzu Róża, wymawiając się bólem głowy, wcześniej poszła do swojej sypialni. Helena zaś skomentowała jej zachowanie, zwracając się do St. George'a, który pogardliwie mruczał nad głupotą ludzi, nie dostrzegających, że jedyną rzeczą na świecie wartą zachodu jest miękka, ciepła poduszka.

- Powiedz, St. George, co poczęłyby kobiety, gdyby nie wynaleziono bólu głowy? Ale nic się nie przejmuj, St. George. Za kilka dni spojrzysz na wszystko inaczej. Przecież sama obiecała, prawda? I powinna dotrzymać słowa. Chociaż, St. George, przyznam ci się, że i ja nie czuję się najlepiej. Tak, jakbym właśnie utopiła w stawie bezbronne kocięta...

KLUB DOBREGO ZACHOWANIA

Przez cały dzień mżył drobny deszczyk - cudowny, wiosenny kapuśniaczek, którego szum zdawał się szeptać dobre wieści o stokrotkach i fiołkach, budzących się ze snu. Port, zatokę i pola leżące na samym wybrzeżu okrywał szaroperłowy płaszcz mgły. Wieczorem deszczyk ustał, a wiatr zniósł mgłę daleko, daleko nad morze. Na niebie, nad portem, niewielkie obłoczki płonęły niczym pąsowe róże. Widoczne w oddali wzgórza odcinały się ciemnymi sylwetkami od mieniającego się złotem i purpurą horyzontu. Na niebie pojawiła się czujna strażniczka tej krainy - wieczorna gwiazda. Rześki, roztańczony, młody wietrzyk zerwał się nad Doliną Tęczy, niosąc z sobą żywiczny zapach jodeł i wilgotnych mchów. Zawirował w koronach starych świerków koło cmentarza i rozburzył piękne loki Faith, która siedziała na nagrobku starego Ezekiasza Pollocka, obejmując jednym ramieniem Unę, a drugim Mary Vance. Naprzeciwko, na innym nagrobku, siedzieli Jerry i Karol. Cała piątka była w świetnych humorach, bo mogli nareszcie wyjść na dwór, po całym dniu spędzonym w czterech ścianach.

- Powietrze dzisiaj po prostu lśni, prawda? Widzicie? To ten deszcz wymył je do czysta - powiedziała radośnie Faith.

Mary Vance spojrzała na nią ponuro. Wiedząc to, co wiedziała, albo raczej wyobrażała sobie, że wie, uznała Faith za osobę wyjątkowo lekkomyślną. Mary miała przyjaciółom coś do powiedzenia, ale zamierzała zrobić to tuż przed swoim odejściem, nie wcześniej. Posyłając ją na plebanie z koszyczkiem świeżutkich jaj, pani Elliott powiedziała jej, żeby została tam najwyżej pół godziny. Pół godziny właśnie mijało, więc Mary wyprostowała podkurczone nogi i oznajmiła prosto z mostu:

- Wy się nie zajmujcie powietrzem, tylko posłuchajcie tego, co mam wam do powiedzenia. Wy, dzieci pastora, tej wiosny powinniście zachowywać się lepiej, niż dotąd. To sprawa dla was najważniejsza. Przyszłam tu dziś specjalnie po to, żeby wam o tym powiedzieć. To, co mówią o was ludzie, jest po prostu straszne.

- Co znowu takiego zrobiliśmy?! - krzyknęła Faith, zdejmując rękę z ramienia Mary. Była zaskoczona. Wargi Uny drżały, a jej małe, wrażliwe serduszko zatrzepotało niespokojnie. Mary była zawsze taka brutalna w swojej szczerości. Jerry zaczął pogwizdywać. Chciał pokazać Mary, że nic sobie nie robi z jej przemowy. Nawet jeśli

zachowywali się źle, to co ją to obchodzi? Jakim prawem właśnie ona poucza ich, jak się powinni zachowywać?

- Znowu? Nie znowu, tylko wciąż! Przez cały czas zachowujecie się źle! - odparła Mary. - Jak tylko ludzie zaczynają zapominać o jednym waszym wybryku, wy natychmiast dostarczacie im następnego tematu do gadania. Wydaje mi się, że wy w ogóle nie macie pojęcia, jak powinny się zachowywać dzieci pastora!

- I właśnie ty zamierzasz nam to powiedzieć - wtrącił Jerry sarkastycznie.

Mary Vance zlekceważyła ton jego głosu.

- Mogę wam powiedzieć, co się stanie, jeśli nie zaczniecie zachowywać się przyzwoicie. Zgromadzenie poprosi waszego ojca, aby zrezygnował z posady. Teraz wiesz już wszystko, mój Panie Jerry Przemądrzały. Pani Davis rozmawiała o tym z panią Elliott. Słyszałam na własne uszy. Zawsze nastawiam uszu, kiedy pani Davis przychodzi na herbatę. Powiedziała, że zmieniacie się na gorsze i choć wszyscy wiedzą, że dzieje się tak dlatego, że nikt was nie wychowuje, to jednak parafianie dłużej tego nie zniosą. Coś trzeba z tym zrobić, mówiła. Metodyści śmieją się z nas bez przerwy, a to rani nasze prezbiteriańskie uczucia. Mówiła też, że najlepszym lekarstwem byłaby tu brzozowa różga. Dobry Boże, gdyby lanie poprawiało ludzkie dusze, ja dawno już byłabym świętą. Mówię to wszystko nie dlatego, żeby zranić wasze, też prezbiteriańskie, uczucia, ale dlatego, że mi was żal - Mary Vance mogłaby być mistrzynią świata w okazywaniu swej łaskawości. - Rozumiem, że wasze możliwości są ograniczone, ale wy zrozumcie, że inni ludzie nie okażą wam tyle zrozumienia, co ja. Panna Drew opowiadała, że w zeszłym tygodniu Karol przyszedł do szkoły niedzielnej z żabą w kieszeni i żaba wyskoczyła akurat podczas czytania. Mówi, że chyba zrezygnuje z prowadzenia szkoły. Dlaczego nie zostawisz tego robactwa w domu?

- Przecież zaraz ją złapałem i schowałem! - wrzasnął Karol. - To była mała żabka, która nikomu nie zrobiła żadnej krzywdy, biedna, mała żabka! I nie miałbym nic przeciwko temu, żeby Jane Drew zrezygnowała. Nienawidzę tej starej baby! Jej rodzony siostrzeniec miał w kieszeni tytoń i częstował nim wszystkich chłopców, kiedy pan Clow się modlił. To chyba gorsze niż mała żabka.

- Nie, ponieważ żaby są bardziej... zaskakujące. I wywołują prawdziwą sensację. No i jego nikt na tym nie przyłapał. I jeszcze ten konkurs modlitw w zeszłym tygodniu. Taki skandal! Całe Glen o niczym innym nie mówi!

- A dlaczego? Przecież Blythe'owie też tam byli! - krzyknęła oburzona Faith. - I to właśnie Nan Blythe wpadła na ten pomysł. A wygrał Walter.

- A i tak wina spadła na was. Może nie byłoby to takie straszne, gdybyście nie urządzili tego na cmentarzu!

- Zawsze myślałem, że cmentarz to znakomite miejsce do modlitwy - przekomarzał się Jerry.

- Kiedy ty się modliłeś, obok cmentarza przejeżdżał diakon Hazard - mówiła Mary - który widział i słyszał twoją modlitwę. Miałeś dłonie złożone na brzuchu i stękałeś po każdym zdaniu. Diakon pomyślał, że go przedrzeźniasz.

- Bo tak właśnie było - przyznał Jerry, zupełnie nie zmieszany. - Ale nie wiedziałem, oczywiście, że on akurat tamtędy przejeżdża. To zbieg okoliczności. Nie modliłem się naprawdę, bo wiedziałem, że i tak nie mam szans na wygraną. No więc po prostu dobrze się bawiłem. Walter Blythe umie się naprawdę modlić. Chyba tak samo dobrze jak tata.

- Spośród nas tylko Una naprawdę lubi się modlić - melancholijnie stwierdziła Faith.

- No tak, ale skoro modlitwy wywołują skandal, nie powinniśmy więcej się modlić - westchnęła Una.

- Co za bzdury! Możecie się modlić, ile dusza zapagnie, tylko nie róbcie sobie z tego zabawy. To dlatego wszyscy są oburzeni, i jeszcze dlatego, że urządziliście sobie przyjęcie na nagrobkach.

- Nieprawda.

- Zgoda, nie przyjęcie, tylko puszczanie baniek mydlanych. Tak czy owak, coś urządziliście. Ludzie zza przystani zaklinają się, że przyjęcie, ale ja wolę uwierzyć wam. Lecz jako stołu użyliście nagrobka.

- Ciocia Marta była tego dnia w fatalnym humorze - tłumaczył Jerry - i nie pozwoliła nam puszczać baniek w domu. A ten stary grób był niesamowicie wygodny.

- A jakie piękne były nasze bańki, prawda? - oczy Faith zaśniły na samo wspomnienie. - Odbijały się w nich drzewa i wzgórza, a nawet port, jakby każda z nich była baśniowym, małym światem. Dmuchałyśmy, a one leciały wprost do Doliny Tęczy.

- Tylko jedna nie poleciała i rozprysnęła się na wieży kościoła metodystów - uściślił Karol.

- Całe szczęście, że zrobiliśmy je chociaż raz, zanim dowiedzieliśmy się, że nie wolno puszczać baniek - cieszyła się Faith.

- Wolno je puszczać, ale na przykład na waszym trawniku - zniecierpliwiła się Mary. - Wygląda na to, że moje wysiłki idą na marne. Tyle razy już wam powtarzałam, że nie powinniście bawić się na cmentarzu. Metodystów bardzo to drażni.

- Zapomnieliśmy o tym - posmutniała Faith. - Trawnik na naszym podwórku jest taki mały i taki zagracony, i pełno na nim jakichś śmieci. Przecież nie możemy siedzieć całymi dniami w Dolinie Tęczy. Gdzie mamy się bawić?

- Są takie rzeczy, które możecie robić na cmentarzu. Nikomu nie będzie przeszkadzało, jeśli będziecie tu siedzieć i rozmawiać po cichu, tak jak w tej chwili. No cóż, nie wiem, jak to się wszystko skończy, wiem tylko, że pan Warren ma zamiar porozmawiać o tym z waszym tatą. Diakon Hazard jest jego kuzynem.

- Wolałabym, żeby nie zwracano tacie głowy z naszego powodu - powiedziała Una.

- No cóż, ludzie mówią, że on powinien bardziej zwracać sobie głowę właśnie wami. Ja go bardzo, ale to bardzo lubię, od czasu, kiedy tak miło ze mną rozmawiał. Od tamtego czasu nigdy nie wzywałam imienia Pana Boga nadaremno, no i ani razu nie skłamałam. Bardzo bym chciała, żeby był spokojny i szczęśliwy, żeby chodził w ubraniach, w których nie brakuje guzików, i codziennie jadł porządny obiad, żebyście wy byli grzeczni, a kot starej Marty zajął wreszcie miejsce odpowiednie dla siebie. Nie podobał mi się sposób, w jaki patrzyła na jajka, które przyniosłam od pani Elliott. „Mam nadzieję, że są świeże” - zaskrzeczała. Od razu pożałowałam, że nie były zepsute. Uważajcie, żebyście wszyscy, nie wyłączając taty, dostali po jajku na śniadanie. Jak wam nie da, zróbcie awanturę. Bo pani Elliott przesłała je wam i waszemu tacie. A ja nie mam zaufania do starej Marty. Gotowa dać je swojemu kotu.

Mary zmęczyła się na chwilę ciągłym gadaniem. Na cmentarzu zapanowała cisza. Dzieci pastora nie miały ochoty na rozmowę. Wszystkie zastanawiały się nad, niezbyt dla nich przyjemnymi, słowami Mary Vance. Jerry i Karol byli odrobinę zbici z tropu i zaskoczeni. Choć, tak naprawdę, czy miało to jakiegokolwiek znaczenie? Faith była, zgodnie ze swoją naturą, najmniej przejęta. Jedna Una przeraziła się naprawdę. Była bliska płaczu i najchętniej uciekłaby stąd natychmiast, żeby się wypłakać.

„Czy w mej koronie gwiazda zabłyśnie?” - zaintonował chór metodystów. Próba w kościele właśnie się zaczynała.

- Ja bym chciała mieć trzy - westchnęła Mary, której wiedza religijna poszerzyła się znacznie od czasu, gdy zamieszkała u pani Elliott. - Właśnie trzy, zdobiące moje włosy jak błyszczący diadem. Jedną, dużą pośrodku, a po bokach dwie małe.

- Czy dusze są różnych rozmiarów? - zapytał Karol.

- Ależ oczywiście. Przecież malutkie dzieci nie mogą mieć takich samych dusz, jak dorośli. Oj, robi się ciemno, muszę zmykać do domu. Pani Elliott nie lubi, jak chodzę po ciemku. Boże, jak mieszkałam u pani Wiley, to noc nie różniła się dla mnie od dnia. Tyle

zwracałam na to uwagi, co kot. Wydaje mi się, że to było sto lat temu. No więc pomyślcie o tym, co wam powiedziałam i, dla dobra waszego taty, zachowujcie się przyzwoicie. Ja będę zawsze po waszej stronie i będę bronić was przed ludzkim gadaniem, tego możecie być absolutnie pewni. Pani Elliott zawsze mówi, że nigdy jeszcze nie widziała dzieciaka, który tak zawzięcie broniłby swoich przyjaciół, jak ja. Zdrowo napyskowałam tej Davis w waszej obronie, aż pani Elliott dała mi później burę. Ta cała Kornelia to też niezła plotkara. Ale tak naprawdę to musiała być ze mnie zadowolona, bo nie znosi starej Kitty, a za wami po prostu przepada. Ja mam intuicję do ludzi.

Mary odeszła, bardzo zadowolona z siebie, zostawiając przyjaciół w dość ponurych nastrojach.

- Mary Vance zawsze przychodzi tu po to, żeby powiedzieć coś okropnego - żaliła się Una.

- Szkoda, że nie zostawiliśmy jej w tej starej szopie, żeby się tam zagłodziła - mściwie powiedział Jerry.

- Jerry, nie mów takich podłych rzeczy - skarciła go Una.

- Ja po prostu wyciągam wnioski z tego, co ona sama powiedziała - odrzekł Jerry. - Skoro mówią o nas, że jesteśmy źli, to powinniśmy być źli.

- Ale to sprawiłoby przykrość tacie - zasmuciła się Falth.

Jerry zawstydził się okropnie. Uwielbiał ojca. Teraz widzieli go przez nie zasłonięte okna gabinetu. Siedział przy biurku, ale nie wyglądało na to, by był zajęty czytaniem lub pisanem. Głowę oparł na dłoniach, a jego poza zdradzała przygnębienie i zmęczenie. Dzieci nagle zdały sobie z tego sprawę.

- Wygląda na to, że dzisiaj znowu ktoś się na nas skarżył - powiedziała Faith. - Bardzo bym chciała, żeby ludzie przestali o nas gadać. Och! Jim, ale mnie przestraszyłeś.

Jim Blythe po cichu wślizgnął się na cmentarz i usiadł obok dziewczynek. Penetrował właśnie Dolinę Tęczy, gdzie udało mu się znaleźć kępkę białych zawilców na pierwszy, wiosenny bukiet dla mamy. Kiedy się zjawił, dzieci ucichły. Tej wiosny Jim wydawał im się jakiś daleki. Przygotowywał się do egzaminów wstępnych na Akademię Królewską, więc po lekcjach zostawał w szkole, wraz z grupką starszych chłopców, na dodatkowych zajęciach. Uczył się także wieczorami, więc niewiele zostawało mu czasu na wspólne zabawy w Dolinie Tęczy. Wszystko wskazywało na to, że Jim powoli opuszczał ich świat, żeglując ku odległej krainie dorosłości.

- Co wam się dzisiaj stało? - spytał. - Jesteście tacy smutni.

- Raczej tak - płaczliwie przyznała Faith. - Ty też nie byłbyś szczególnie wesoły, gdybyś się dowiedział, że plamisz dobre imię swojego ojca i ludzie bez przerwy o tobie gadają.

- Kto znowu o was gada?

- Wszyscy. Tak powiedziała Mary Vance - współczucie, jakie okazał im Jim, skłoniło Faith, by powierzyć mu wszystkie troski. - Bo wiesz - powiedziała z żalem - my nie mamy nikogo, kto by nas wychował. I to dlatego ciągle pakujemy się w jakieś tarapaty, a ludzie myślą, że jesteśmy źli.

- Więc dlaczego nie wychowacie się sami? - zaproponował Jim. - Powiem wam coś. Załóżcie Klub Dobrego Zachowania i za każdym razem, gdy ktoś zachowa się źle, wymierzajcie mu karę.

- To świetny pomysł - powiedziała zachwycona Faith. - Tylko że - dodała z powątpiewaniem - ludzie mają nam za złe to, co nam wydaje się zupełnie nieszkodliwe. Więc skąd mamy wiedzieć, czy postępujemy dobrze, czy źle? Przecież nie możemy przez cały czas pytać taty, zwłaszcza że tak często nie ma go w domu.

- Uda wam się to ocenić, jeśli zanim coś zrobicie, przemyślicie to dokładnie i zadacie sobie pytanie, co powiedziałyby na to zgromadzenie parafialne - powiedział Jim. - Cały problem polega na tym, że robicie różne rzeczy bez chwili zastanowienia. Moja mama mówi, że jesteście zbyt impulsywni i że ona też taka była. Klub Dobrego Zachowania pomoże wam zastanowić się nad tym, czy postępujecie dobrze, o ile będziecie uczciwi i będziecie się karali zawsze, kiedy złamiecie zasady Klubu. Ale kary muszą być dotkliwe, bo inaczej nic z tego nie będzie.

- Mamy sobie nawzajem dawać różgi?

- No, nie. Musicie wymyślić jakieś inne kary, przykre dla każdego z was. I nie macie wymierzać kar sobie nawzajem, każdy winny będzie sam sobie wyznaczać pokutę. Czytałem o takim klubie w jednej książce. Spróbujcie i sami zobaczycie.

- Spróbujemy - powiedziała Faith, a kiedy Jim już poszedł, wszyscy zgodzili się, że powinni spróbować. - Jeśli dzieje się źle, musimy sprawić, by było lepiej - rezolutnie stwierdziła Faith.

- Musimy zachowywać się grzecznie i stosownie, tak jak mówił Jim - powiedział Jerry. - Ten klub zakładamy po to, żeby się wychować, skoro nie ma nikogo, kto mógłby zająć się naszym wychowaniem. Nie ma co ustalać zbyt wielu zasad. Wymyślmy jedną zasadę i każdy, kto ją złamie, będzie musiał ponieść surową karę.

- Jaką?

- Kary będziemy wymyślać później. Każdego wieczora nasz klub będzie się zbierał tutaj, na cmentarzu, żeby omówić to, co robiliśmy przez cały dzień. Jeżeli uznamy, że zrobiliśmy coś nieodpowiedniego, albo coś, co przynosi hańbę ojcu, winowajca zostanie ukarany. To będzie nasza zasada. Wszyscy razem wybierzemy karę, która musi być współmierna do zbrodni, jak powiada pan Flagg. A winny będzie musiał ją przyjąć bez żadnego marudzenia. To nawet wydaje się zabawne - dokończył z ulgą Jerry.

- To ty wymyśliłeś puszczanie baniek na cmentarzu - stwierdziła Faith.

- Ale to było, zanim wymyśliliśmy klub - szybko odpowiedział Jerry. - Zaczynamy od teraz.

- A co będzie, jeżeli pokłócimy się o karę albo o to, czy coś zrobiliśmy źle, czy nie? No, jak na przykład dwoje z nas będzie myślało tak, a dwoje inaczej? W takim klubie powinien być ktoś piąty.

- Możemy poprosić Jima Blythe'a, żeby nas rozsądził. To najgrzeczniejszy chłopiec w całym Glen. Choć powinniśmy raczej załatwiać to sami. Trzeba utrzymać nasz klub w ścisłej tajemnicy. I ani słowa Mary Vance. Od razu chciałaby zostać jego członkiem, żeby nas wychowywać.

- Moim zdaniem - powiedziała Faith - nie warto psuć sobie każdego dnia jakimiś potwornymi karami. Wyznaczmy sobie jeden dzień pokuty.

- Najlepiej sobotę, bo wtedy nie idziemy do szkoły - zaproponowała Una.

- Żeby zepsuć sobie jedyny wolny dzień w tygodniu!

- wykrzyknęła Faith. - Nigdy w życiu! Niech to będzie piątek. W piątek jest post, a my i tak nie lubimy ryb. Wtedy wszystkie nieprzyjemne rzeczy mielibyśmy z głowy jednego dnia. A przez resztę tygodnia moglibyśmy się spokojnie bawić.

- Co za bzdury! - kategorycznie odezwał się Jerry. - Taki plan zepsułby wszystko. Karę trzeba wymierzać od razu, żeby mieć zawsze czyste sumienie. Chyba wszyscy się z tym zgodzimy, prawda? Założyliśmy Klub Dobrego Zachowania, którego celem jest wychowanie się. Zgadza się na to, by wymierzać sobie karę za każdy zły uczynek, i na to, by zastanawiać się, co robimy, zanim to zrobimy, i zawsze zadawać sobie pytanie, czy tata byłby z nas zadowolony. Ten, kto będzie się od tego wymigiwał, zostanie wykluczony z klubu i nigdy już nie będzie mógł się z nami bawić w Dolinie Tęczy. W przypadkach spornych rozsądzi nas Jim Blythe. Tobie, Karolu, zabrania się od dziś przynoszenia zwierząt do szkółki niedzielnej, a panna Faith nigdy już nie będzie żuła gumy w miejscach publicznych.

- I nie wolno przedrzeźniać starszych, którzy się modlą, ani chodzić na zebrania modlitewne metodystów - dodała Faith.

- Zaraz, zaraz - zaprotestował zaskoczony Jerry - przecież w chodzeniu do kościoła nie ma nic złego.

- Pani Elliott mówi, że jest. Mówi, że nie ma żadnego powodu, żeby dzieci pastora chodziły na inne nabożeństwa niż prezbiteriańskie.

- Do licha! Nie zamierzam zrezygnować ze spotkań modlitewnych u metodystów! - wrzasnął Jerry. - Są dziesięć razy ciekawsze niż nasze.

- Powiedziałeś brzydkie słowo - zauważyła Faith. - Teraz musisz wymierzyć sobie karę.

- Jeszcze nie. Jeszcze nie ustaliliśmy wszystkich reguł. Na razie tylko je omawiamy. Klub zostanie założony dopiero po spisaniu wszystkiego i złożeniu podpisów. Najpierw musimy mieć regulamin. A poza tym przecież wiecie, że chodzenie na zebrania modlitewne nie jest żadnym przestępstwem!

- Ale my mamy się karać nie tylko za złe uczynki, ale za wszystko, co mogłoby przynieść szkodę tacie.

- Ale to nikomu nie przynosi szkody. A pani Elliott ma po prostu bzika na punkcie metodystów. Nikomu innemu nie przeszkadza to, że tam chodzę. Zawsze jestem grzeczny. Zapytajcie Jima albo panią Blythe, i zobaczycie, co oni powiedzą, a ja się temu podporządkuję. A teraz idę po papier i przyniosę lampę, żebyśmy mogli złożyć podpisy.

Piętnaście minut później dokument został podpisany z całą powagą na grobie starego Ezekiasza Pollocka - na środku nagrobka ustawiono małą, kopcącą lampę z plebanii, a dzieci uklękły wokół niej. Obok cmentarza przechodziła właśnie pani Clow i następnego dnia całe Glen dowiedziało się, że dzieci pastora znów urządziły sobie konkurs modlitw, a potem goniły się z lampą między grobami. Ten drugi, upiększony epizod wziął się zapewne stąd, że po podpisaniu dokumentu, kiedy reszta dzieci cichutko powędrowała do łóżek, Karol wziął lampę i ostrożnie wślizgnął się do płytkiego zagłębienia, gdzie obserwował mrowisko.

- Czy myślisz, że tata naprawdę chce się ożenić z Różą West? - zapytała drżącym głosem Una, kiedy odmówiły już pacierz.

- Nie wiem, ale bardzo bym chciała - odrzekła Faith.

- A ja nie - powiedziała zduszonym głosem Una. - Panna West jest naprawdę miła. Ale Mary Vance mówi, że jak zostanie naszą macochą, to się zmieni. Bo one zawsze się zmieniają. Macochy są skąpe, okrutne i złośliwe, wiesz? I buntują ojca przeciwko dzieciom. Mary mówiła, że jest tego absolutnie pewna. Nigdy nie widziała, aby stało się inaczej.

- Nigdy nie uwierzę w to, że panna West mogłaby być taka! - wykrzyknęła Faith.

- Ale Mary mówi, że taka jest każda macocha. Wiesz, Faith, ona wie o macochach wszystko. Mówiła, że widziała ich setki, a ty nigdy w życiu nie spotkałaś żadnej. Och, Mary opowiadała mi rzeczy mrozące krew w żyłach. Słyszała, że jedna z nich tak wychłostała małą córeczkę swojego męża po gołych ramionach, że aż poleciała im krew! A potem zamknęła je w zimnej, ciemnej piwnicy z węglem, na całą noc! Mary mówiła, że macochy uwielbiają robić takie rzeczy.

- Nie wierzę w to, żeby panna West je uwielbiała. Ja, Uno, znam ją lepiej niż ty. Pomyśl, przysłała nam takiego słodkiego ptaszka. Kocham go jeszcze bardziej niż Adama.

- Ale bycie macochą ją zmieni. Mary mówi, że nic na to nie można poradzić. Wcale nie boję się tak bardzo lania. Tylko nie chcę, żeby tata nas znienawidził.

- Dobrze wiesz, że tata zawsze będzie nas kochał i nic nie zdoła tego zmienić. Uno, nie bądź takim głuptasem. Naprawdę nie masz się czym martwić. Jak nasz klub będzie dobrze działał i zaczniemy się grzecznie zachowywać, to tata pewnie nie będzie chciał się ożenić. A jeżeli postanowi poślubić pannę West, ona będzie dla nas bardzo dobra.

Una, która wcale nie była tego pewna, rozplakała się.

Płacz ukołysał ją do snu.

ODRUCH MIŁOSIERDZIA

Przez pierwsze dwa tygodnie działalności Klubu Dobrego Zachowania wszystko toczyło się gładko. Klub pracował znakomicie, nawet pomoc Jima Blythe'a okazała się zbędna. Żadne z dzieci pastora nie dało najmniejszego powodu do plotek. Za niewielkie domowe grzeszki wyznaczali sobie surowe kary i dzielnie je znosili - zwykle był to zakaz uczestnictwa we wspólnej zabawie, którą wypełniali piątkowe wieczory, albo nakaz spędzenia w łóżku pięknego wiosennego popołudnia, kiedy całą dziecięcą duszą aż rwali się na dwór, na powietrze. Za szeptanie podczas zajęć szkoły niedzielnej Faith musiała milczeć przez cały dzień, nie wolno jej było powiedzieć ani jednego słowa, chyba że byłoby to absolutnie konieczne. Faith wytrzymała, choć ślepy traf sprowadził tego dnia na plebanie pana Baxtera zza przystani, i to właśnie ona musiała otworzyć mu drzwi. Nie odpowiedziała na jego serdeczne powitanie, tylko bez słowa poszła przywołać ojca. Pan Baxter poczuł się dotknięty, i kiedy wrócił do domu, powiedział swojej żonie, że najstarsza córka pastora Mereditha jest bardzo nieśmiałym, ponurym stworzeniem i nie ma nawet tyle dobrego wychowania, by odpowiedzieć na pytania starszych. Jednak cała sprawa nie miała dalszych konsekwencji, więc żadna z kar nie przyniosła najmniejszej szkody ani im samym, ani nikomu innemu. Wkrótce wszystkie dzieci nabrały pewności, że wychowywanie samych siebie to rzecz najprostsza pod słońcem.

- Myślę, że ludzie już wkrótce zauważą, że potrafimy się zachowywać nie gorzej niż wszyscy inni - powiedziała wesoło Faith. - To nie jest takie trudne, jeśli tylko się trochę pomyśli nad własnym postępowaniem.

Siedziała razem z Uną na nagrobku starego Pollocka. Był zimny, wilgotny, wiosenny dzień, panował sztorm i dziewczynki nie miały zamiaru spędzać go w Dolinie Tęczy, choć ich bracia razem z chłopcami ze Złotego Brzegu poszli tam na ryby. Deszcz wprawdzie ustał, ale od morza wiał bezlitosny, wschodni wiatr, który niósł z sobą przenikliwy chłód. Po wczesnym, obiecującym przedwiośniu wiosna ociągała się z nadejściem i w północnej części cmentarza leżały jeszcze połacie śniegu i lodu. Lida Marsh, która właśnie wchodziła na plebanie, niosąc jej mieszkańcom kilka śledzi, trzęsła się z zimna. Dziewczynka mieszkała w rybackiej wiosce tuż nad zatoką, a jej ojciec od trzydziestu lat miał zwyczaj przysyłania na plebanie ryb z pierwszego wiosennego połowu. Człowiek ten nigdy nie przekroczył progu kościoła, był pijakiem i grzesznikiem, ale wierzył, że dopóki przysyła pastorowi ryby - tak jak

czynili to jego ojciec i dziad - jego rachunki z Wszechmogącym są wyrównane, przynajmniej na najbliższy rok. Gdyby nie podzielił się tą pierwszą zdobyczą, to - był o tym głęboko przekonany - nie mógłby liczyć na przyzwoity połów makreli. Lida miała dziesięć lat, ale wyglądała na mniej - była bardzo drobna i mała. Tego wieczora, gdy zebrła całą odwagę, aby podejść do córek pastora, wyglądała tak, jakby od dnia narodzin nigdy nie było jej ciepło. Miała siną twarz, a jej małe, błękitne, wytrzeszczone oczy były zaczerwienione i załzawione. Sukienka w drobne wzorki była cała w strzępach, podobnie jak szal, którym okryła ramiona. Trzy mile, dzielące plebanie od zatoki, pokonała boso, idąc drogą pełną śniegu, grud ziemi i zamrożonego błota. Jej nogi i stopy były równie sine, jak twarz. Lida nie zwracała jednak na to uwagi. Była przyzwyczajona do zimna, a na bosaka biegła już od miesiąca, podobnie jak pozostałe nędznie ubrane dzieci z rybackiej wioski. Nie było w niej ani cienia żalu nad sobą, gdy usiadła na nagrobku obok Faith i Uny, uśmiechając się do nich radośnie. Dziewczynki odpowiedziały jej uśmiechem. Słabo znały Lidę, widziały ją zaledwie raz czy dwa razy, kiedy latem, wraz z młodymi Blythe'ami, odwiedziły port.

- Witajcie - powiedziała Lida. - Okropna pogoda, co? Psa by nie wypędził.

- Więc dlaczego ty biegasz po dworze? - zapytała Faith.

- Tata mi kazał. Przyniosłam wam śledzie - odpowiedziała i zanosła się kaszlem. Zadrżała i podkurczyła bose stopy. Wcale o nich nie myślała. Była przyzwyczajona do tego, że jest jej zimno, i nie spodziewała się żadnego współczucia. Nogi podniosła instynktownie, żeby nie trzymać ich na mokrej, zimnej trawie otaczającej grób. Jednak Faith i Una poczuły przypływ nagłego współczucia. Była taka zmarznięta, taka mizerna.

- Ach, dlaczego wyszłaś boso, kiedy jest tak zimno? - wykrzyknęła Faith. - Nogi chyba ci zmarzły.

- Pewnie tak - z dumą stwierdziła Lida. - Droga z portu nie była zbyt przyjemna.

- Dlaczego nie włożyłaś pończoch i bucików? - zapytała Una.

- Bo nie mam. Te, które miałam, zniszczyły się, jeszcze zanim skończyła się zima - obojętnie odpowiedziała Lida.

Przez chwilę Faith patrzyła na nią przerażona. To było straszne. Stała przed nią mała dziewczynka, która była niemal ich sąsiadką, bliska zamarznięcia, gdyż nie miała ani butów, ani pończoch. Wrażliwa Faith nie była w stanie myśleć o niczym innym poza strasliwym losem Lidy. W jednej chwili zdjęła z nóg własne buty i pończochy.

- Masz, weź i od razu włoż - powiedziała, wciskając je do rąk osłupiałej Lidy. - Tylko szybko. Bo zamarzniesz na śmierć. Ja mam jeszcze inne.

Lida, ocknąwszy się z zaskoczenia, z błyskiem w oku chwyciła podarunek. Oczywiście, że włoży buty, i to jak najszybciej, zanim zjawi się ktoś, kto mógłby je odebrać. W jednej chwili wsunęła swoje chude nogi w pończochy i buciki Faith.

- Bardzo ci dziękuję - powiedziała - ale czy rodzina nie będzie na ciebie zła?

- Nie. A właściwie, to wszystko mi jedno - odrzekła Faith. - Czy myślisz, że mogę się spokojnie przyglądać, jak ktoś zamarza na śmierć, i nie pomóc mu? To nie byłoby w porządku, córka pastora nie mogłaby postąpić w ten sposób.

- Czy mam ci je oddać? Wiesz, u nas nad zatoką jest dłużej zimno niż tu u was, na górze, tak, dużo, dużo dłużej - powiedziała Lida z niezwykłą przebiegłością.

- Ależ nie. Oczywiście, zatrzymaj je. Po to ci je dałam. Ja mam jeszcze inne buty i kilka par pończoch.

Lida miała zamiar zostać tu trochę i porozmawiać z dziewczynkami o wielu sprawach. Teraz jednak pomyślała, że powinna natychmiast odejść, na wypadek, gdyby pojawił się ktoś, kto kazałby jej oddać niespodziewaną zdobycz. Zniknęła więc w chłodnym, nieprzyjemnym mroku w ten sam bezszelestny sposób, w jaki się pojawiła. Kiedy tylko plebania zniknęła jej z oczu, usiadła, zdjęła buty i pończoszek i schowała je do koszyka. Nie miała zamiaru niszczyć ich na błotnistej drodze, wiodącej do portu. Zachowa je na szczególne okazje. Żadna inna dziewczynka we wsi nie ma takich pięknych, wełnianych, czarnych pończoch, ani takich eleganckich, prawie nowych butów. Zdobyła odświętny strój na całe lato! Lida nie czuła wyrzutów sumienia. W jej oczach mieszkanki plebanii były bajecznie bogate, więc ta dziewczynka bez wątpienia ma jeszcze dziesiątki par butów i setki pończoszek. Lida pobiegła do Glen i jeszcze przez godzinę bawiła się z największymi łobuzami przed sklepem pana Flagga, taplając się w kałuży błota. Dopiero panna Kornelia, która akurat tamtędy przechodziła, kazała jej iść do domu.

- Myślę, Faith - powiedziała Una z wyrzutem, kiedy Lida odeszła - że nie powinnaś była tego robić. Będziesz musiała teraz nosić na co dzień swoje świąteczne buty i szybko je zniszczysz.

- To nieważne! - krzyknęła Faith, dumna ze swego miłosiernego uczynku wobec bliźniego. - To nie w porządku, żebym ja miała dwie pary butów, a ta biedna, mała Lida Marsh ani jednej. Teraz każda z nas ma po jednej. Doskonale wiesz, Uno, że na ostatnim kazaniu tata powiedział, że prawdziwe szczęście nie polega na tym, że się coś dostaje albo ma, ale na tym, że się coś daje. Miał rację. Nigdy w życiu nie czułam się tak szczęśliwa, jak dziś. Pomyśl tylko o małej Lidzie: ona właśnie wraca do domu, a jej biedne, przemarzniete stopy są cieplutkie i suche.

- Ale sama wiesz, że nie masz drugiej pary czarnych, wełnianych pończoch - powiedziała Una. - Tamte były tak dziurawe, że ciocia Marta nie chciała już więcej ich cerować, odcięła od nich pięty i służą teraz do czyszczenia pieca. Zostały ci tylko te dwie pary w paski, a ty ich przecież nie znosisz.

Duma i radość uszły z Faith jak powietrze z przekłutego balonika. Już nie była taka szczęśliwa. Siedziała w posępnym milczeniu przez kilka minut, ponuro rozmyślając nad konsekwencjami swego impulsywnego, miłosiernego uczynku.

- Och, Uno, nawet nie przyszło mi to do głowy - powiedziała ze smutkiem. - Nie zastanowiłam się nad tym, co robię.

Pończochy w poprzeczne, czerwono-niebieskie paski, które ciocia Marta zrobiła dla Faith tej zimy, były okropnie grube, szorstkie i niewygodne. No i bardzo, ale to bardzo brzydkie. Faith nienawidziła ich tak, jak nigdy w życiu nie nienawidziła żadnego ze swoich ubrań. Nie było takiej siły, która zmusiłaby ją do włożenia pończoch w paski, toteż - nie noszone - leżały w szufladzie jej komody.

- Teraz będziesz musiała włożyć te pasiaste pończochy - powiedziała Una. - Pomyśl tylko, jak chłopaki w szkole będą się z ciebie śmiać. Chyba pamiętasz, jak wyśmiewali się z Mamie Warren, kiedy przyszła do szkoły w pończochach w paski. Przewalili ją „zebrą”. A jej pończochy były dużo ładniejsze od twoich.

- Nie założę ich - zdecydowała Faith. - Raczej pójdę z gołymi nogami, choćby było jeszcze zimniej.

- Ale jutro do kościoła nie będziesz mogła iść z gołymi nogami. Pomyśl tylko, co powiedzą ludzie.

- To nie pójdę.

- Musisz iść. Dobrze wiesz, że ciocia Marta nie pozwoli ci zostać w domu.

Faith doskonale o tym wiedziała. Ciocia Marta w tym jednym nigdy nie ustępowała - musieli chodzić do kościoła, bez względu na to, czy padał deszcz, czy świeciło słońce. To, jak byli ubrani, czy w ogóle ubrani, nie obchodziło jej nic a nic. Musieli iść. Tak właśnie, siedemdziesiąt lat temu, wychowano ciocię Martę, i tak ona zamierzała ich wychować.

- Uno, może masz jakąś parę, którą mogłabyś mi pożyczyć? - żałośnie spytała biedna Faith.

Una potrząsnęła głową.

- Nie. Sama wiesz, że mam tylko jedną parę czarnych pończoch. W dodatku są takie ciasne, że sama ledwo je wkładam. Nie włożysz ich. W te szare też się nie zmieścisz. Zresztą te szare są całe pocerowane.

- Ale tych w paski nie włożę - upierała się Faith. - Są okropne. Czuję się w nich tak, jakbym miała nogi grube jak kłody. A poza tym one gryzą.

- Nie wiem, co ci poradzić

- Gdyby tata był w domu, poprosiłabym go, żeby kupił mi parę pończoch, zanim zamkną sklep. Ale jak wróci, będzie już za późno. Poproszę go o to w poniedziałek, a jutro nie pójde do kościoła. Udam, że zachorowałam, i ciocia Marta będzie musiała pozwolić mi zostać w domu.

- Ależ Faith, to byłoby oszustwo! - zawołała Una. - Nie możesz tego zrobić. Wiesz, że to byłoby okropne. I co powie tata, jak się o tym dowie? Czy nie pamiętasz już, co nam mówił, jak mama umarła? Mówił, że zawsze powinniśmy mówić prawdę, bez względu na okoliczności. Mówił, że nam ufa i wie, że nigdy nie będziemy kłamać ani oszukiwać. Dlatego nie możesz tego zrobić, Faith. Włóż te pończochy w paski. Tylko ten jeden raz. W kościele nikt ich nie zauważy. Kościół to nie szkoła. Ta twoja nowa, brązowa sukienka jest tak długa, że prawie nie będzie ich widać. Całe szczęście, że ciocia Marta uszyła ją na wyrost, prawda? Choć kiedy ją skończyła, byłaś strasznie niezadowolona.

- Ja nie włożę tych pończoch - powtórzyła Faith. Wyprostowała swoje gołe, blade nogi, zsunęła się z nagrobka i specjalnie weszła bosymi stopami na zimną, moką trawę. Doszła do łachy śniegu i, zaciskając zęby, stanęła na niej.

- Co ty wyprawiasz, Faith?! - krzyknęła przerażona Una. - Przeziębisz się i umrzesz.

- Właśnie o to mi chodzi - odparła Faith. - Mam nadzieję, że się przeziębnię i jutro będę ciężko chora. Wtedy nie będę musiała udawać. Zamierzam stać tu tak długo, jak tylko wytrzymam.

- Ale, Faith, przecież możesz umrzeć naprawdę. Faith, dostaniesz zapalenia płuc. Proszę cię, przestań. Chodź do domu i włóż coś na nogi. O, idzie Jerry! Całe szczęście, że jesteś. Błagam cię, Jerry, każ jej zejść z tego śniegu. Popatrz na jej nogi.

- O rany! Faith, co ty wyprawiasz?! - zawołał Jerry. - Oszalałaś?

- Nie. Idź sobie! - warknęła Faith.

- Czy to ma być jakaś kara? Żle to wymyśliłaś. Możesz się rozchorować.

- Ja chcę się rozchorować. I to nie jest żadna kara. Odejdź!

- Gdzie są jej buty i pończochy? - spytał Unę Jerry.

- Oddała je Lidzie Marsh.

- Lidzie Marsh? Dlaczego?

- Bo Lida nie miała ani butów, ani pończoch, a jej nogi były sine z zimna. A teraz Faith chce zachorować, żeby nie musiała jutro iść do kościoła, bo nie chce włożyć tych pończoch w paski. Ale, Jerry, ona może od tego umrzeć.

- Faith - powiedział Jerry - złaź z tego lodu albo cię z niego ściągnę.

- No to ściągnij! - wrzasnęła Faith.

Jerry skoczył i chwycił siostrę za ramię. Pociągnął ją, ale mu się wyrwała. Podbiegła do nich Una i stanęła za siostrą, żeby popchnąć ją w stronę Jerry'ego. Faith wrzasnęła na brata, żeby ją zostawił w spokoju. On wrzasnął w odpowiedzi, że nie powinna zachowywać się jak postrzelona idiotka, na co Una rozpłakała się. Hałaśliwa kłótnia toczyła się tuż przy cmentarnym płocie. Drogą obok cmentarza przejeżdżał właśnie pan Henryk Warren z żoną - tym sposobem już wkrótce całe Glen dowiedziało się, że dzieci pastora biją się na cmentarzu, okropnie przy tym przeklinając. Zanim jednak ta wieść się rozniosła, Faith została ściągnięta ze śniegu. Nie sprzeciwiała się dłużej, bo nogi zaczęły ją boleć z zimna tak bardzo, że sama chciała już z niego zejść. Cała trójka w najlepszej zgodzie wróciła do domu i poszła spać. Faith spała jak anioł i nazajutrz obudziła się zdrowa jak rydz. Nie była w stanie kłamać i udawać, że jest chora, pamiętając słowa taty sprzed kilku lat. Nic jednak nie zmieniło jej niezłomnego postanowienia, że nie pójdzie do kościoła w pończochach w paski.

NASTĘPNY SKANDAL I NASTĘPNE „WYJAŚNIENIE”

Faith wyszła wcześniej do szkółki niedzielnej i usadowiła się w kąciku w jednej z bocznych ławek, zanim ktokolwiek zjawił się w kościele. Okropna, skandaliczna prawda nie wyszła więc na jaw aż do chwili, kiedy po lekcji Faith wstała, aby przejść z ławek przeznaczonych dla szkółki do ławki, w której dzieci pastora siadywały podczas mszy. Kościół był już prawie pełen, a wszyscy ci, którzy siedzieli w nawie, mogli zobaczyć, że córka ich pastora ma na sobie buty, ale nie ma pończoch!

Nowa, brązowa sukienka Faith, którą ciocia Marta uszyła według wzoru z okropnie starego żurnala, była absurdalnie długa, ale i tak nie sięgała cholewek świątecznych bucików. Kilka centymetrów gołej, białej skóry było dobrze widocznych.

Faith siedziała w ławce tylko z Karolem. Jerry poszedł na chór, żeby usiąść z jakimś kolegą, a Unę wzięły do swojej ławki Nan i Di Blythe. W ten sposób młodzi Meredithowie „rozsiedli się po całym kościele”, co wielu parafian uważało za niestosowne. Dotyczyło to zwłaszcza chóru, na którym zbierali się starsi chłopcy - w czasie mszy dochodziły stamtąd jakieś szept, a podejrzewano też, że niektórzy z nich żują tytoń podczas nabożeństwa. Na pewno nie było to odpowiednie miejsce dla syna pastora. Jednak Jerry nienawidził ich ławki, stojącej na samym przedzie kościoła, pod czujnym okiem pana Clowa i jego rodziny. Uciekał stamtąd, jak tylko mógł.

Karol, który przyglądał się pajakowi snującemu sieć w kościelnym oknie, nawet nie zauważył gołych nóg swojej siostry. Nie zauważył ich także pastor, z którym Faith wracała do domu po nabożeństwie. Zanim wrócili Una i Jerry, szybko wciągnęła znienawidzone pończochy w paski, więc nikt z rodziny nie miał pojęcia o tym, co zrobiła. W ten sposób domownicy byli jedynymi mieszkańcami Glen, którzy nie wiedzieli o gołych nogach Faith. Tych kilkoro parafian, które ich nie widziało, już zdążyło o nich usłyszeć. Wierni wracający z kościoła nie mówili o niczym innym. Pani Davis oznajmiła, że tego właśnie należało się spodziewać, i że wcale nie będzie zdziwiona, jeśli następnej niedzieli któreś z tych dzieci zjawi się w kościele w ogóle nie ubrane. Przewodnicząca Koła Pań postanowiła, że podniesie tę kwestię na kolejnym zebraniu Koła i zaproponuje, żeby wszystkie członkinie udały się do pastora, aby wyrazić swoje najgłębsze oburzenie. Panna Kornelia natomiast oznajmiła, że się poddaje. Nie będzie już więcej martwić się o los gromadki z plebanii. Nawet pani doktorowa Blythe była zaszokowana, choć składała wszystko na karb roztargnienia małej Faith. Zuzanna

nie mogła od razu przystąpić do dziergania pończoch dla Faith, ponieważ była niedziela, ale zabrała się do pracy zaraz następnego ranka, kiedy wszyscy mieszkańcy Złotego Brzegu jeszcze głęboko spali.

- Cokolwiek pani powie, kochana pani doktorowo, wszystko to wina starej Marty - powiedziała Ani. - Sądzę, że to biedne dziecko po prostu nie ma żadnych przyzwoitych pończoch. Podejrzewam, że wszystkie jej pończochy były dziurawe, co - jak sama pani wie, kochana pani doktorowo - nie jest w przypadku pończoch rzadkością. A Koło Pań powinno raczej zająć się zrobieniem kilku par pończoch dla córek pastora, zamiast kłócić się o nowy dywanik na ambonę. Ja nie należę do tego koła pomocy, ale pomogę Faith - zrobię jej dwie pary nowych pończoszek z tej mięciutkiej, czarnej przędzy, i to tak szybko, jak tylko zdołam. Może pani na mnie polegać. Do końca życia nie zapomnę tej chwili, kiedy zobaczyłam dziecko pastora idące nawą bez pończoch. Doprawdy, nie wiedziałam, gdzie mam podziąć wzrok.

- A w dodatku wczoraj w kościele było tylu metodystów - jęknęła panna Kornelia, która przybyła do Glen po jakieś zakupy, więc odwiedziła Złoty Brzeg, aby omówić ostatnie wydarzenia. - Nie wiem, dlaczego tak jest, ale dzieci pastora zawsze narozrabiają w kościele wtedy, gdy aż roi się w nim od metodystów. Diakonowej Hazard mało oczy nie wyszły z orbit, tak je wytrzeszczała. A gdy wychodziła z kościoła, powiedziała: „Cóż, dość nieprzyzwoite było to przedstawienie. Doprawdy, żal mi presbiterian”. A my musieliśmy to zmilczeć. No bo cóż mielibyśmy odpowiedzieć?

- A owszem, można jej było odpowiedzieć - wtrąciła gniewnie Zuzanna. - Gdybym ja przy tym była, kochana pani doktorowo, z pewnością powiedziałabym jej, że po pierwsze, czyste, choć gołe nogi nie są wcale mniej przyzwoite od dziurawych pończoch. A po drugie, niepotrzebnie żałuje presbiterian, bo my mamy przynajmniej pastora, który umie głosić kazania, a metodyści nie. Oj, wzięłabym ja do galopu panią diakonową, pod tym względem można na mnie liczyć.

- A ja wolałabym, żeby pastor Meredith głosił trochę gorzej kazania, a trochę lepiej zajmował się swoimi dziećmi - odrzekła panna Kornelia. - Mógłby spojrzeć na nie choć raz w tygodniu przed wyjściem do kościoła i sprawdzić, czy są przynajmniej właściwie ubrane. Możesz mi wierzyć, Aniu złociutka, że jestem już zmęczona ciągłym usprawiedliwianiem go.

Tymczasem w Dolinie Tęczy Faith dręczyła się z powodu swego niedzielного uczynku. Była tu także Mary Vance, jak zwykle w pedagogicznym nastroju. Postanowiła uświadomić Faith, że nieodwracalnie i na wieki skompromitowała nie tylko siebie, ale także

swego ojca. Oznajmiła też, że ona, Mary Vance, nie zamierza dłużej zajmować się jej sprawami. „Wszyscy” gadali i „wszyscy” myśleli tak samo jak Mary.

- I ja po prostu czuję - kończyła swe przemówienie - że nie chcę już mieć z tobą nic wspólnego.

- Ale my chcemy! - krzyknęła Nan Blythe. W głębi serca Nan uważała, że Faith postąpiła naprawdę okropnie, ale nie miała zamiaru pozwolić Mary Vance, by dalej znęcała się nad nią w tak bezwzględny sposób. - A skoro ty nie chcesz, rozumiem, że nie będziesz już więcej przychodzić do Doliny Tęczy, panno Vance.

Obie, Nan i Di, objęty Faith i wyzywająco spojrzały na Mary. „Panna Vance” nagle skuliła się, przykucnęła na pieńku i wybuchnęła płaczem.

- Ale to przecież nie dlatego, że ja naprawdę nie chcę - szlochała. - Ale jeśli nadal będę trzymała z Faith, ludzie zaczną gadać, że to ja namawiam ją do wszystkiego. Niektórzy już tak mówią, daję wam słowo honoru. A ja nie mogę sobie pozwolić, żeby mówili o mnie takie rzeczy, teraz, kiedy mieszkam w szanowanym domu i mam być damą. A ja nigdy nie poszłam do kościoła z gołymi nogami, nawet jak byłam zupełnie biedna. Przeraziłaby mnie sama myśl o tym. Ale ta wstrętna, stara Kitty Davis powiedziała, że od kiedy ja pojawiłam się w Glen, Faith nie jest już tym samym dzieckiem. I że pani Kornelia Elliott będzie jeszcze przeklinać dzień, w którym wzięła do siebie przybłędę. To mnie bardzo dotknęło, mówię wam. Choć właściwie jedyną osobą, o którą się naprawdę martwię, jest pastor Meredith.

- Zupełnie niepotrzebnie - powiedziała Di z pogardą. - Doprawdy, nie musisz się martwić o pastora. A teraz, Faith, kochanie, przestań płakać i powiedz nam, dlaczego to zrobiłaś.

Szlochając, Faith opowiedziała im o wszystkim. Dziewczęta ze Złotego Brzegu były pełne współczucia, nawet Mary Vance przyznała, że Faith znalazła się w bardzo trudnym położeniu. Tylko Jerry, w którego wieść ta uderzyła jak grom z jasnego nieba, był nieubłagany. A więc tego właśnie dotyczyły tajemnicze docinki, które spotkały go dzisiaj w szkole! Kazał Faith i Unie wracać natychmiast do domu, gdzie od razu zwołał nadzwyczajną sesję J Klubu Dobrego Zachowania. Dzieci zebrały się na cmentarzu, by osądzić postępek Faith.

- Nie wiedziałam, że robię coś złego - broniła się winowajczyni. - Przecież widać było tylko mały kawałeczek nóg. To nie żaden grzech i nikogo tym nie skrzywdziłam.

- Owszem. Skrzywdziłaś tatę. Wiedziałaś, że przysporzy mu to zmartwień. Wiesz dobrze, że jak tylko zrobimy coś dziwnego, ludzie natychmiast zaczynają obwiniać tatę.

- Nie pomyślałam o tym - westchnęła Faith.

- W tym cały problem. Nie pomyślałaś, a powinnaś była pomyśleć. Po to właśnie założyliśmy Klub, żeby się wychować i nauczyć myśleć. Przysiękliśmy, że zanim coś zrobimy, zastanowimy się nad tym. Złamałaś regułę i musisz ponieść zasłużoną karę, Faith, i to naprawdę surową. Za karę będziesz przez tydzień chodzić do szkoły w tych pończochach w paski.

- Och, Jerry. A nie wystarczy dzień? Albo dwa? Tylko nie tydzień!

- Cały tydzień - powiedział twardo Jerry. - To sprawiedliwa kara. Zresztą, możesz spytać Jima Blythe'a.

Faith poczuła, że woli poddać się wyrokowi, niż zasięgać rady Jima Blythe'a w takiej kwestii. Powoli zaczęła rozumieć, że powinna wstydzić się tego, co zrobiła.

- No, dobrze - zgodziła się, nieco naburmuszona.

- I tak ci się upiekło - surowo oznajmił Jerry. - Choćbyśmy nie wiem jak surowo cię ukarali, ojcu to nic nie pomoże. Ludzie i tak będą myśleli, że zrobiłaś to dla kawału, a winą będą obarczać tatę, który cię nie powstrzymał. Nigdy nie uda nam się wyjaśnić wszystkim, że to nie była jego wina.

Słowa Jerry'ego zapadły Faith głęboko w serce. Była dość wytrzymała, by znieść swoje upokorzenie, ale myśl o tym, że skrzywdziła tatę, była męczarnią. Gdyby ludzie poznali okoliczności tej sprawy, nie mogliby winić ojca. Ale jak przedstawić je całemu światu? Nie mogła po raz drugi stanąć na środku kościoła, by wszystko wyjaśnić. Mary Vance opowiadała jej, jak parafianie przyjęli jej pierwsze wystąpienie, i Faith doskonale wiedziała, że nie może tego powtórzyć. Myślała nad tym przez trzy dni i nagle przyszedł jej do głowy pewien pomysł. Postanowiła go zrealizować. Przez cały wieczór siedziała na poddaszu i notowała coś zawzięcie w zeszycie. Jej policzki płonęły, a oczy błyszczały. Nareszcie znalazła właściwe rozwiązanie! Jak to mądrze z jej strony, jak dobrze, że na to wpadła. Wyjaśni wszystkim całą sprawę, i w dodatku nie wywoła przy tym kolejnego skandalu. Kiedy zadowolona z siebie skończyła pracę i, śmiertelnie zmęczona, poszła spać, dochodziła jedenasta wieczór. Usypiała szczęśliwa.

Minęło kilka dni. Kiedy wydano następny numer tygodnika „The Journal”, w Glen, gdzie ukazywał się magazyn, wybuchła kolejna sensacja. Na pierwszej stronie znajdował się bowiem list, podpisany „Faith Meredith”. Oto jego treść:

Szanowni Państwo!

Chciałabym wytłumaczyć wszystkim, jak to się stało, że poszłam do kościoła bez pończoch, żeby wszyscy wiedzieli, że mój tata nie jest temu ani ociupinkę winny, a stare plotkarki nie mają mówić, że jest, bo nie jest. Jedyne parę czarnych pończoch, jakie miałam,

dałam Lidzie Marsh, która wcale nie miała pończoch i jej stopy były tak zmarznięte, że zrobiło mi się jej strasznie żal, no i dałam. W chrześcijańskiej wspólnotie żadne dziecko nie powinno chodzić bez butów i pończoch po śniegu, a ona powinna dostać pończochy z misji. Ja oczywiście wiem, że misja wysyła rzeczy małym dzieciom pogańskim i uważam, że to pożyteczne i miłe. Ale tam, u tych małych pogańskich dzieci, Jest dużo cieplej niż u nas, a panie z naszego kościoła powinny zająć się Lida, a nie zostawiać wszystko na mojej głowie. Kiedy dawałam jej pończochy, zupełnie zapomniałam, że nie mam już ani jednej pary całych czarnych pończoch, ale i tak się cieszę, że dałam jej te pończochy, bo przynajmniej mam spokojne sumienie. Kiedy odeszła, taka uszczęśliwiona i dumna, małe biedactwo, przypomniałam sobie, że jedyne pończochy, jakie mam, to te ohydne w czerwone i niebieskie paski, co zrobiła je zimą ciocia Marta, z przędzy, którą przysłała nam pani Burr z Górnego Glen. To była okropnie szorstka przędza, i w dodatku pełna jakichś węzełków, nigdy nie widziałam, żeby dzieci pani Burr chodziły w ubraniach zrobionych z takiej wstrętnej przędzy. Mary Vance mówiła, że pani Burr przysłała pastorowi coś, czego sama nie mogła ani zużyć, ani zjeść i myśli, że zastąpi to pieniądze na pensję, które jej mąż zobowiązał się płacić, ale nie dał jeszcze ani centa.

Nienawidzę tych pończoch i nie mogłam ich włożyć. Są takie brzydkie, grube i gryzące. Wszyscy by się ze mnie śmiali. Więc najpierw pomyślałam, że będę udawała chorą i nie pójdę do kościoła, ale postanowiłam tego nie robić, bo byłoby to kłamstwo, a kiedy mama umarła, tata powiedział nam, że jest jedna rzecz, której nigdy nie wolno nam robić. Nie wolno kłamać i oszukiwać. Nigdy nie wolno, choć znam kilku ludzi w Glen, którzy kłamią i oszukują, i wcale nie mają wyrzutów sumienia. Nie powiem, jak się nazywają, chociaż wiem i tata też wie.

No to starałam się rozchorować naprawdę, więc stanęłam bosymi nogami na śniegu, który leżał jeszcze na cmentarzu metodystów i stałam tak, aż Jerry mnie ściągnął. Ale to mi wcale nie zaszkodziło, więc nie mogłam się wykręcić od pójścia na mszę i postanowiłam, że włożę same buty i tak pójdę do kościoła. Nie wiem, dlaczego zrobiłam źle, bo przecież umyłam nogi bardzo starannie, miałam je tak samo czyste jak buzię, ale i tak to nie była wina taty. Bo on siedział w gabinecie i myślał nad kazaniem i innymi sprawami nieba, a ja wtedy wyszłam z domu i poszłam do szkoły niedzielnej. Mój tata w kościele nie przygląda się niczym nogom, więc moich też nie zauważył, ale wszystkie stare plotkary oczywiście je zauważyły, i właśnie dlatego piszę ten list. Pewnie zrobiłam coś bardzo złego, skoro wszyscy tak mówią, bardzo mi przykro z tego powodu i za karę nosiłam przez cały tydzień te ohydne pończochy w paski, chociaż tata od razu w poniedziałek, jak tylko pan Flagg otworzył sklep,

kupił mi dwie pary ślicznych, czarnych pończoch. Ale to wszystko była moja wina, więc jak ludzie, którzy przeczytają ten list, będą ciągle oskarżali o to tatę, to znaczy, że nie mają duszy chrześcijańskiej, więc wcale nie będę się przejmować ich gadaniem.

Zanim skończę, chciałabym wyjaśnić jeszcze jedną rzecz. Mary Vance mówiła mi, że pan Boyd podejrzewa rodzinę Leona Baxtera o kradzież ziemniaków z pola ubiegłej jesieni. A oni nie ruszyli tych ziemniaków. Są biedni, ale są uczciwi. To myśmy je zabrali: Jerry, Karol i ja. Uny wtedy z nami nie było. Nie wiedzieliśmy, że je kradniemy. Tamtego wieczora po prostu chcieliśmy upiec sobie w Dolinie Tęczy kilka ziemniaków, żeby je zjeść z pieczonym pstrągiem. Pole pana Boyda było najbliżej, zaraz koło doliny, więc przeszliśmy przez płot i wyrwaliśmy kilka krzaczków. Ziemniaki były strasznie małe, bo pan Boyd nie dał im dość nawozu, więc musieliśmy wyrwać dużo tych krzaczków, no bo te ziemniaki wyglądały jak śliwki. Jedli je razem z nami Walter i Di Blythe, ale oni nie wiedzieli, skąd je mamy, więc nie oni są winni, tylko my. Naprawdę nie chcieliśmy zrobić żadnej szkody, a jeżeli to była kradzież, to my bardzo przepraszamy i zapłacimy panu Boydowi za te ziemniaki, tylko będzie musiał poczekać, aż urośniemy. Teraz nie mamy pieniędzy, bo jesteśmy za mali, żeby zarabiać, a ciocia Marta mówi, że cała pensja taty, co do centa, nawet jak jest regularnie wypłacana - co prawie się nie zdarza - idzie na utrzymanie domu. Ale niech pan Boyd już więcej nie podejrzewa o to Baxterów, bo oni są całkowicie niewinni i sobie na to nie zasłużyli

Z poważaniem,

Faith Meredith

PANNA KORNELIA ZMIENIA POGLĄDY

- Wiesz, Zuzanno, po śmierci będę wracać na ziemię co roku, kiedy w naszym ogrodzie rozkwitną narcyzy - mówiła Ania w zachwycie. - Nikt mnie nie zauważy, ale ja tutaj będę. Jeżeli ktokolwiek będzie wtedy w ogrodzie - a może to być taki wieczór, jak dziś, choć raczej będzie to o świcie, któregoś pięknego, różowego poranka wczesną wiosną - zobaczy, jak kwiaty narcyzów poruszą się gwałtownie, jakby rozkołysał je nagły podmuch wiatru. Ale to nie będzie wiatr, Zuzanno, to będę ja.

- Ależ, kochana pani doktorowo, po śmierci na pewno nie będzie pani myśleć o takich zwykłych, przyziemnych rzeczach, jak jakieś tam narcyzy - powiedziała Zuzanna.

- A poza tym, ja nie wierzę w duchy, ani widzialne, ani niewidzialne.

- Ale ja nie będę duchem, Zuzanno! Jak to okropnie brzmi. Będę po prostu sobą. Pospaceruję tu w półmroku, czy to wieczorem, czy rano, i popatrzę na wszystkie miejsca, które kocham. Czy pamiętasz, Zuzanno, jak rozpaczalam, opuszczając nasz mały Domek Marzeń? Myślałam wtedy, że nigdy nie pokocham Złotego Brzegu. Ale pokochałam. Kocham tu każdy skraweczek ziemi, każdy kamień i patyk.

- Mnie też to miejsce się dosyć podoba - stwierdziła Zuzanna, która wolałaby umrzeć, niż wyprowadzić się ze Złotego Brzegu. - Ale, kochana pani doktorowo, człowiek nie powinien przywiązywać się nadmiernie do dóbr doczesnych. Zdarzają się przecież pożary i trzęsienia ziemi. Musimy być zawsze na to przygotowani. Trzy dni temu spalił się dom Tomasza McAllistera zza przystani. Nie którzy ludzie gadają, że to on sam podłożył ogień, żeby dostać odszkodowanie. Może tak, a może nie. Od razu powiedziałam panu doktorowi, żeby dał przeczyścić nasze kominy. Lepiej zapobiegać niż leczyć, kochana pani doktorowo. O! Idzie pani Elliott i wygląda tak, jakby nie mogła się już doczekać, żeby nam coś powiedzieć.

- Aniu złociutka, czy widziałaś dzisiejszy „Journal”? - głos panny Kornelii drżał, trochę z emocji, a trochę dlatego, że spieszyła się tu ze sklepu tak, że się zadyszała.

Ania pochyliła się nad swoimi narcyzami. Chciała ukryć uśmiech. Ona i Gilbert uśmiechali się tego dnia szczerze i serdecznie, czytając pierwszą stronę „Journala”, ale Ania wiedziała, że jej droga przyjaciółka potraktuje to ze śmiertelną powagą i nie chciała jej ranić, lekceważąc jej przejęcie.

- Czyż to nie straszne? Cóż mamy teraz począć? - rozpaczła pani Elliott. Wprawdzie ogłosiła wszem i wobec, że nie będzie się już zamartwiać uczynkami gromadki pastora, ale mimo to martwiła się o nią wciąż tak samo.

Ania zaprowadziła gościa na werandę, gdzie siedziała zajęta swoją robótką Zuzanna., a obok niej Rilla i Shirley uczyli się z elementarza. Zuzanna robiła już drugą parę pończoch dla Faith. Ona nigdy nie troszczyła się o ludzkość. Starła się jak najlepiej zrobić to, co do niej należy, a całą resztę ze spokojem powierzała Wszechmogącemu.

- Kornelia Elliott uważa, że urodziła się po to, by naprawiać świat, kochana pani doktorowo - powiedziała kiedyś Ani - i dlatego ciągle czymś się denerwuje. Ja nigdy tak nie myślałam, i dlatego przyjmuję wszystko ze spokojem. Tylko czasami, jak patrzę na to wszystko, zdaje mi się, że świat powinien być lepiej urządzony. Ale nie nam, nędznym robaczkom, oceniać dzieło wielkiego Boga. Dlatego trzeba zwalczać takie myśli, bo tylko sięją w nas zamęt i prowadzą donikąd.

- Nie wydaje mi się, żebyśmy mogli teraz cokolwiek zrobić - powiedziała Ania, podsuwając pannie Kornelii wygodne, wyściełane krzesło. - Swoją drogą, ciekawe, jak to się stało, że pan Vickers pozwolił na opublikowanie takiego listu? Chyba wiedział, co robi?

- Widzisz, Aniu złociutka, on wyjechał na tydzień do Nowego Brunswiku. Podczas jego nieobecności „Journal” redagował ten nicpoń Joe Vickers. Pan Vickers, chociaż jest metodystą, nigdy by nie dopuścił do takiego skandalu, a Joe uznał to za świetny dowcip. Tak, jak powiedziałaś, teraz już nic nie możemy zrobić, musimy to po prostu jakoś przeżyć. Ale jak spotkam kiedyś w jakimś ustronnym miejscu tego Joe’go Vickersa, to tak mu uszu natrę, że mnie popamięta! Chciałam nawet, żeby Marshall zrezygnował natychmiast z prenumeraty „Journala”, ale on się tylko roześmiał i powiedział, że to jest pierwszy numer od roku, który nadaje się do czytania. Marshall niczego nie traktuje poważnie, jak to mężczyzna. Na szczęście Evan Boyd jest - wypisz, wymaluj - taki sam. Potraktował list jak dobry żart i opowiada o nim w całej wsi. Niestety, on też jest metodystą! Zaś co do pani Burr z Górnego Glen, oczywiście wpadnie w złość i wystąpi z kościoła. Nie będzie to stanowiło dla nas wielkiej straty, ale metodyści powitają ją z otwartymi ramionami.

- Pani Burr dostała to, na co sobie zasłużyła - powiedziała Zuzanna, która od lat serdecznie nie znosiła osoby, o której była mowa, i niezwykle ucieszyła się z mało pochlebnej wzmianki o niej w liście Faith. - Wkrótce odkryje, że pastor metodystów nie da się zbyć kłębkiem podłej włóczki.

- A najgorsze, że nic nie wskazuje na to, by cokolwiek miało się poprawić - ponuro odezwała się panna Kornelia. - Dopóki pastor Meredith odwiedzał Różę West, miałam

nadzieję, że na plebanii wkrótce zamieszka dobra gospodyni. Ale nic z tego nie wyszło. Myślę, że Róża nie chciała wyjść za niego właśnie z powodu tych dzieciaków - przynajmniej wszyscy tak mówią.

- Nie wierzę w to, że poprosił ją o rękę - powiedziała Zuzanna, której nie mogło pomieścić się w głowie, by jakakolwiek kobieta ośmieliła się odrzucić oświadczyzny pastora.

- Prawda, że nikt tego nie wie. Jedno jest pewne: pastor nie odwiedza już Róży West. A Róża wyglądała bardzo mizernie tej wiosny. Mam nadzieję, że pobyt w Kingsport dobrze jej robi. Wyjechała na miesiąc, ale podobno zamierza tam zostać miesiąc dłużej. Nie pamiętam, żeby Róża kiedykolwiek wyjeżdżała. Nie lubiły rozstawać się z Heleną. Ale coś mi się zdaje, że tym razem ten wyjazd był Helenie na rękę. Ona i Norman Douglas odnowili starą znajomość.

- Więc to prawda? - zapytała ze śmiechem Ania. - Doszły mnie jakieś plotki, ale nie mogłam w to uwierzyć.

- Aniu złociutka, możesz w nie uwierzyć. Wszyscy już o tym wiedzą. Norman Douglas to taki człowiek, który zawsze o swych zamiarach mówi głośno. Nawet zaleca się publicznie. Powiedział Marshallowi, że od wielu lat nie myślał o Helenie, ale kiedy jesienią przyszedł po raz pierwszy do kościoła i zobaczył ją tam, zakochał się w niej tak samo, jak przed laty. Mówił, że na śmierć zapomniał, jaka przystojna z niej kobietka. Może mi nie uwierzysz, Aniu złociutka, ale nie widział jej przez dwadzieścia lat. On, oczywiście, nie chodził do kościoła, a ona nie udzielała się towarzysko. No tak, wszyscy znają zamiary Normana, ale nikt nie wie, co myśli Helena. Nie odważyłabym się zgadywać, czy te konkury skończą się małżeństwem, czy nie.

- On już raz ją zwiódł, kochana pani doktorowo, ale wygląda na to, że niektórzy ludzie nie przywiązują do tego żadnej wagi - zauważyła kwaśno Zuzanna..

- Porzucił ją w przyпадку gniewu, a potem pokutował za to przez całe życie - powiedziała panna Kornelia. - To co innego, niż zwieść kogoś z zimną krwią. Ja osobiście zawsze lubiłam Normana, choć nie cieszył się on szczególną sympatią w Glen. Mnie on nigdy nie przegadał. Zastanawiam się, co sprawiło, że Norman wrócił do kościoła. Nigdy nie uwierzę w tę bajeczkę pani Wilson, że to Faith Meredith skłoniła go do tego, urządzając mu nieziemską awanturę. Już dawno chciałam zapytać o to Faith, ale zawsze zapominam, kiedy ją widzę. No bo niby jak miałyby wpłynąć na postanowienie Normana Douglasa? Kiedy wychodziłam ze sklepu, on właśnie przyszedł, zanosząc się od śmiechu z powodu tego skandalicznego listu. Musiało go być słychać w Czterech Wiatrach. „To najwspanialszy dzieciak na świecie!” - wrzeszczał. „To ci zuch nad zuchy. A te stare baby chciałyby ją

przykroić na własną miarkę, niech je lichy! Ale nigdy, nigdy im się to nie uda! Równie dobrze mogłyby spróbować utopić rybę. Ej, Boyd, w tym roku musisz dać więcej nawozu pod ziemniaki! Ha, ha, ha!” Śmiał się tak, że sklep aż drżał w posadach.

- Pan Douglas przynajmniej płaci przyzwoite składki - zauważyła Zuzanna.

- Och, Norman nie jest skąpy. Umiałby podarować tysiąc funtów bez zmrużenia oka, ale będzie wył jak zraniony bawół, jeśli ktoś spróbuje go oszukać o pięć centów. A poza tym, podobają mu się kazania pastora Mereditha, a Norman Douglas płaci chętnie, jeśli dostarczy się mu godziwej rozrywki. Taki z niego chrześcijanin, jak z tych czarnych afrykańskich nagusów, tyle że jego nie da się już nawrócić. Ale jest inteligentny i odcytany, a kazania ocenia tak, jakby to były naukowe wykłady. W każdym razie dobrze, że stoi po stronie pastora Mereditha i jego dzieci, bo po tym wszystkim będą potrzebowali przyjaciół. Ja jestem już porządnie zmęczona usprawiedliwianiem ich na każdym kroku, możesz mi wierzyć.

- Wie pani, panno Kornelio - powiedziała Ania zupełnie poważnie - ja uważam, że my stanowczo za często usprawiedliwiamy te dzieci. To głupie i powinniśmy z tym skończyć raz na zawsze. Powiem pani, co chciałabym zrobić, choć oczywiście tego nie zrobię - Ania zauważyła błysk przestachu w oczach Zuzanny - bo byłoby to niezgodne z naszymi zwyczajami, a naszym obowiązkiem jest żyć zgodnie z nimi lub umrzeć, rzecz jasna - po osiągnięciu odpowiedniego wieku. Ale chciałabym to zrobić. Chciałabym zwołać zebranie wszystkich organizacji kościelnych i wszystkich wiernych, wliczając w to metodystów, którzy krytykują Meredithów - choć, prawdę mówiąc, myślę sobie, że gdybyśmy my, prezbiterianie, przestali ich ciągle krytykować albo bez przerwy usprawiedliwiać, wkrótce okazałoby się, że metodystów wcale nie obchodzi to, co dzieje się na naszej plebanii. A na tym zebraniu powiedziałabym tak: „Mili moi przyjaciele i chrześcijanie” - z naciskiem na „chrześcijanie” - „chciałabym dziś powiedzieć wam rzecz niezwyklej wagi, szczerze i otwarcie, a wy zabierzcie tę nowinę do waszych domówi powtórzcie ją swojej rodzinie. Wy, metodyści, niepotrzebnie nam współczujecie, bo my, prezbiterianie, nie potrzebujemy współczucia. Nie będziemy już użalać się nad sobą. I chcemy, otwarcie i szczerze, powiedzieć wszystkim współczującym i krytykującym, że my, prezbiterianie, jesteśmy dumni z naszego pastora i jego rodziny. Kościół w Glen St. Mary nigdy przedtem nie miał tak wspaniałego kaznodziei. Co więcej, pastor Meredith jest cudownym, odważnym głosicielem prawdy i chrześcijańskiego miłosierdzia. Jest też naszym oddanym przyjacielem, a gdy to potrzebne - także sprawiedliwym sędzią. Jest wreszcie świetnie wykształconym człowiekiem, o nienagannych manierach. A jego rodzina jest wspaniała. Gerald Meredith jest najlepszym uczniem w szkole i pan Hazard przepowiada mu świetną karierę. To rozsądny,

odpowiedzialny i prawdomówny chłopiec. Faith Meredith to prawdziwa piękność, a jej pomysłowość i zaradność dorównują urodzie. Nie ma w tej dziewczynce niczego pospolitego. We wszystkich jej rówieśniczkach z Glen razem wziętych nie znajdziecie tyle humoru, energii i radości, jakimi co dzień promieniuje Faith Meredith. Ona nie ma wrogów, zjednuje sobie miłość i sympatię każdego, kogo spotka na swojej drodze. O ilu spośród nas, dorosłych czy dzieci, można powiedzieć to samo? Una Meredith to słodkie stworzonko. Wyrośnie na cudowną kobietę. Jej brat Karol, który tak bardzo kocha mrówki, żaby i pająki, za parę lat zostanie słynnym zoologiem, który rozsławi Glen w całej Kanadzie, ba! na całym świecie. Czy znacie tu, w Glen, albo w innym mieście, jakąś rodzinę, o której można powiedzieć tyle dobrych rzeczy? Dość już fałszywego wstydu i wiecznego przepraszania. Cieszymy się z tego, że mamy takiego pastora, i że on ma takie wspaniałe dzieci! Ania zamilkła. Trochę dlatego, że na skutek gwałtowności, z jaką głosiła swą mowę, zabrakło jej tchu, ale bardziej dlatego, że wyraz twarzy panny Kornelii zdumiał ją kompletnie. Ta dobroduszna, starsza pani bezradnie wpatrywała się w Anię, najwyraźniej porażona jakąś nagłą myślą. Wkrótce jednak ocknęła się, wzdychając, i z wdziękiem przystąpiła do rzeczy.

- Aniu, szkoda, że nie zwołasz tego zebrania, aby powiedzieć to wszystkim! Wyznam, że teraz wstyd mi za siebie, a ty sprawiłaś, że z łatwością przyszło mi to wyznanie. Oczywiście, właśnie w taki sposób powinniśmy oceniać naszego pastora, zwłaszcza w obecności metodystów. To, co powiedziałaś, to święta prawda. Święta prawda. Przez cały czas mieliśmy oczy zamknięte na to, co naprawdę godne uwagi, a otwieraliśmy je na błahostki „wielkie” jak główka od szpilki. Och, Aniu złociutka, czasem zdaje mi się, że trzeba mnie porządnie stuknąć w czoło, żeby dotarła do mnie prawda. Koniec z usprawiedliwieniami, Kornelio Elliott! Teraz, możesz mi wierzyć, Aniu, zadre głowę wysoko. Choć i tak wpadnę tu od czasu do czasu, żeby sobie ulżyć, kiedy mali Meredithowie znów coś zbroją. Dlaczego tak bardzo oburzył mnie ten list? Przecież, jak powiedział Norman, to świetny żart. No i niewiele dziewcząt w tym wieku potrafiłoby napisać taki ładny list, w dodatku z poprawną interpunkcją i bez błędów ortograficznych. Niech no tylko usłyszę choć słowo na ten temat od jakiegoś metodysty... chociaż, możesz mi wierzyć, złociutka, i tak nie przepuszczę Joe’mu Vickersowi. A gdzie się podziały twoje starsze dzieci, Aniu?

- Walter i bliźniaczki są w Dolinie Tęczy. Jim uczy się na poddaszu.

- Powariowali z tą Doliną Tęczy. Mary Vance świata poza nią nie widzi. Gdybym jej pozwoliła, spędzałaby tam każdy wieczór. A wiesz, Aniu złociutka, że nie lubię, kiedy ona gdzieś wychodzi. Brakuje mi tego szkraba. Nigdy bym nie pomyślała, że tak się do niej przywiążę. Nie żebym nie dostrzegała jej wad i nie próbowała ich zwalczyć. Ale od chwili, w

której znalazła się pod moim dachem, ani razu nie odezwała się do mnie niegrzecznie i jest dla mnie wielką wyręką. Prawdę mówiąc, Aniu, nie jestem już przecież taka młoda i nie ma co udawać, że jest inaczej. Skończyłam pięćdziesiąt dziewięć lat. Wprawdzie nie czuję ciężaru lat, ale czasu nie da się zatrzymać.

KONCERT RELIGIJNY

Nowe poglądy panny Kornelii nie uchroniły jej przed uczuciem zażenowania i zdziwienia, kiedy dotarty do niej wieści o kolejnym wybryku dzieci pastora. Wobec ludzi zachowywała się wspaniale - jej jedyną odpowiedzią na docierające do niej plotki było, z grubsza biorąc, streszczenie tego, co powiedziała Ania w ogródku pełnym narcyzów. Sądy te wygłaszała z takim przekonaniem, że jej rozmówcy odczuwali zmieszanie i lekkie zawstydzenie, myśląc, że rzeczywiście przykładają zbyt dużą wagę do zwyczajnych dziecięcych psot. W głębi duszy jednak była naprawdę wstrząśnięta i poczuła ulgę dopiero wtedy, gdy mogła wyżalić się Ani.

- Wyobraź sobie, Aniu złociutka, że te dzieciaki urządziły sobie we wtorek koncert na cmentarzu, akurat wtedy, gdy metodyści odbywali swoje spotkanie modlitewne. Mali Meredithowie rozsiedli się na grobie Ezekiasza Pollocka i przez bitą godzinę śpiewali. Prawda, że śpiewali głównie pieśni kościelne, więc nikt by ich nie krytykował, gdyby na nich poprzestali. Ale podobno na koniec odśpiewali „Polly Wolty”, i to wszystkie zwrotki. Zrobili to w chwili, gdy diakon Baxter zaczął modlitwę.

- Ja też tam byłam - powiedziała Zuzanna - i choć nic pani o tym nie mówiłam, kochana pani doktorowo, to bardzo było mi przykro, że wybrali sobie właśnie ten dzień. Doprawdy, krew zastygła mi w żyłach, kiedy usłyszałam, że wyśpiewują tę niezbyt przyzwoitą piosenkę w miejscu wiecznego spoczynku tylu zmarłych.

- Bardzo jestem ciekawa, co też Zuzanna robiła na zebraniu metodystów - kwaśno odezwała się panna Kornelia.

- Nie widzę w tym niczego zdrożnego - chłodno odparła Zuzanna. - Metodyści to tacy sami chrześcijanie, jak my. Wracam więc do tego, o czym mówiłam, kiedy mi przerwano: Choć było mi bardzo nieprzyjemnie, niczego nie dałam po sobie poznać. Kiedy pani diakonowa Baxter powiedziała przy wyjściu: „Cóż to za kiepskie przedstawienie!” - odpowiedziałam, patrząc jej prosto w oczy: „Te dzieci pięknie śpiewają, pani Baxter, a żaden z członków waszego chóru chyba nie zaszczycił dzisiejszego zebrania swoją obecnością. Czyżby umieli śpiewać tylko w niedzielę?” Dobrze jej dogryzłam, bo zaraz spuściła z tonu. Ale mogłabym dogryźć jej jeszcze lepiej, kochana pani doktorowo, gdyby nie „Polly Wolly”. Straszne, jak sobie pomyślę, że zaśpiewali to na cmentarzu...

- Niejeden z tych zmarłych śpiewał za życia „Polly Wolly”, Zuzanno - wtrącił się Gilbert. - Może miło im było posłuchać jej jeszcze raz.

Panna Kornelia popatrzyła na doktora z wyrzutem i postanowiła, że przy najbliższej okazji powie Ani, że doktorowi nie wypada opowiadać takich rzeczy. To może zaszkodzić jego karierze. Ktoś mógłby pomyśleć, że pan Blythe kpi z religii. Co prawda, Marshall również miał w zwyczaju żartować w ten sposób, a nawet gorzej, ale on przecież nie był osobą publiczną.

- W dodatku ich ojciec siedział przez cały ten czas w swoim gabinecie, przy otwartym oknie, ale zupełnie nie zwracał uwagi na dzieci. Jak zwykle, pochłoneła go jakaś książka. Ale kiedy odwiedził mnie wczoraj, powiedziałam mu, co myślę na ten temat.

- Jak mogła się pani na to zdobyć, pani Elliott? - oburzyła się Zuzanna.

- A mogłam! Najwyższy czas, żeby ktoś się na coś zdobył. Ludzie gadają, że nasz pastor nie ma pojęcia o liście Faith do magazynu „Journal”, ponieważ nikt nie odważył się mu o tym wspomnieć. A on sam, oczywiście, do niego nie zagląda. Ja natomiast uważam, że powinien wiedzieć o takich rzeczach, żeby mógł zapobiegać kolejnym podobnym pomysłom. Obiecał mi, że porozmawia z dziećmi. Choć jestem pewna, że jak tylko wyszedł, zaraz o wszystkim zapomniał. Temu człowiekowi, Aniu złociutka, brak poczucia rzeczywistości, możesz mi wierzyć. Jego ostatnie kazanie dotyczyło wychowania dzieci. Było piękne, jak zawsze. Ale wszyscy ludzie w kościele myśleli sobie: „Jaka szkoda, że nie umie zrealizować tego, o czym tak pięknie mówi”.

Tym razem panna Kornelia pomyliła się co do pastora Mereditha. Pastor nie zapomniał, co mu powiedziała. Był bardzo zmartwiony, i kiedy wieczorem dzieci przybiegły z Doliny Tęczy o dobrą godzinę później, niż malcy powinni wracać do domu, poprosił je wszystkie do gabinetu.

Weszli. Byli porządnie przestraszeni, bo ojciec nigdy nie wzywał ich do swego gabinetu. Co takiego ma im do powiedzenia? Panicznie starali się przypomnieć sobie, jakie to okropne przewinienie popełnili w ostatnich dniach, ale niczego takiego nie pamiętali. Dwa dni temu, kiedy ciocia Marta zaprosiła na kolację panią Flagg, Karol zrzucił miseczkę pełną dżemu na jej suknię. Tata jednak niczego nie zauważył, a pani Flagg była tak anielską kobietą, że nie narobiła wokół tego zdarzenia żadnego zamieszania. Zresztą Karol został za to surowo ukarany i przez resztę wieczoru musiał chodzić w sukience Uny.

Unie nagle przyszło do głowy, że może tata chce im powiedzieć o swoim ślubie z panną West. Nogi się pod nią ugięły, a serce podskoczyło do gardła. Jednak kiedy zobaczyła groźną i smutną twarz ojca, stwierdziła, że chodzi o coś innego.

- Moje dzieci - powiedział pastor Meredith. - Usłyszałem dziś coś, co sprawiło mi wielki ból. Czy to prawda, że we wtorek siedzieliście na cmentarzu, wyśpiewując sprośne piosenki, podczas gdy w kościele metodystów odbywało się zebranie?

- Och, tatusiu, zupełnie zapomnieliśmy o tym wieczornym zebraniu! - wykrzyknął z rozpaczą Jerry.

- Więc to prawda? Zrobiliście to?

- Ale, tatusiu, my nie wiemy, jakie to są „sprośne” piosenki. Śpiewaliśmy hymny kościelne. To miał być koncert religijny. Czy zrobiliśmy coś złego? Przysięgam, tato, że nie mieliśmy pojęcia o tym zebraniu metodystów. Zawsze robili je w czwartki, a potem przenieśli na wtorki, ale to tak trudno zapamiętać.

- Więc śpiewaliście tylko pieśni kościelne?

- No - zaczerwienił się Jerry - na końcu, ale to na samym koniuszku, zaśpiewaliśmy „Polly Wolly”. Faith powiedziała: „Zaśpiewajmy na koniec coś wesołego”. Ale nie chcieliśmy zrobić nic złego, naprawdę, tato.

- To ja wymyśliłam ten koncert, tatusiu - odezwała się Faith, która nie chciała, by cały gniew taty spadł na Jerry’ego. - Przecież wiesz, że trzy tygodnie temu metodyści urządzili taki koncert w kościele. Pomyśleliśmy sobie, że koncert religijny to świetna zabawa. Tylko że oni przedtem się modlili, a my nie, bo nie chcieliśmy, żeby ludzie sobie pomyśleli, że jesteśmy okropni i znów modlimy się na cmentarzu. A ty przez cały ten czas siedziałeś tu, w gabinecie - dodała - ale nic nam nie powiedziałeś.

- Nie zauważyłem, co robicie. Choć to mnie, oczywiście, wcale nie usprawiedliwia. Więcej w tym mojej winy niż waszej, wiem o tym. Ale dlaczego zaśpiewaliście na koniec taką głupią piosenkę?

- Nie pomyśleliśmy - wymamrotał Jerry, który świetnie wiedział, jaki to kiepski wykręt, bo przypomniał sobie, jak surowo upominał Faith w Klubie Dobrego Zachowania za jej bezmyślność. - Tatusiu, strasznie nam przykro. Naprawdę, strasznie. Powinieneś nas za to surowo ukarać. Zasłużyliśmy na porządną burę.

Jednak pastor Meredith nie ukarał dzieci, nie dał im też porządnej bury. Usiadł, przygarnął do siebie cztery główki i przemawiał do nich łagodnie i mądrze. Dzieciom zrobiło się naprawdę wstyd i bardzo żałowały tego, co zrobiły - wiedziały, że nigdy już nie postąpią tak głupio i bezmyślnie.

- Sami musimy wymierzyć sobie karę - wyszeptał Jerry, gdy znaleźli się w swoich pokojach. - Pierwszą rzeczą, jaką jutro zrobimy, będzie zebranie Klubu, i wtedy coś postanowimy. Jeszcze nigdy nie widziałem taty tak smutnego. Choć naprawdę chciałbym,

żeby ci metodyści zdecydowali się wreszcie na jakiś dzień, a nie przenosili zebrania modlitewnego na wszystkie dni tygodnia.

- A ja i tak się cieszę, że nie chodziło o to, czego się obawiałam - szepnęła Una sama do siebie.

Na dole, w swoim gabinecie, pastor Meredith usiadł przy biurku i ukrył twarz w dłoniach.

- Pomóż mi, Panie mój! - wyszeptał. - Jestem złym ojcem. Och, Rózo! Gdybyś się tylko zgodziła...

Następnego ranka, jeszcze przed szkołą, Klub Dobrego Zachowania zebrał się na sesję nadzwyczajną. Po wielu różnych propozycjach stwierdzono, że najbardziej odpowiednią karą będzie dzień postu.

- Przez cały dzień nie będzie wolno niczego wziąć do ust - powiedział Jerry. - Swoją drogą, jestem ciekawy, jak to jest, gdy się nie je przez cały dzień. Będę miał świetną okazję, żeby się przekonać.

- Jaki dzień wybierzemy? - zastanowiła się Una, która pomyślała, że to zupełnie łagodna kara, i była zdziwiona, że Faith i Jerry nie zdecydowali się na jakąś surowszą pokutę.

- Wybierzmy poniedziałek - zaproponowała Faith - bo w niedzielę jest zwykle dobry obiad, więc można się najeść. A w poniedziałek jedzenie jest takie, że wcale go nie żal.

- Ale o to właśnie chodzi - wykrzyknął Jerry - żebyśmy na post wybrali najtrudniejszy, a nie najłatwiejszy dzień! A najtrudniejsza będzie niedziela, bo jak sama mówisz, na obiad jest kotlet, a nie zimne „tocoś”. Taki post, kiedy nie dostajesz „tocosia”, to żadna kara. Wybierzmy niedzielę. To będzie dobry dzień, bo na poranne nabożeństwo tata zamienia się z pastorem z Górnego Lowbridge i nie wróci aż do wieczora. Gdyby ciocia Marta pytała, co nam jest, powiemy jej, że pościmy, żeby zbawić duszę. Tak mówi Biblia, więc i ciocia nie będzie się wtrącać.

Rzeczywiście, nie wtrącała się. Mruknęła tylko pod nosem swym zwykłym, zrzędlwym tonem:

- Co wam znowu, łobuzy jedne, za głupstwa po głowie chodzą? - i nie poświęciła im już kolejnej myśli. Pastor Meredith wyjechał wcześniej rano, nim ktokolwiek w domu się obudził. On również wyszedł z plebanii bez śniadania, co jednak nie było niczym niezwykłym. Zapominał przynajmniej połowy swoich śniadań, a nie było nikogo, kto zatroszczyłby się o jego posiłki. Rezygnacja ze śniadania - śniadania cioci Marty - nie była żadną ofiarą. Nawet wiecznie głodne „łobuzy jedne” bez żalu rozstały się z „kluchową owsianką i sinym mlekiem”, jak pogardliwie potrawy te ochrzciła Mary Vance. Obiad miał się okazać znacznie trudniejszą próbą. W południe byli już wściekle głodni, a całą plebanie wypełniał zapach smażonych kotletów. I choć mięso było nie dosmażone, woń wydawała się cudowna. To było trudne do wytrzymania, dzieci w rozpacz uciekły z domu na cmentarz, dokąd nie dochodził kuszący zapach obiadu. Una nie mogła jednak oderwać oczu od okna

jadalni, za którym widać było pastora z Lowbridge, spokojnie i z apetytem zjadającego swój obiad.

- Gdybym mogła dostać choć najcieńszy, najmniejszy kotlecik - westchnęła.

- Uspokój się - surowo upomniął ją Jerry. - To oczywiście trudne, ale właśnie na tym polega nasza kara. Ja jestem tak głodny, że zjadłbym teraz wołu z kopytami, ale nie marudzę. Pomówmy o czymś innym. Musimy przestać myśleć o naszych brzuchach.

Kiedy nadeszła pora kolacji, głód wydawał im się mniej dotkliwy niż w południe.

- Pewnie się już przyzwyczailiśmy - stwierdziła Faith. - Czuję się dosyć nieswojo i trochę niesamowicie, ale nie mogę powiedzieć, żebym była głodna.

- A ja mam taką dziwną głowę - powiedziała Una - raz mi się kręci w jedną, a raz w drugą stronę.

Jednak dzielnie poszła ze wszystkimi do kościoła. Gdyby pastor Meredith nie był tak bardzo skoncentrowany, tak bardzo zajęty tematem swego kazania, być może dostrzegłby niezwykłą błądź twarzą i zapadnięte oczy swoich dzieci, siedzących w ławce przeznaczonej dla rodziny pastora. Nie zauważył ich jednak, a jego kazanie było dłuższe niż zwykle. Zaczął właśnie intonować ostatni hymn, kiedy mała Una zsunęła się z ławki i upadła nieprzytomna na kamienną posadzkę.

Jako pierwsza dobiegła do niej pani Clow. Wzięła ją na ręce z ramion pobladłej, przerażonej Faith i bez trudu zaniósła drobną, szczupłą dziewczynkę do zakrystii. Pastor Meredith, zapomniawszy nie tylko o pieśni, ale i o całym świecie, jak szalony pobiegł za nią. Wierni zaczęli się rozchodzić.

- Och, pani Clow - Faith mówiła z trudem - czy Una umarła? Czy myśmy ją zabili?

- Co jest mojemu dziecku? - dopytywał się ojciec, blady jak ściana.

- Sądzę, że po prostu zemdlą - powiedziała pani Clow. - O, dzięki Bogu, jest pan, panie doktorze.

Gilbertowi nie było łatwo przywrócić Unę do przytomności. Musiał ją długo cucić, zanim otworzyła oczy. Potem wziął ją na ręce i zaniósł na plebanie - Faith szła za nimi, szlochając histerycznie.

- Ona jest głodna... bo ona nic dzisiaj nie jadła... bo myśmy nic nie jedli... bo pościliśmy...

- Pościliście! - wykrzyknął pastor Meredith.

- Pościliście? - zdziwił się doktor.

- Tak... to było za karę... za to, że śpiewaliśmy „Polly Wolly” na cmentarzu... - chlupała Faith.

- Ależ córeczko, ja wcale nie chciałem, żebyście wymierzali sobie za to jakąś karę - zdenerwował się pastor. - Upomniałem was... Przyznaliście się i okazaliście skruchę. To wystarczy. Ja wam przecież już wybaczyłem.

- Tak, ale musieliśmy zostać ukarani - wyjaśniła Faith. - Takie są zasady naszego Klubu Dobrego Zachowania... Jak ktoś zrobi coś złego, albo jeśli zrobi coś, co może tobie zaszkodzić, musi zostać ukarany. Widzisz, tatusiu, my nie mamy nikogo, kto by nas wychował, więc postanowiliśmy wychować się sami.

Pastor Meredith aż jęknął, ale doktor wstał z posłania Uny z wyraźną ulgą.

- Wobec tego to dziecko zemdlało po prostu z braku pożywienia i wszystko, czego jej potrzeba, to pożywny, lekki posiłek - powiedział. - Pani Clow, czy byłaby pani tak miła i dopilnowała tego? Ze słów Faith wynika, że cała pozostała trójka też powinna dostać coś do zjedzenia, bo inaczej zaraz zemdleje nam następne.

- Wydaje mi się, że Una niepotrzebnie pościła - ze skrucą odezwała się Faith. - Kiedy się nad tym zastanowiłam, to myślę, że kara należała się tylko mnie i Jerry'emu. Ten koncert to był nasz pomysł, a poza tym jesteśmy najstarsi.

- Śpiewałam „Polly Wolly” tak samo, jak wy - powiedziała Una słabiutkim głosem - więc kara należała mi się tak samo.

Pani Clow wróciła ze szklanką mleka, natomiast Jerry, Karol i Faith wymknęli się do spiżarni. Jan Meredith poszedł do swojego gabinetu i usiadł przy biurku - siedział tak w ciemności przez kilka godzin, pogrążony w gorzkich rozmyślaniach. A więc jego dzieci postanowiły wychować się same, bo nie było „nikogo, kto mógłby to zrobić”, i same postanowiły znaleźć swą ścieżkę w labiryncie dobra i zła, bez pomocnej dłoni, bez życzliwej rady. „Nie było nikogo”, kto zadbałby o jego dzieci, nikogo, kto pocieszyłby ich małe, skołatane duszyczki i zatroszczył się o ich szczupłe ciała. Jak mizernie wyglądała Una, kiedy leżała nieprzytomna na kanapce w zakrystii! Jakie szczuplutkie były jej rączki, jak potwornie blada była jej drobna buzia! Wyglądała tak, jakby lada chwila miała mu się wymknąć - jego maleńka, najśłodsza córeczka, której delikatność i kruchość sprawiły, że umierająca Cecylia błagała go, by szczególnie zaopiekował się właśnie nią. Od czasu śmierci żony nigdy jeszcze nie czuł się tak potwornie przerażony, jak dziś, gdy pochylał się nad nieprzytomnym ciałem swojej córeczki. Musi coś zrobić. Ale co? Czy powinien poprosić o rękę Elżbietę Kirk? To dobra kobieta i z pewnością byłaby miła dla jego dzieci, i może by się na to zdecydował, gdyby nie... gdyby nie pokochał Róży West. Dopóki nie pokona w sobie tego uczucia, nie potrafi nawet wyobrazić sobie, że mógłby poślubić inną kobietę. Próbował wyzwolić się z tej miłości, ale nie udawało mu się to. Róża właśnie wróciła z Kingsport i była dzisiaj w kościele.

Kiedy skończył kazanie, gdzieś w głębi kościoła dojrzał przelotnie jej twarz. Serce zabiło mu gwałtownie. Kiedy zaczęto zbierać ofiarę, usiadł, pochylając głowę, ale jego puls wciąż był przyspieszony. Nie widział jej od tamtego dnia, gdy prosił, aby została jego żoną. Kiedy wstał, aby zaintonować ostatnią pieśń, jego zwykle blada twarz płonęła, a dłonie drżały. Wtedy zemdląła Una i cały świat na moment przestał istnieć. Teraz, gdy został sam w ciemności gabinetu, wszystko wróciło. Róża była jedyną kobietą na świecie, na której mu zależało. Jak mógłby myśleć o poślubieniu innej? Nie potrafił tak się poświęcić, nawet dla własnych dzieci. Sam będzie dźwigał swoje brzemię, musi się postarać, by być lepszym, bardziej uważnym ojcem. Musi powiedzieć swoim dzieciom, żeby się nie bały w każdej chwili przychodzić do niego ze swymi problemami. Po chwili zapalił lampę i wyjął nową, opasłą księgę, mówiącą o tym, jak wykladać wiernym problemy teologiczne. Pięć minut później świat i jego problemy przestały dla niego istnieć, on zaś przestał istnieć dla świata.

STRASZNA OPOWIEŚĆ

Czerwcowe wieczory w Dolinie Tęczy były po prostu cudne i dzieci w pełni doceniały urodę tego miejsca. Podziwiała ją, siedząc na polance, gdzie słysząc było dźwięczenie dzwoneczków na Leśnych Kochankach, obok Białej Damy, która rozpuściła swe wiosenne warkocze. Radosny wietrzyk chichotał i świstał wokół nich niczym wierny, dobroduszny towarzysz zabaw. Łąka przesycona była zapachem młodziutkich paproci. Dzikie czereśnie, rozrzucone po całej dolinie, wyglądały na tle ciemnych świerków jak kule, okryte białym, zwiewnym muślinem. W konarach klonów Złotego Brzegu śpiewały drozdy. W oddali, na stokach wzgórz otaczających Glen, kwitły sady owocowe, słodkie, tajemnicze i piękne, pod osłoną zapadającego zmroku. Była wiosna, ta jedyna pora roku, która jest świętem radości wszystkich młodych stworzeń. Radość panowała też wśród dzieci zgromadzonych w Dolinie Tęczy, ale prysła, gdy Mary Vance zaczęła opowiadać mrozącą krew w żyłach historię ducha Henryka Warrena.

Jim nie był tego dnia z nimi. Najstarszy z młodych Blythe'ów spędzał wszystkie wieczory na poddaszu Złotego Brzegu, przygotowując się do egzaminów wstępnych. Jerry łowił pstrągi nad stawem. Walter czytał pozostałym dzieciom wiersze Longfellowa o morzu - wszystkich oczarowały przepiękne, tajemnicze okręty. Potem zaczęli rozmawiać o tym, co będą robić, kiedy dorosną, o swych wymarzonych podróżach, o portach, które chcieliby poznać. Nan i Di marzyły o podróży do Europy, Walter śnił o tym, by zobaczyć Nil, leniwie rozlewający się wśród piasków Egiptu, by spojrzeć w oczy sfinksowi. Faith z niechęcią stwierdziła, że chyba będzie musiała zostać misjonarką - starsza pani Taylor powiedziała jej, że powinna nią zostać - a wtedy z pewnością uda jej się zobaczyć tajemnicze krainy Orientu: Indie i Chiny. Serce Karola wyrywało się do afrykańskiej dżungli. Una nie powiedziała ani słowa. Pomyślała, że najbardziej chciałaby zostać w domu, bo nigdzie nie będzie równie pięknie. To straszne, że kiedyś wszyscy dorosną i rozproszą się po świecie - już sama myśl o tym wprawiła Unę w przygnębienie i melancholię. Pozostali jednak z radością snuli swoje fantastyczne plany, dopóki nie pojawiła się Mary Vance, która rozproszyła ich poetyckie rozmarzenie.

- O Boże, nie mogę złapać tchu! - zawołała. - Pędziłam ze wzgórza jak wariatka. Oj, jak mnie coś przestraszyło koło chałupy starego Baileya.

- Co cię tak przestraszyło? - spytała Di.

- A bo ja wiem? Chciałam sprawdzić, czy nie kwitnie tam bez i zesłam ze ścieżki. Było ciemno jak w studni i nagle coś zaszeleściło w końcu ogrodu, spojrzałam, a tam w czereśniach coś się rusza. Coś białego. Wiecie, nawet się nie zatrzymałam, żeby się temu lepiej przyjrzeć. Przeleciałam przez groblę jak na skrzydłach. To musiał być duch Henryka Warrena.

- Kim był Henryk Warren? - zapytała Di.

- I co tu robi jego duch? - zapytała Nan.

- O Boże! To wy nic nie wiecie? Przecież wychowałyście się w Glen! No cóż, poczekajcie chwileczkę, aż zaczerpnę oddechu, to wam o nim opowiem.

Waltera przeszedł dreszcz zachwyty. Uwielbiał historie o duchach. Ukryta w nich tajemnica, narastająca groza, cudowna niesamowitość sprawiały mu przeraźliwie rozkoszną przyjemność. Longfellow zdał mu się nagle monotony i pospolity. Odłożył książkę na bok i wyciągnął się na brzuchu, podpierając głowę rękami zgiętymi w łokciach. Chciał wsłuchać się uważnie w historię Mary, więc utkwiał wzrok w dziewczynce. Mary wolałaby, żeby tak na nią nie patrzył. Czuła, że jej historia o duchach byłaby lepsza, gdyby nie kontrolowało jej uważne spojrzenie Waltera Blythe'a. Mogłaby wtedy dodać kilka ekscytujących, przerażających szczegółów, aby ubarwić opowieść i wywrzeć większe wrażenie na słuchaczach. Teraz będzie musiała ograniczyć się do nagiej prawdy - to znaczy do faktów, które przekazano jej jako prawdę.

- No cóż - zaczęła - na pewno wiecie, że przed trzydziestu laty żył w tamtej chacie pewien Tomasz Bailey i jego żona. Z tego Tomasza był straszny łajdak, a jego żona nie była nic lepsza. Nie mieli własnych dzieci, ale kiedy zmarła siostra Tomasza, osierociła małego chłopca i oni tego chłopca przygarnęli. Nazywał się Henryk Warren. Kiedy z nimi zamieszkał, mógł mieć ze dwanaście lat, ale był drobny i delikatny. Podobno od samego początku Tomasz i jego żona traktowali go okropnie - bili i głodzili. Ludzie we wsi mówili, że oni chcieli zabić Henryka, żeby przywłaszczyć sobie niewielką sumę pieniędzy, jaką odziedziczył po matce. Henryk jednak tak od razu nie umarł. Zaczął dostawać jakichś ataków - to chyba się nazywa padaczek czy jakoś tak - ale rósł, aż skończył osiemnaście lat. Jego wujek bił go w ogrodzie za domem, gdzie nikt nie mógł tego zobaczyć. Ale ludzie wszystko wiedzieli. Mówili, że czasem strasznie było słuchać, jak biedny Henryk błaga swego okrutnego wuja, żeby go nie zabijał. No ale nikt się nie wtrącał, bo stary Tomasz był takim draniem, że wszyscy się go bali. Jak obraził go jakiś człowiek z portu, to Tomasz z zemsty podpalił mu gospodarstwo. I w końcu Henryk opuścił ten świat, a wujek i jego żona mówili wszystkim, że umarł podczas jednego z tych swoich ataków. Tyle ludzie wiedzieli, ale i tak

wszyscy mówili, że Tomasz zatłukł go na śmierć. Nie minęło wiele czasu, a gruchnęła wieść, że Henryk wraca. W starym ogrodzie zaczęło straszyć. Nocami słychać było jego kroki, jęki i krzyki. Stary Tomasz i jego żona wyprowadzili się na Zachód i nigdy już nie wrócili. To miejsce zaś cieszy się złą sławą i nikt nie chce go ani kupić, ani wydzierżawić. Dlatego jest takie zrujnowane. To działo się trzydzieści lat temu, ale duch Henryka Warrena wciąż tu wraca...

- Wierzysz w to? - lekceważąco spytała Nan. - Bo ja nie.

- Cóż, widują go i słyszą tylko dobrzy ludzie - odrzekła Mary. - Mówią, że jak się pojawia, pełźnie po ziemi i łapie cię za nogi, mamrocze coś i jęczy okropnie, tak jak wtedy, gdy żył. Jak tylko zobaczyłam to coś w krzakach, od razu mi się wszystko przypomniało i pomyślałam sobie, że zaraz mnie chwyci i zacznie jęczeć, a wtedy padnę trupem na miejscu. Więc wzięłam nogi za pas. Możliwe, że to wcale nie był duch, ale naprawdę nie miałam ochoty tego sprawdzać, zwłaszcza w miejscu, w którym straszy.

- To pewnie było białe cielę pani Stimson - stwierdziła Di. - Ono często pasie się w tym ogrodzie, sama widziałam.

- Może i tak, ale ja już więcej nie wrócę do domu tą drogą. O, idzie Jerry z mnóstwem pstrągów, a dzisiaj na mnie kolej smażenia. Jim i Jerry mówią, że jestem najlepszą kucharką w całym Glen. Kornelia pozwoliła mi wziąć dla was ciasteczka, ale upuściłam je wszystkie, kiedy zobaczyłam ducha Henryka.

Jerry wybuchnął szczerym śmiechem, kiedy Mary powtórzyła mu historię ducha Henryka podczas smażenia ryb - potraktował to jak dobry żart. Walter pomógł Faith nakrywać do stołu. Cała ta historia nie zrobiła żadnego wrażenia na Jerry, ale Faith, Una i Karol byli naprawdę przerażeni, choć nie dali tego po sobie poznać. Dopóki byli razem z innymi w Dolinie, wszystko było w porządku, ale kiedy uczta się skończyła, a ziemia zaczęła okrywać się cieniem nocy, dreszcz lęku powrócił. Jerry wybrał się do Złotego Brzegu razem z Blythe'ami, gdyż miał jakąś sprawę do Jima, a Mary Vance poszła z nimi do domu okrężną drogą. Faith, Una i Karol musieli sami wracać na plebanie. Trzymali się bardzo blisko siebie, a dom starego Baileya ominęli wielkim łukiem. Oczywiście, nie wierzyli, że tam straszy, ale po tym wszystkim nie śmieli podejść bliżej...

DUCH NA GROBLI

Minęło już sporo czasu, a Faith, Una i Karol jakoś nie potrafili się otrząsnąć. Historia Henryka Warrena wciąż działała na ich wyobraźnię. Nigdy nie wierzyli w duchy. Słyszeli już mnóstwo opowieści o duchach, sama Mary Vance opowiadała im wiele dużo straszniejszych historii, ale tamte działy się gdzieś daleko, nie wiadomo, gdzie - mówiły o nie znanych im miejscach, obcych ludziach i zjawach. Słuchając ich czuli przyjemny dreszcz przerażenia i grozy, a potem zapominali i nie myśleli o nich więcej. Tym razem było inaczej. Dom starego Baileya stał po sąsiedzku, blisko ich ukochanej Doliny Tęczy. Ciągłe obok niego przechodzili, to w tę, to w tamtą stronę, zbierali kwiaty w tym ogrodzie, skracali sobie tamtędy drogę, kiedy szli do doliny. Teraz przestali. Od pamiętnego wieczoru, kiedy Mary Vance opowiedziała im tę mrozącą krew w żyłach historię, nie zbliżali się do ogrodu starego Baileya, bojąc się śmierci. Śmierci! Cóż zresztą znaczyła śmierć, w porównaniu z upiorną perspektywą znalezienia się w objęciach pełzającego ducha Henryka Warrena?

Pewnego ciepłego, lipcowego popołudnia siedzieli w trójkę pod Leśnymi Kochankami i czuli się nieco opuszczeni. Nikt więcej nie przyszedł do doliny tego dnia. Jim Blythe był w Charlottetown, gdzie zdawał swoje egzaminy. Jerry i Walter Blythe wybrali się do portu, bo stary kapitan Crawford zaproponował im rejs po morzu. Nan, Di, Rilla i Shirley poszli odwiedzić Krzysia i Patrycję Fordów, którzy razem z rodzicami przyjechali na krótko do Domku Marzeń. Nan zapraszała Faith, aby poszła z nimi, ale Faith stanowczo odmówiła. Nigdy by się do tego nie przyznała, ale w głębi duszy czuła się nieco zazdrosna o Patrycję Ford, o której piękności i szyku słyszała już wiele razy. Nie, nie ma zamiaru tam iść, żeby grać drugie skrzypce. Razem z Uną wzięły do Doliny Tęczy książki. Teraz je czytały. Karol śledził żuki, które znalazł na brzegu strumienia. Było im bardzo dobrze, dopóki nie spostrzegli, że zaczyna się zmierzchać, a dom starego Baileya jest tak niebezpiecznie blisko! Karol przyszedł i usiadł obok dziewczynek. Każde z nich żałowało, że nie poszli do domu trochę wcześniej, ale żadne nie powiedziało ani słowa.

Z zachodniego krańca nieba nadciągały nad dolinę ciężkie, aksamitne, szkarłatne chmury. Wiatr ucichł i nagle zrobiło się przeraźliwie, niesamowicie cicho. Nad bagniskiem krążyły setki światełek. Najwyraźniej tego wieczora miał się odbyć sabat czarownic. Dolina Tęczy nie wydawała się już przyjaznym, przytulnym zakątkiem.

Faith z obawą skierowała wzrok ku ogrodowi starego Baileya. Wtedy, jeśli krew może zastygnąć w żyłach, krew Faith bez wątpienia na chwilę zastygła. Wzrok Uny i Karola powędrował za jej zneruchomiałym spojrzeniem i dreszcz strachu przebiegł im po plecach. Patrzyli wszyscy na coś, co widać było pod wielkim modrzewiem, na nierównej, porośniętej trawą grobli ogrodu starego Baileya. To coś, wielkie i niekształtne, bieliło się w nastającym mroku. Mali Meredithowie patrzyli w tę stronę jak skamieniali.

- To... to... cielę - wyszeptała w końcu Una.

- To... to... nie... cielę... to jest... za... za duże... - szepnęła Faith. Z wrażenia zaschło jej w ustach, tak że z trudem wymówiła tych kilka słów.

Nagle Karol zaczerpnął powietrza.

- To... to tu idzie.

Dziewczęta, śmiertelnie przerażone, po raz ostatni spojrzały na dziwne zjawisko. Tak, to coś pełzło po grobli, a żadne cielę pełznąć nie potrafi. Nikt nie miał już żadnych wątpliwości - zbliżał się do nich duch Henryka Warrena. Karol zerwał się na równe nogi i rzucił do ucieczki. Obie dziewczynki, wydając równocześnie okrzyk przerażenia, poszły w jego ślady. Jak szaleni pobiegli w górę wzgórza i wpadli bez tchu na plebanię. Kiedy wychodzili, zajęta szyciem ciocia Marta siedziała w kuchni. Teraz kuchnia była pusta. Pobiegli do gabinetu - był ciemny i pusty. Bez namysłu pobiegli w stronę Złotego Brzegu, jednak nie przez Dolinę Tęczy. Zbiegli ze wzgórza jak na skrzydłach i skrzydła strachu niosły ich dalej, przez ulice Glen. Karol biegł pierwszy, Una - ostatnia. Nikt nie próbował ich zatrzymać, choć wszyscy, którzy ich widzieli, zastanawiali się, jaki też nowy figiel przyszedł do głowy łobuzom pastora. Przy furtce wpadli na Różę West, która właśnie wstąpiła tu na moment, aby oddać pożyczone książki.

Róża zauważyła ich przerażone twarze i nieprzytomne oczy. Domyśliła się natychmiast, że trzy małe serduszka umierają z potwornego strachu, choć nie miała pojęcia, co mogło być jego przyczyną. Złapała jedną ręką Karola, a drugą Faith, Una wpadła prosto na nią i zatrzymała się zrozpaczona.

- Dzieci, co się stało? - zapytała. - Co was tak przestraszyło?

- Duch Henryka Warrena - odpowiedział Karol, szczękając zębami.

- Duch... Henryka Warrena...? - zdziwiła się panna West, która nigdy nie słyszała tej historii.

- Tak... - histerycznie szlochała Faith. - On tam jest... na grobli... w ogrodzie starego Baileya... widzieliśmy go... on nas gonił...

Róża zaprowadziła przerażoną trójkę na werandę. Ani i Gilberta nie było w domu - oni również udali się z wizytą do Domku Marzeń, ale w drzwiach pojawiła się Zuzanna, opanowana, rozsądna i w niczym nie przypominająca ducha.

- A cóż to za awantura? - spytała.

Dzieci znów wydyszały swoją okropną historię, a Róża tuliła je do siebie, uspokajając i pocieszając bez słów.

- Prawdopodobnie to była sowa - powiedziała Zuzanna ze stoickim spokojem.

Sowa! Po tych słowach dzieci pastora nigdy już nie odzyskały wiary w rozum Zuzanny!

- To było większe od miliona sów - szlochał Karol (och, jak bardzo będzie się wstydził swojego szlochu przez kilka następnych dni) - i to... to pełzało... zupełnie tak, jak mówiła Mary. I przełaziło przez groblę, żeby nas złapać. Czy sowy pełzają?!

Róża spojrzała na Zuzannę.

- Oni naprawdę zobaczyli coś, co wystraszyło ich nie na żarty - powiedziała.

- Pójdę sprawdzić - spokojnie oświadczyła Zuzanna. - No, dzieci, uspokójcie się. To, co widziałyście, nie mogło być duchem. Co do biednego Henryka Warrena, spoczywa on w grobie i dobrze mu tam, wreszcie znalazł sobie jakieś schronienie. On na pewno nie wraca. Możecie polegać na moim zdaniu i przestać się bać. Jeśli pani, panno West, zdoła przywrócić im zdrowy rozsądek, to ja pójdę sprawdzić, co się tam dzieje.

Zuzanna wyruszyła na wyprawę do Doliny Tęczy, chwytając po drodze ogrodowe widły, które stały oparte o płot. Zostawił je tam doktor, który pracował na swojej łące. Widły w energicznej dłoni Zuzanny z pewnością nie stanowiły ochrony przed duchami, ale dawały poczucie pewności siebie. Kiedy Zuzanna dotarła do Doliny Tęczy, nie zobaczyła tam niczego niezwykłego. Żadna biała zjawa nie wyłoniła się na jej widok z mrocznej, zaniedbanej gęstwiny ogrodu starego Baileya. Zuzanna odważnie przeszukała cały ogród, sprawdziła, co dzieje się w pobliżu, po czym trzonkiem od wideł zastukała do drzwi małego domku naprzeciwko, gdzie mieszkała pani Stimson z dwiema córkami.

Tymczasem Róży w Złotym Brzegu udało się uspokoić roztrzęsione dzieci. Od czasu do czasu któreś jeszcze chlipnęło ze zdenerwowania, ale powoli zaczęło w nich dojrzewać zbawienne, choć niezbyt przyjemne podejrzenie, że wyszli na gromadkę tchórzliwych głuptasów. Podejrzenie to zmieniło się w pewność, kiedy wreszcie wróciła Zuzanna. - Dowiedziałam się, co to był za duch - powiedziała z ponurym uśmiechem, sadowiąc się w bujanym fotelu, który natychmiast wprawiła w ruch. - Pani Stimson rozłożyła w ogrodzie starego Baileya dwie płachty płótna, aby wybieliły się na słońcu. Umieściła je pod

modrzewiem, bo tam jest czysta i niezbyt wysoka trawa. Dziś wieczorem postanowiła je stamtąd zabrać. Ręce miała zajęte robótką, więc przerzuciła sobie płótno przez ramię, aby zanieść je do domu. A wtedy jeden z drutów spadł jej na ziemię, nie widziała, gdzie, i zresztą nie wie do teraz. Więc uklękła na ziemi, żeby go poszukać, i właśnie wtedy usłyszała straszliwy krzyk, dochodzący z doliny, i zobaczyła troje dzieci uciekających na wzgórze. Pomyślała, że zaatakowało je jakieś zwierzę i jej biedne, stare serce zamarło ze strachu; przez chwilę nie mogła się ani ruszyć, ani odezwać. Zastygła skulona, póki cała trójka nie zniknęła jej z oczu. Potem pokuśtykała do domu, gdzie natychmiast musiała zażyć środki uspokajające. Serce ciągle ją boli, a ona powtarza, że chyba do końca lata nie zdoła się uspokoić... Mali Meredithowie siedzieli cali purpurowi ze wstydu, którego nawet zrozumienie, okazywane przez Różę West, nie zdołało ukoić. Chyłkiem wymknęli się ze Złotego Brzegu, a przy furtce plebanii spotkali Jerry'ego, któremu przyznali się ze skruchą do wszystkiego. Dzieci postanowiły zwołać następnego ranka zebranie Klubu Dobrego Zachowania.

- Powiedz, czy panna West nie była dziś cudowna? - wyszeptała Faith, kiedy leżały już w łóżkach.

- To prawda - przyznała Una. - Wielka szkoda, że jak kobiety zostają macochami, to muszą się tak okropnie zmienić.

- A ja i tak w to nie wierzę - powiedziała Faith.

KARA KAROLA

- Ja w ogóle nie rozumiem, dlaczego mamy zostać ukarani - rozgniewała się Faith. - Przecież nie zrobiliśmy niczego złego. Nie mogliśmy nic poradzić na to, że się przestraszyliśmy. I tacie to też nie zaszkodzi. To był zwykły wypadek.

- Okazaliście się tchórzami - powiedział Jerry z pogardą sędziego - i w dodatku nie ukrywaliście swego tchórzostwa. Dlatego zasłużyliście na karę. Staniecie się teraz pośmiewiskiem, a to hańba dla rodziny.

- Ach, gdybyś wiedział, jakie to było straszne - Faith zadrżała na samo wspomnienie - uznałbyś, że zostaliśmy już dostatecznie ukarani. Za nic w świecie nie chciałabym tego przeżyć jeszcze raz.

- Sam byś uciekał, gdybyś był tam z nami - mruknął Karol.

- Przed staruszką z białym płótnem na ramieniu - szydził Jerry. - Ha, ha, ha!

- To wcale nie wyglądało, jak staruszka! - krzyknęła Faith. - To było coś wielkiego, białego i pełzło po trawie, dokładnie tak, jak Henryk Warren, o którym opowiadała Mary Vance. Dobrze ci się śmiać, Geraldzie, ale jakbyś tam był, to by ci mina zrzędła. No i jaką wymierzysz nam karę, panie sędzio? Moim zdaniem, to niesprawiedliwe, ale możemy dowiedzieć się, na co skaże nas szanowny sędzia!

- Z mojego punktu widzenia - powiedział Jerry, zmarszczywszy brwi - najbardziej zawinił Karol. Z tego, co wiem, on jako pierwszy rzucił się do ucieczki. No a poza tym, jest chłopakiem, więc powinien zachować się jak mężczyzna i bronić was, swoje siostry, bez względu na niebezpieczeństwo. Sam najlepiej o tym wiesz, prawda, Karolu?

- Chyba tak - powiedział zakłopotany Karol.

- No dobrze. A oto twoja kara. Dziś wieczorem będziesz siedział sam na cmentarzu, na grobie Ezekiasza Pollocka, aż do północy.

Karol zadrżał. Cmentarz nie był znów tak daleko od ogrodu starego Baileya. To będzie dla niego ciężka próba. Jednak Karol bardzo chciał zmazać hańbę, jaką okrył całą rodzinę, i udowodnić, że wcale nie jest tchórzem.

- Zgoda - oświadczył zdecydowanie. - Tylko skąd będę wiedział, że minęła północ?

- Okna od gabinetu są zawsze otwarte, więc usłyszysz, jak bije zegar. Uważaj tylko, żebyś nie zwał z cmentarza przed dwunastym uderzeniem! A co do was, dziewczyny, to przez tydzień nie będzie wam wolno jeść powideł na kolację.

Faith i Una popatrzyły na Jerry'ego ze zdziwieniem. Krótka, choć sroga kara, jaka przypadła Karolowi, wydawała się im mniej dotkliwa od tej, którą miały ponieść one. Cały tydzień o suchym chlebie! Ale w klubie nie wolno było się nad sobą użalać. Dziewczęta przyjęły swój los z taką obojętnością, na jaką mogły się zdobyć.

Tego wieczora wszyscy, poza Karolem, który siedział już na grobie starego Pollocka, poszli do łóżek o dziewiątej. Przed pójściem spać Una wymknęła się z domu, aby życzyć mu dobrej nocy. Jej czułe serduszko przepełnione było współczuciem.

- Och, czy bardzo się boisz, braciszku? - wyszeptwała.

- Ani trochę - z dumą oznajmił Karol.

- Wiesz, ja nie zmrużę oczu przed dwunastą - powiedziała Una. - Jak poczujesz się samotny, spójrz w nasze okno i pomyśl sobie o mnie, że tam jestem i że o tobie myślę. To trochę tak, jakbym była tu z tobą, prawda?

- Nic się nie martw. Poradzę sobie - powiedział Karol.

Mimo że jego słowa brzmiały odważnie, kiedy pogasły światła na plebanii, Karol poczuł się małym, przeraźliwie samotnym chłopcem. Miał nadzieję, że tata będzie siedział w swoim gabinecie, tak jak zwykle. Wtedy nie czułby się taki samotny. Jednak tego wieczoru pastora wezwano do umierającego, do wioski rybackiej za przystanią. Było mało prawdopodobne, by wrócił przed północą. Karol musiał w samotności znosić swój los.

Drogą przeszedł jakiś człowiek z latarnią. Niesamowita gra cieni i światła, rzucanego przez latarnię, jawiła się Karolowi niczym szaleńczy, cmentarny taniec demonów i wiedźm. Potem wszystko się uspokoiło, a dookoła zapanował mrok. Była to bardzo ciemna noc, niebo zasnuło się chmurami, a ze wschodu wiał chłodny, porywisty wiatr, przypominający bardziej jesienne wichury niż letnie powiewy. Na horyzoncie widać było przyćmione światła Charlottetown. Stare jodły, targane wiatrem, skrzypiały żałośnie. W mroku połyskiwał biały pomnik pana Aleksandra Davisa. Rosnąca obok, wierzba rozkładała swe długie ramiona jak upiorna zjawa. Kołysanie wierzbowych konarów sprawiało, że od czasu do czasu pomnik zdawał się także poruszać.

Karol skulił się i podkurczył nogi. Lepiej nie zostawiać ich tak, zwisających poza grobowiec. No bo przypuśćmy - tylko przypuśćmy - że z grobu starego Pollocka wysunie się para kościstych dłoni i zechce chwycić go za kostki? Ilekroć siedzieli tu, na grobie, Mary Vance uwielbiała żartować w ten właśnie sposób. Te żarty prześladowały teraz Karola. Właściwie to nie wierzył w duchy, nie wierzył nawet w ducha Henryka Warrena. A panu Pollockowi, który nie żył już od sześćdziesięciu lat, z pewnością było wszystko jedno, kto siada na jego grobie. Czuł się jednak i dziwnie, i strasznie, siedząc tak wśród mroku, zupełnie

sam, w środku uśpionego świata. Człowiek, pozostawiony sam wobec tajemniczych mocy ciemności, zawsze odczuwa nikłość własnej istoty. A Karol miał zaledwie dziesięć lat i znalazł się sam wśród grobów, więc bardzo, ach, jak bardzo marzył o tym, żeby nareszcie wybiła północ. Czy ten zegar nigdy nie wybije dwunastej? Ciocia Marta z pewnością zapomniała go nakręcić.

Nie. Biję. Jedenaście razy. Tylko jedenaście! Będzie musiał spędzić jeszcze całą godzinę w tym okropnym miejscu. Gdyby chociaż zamrugały do niego przyjazne gwiazdy! Mrok był tak gęsty, że zdawał się otulać jego twarz. Nagle Karol usłyszał jakiś dziwny dźwięk, jakby ktoś skradał się po cmentarzu. Chłopiec drżał - częściowo ze strachu przed czymś urojonym, częściowo z zimna.

Zaczęło padać. Zimny, rzęsy deszcz wkrótce przemoczył płócienną kurtkę, a potem koszulę Karola. Chłopiec był przemarznięty do szpiku kości. Okropne zimno sprawiło, że zupełnie zapomniał o zjawach, demonach i własnym strachu. Jednak musiał tu zostać do północy - przecież odbywał zasłużoną karę i ratował swój honor. Deszczu nie brali pod uwagę, ale co to za różnica? Kiedy zegar w gabinecie pastora wreszcie wybił dwunastą, przemoczona, mała postać z trudem zsunęła się z nagrobka pana Pollocka i powłócząc nogami powędrowała na plebanie, do łóżka. Karol szcząkał zębami z zimna. Pomyślał, że już nigdy w życiu nie będzie mu ciepło.

Kiedy nadszedł ranek, było mu naprawdę gorąco. Jerry z przerażeniem popatrzył na jego rozpaloną twarz i zbiegł na dół, po ojca. Pastor Meredith zjawił się natychmiast, jego mizerna twarz pobladła po całonocnym czuwaniu przy łożu umierającego. Kiedy wrócił do domu, już świtało. Teraz z niepokojem pochylił się nad chłopcem.

- Karolku, jesteś chory? - spytał.

- Ten... ten grób... tamten... - odezwał się Karol - ten... się rusza... idzie... idzie do mnie... proszę... zatrzymaj go... proszę...

Pastor Meredith pobiegł do telefonu. Po dziesięciu minutach doktor Blythe zjawił się na plebanii. Nie minęło nawet pół godziny, kiedy wysłano do miasta telegram, prosząc o przysłanie wykwalifikowanej pielęgniarki. Wtedy to całe Glen dowiedziało się, że Karol Meredith jest poważnie chory na zapalenie płuc i że widziano doktora Blythe'a, bezradnie rozkładającego ręce.

Gilbert jeszcze wiele razy w ciągu następnych dwóch tygodni rozkładał bezradnie ręce. Karol miał obustronne zapalenie płuc. Nastąpiła w końcu taka noc, którą pastor spędził w swoim gabinecie, spacerując od ściany do ściany, Una i Faith przytulone do siebie płakały w swoim pokoju, a Jerry z uporem odmawiał odejścia od drzwi do pokoju Karola. Przez całą

noc doktor Blythe razem z pielęgniarką czuwali przy chorym. Do świtu zmagali się ze śmiercią, a pierwsze, różowe promienie słońca stały się zwiastunem ich zwycięstwa. Organizm Karola okazał się dostatecznie silny i kryzys został zażegnany. Radosna wieść natychmiast obiegła całe Glen, a jego mieszkańcy znenacka odkryli, jak bardzo kochają swojego pastora i jego dzieci.

- Nie przespałam spokojnie ani jednej nocy, od kiedy dowiedziałam się, że ten dzieciak jest chory - mówiła do Ani panna Kornelia - a Mary Vance tak płakała, aż te jej dziwne oczy zaczęły przypominać dwie dziury wypalone w obrusie. Czy to prawda, że Karol dostał zapalenia płuc dlatego, że siedział na cmentarzu w deszczową noc, żeby pokazać, jaki jest odważny?

- Niezupełnie. Siedział tam, żeby ukarać się za to, że stchórzył, kiedy uciekał przed duchem Henryka Warrena. Wygląda na to, że dzieciaki założyły jakiś klub, żeby się wychowywać. Jerry opowiedział o tym pastorowi.

- Biedne, małe duszyczki - rozczuliła się panna Kornelia.

Karol szybko wracał do zdrowia. Parafianie z Glen dostarczali teraz na plebanię tyle jedzenia, że starczyłoby go dla całego szpitala. Norman Douglas odwiedzał dom pastora co wieczór, przywożąc tuzin świeżych jajek i bańkę śmietanki. Od czasu do czasu zostawał na godzinę, by pospierać się z Janem Meredithem o kwestię przeznaczenia, ale zwykle się spieszył, bo jeździł do domku na wzgórzu.

Kiedy Karol był już na tyle silny, by zejść na dół, pastor zebrał wszystkie dzieci w bibliotece i poprosił je, aby nie wymierzały sobie więcej kar bez konsultacji z ojcem.

- Ale ciocia Marta zawsze mówi, że nie wolno ci przeszkadzać - powiedziała Faith.

- Nie przejmujcie się tym. Zapamiętajcie sobie tylko, kochani, to, co teraz powiem. Wasz mały klub to szlachetne przedsięwzięcie. Ale od dziś to ja będę waszym sędzią i ja będę wydawał wyroki.

Kiedy Karol wyzdrowiał na tyle, że mógł wychodzić na dwór, urządzili na jego cześć przyjęcie w Dolinie Tęczy. Wziął w nim udział także doktor, który pomagał im puszczać fajerwerki. Przyszła też Mary Vance, ale nie opowiadała już więcej o duchach. Do końca życia pamiętała burę, jaką dostała od panny Kornelii za te opowieści.

UPARCIUCHY

Róża West, która właśnie wracała z lekcji muzyki w Złotym Brzegu, zeszła ze ścieżki nad ukryte źródło w Dolinie Tęczy. Nie była tu przez całe lato; ten mały, cudny zakątek stracił dla niej urok. Duch jej narzeczonego z dziewczęcych lat nie powracał już na tajemne spotkania, a wspomnienia związane z Janem Meredithem były zbyt bolesne. Skręciła nad źródło z zupełnie innego powodu - po drugiej stronie doliny dostrzegła Normana Douglasa, który zwinnie, jak młodzieniec przeskakiwał starą, kamienną groblę ogrodu Baileya. Róża pomyślała, że Norman wybiera się do nich na wzgórze. Gdyby ją dogonił, musiałaby wracać do domu razem z nim, a nie miała na to najmniejszej ochoty. Schroniła się więc szybko pod klonami przy źródle, z nadzieją, że Norman jej nie zauważy i pójdzie dalej.

Zauważył ją jednak, co więcej: to właśnie jej szukał w dolinie. Od dłuższego czasu czekał na jakąś okazję, żeby porozmawiać z Różą, ale wszystko wskazywało na to, że młodsza panna West go unika. Róża nigdy nie przepadała za Normanem Douglasem. Drażnił ją swoim samochwalstwem, hałaśliwym zachowaniem i wybuchami gniewu. Dawniej często zastanawiała się nad tym, co pociągało Helenę w tym człowieku. Norman dobrze wiedział o niechęci Róży i niewiele sobie z niej robił. Nigdy nie przejmował się tym, że nie wszyscy go lubią. Wcale nie odpłacał im brakiem sympatii, traktował to bowiem jak wyszukany komplement. Uważał Różę za wspaniałą dziewczynę, wartą równie wspaniałego, hojnego szwagra, jakim zamierzał zostać. Zanim jednak zrealizuje swe zamiary, będzie musiał z nią porozmawiać. Toteż kiedy stojąc w drzwiach sklepu w Glen, zobaczył ją wychodzącą ze Złotego Brzegu, ruszył wprost do Doliny Tęczy, aby ją dogonić.

Zamyślona Róża usiadła na tym samym klonowym pniu, na którym tamtego wieczora, prawie rok temu, siedział Jan Meredith. Pod ażurową zasłoną z paproci szemrało i połyskiwało małe źródło. Rumiane promienie zachodzącego słońca prześwitywały poprzez sklepienie z konarów. Tuż obok rosła kępa wspaniałych astrów. Było tu tak pięknie i magicznie, jak w ustroniach odwiecznych borów, w których znajdowały schronienie baśniowe nimfy i wróżki. I właśnie w ten urokliwy zakątek wdarł się Norman Douglas, niszcząc swym nagłym wtargnięciem całą subtelną urodę tego miejsca. Jego bujna osobowość zmiotła je z powierzchni ziemi - został tylko on, Norman Douglas, potężny, zadowolony z siebie mężczyzna z rudą brodą.

- Dobry wieczór - powitała go chłodno Róża, wstając

- Dobry, dobry, dziewczyno. Siadaj, no, siadaj. Mamy coś do omówienia. Do licha, dziewczyno, czemu tak na mnie patrzysz? Nie bój się, nie ugryzę cię. Jadłem już dzisiaj kolację. Siadaj i bądź grzeczna, dziewczyno.

- Równie dobrze mogę pana posłuchać, stojąc - odparła Róża.

- No tak, możesz, dziewczyno, do tego potrzebne są tylko uszy. Po prostu nie chciałem cię fatygować, bo jak tak stoisz, wyglądasz, jakby ci było piekielnie niewygodnie. No, dobra, ja w każdym razie siadam.

Usiadł, i to dokładnie w tym samym miejscu, w którym siedział niegdyś Jan Meredith. Kontrast między nimi był tak zabawny, że Róża z trudem powstrzymała wybuch głośnego, histerycznego śmiechu. Norman zdjął kapelusz, położył go obok siebie, a swoje wielkie, czerwone dłonie oparł na kolanach. Przyglądał się jej spod przymrużonych powiek.

- No, dziewczyno, nie obawiaj się - powiedział pojednawczym tonem. Kiedy chciał, potrafił być ujmujący.

- Proponuję ci spokojną, przyjacielską pogawędkę. Chciałbym cię o coś poprosić. Helena powiedziała, że tego nie robi, więc nie pozostało mi nic innego, jak poprosić cię osobiście.

Róża patrzyła na źródółko, które z tej odległości wydawało się kropelką rosy. Norman spojrzał na nią bliski rozpacz.

- Oj, do licha, mogłabyś pomóc przyzwoitemu człowiekowi! - wybuchnął.

- W czym niby miałabym panu pomóc? - spytała wyniośle Róża.

- Oj, dziewczyno, sama dobrze wiesz. Nie przyjmuj tej teatralnej pozy. Teraz się nie dziwię, że Helena bała się prosić cię o to. Słuchaj no, dziewczyno, zamierzam ożenić się z twoją siostrą. Chyba rozumiesz, co do ciebie mówię? Rozumiesz? Ale Helena mówi, że nie wyjdzie za mnie, jeśli ty nie zwolnisz jej z jakiejś idiotycznej przysięgi. Powiedz mi teraz, zwolnisz ją? Zrobisz to?

- Tak - odrzekła Róża.

Norman zerwał się na równe nogi i uściśnął jej dłoń, z czego Róża wcale nie była zadowolona.

- Znakomicie! Wiedziałem, że się zgodzisz, mówiłem Helenie, że na pewno się zgodzisz. Wiedziałem, że od razu się zgodzisz. Teraz, dziewczyno, biegnij do domu i powiedz o tym Helenie, a za dwa tygodnie będziesz się bawić na naszym weselu. A potem zamieszkas z nami. Nie pozwolimy, żebyś została w tym domu sama jak palec, nic się nie martw. Tak, tak, wiem, że mnie nie znosisz, ale mój Boże, życie z kimś, kto cię nienawidzi,

jest bardzo ciekawe, jak dobrze doprawiona potrawa. Helena będzie mnie rozgrzewać, a ty mnie ochłodzić. Nie będę się nudził.

Róża nie zniżyła się do tego, aby wyjaśnić mu, że nie ma takiej siły, która zmusiłaby ją do zamieszkania w jego domu. Norman ruszył z powrotem w stronę Glen, bardzo z siebie zadowolony. Róża powoli szła do domu. Spodziewała się tego od dnia, kiedy wróciła z Kingsport i odkryła, że Norman jest w ich domu niemal codziennym gościem. Nigdy nie rozmawiała o nim z Heleną, ale to staranne omijanie jego nazwiska było niezwykle znaczące. Róża nie była zawzięta, nie leżało to w jej naturze, choć przecież miałyby poważne powody. Dla Normana była uprzejma, choć wyniosła, wobec Heleny nie zmieniła się wcale. Jednak sama Helena nie była w pełni szczęśliwa w swym powtórnym narzeczeństwie.

Kiedy Róża wróciła do domu, Helena była akurat w ogrodzie z St. George'em. Siostry spotkały się w alejce wysadzonej daliami. George siedział na żwirowej ścieżce pomiędzy nimi, z wdziękiem otulając swe białe łapki w szal lśniącego, czarnego ogona. Przyglądał się im z obojętnością dobrze odżywionego, szczęśliwego i znakomicie wychowanego kota.

- Widziałas kiedyś takie udane dalie? - z dumą zapytała Helena. - Nigdy jeszcze nie kwitły równie pięknie.

Róża nigdy nie lubiła tych kwiatów. Ich obecność w ogrodzie była ustępstwem na rzecz upodobań Heleny. Upatrzyła sobie jeden z kwiatów, górujący wielkością nad innymi: wielki, szkarłatny, nakrapiany żółtymi cętkami.

- Ten tam - powiedziała, wskazując go palcem - przypomina mi, wypisz, wymaluj, Normana Douglasa. Wygląda jak jego bliźniaczy brat.

Twarz Heleny spurpurowiała. Dalia, o której wspomniała Róża, bardzo jej się podobała, ale wiedziała, że siostra nie lubi tych kwiatów, więc nie był to komplement. Nie obraziła się jednak, biedna Helena nie miała odwagi, by się teraz obrażać. Po raz pierwszy Róża wymieniła przy niej imię Douglasa. Helena czuła, że musi to coś oznaczać.

- W dolinie spotkałam Normana Douglasa - powiedziała Róża, patrząc siostrze prosto w oczy. - Powiedział mi, że chcecie się pobrać, o ile ja się na to zgodzę.

- Ach tak? I co mu odpowiedziałas? - zapytała Helena, starając się, aby jej głos brzmiał naturalnie i obojętnie. Zresztą bez rezultatu. Nie umiała spojrzeć siostrze w oczy. Wpatrywała się w lśniący grzbiet St. George'a i czuła straszliwy lęk. Nie wiedziała, co mogła odpowiedzieć Róża. Jeżeli się zgodziła, Helenie będzie tak okropnie przykro i tak wstyd, że z pewnością zostanie najbardziej nieszczęśliwą narzeczoną na świecie. Jeśli się nie zgodziła, cóż, Helena już raz uczyła się żyć bez Normana, ale teraz zapomniała wszystkiego, czego się nauczyła, i wiedziała, że nie zdoła powtórzyć tej lekcji...

- Powiedziałam, że jesteś wolna i możecie się pobierać, kiedy tylko zechcecie - powiedziała Róża.

- Dziękuję - wykrztusiła Helena, ale nie podniosła wzroku znad grzbietu George'a.

Wyraz twarzy Róży złagodniał.

- Helenko, mam nadzieję, że będziesz szczęśliwa - powiedziała ciepłym głosem.

- Och, Różo - Helena spojrzała na nią z rozpaczą - tak strasznie mi wstyd... nie zasłużyłam na to... po tym wszystkim, co ci powiedziałam...

- Nie będziemy już o tym rozmawiać - zdecydowanie przerwała jej Róża.

- Ale... ale... - nalegała Helena - teraz ty też jesteś wolna. I nie jest jeszcze za późno... Jan Meredith...

- Heleno! - za słodkim wdziękiem Róży kryła się silna osobowość i to ona przydała teraz blasku jej łagodnym, błękitnym oczom. - Czyś ty już zupełnie zmysły postradała? Jak mogłaś przypuszczać, nawet przez chwilę, że pójde do Jana Mereditha i powiem mu grzecznie: „Drogi panie, zmieniłam zdanie i mam nadzieję, że łaskawie nie zmieni pan swojego”. Czy tego właśnie spodziewałaś się po mnie?

- Ach, nie... nie, ale wystarczy odrobina zachęty, żeby wrócił.

- Nigdy. On mną pogardza i ma do tego prawo. Nie będziemy już do tego więcej wracać, Heleno. Nie żywię do ciebie urazy. Wychodź sobie za męża, za kogo tylko zechcesz. Ale nie wtrącaj się więcej w moje sprawy.

- Skoro tak - powiedziała Helena - to będziesz musiała zamieszkać ze mną. Nie zostawię cię tu samej.

- Naprawdę sądzisz, że zgodzę się zamieszkać pod jednym dachem z panem Normanem Douglasem?

- A dlaczegoż by nie? - zawołała Helena, wciąż upokorzona, ale już trochę zła.

Róża wybuchnęła śmiechem.

- A ja sądziłam, Helenko, że nie brak ci poczucia humoru. Potrafisz sobie mnie wyobrazić w jego domu?

- A niby czemu nie? Jego dom jest wystarczająco duży... Znajdziesz tam miejsce tylko dla siebie... on nie będzie ci przeszkadzał.

- To absolutnie wykluczone, Heleno. Nie mówmy o tym więcej.

- Skoro tak - słowa Heleny brzmiały chłodno i kategorycznie - to nie wyjdę za niego. Nie zostawię cię tu samej. I nie mówmy o tym więcej.

- Nonsens, Heleno.

- Żaden nonsens, tylko moje ostateczne postanowienie. To twoja decyzja jest absurdalna. Nie możesz zostać tu sama, kilka mil od najbliższych sąsiadów. Więc jeśli nie chcesz przeprowadzić się razem ze mną, to ja zostaję z tobą. I nie będziemy o tym dyskutować, więc nie próbuj kłócić się ze mną.

- Kłócić się będziecie z Normanem - powiedziała Róża.

- Norman to mój problem. Poradzę sobie z nim. Ja nigdy, przenigdy nie poprosiłabym cię o zwolnienie z przysięgi, ale musiałam wyjaśnić Normanowi, dlaczego nie mogę za niego wyjść, i wtedy on postanowił, że z tobą porozmawia. Nie udało mi się go powstrzymać. Zupełnie niesłusznie uważasz, że jesteś jedyną osobą na świecie, która wie, co to godność. Wcale nie marzyłam o tym, aby wyjść za mąż i opuścić cię. Przekonasz się, że potrafię być równie uparta, jak ty.

Róża wzruszyła ramionami, odwróciła się i weszła do domu. Helena popatrzyła na St. George'a, który nie mrugnął ani nie mruknął podczas rozmowy siostr.

- Wiesz, St. George, to prawda, że świat bez mężczyzn byłby okropnie nudny, ale bliska jestem tego, by życzyć sobie, aby na ziemi nie było ani jednego mężczyzny. Popatrz, ile nam narobili kłopotu: wyrócili nasze dawne, szczęśliwe życie do góry nogami, George. Zaczął to wszystko Jan Meredith, a Norman Douglas dopełnił. A teraz obaj pójdą w odstawkę. Norman to jedyny człowiek, jakiego znam, który dzieli ze mną przekonanie, że cesarz Niemiec to najbardziej niebezpieczna z istot zamieszkujących naszą planetę. Nie mogę poślubić tego tak rozsądnego człowieka tylko dlatego, George, że moja siostra jest uparta. I że ja sama jestem uparta. Zapamiętaj moje słowa, George: Wystarczyłoby, żeby kiwnęła palcem, a ten pastor wróciłby do niej. Ale ona, Saint, tego nie robi, a ja nie będę się wtrącać. Nawet się nie obrażę, George, bo skoro Róża się nie obraziła, to i mnie nie wypada. Norman wpadnie w dziką wściekłość, Saint, ale prawda jest taka, że my, starzy głupcy, musimy porzucić myśli o małżeństwie. Tak, tak, mój mały, rozpacz jest wolnością, nadzieja - niewolą. A teraz chodź do domu, uraczę cię spodeczkiem pysznej śmietanki. W ten sposób choć jedna istota w domku na wzgórzu będzie szczęśliwa.

JAK KAROL NIE DOSTAŁ LANIA

- Jest coś, o czym muszę wam powiedzieć - oświadczyła Mary Vance z tajemniczym wyrazem twarzy.

Ona, Faith i Una spotkały się przed chwilą w sklepie pana Flagga i szły teraz razem główną ulicą Glen. Faith i Una wymieniły porozumiewawcze spojrzenia, które znaczyły: „Oho, zaraz usłyszymy coś nieprzyjemnego”. Kiedy Mary oznajmiała, że musi im coś powiedzieć, zawsze oznaczało to jakąś przykrość. Ostatnio często zastanawiały się, dlaczego ciągle ją lubią - bo mimo wszystko naprawdę ją lubiły. W gruncie rzeczy była świetną, pełną pomysłów i zgodną koleżanką. Gdyby tylko nie uważała za swój obowiązek informować ich o wszystkim, co niemiłe!

- Czy wiecie, że Róża West nie chciała wyjść za waszego tatę, bo uważa, że jesteście bandą urwisów? Bała się, że nie da sobie z wami rady, i dlatego odrzuciła oświadczyny waszego ojca.

Małe serduszko Uny aż podskoczyło z tajonej radości. Była szczęśliwa, że tata nie ożeni się z Różą West. Faith poczuła się jednak rozczarowana.

- Skąd o tym wiesz? - zapytała.

- Wszyscy tak mówią. Słyszałam, jak pani Elliott rozmawiała na ten temat z panią doktorową. Myślały, że jestem zbyt daleko, żeby usłyszeć, ale ja mam uszy jak nietoperz. Pani Elliott mówiła, że nie ma żadnych wątpliwości, iż Róża West bała się zastąpić wam matkę, ponieważ macie taką złą opinię. Wasz tata nie odwiedza już domku na wzgórzu. Norman Douglas też przestał tam chodzić. Ludzie gadają, że Helena go zwiodła, żeby się zemścić za to, że porzucił ją wiele lat temu. Ale Norman głosi wszem i wobec, że ona i tak będzie jego. Myślę, że powinniście wiedzieć, że wasz tata stracił taką dobrą partię przez was. A szkoda, bo i tak będzie się musiał wkrótce ożenić, a nie znajdzie lepszej kandydatki na żonę niż Róża West.

- A mówiłaś mi, że wszystkie macochy są złe i okrutne - powiedziała Una.

- No tak - przyznała Mary, mocno zmieszana - przeważnie są podłe. Ale Róża West nie potrafiłaby być naprawdę złą. I powiem wam, że jeśli wasz tata zmieni zdanie i poślubi Emmeline Drew, pożałujecie, że nie zachowywaliście się lepiej i wystraszyliście Różę. To straszne, ale macie taką opinię, że żadna przyzwoita kobieta nie zechce poślubić waszego ojca. Ja oczywiście wiem, że w tym całym gadaniu o was jest sporo przesady, ale kto chce psa

uderzyć, kij zawsze znajdzie. Ludzie gadają nawet, że to Karol i Jerry rzucali kamieniami w okna pani Stimson, choć przecież zrobili to mali Boydowie. Ale to Karol wrzucił do powozu starej pani Carr węgorza, choć kiedy to usłyszałam, powiedziałam pani Elliott, że nie uwierzę, dopóki nie będę miała lepszych dowodów niż słowo starej Kitty Davis.

- Co zrobił Karol?! - krzyknęła Faith.

- No... ludzie mówią - a powtarzam wam tylko to, o czym wszyscy już wiedzą, więc żebyście nie miały do mnie pretensji! - że w zeszłym tygodniu chłopcy łowili na moście węgorze. Był z nimi też Karol. Przejeżdżała tamtędy pani Carr w tym swoim rozklekotanym powozie bez dachu. Karol podskoczył i wrzucił do powozu wielkiego węgorza. Kiedy biedna pani Carr przejeżdżała koło Złotego Brzegu, węgorz prześlizgnął się między jej stopami. Ta biedaczka pomyślała, że to wąż, więc wrzasnęła okropnie i wyskoczyła z powozu w biegu. Konie spłoszyły się i uciekły, ale na szczęście odnalazły drogę i same wróciły do domu. Za to pani Carr boleśnie zwichnęła sobie nogę, a ile razy pomyśli o węgorzu, dostaje spazmów. No i powiedzcie same, czy tak się robi biednej staruszce? To w gruncie rzeczy pocziwa kobiecina, choć straszne z niej dziwadło.

Faith i Una znowu na siebie popatrzyły. To była sprawa dla Klubu Dobrego Zachowania. Nie będą o tym rozmawiać z Mary.

- O, to był wasz tata - powiedziała Mary, kiedy minął je pastor Meredith - i wcale nas nie zauważył, jakbyśmy tędy nie szły. Mnie to nie przeszkadza, bo już się przyzwyczaiłam. Ale wielu ludzi to drażni.

Pastor Meredith rzeczywiście nie zauważył trzech dziewczynek, ale nie dlatego, że - jak to miał w zwyczaju - rozmyślał nad wyższymi sprawami. Szedł do domu zaniepokojony i poirytowany. Przed chwilą pani Davis opowiedziała mu historię o Karolu i węgorzu. Mówiła o tym z wielkim oburzeniem, bo pani Carr była jej daleką krewną. Pastor Meredith nie czuł oburzenia. Był wstrząśnięty i przerażony. Nie przypuszczał, że Karol jest zdolny do czegoś podobnego. Pastor był bardzo wyrozumiały dla dziecięcych figli, dla dziecięcego roztargnienia czy braku roztropności, ale to zupełnie co innego. Kiedy doszedł do domu, zastał Karola na trawniku, z uwagą i cierpliwością śledzącego życie gniazda os. Pastor Meredith wezwał go do gabinetu, a syn stanąwszy przed nim pomyślał, że nigdy jeszcze nie widział ojca tak surowego. Pastor chciał się dowiedzieć, czy historia, którą właśnie usłyszał, jest prawdziwa.

- Tak - odparł Karol czerwieniąc się, ale odważnie wytrzymując srogie spojrzenie taty.

Pastor Meredith jęknął. Miał nadzieję, że ta historia była przynajmniej mocno przesadzona.

- Opowiedz mi, jak to było - zażądał.

- Łowiliśmy z chłopcami węgorze na moście - mówił Karol. - Link Drew złapał prawdziwego kolosa, chciałem powiedzieć, olbrzymiego węgorza. Był strasznie wielki, nigdy jeszcze takiego nie widziałem. Złapał go zaraz na samym początku, więc węgorz długo, długo leżał w koszyku i wcale się już nie ruszał. Przysięgam - myślałem, że jest martwy. A potem przez most przejeżdżała starsza pani Carr i zaczęła na nas krzyczeć, że jesteśmy małymi łotrami, i że mamy natychmiast wracać do domu. A my, tato, nie odezwaliliśmy się do niej ani słowem, naprawdę. Więc kiedy wracała ze sklepu, chłopacy namówili mnie, żebym wrzucił jej do powozu węgorza Linka. Byłem pewny, że jest zdechły, więc nie zrobi jej żadnej krzywdy, no i wrzuciłem go. A potem, na wzgórzu, ten węgorz ożył, usłyszeliśmy jej wrzask i zobaczyliśmy, jak wyskakuje z powozu. Było mi ogromnie przykro. Tak to było, tato.

Cała sprawa nie przedstawiała się więc aż tak źle, jak obawiał się pastor Meredith, ale i tak była dość nieprzyjemna.

- Musisz ponieść karę, Karolu - powiedział ze smutkiem pastor.

- Wiem, tato.

- Ja... ja będę musiał dać ci lanie.

Karol drgnął. Nigdy w życiu nie dostał lania. Kiedy jednak zobaczył, jak bardzo przejęty jest ojciec, odezwał się beztrząsco:

- Dobrze, tato.

Pastor Meredith opacznie zrozumiał wesołość syna i pomyślał sobie, że nie jest on zbyt wrażliwym chłopcem. Kazał Karolowi przyjść do gabinetu po kolacji, a kiedy chłopiec wyszedł, pastor opadł na fotel i jęknął. Bał się tego, co miało nastąpić, siedem razy bardziej niż Karol. Biedny pastor Meredith nie wiedział nawet, czym powinno się bić takich chłopców. Czego używa się do lania? Rózgi? Laski? Nie, to byłoby zbyt brutalne. Więc może giętkiej witki? I teraz on, Jan Meredith, będzie musiał udać się do lasu, żeby ściąć witkę. Specjalnie po to, aby zbić własnego syna. To nie do pomyślenia. I wtedy stanął mu przed oczyma pewien obraz. Wyobraził sobie drobną twarz pani Carr, pomarszczoną jak jabłuszko, w chwili, kiedy zobaczyła tego węgorza - widział ją, jak niczym czarownica na miotle, wyskakuje z powozu. Zanim uświadomił sobie niestosowność własnego zachowania, wybuchnął głośnym śmiechem. Zaraz potem rozżłościł się na samego siebie i jeszcze bardziej rozgniewał na Karola. Pójdzie poszukać tej witki. Nie musi być wcale taka giętka.

Karol poszedł z Uną i Faith, które właśnie wróciły do domu, na cmentarz, gdzie omawiali całą sprawę. Dziewczynki były przerażone samą myślą o tym, że Karol zostanie

zbity - i to przez ojca, który nigdy nie robił takich rzeczy! Przygnębione przyznały jednak, że to sprawiedliwa kara.

- Sam wiesz, że zrobiłeś okropną rzecz - westchnęła Faith. - A w dodatku nie przyznałeś się Klubowi.

- Zapomniałem - powiedział Karol. - No i myślałem, że to nikomu nie zaszkodziło. Nie miałem pojęcia, że ona zwichnęła nogę. Ale dostanę za to lanie, więc wszystko będzie w porządku.

- Czy to... czy to będzie bardzo bolało? - spytała Una, wsuwając swoją drobną dłoń w rękę Karola.

- Myślę, że nie tak bardzo - dzielnie odrzekł Karol.

- Zresztą, nawet jakby bardzo bolało, to i tak nie będę płakał. To sprawiłoby ojcu ogromną przykrość. Już teraz jest przygnębiony. Szkoda, że sam nie mogę sobie dać porządnego lania, żeby mu tego oszczędzić.

Po kolacji, na którą Karol zjadł niewiele, a jego ojciec - nic, chłopiec poszedł grzecznie do gabinetu pastora Mereditha. Witka leżała na stole. Pastor wybrał ją z dużym trudem. Uciął pierwszą, ale wydała mu się zbyt cienka. Karol postąpił naprawdę naganie. Uciął drugą - ta była o wiele za gruba. Przecież chłopiec sądził, że węgorz jest martwy! Trzecia wydawała się w sam raz, ale kiedy teraz podniósł ją ze stołu, wydała mu się bardzo ciężka i gruba. Przypominała bardziej laskę niż witekę.

- Wyciągnij rękę - powiedział do syna.

Karol wysoko podniósł głowę i spokojnie wyciągnął rękę. Jednak był tylko małym chłopcem i nie potrafił ukryć strachu, który malował się w jego oczach. Pastor Meredith spojrzał mu głęboko w oczy - i zobaczył przed sobą oczy Cecylii, oczy swojej żony. Ten sam strach malował się w jej oczach pewnego dnia, gdy przyszła, żeby powiedzieć mu coś, o czym bała się mówić. Teraz w drobnej, bledziutkiej twarzy Karola zobaczył te same oczy. Zaledwie sześć tygodni temu, podczas długiej, nie kończącej się nocy bał się śmiertelnie, że jego też straci na zawsze.

Jan Meredith odrzucił witekę.

- Odejdź - powiedział - nie potrafię cię zbić. Karol pobiegł na cmentarz, czując, że widok udręczonej twarzy ojca jest dla niego dotkliwszą karą, niż najsrozsze lanie.

- Już po wszystkim? Tak szybko? - spytała Faith. Razem z Uną siedziały na grobie starego Pollocka, zaciskając zęby i trzymając kciuki.

- On... on mnie wcale nie zbił - chlipnął Karol - a ja... ja bym wolał, żeby to zrobił... i teraz tam siedzi... i czuje się okropnie.

Una wymknęła się cichutko. Całym wrażliwym serduszkiem pragnęła teraz pocieszyć swego ojca. Bezszelestnie, niczym mała myszka, otworzyła drzwi gabinetu i wsunęła się do środka. W pokoju panował półmrok. Tata siedział przy swoim biurku z twarzą ukrytą w dłoniach. Mówił coś do siebie - były to urywane, pełne bólu słowa - ale Una nie tylko je usłyszała, ale i zrozumiała - intuicją wrażliwego, osieroconego dziecka. Tak cichutko, jak weszła, wyślizgnęła się z pokoju, zamykając za sobą drzwi. Jan Meredith wciąż wyszeptywał cały swój ból, niepokój, swoją nie ukojoną samotność.

WIELKA MISJA MALEJ UNY

Una pobiegła na górę. Karol i Faith szli oświetloną światłem księżyca drogą prowadzącą do Doliny Tęczy, skąd dochodziły zaczarowane dźwięki melodii, wygrywanej na harmonijce przez Jerry'ego. Domyślali się, że są tam już młodzi Blythe'owie i szykuje się znakomita zabawa. Una nie miała ochoty w niej uczestniczyć. Zamknęła za sobą drzwi swojego pokoju, usiadła na łóžeczku i rozpłakała się cichutko. Tak bardzo nie chciała, żeby jakaś obca kobieta zjawiła się na miejscu jej najdroższej mamy. Nie chciała mieć macochy, która będzie jej nienawidzić i sprawi, że znienawidzi ją także ojciec. Tylko że tata był tak okropnie nieszczęśliwy, więc jeśli ona może mu pomóc, jeśli może zrobić coś, dzięki czemu będzie choć trochę szczęśliwszy, to musi to zrobić. Choć wcale nie jest to łatwe.

Kiedy Una już się wypłakała, otarła łzy i poszła do pokoju gościnnego. Było to ciemne, pachnące stęchlizną pomieszczenie, gdyż nikt nigdy nie otwierał tam okna ani nie odsłaniał żaluzji. Ciocia Marta nie przepadała za świeżym powietrzem, ale ponieważ drzwi plebanii były ciągle otwarte na oścież, więc nikt tego nie zauważał. Poza, oczywiście, wszystkimi tymi nieszczęsnymi gośćmi, którzy zmuszeni byli spędzić noc, wdychając zapach stęchlizny.

W pokoju gościnnym była także garderoba, a w niej, na samym końcu, wisiała szara, jedwabna sukienka. Una weszła do garderoby i zamknęła za sobą drzwi, potem przesunęła się na czworakach do szarej sukienki i przytuliła buzię do jej fałdów. Był to ślubny strój jej matki. Ciągle czuła zapach jej perfum, słodki, subtelny, kuszący - jak wieczna miłość. Tuląc się do sukni, Una zawsze czuła się tak, jakby przytulała się do swojej mamy, jakby klęcząc na ziemi, trzymała głowę na jej kolanach. Przychodziła tu czasami, gdy życie wydawało się jej zbyt ciężkie. - Mamusiu - szeptała do jedwabnej, szarej sukni - nigdy, nigdy o tobie nie zapomnę i zawsze ciebie będę kochać najbardziej. Ale ja, mamusiu, muszę to zrobić, bo tata jest taki nieszczęśliwy. A ja wiem, mamusiu, że ty nie chcesz, żeby on był nieszczęśliwy. Będę grzeczna, mamu, i dobra dla niej, i postaram się ją pokochać, nawet jeśli będzie taka, jak te macochy, o których opowiadała Mary Vance.

Ze swojej ukrytej, maleńkiej świątyni Una wyniosła pociechę i siłę. Tego wieczora zasnęła spokojnie, choć na jej drobnej, słodkiej, poważnej buzi lśniły łzy.

Następnego dnia Una ubrała się w odświętną sukienkę i założyła swój najlepszy kapelusz. Ubranie było znoszone. Wszystkie dziewczynki w Glen dostały tego lata nowe

sukienki, tylko Una i Faith wciąż chodziły w tych samych. Mary Vance miała prześliczną, haftowaną sukienkę z białego batystu, ozdobioną jedwabną, szkarłatną szarfą i bufkami. Jednak dziś Una nie zwracała uwagi na swój skromny wygląd, chciała być po prostu schludna. Starannie umyła buzię. Wyszczotkowała włosy, aż stały się lśniące i gładkie jak jedwab. Uważnie zasznurowała buty, ale przedtem zacerowała dwa oczka w najlepszej parze pończoch. Chciała też wypastować buty, ale nie mogła znaleźć czernidła. Wreszcie wyszła z plebanii, przebiegła przez Dolinę Tęczy, wspięła się pod górę między szumiącymi drzewami i dotarła do drogi, która prowadziła prosto do domku na wzgórzu. Był to daleki spacer, więc kiedy Una dotarła do celu, była zmęczona i zgrzana.

Róża West siedziała w ogrodzie pod drzewem. Una cichutko podeszła do niej. Róża trzymała książkę na kolanach, ale nie czytała jej, patrzyła gdzieś w dal, w kierunku portu, zatopiona w smutnych myślach. Dom na wzgórzu przestał być ostatnio przyjemnym miejscem. Helena nie obraziła się, Helena była jak głąz. Sprawy, o których się nie mówiło, dzieliły obie kobiety, i często zapadała między nimi wymowna cisza. Wszystkie drobne, wspólne zajęcia, które dawniej umilały im życie, miały teraz smak goryczy. Norman Douglas nie zrezygnował i od czasu do czasu próbował skłonić Helenę do zmiany decyzji - raz prośbami, raz pogroźkami. Róża sądziła, że któregoś dnia ją przekona i Helena odejdzie z nim. Czuła, że wcale nie byłaby z tego niezadowolona. Wprawdzie będzie wtedy okropnie samotna, ale wolałaby to, niż takie życie, jak na beczce z prochem.

Ocknęła się z tych nieprzyjemnych myśli, kiedy poczuła na ramieniu leciutkie dotknięcie dziecięcej dłoni. Odwróciła się i zobaczyła Unę Meredith.

- Uno, kochanie, czyżbyś szła tak daleko w taki upał?

- Tak - odpowiedziała Una. - Przyszłam, żeby... żeby...

Okazało się jednak, że bardzo trudno było powiedzieć, po co przyszła. Głos jej drżał, oczy wypełniły się łzami.

- Uno, maleńka, co się stało? Nie bój się, możesz mi śmiało wszystko powiedzieć.

Róża objęła ramieniem drobne, szczupłe ciało i przytuliła dziecko do siebie. Miała piękne oczy, a dotknięcie jej dłoni było tak czułe, że Una odnalazła w sobie potrzebną odwagę.

- Przyszłam poprosić panią, żeby... żeby pani... żeby pani wyszła za mojego tatę - wykrztusiła.

Róża milczała przez chwilę. Tego się nie spodziewała. Spojrzała na Unę ze zdziwieniem.

- Och, panno West, proszę się na mnie nie gniewać - żałośnie odezwała się Una. - Widzi pani, wszyscy mówią, że pani nie wyjdzie za tatusia dlatego, że my jesteśmy tacy niegrzeczni. A on jest z tego powodu bardzo nieszczęśliwy. Więc pomyślałam sobie, że przyjdę tu, żeby pani wytłumaczyć, że my nie psocimy na złość. A jak pani wyjdzie za tatę, to postaramy się być grzeczni i będziemy pani słuchali. Jestem pewna, że nie będzie pani miała z nami żadnych kłopotów. Błagam panią, panno West. Róża gorączkowo zastanawiała się nad jej słowami. Domysły snute przez miejscowe plotkarki stały się powodem udręki dla dziecięcej główki. Musi zdobyć się na szczerość i powiedzieć Unie prawdę.

- Uno, kochanie - powiedziała cicho. - To wcale nie z waszego powodu, moje małe biedactwa, nie mogę zostać żoną waszego taty. Nigdy by mi to nie przyszło do głowy. Nie jesteście złymi dziećmi, zawsze dobrze o was myślałam. Widzisz... widzisz, Uno, ja miałam zupełnie inny powód.

- Nie spodobał się pani tata? - Una podniosła rozżalone spojrzenie. - Ach, panno West, pani nawet nie wie, jaki on jest miły. Z pewnością będzie dla pani dobrym mężem.

Mimo zmieszania i smutku, Róża nie zdołała się powstrzymać od lekkiego uśmiechu.

- Ach, panno West, niech się pani nie śmieje! - krzyknęła przejęta Una. - Tata czuje się okropnie z pani powodu.

- Z pewnością się mylisz, kochanie - odrzekła Róża.

- Z pewnością nie. Nie myślę się. Och, panno West, tata miał wczoraj dać lanie Karolowi, bo Karol strasznie nabroił. I tata nie mógł dać mu lania, bo, widzi pani, on wcale nie umie bić dzieci. Więc jak Karol wrócił i powiedział nam, że tacie było tak strasznie przykro, wślizgnęłam się do jego gabinetu, żeby zobaczyć, czy nie mogę mu jakoś pomóc - bo on lubi, panno West, jak go pocieszam - ale tata nie usłyszał, że weszłam, za to ja usłyszałam, co on mówił. Mogę pani powiedzieć, panno West, ale tylko na ucho.

Una wyszeptała. Róża zarumieniła się. A zatem Jan Meredith ciągle o niej myślał. Nie zmienił zamiarów. I wciąż musiało mu na niej bardzo zależeć - bardziej niż sądziła. Przez chwilę siedziała w milczeniu, głaszcząc Unę po głowie. Potem powiedziała:

- Uno, czy weźmiesz ode mnie liścik i zanieziesz go swojemu tacie?

- Och, panno West, więc wyjdzie pani za niego? - spytała Una.

- Może... jeśli on rzeczywiście chce, żebym została jego żoną... - powiedziała Róża z nadzieją w głosie, rumieniając się znowu.

- Cieszę się... tak się cieszę... - dzielnie odezwała się Una. Po chwili spojrzała na Różę i spytała drżącym głosem: - Ale pani, panno West, nie będzie nastawiać taty przeciwko nam? Nie sprawi pani, że on nas znienawidzi, prawda? - pytała błagalnie.

Róża znowu się zdumiała.

- Uno! Czy sądzisz, że mogłabym zrobić coś takiego? Skąd przyszło ci to do głowy?

- Mary Vance mówiła, że wszystkie macochy tak robią. Że wszystkie nienawidzą swoich przybranych dzieci i sprawiają, że ojciec też zaczyna ich nienawidzić. Mówiła, że te macochy nic nie mogą na to poradzić, bo każdy, kto zostanie macochą, musi się tak zmienić...

- Biedne maleństwo! Uwierzyłaś w to, a mimo wszystko przyszedłaś mnie prosić, żebym wyszła za twojego tatę, bo chciałaś go uszczęśliwić? Jesteś kochana, jesteś... prawdziwą bohaterką. Ale teraz, kochanie, posłuchaj mnie uważnie. Mary Vance to jeszcze dziecko, w dodatku głupiutkie, które niewiele wie o świecie i w bardzo wielu rzeczach potwornie się myli. Nigdy nie przyszłoby mi do głowy, żeby nastawiać tatę przeciwko wam. Będę kochała was wszystkich. I wcale nie chcę zajmować miejsca twojej mamy - ona musi na zawsze pozostać w waszych sercach. Nie zamierzam też zostać macochą. Wolę być waszą przyjaciółką, waszym doradcą, a nawet... kumplem. Pomyśl tylko, Uno, czy nie byłoby miło, gdybyście wy - ty, Faith, Jerry i Karol - potraktowali mnie po prostu jak koleżankę, jak starszą siostrę?

- Och, to by było cudowne! - zawołała Una, a jej twarz rozjaśniła się. Rzuciła się Róży na szyję. Była tak szczęśliwa, że chciało jej się skakać z radości.

- A czy pozostali, to znaczy Faith i chłopcy - też boją się, że mogą mieć macochę?

- Nie. Faith wcale nie uwierzyła Mary Vance. Ja musiałam być strasznym głuptasem, skoro jej uwierzyłam. Faith panią kocha, pokochała panią tamtego dnia, kiedy został zjedzony Adam. A Jerry i Karol uważają, że może być całkiem fajnie. Och, panno West, jak już pani będzie z nami mieszkać, to czy... czy... czy mogłaby pani nauczyć mnie gotować? Chociaż trochę. I szyć... i... i wszystkiego? Ja niczego nie umiem. Ale się postaram. I będę się szybko uczyć.

- Kochanie, nauczę cię tego wszystkiego, co sama umiem. Tylko nie mów o tym nikomu, dobrze? Nawet Faith. Poczekaj, aż tata sam wam o tym powie, zgoda? A teraz zapraszam cię na podwieczorek.

- Och, bardzo, bardzo dziękuję, ale wolałabym... wolałabym zaraz wrócić... i zanieść Ust do taty... - jękała się Una. - Widzi pani, panno West, on wtedy wcześniej będzie szczęśliwy.

- Rozumiem - powiedziała Róża. Weszła do domu, napisała liścik i dała go Unie. Kiedy mała dama pobiegła, niczym promieniejąca łuna szczęścia, Róża poszła do Heleny, która łuskała groch za domem.

- Heleno - powiedziała. - Była właśnie u mnie Una Meredith i prosiła mnie, żebym wyszła za jej ojca.

Helena podniosła wzrok i badawczo spojrzała w twarz siostry.

- Spełnisz jej prośbę? - zapytała.

- Chyba tak.

Helena nie odezwała się i nadal łuskała groch. Nagle, po chwili, ukryła twarz w dłoniach. W jej oczach błyszczały łzy.

- Mam nadzieję, że wszyscy będziemy szczęśliwi - powiedziała, śmiejąc się i płacząc równocześnie.

Na plebanii zdyszana Una, z wypiekami na policzkach, triumfalnie wkroczyła do gabinetu ojca. Położyła przed nim list. Błada twarz pastora oblała się rumieńcem, gdy zobaczył staranny, piękny charakter pisma, tak dobrze mu znany. Otworzył list. Był króciutki, ale kiedy Jan Meredith go przeczytał, odmłodził o dwadzieścia lat. Róża prosiła go o spotkanie o zachodzie słońca, przy magicznym źródleku.

„GDY NADEJDZIE SZCZUROŁAP”

- Tak więc - oznajmiła panna Kornelia - w połowie miesiąca będziemy mieli podwójne wesele.

Wrześniowy wieczór był chłodny, więc Ania rozpałała ogień ze szczap wyrzuconych przez morze, które zawsze leżały przygotowane obok kominka. Razem z panną Kornelią grzały się teraz w ciepłe płomieni.

- To cudowne, zwłaszcza jeśli chodzi o Różę i pastora Mereditha - powiedziała Ania. - Myśl o tym cieszy mnie prawie tak, jakbym to ja miała wyjść za mąż. Wczoraj, kiedy byłam na wzgórzu i oglądałam ślubną suknię Róży, czułam się jak panna młoda.

- Mówią, że strój jest przepiękny, jak dla jakiejś księżniczki - odezwała się Zuzanna, która w ciemnym kącie usypiała swojego „Murzynka”. - Ja także zostałam zaproszona, by obejrzeć suknię, wybiorę się tam któregoś wieczoru. Podobno Róża ma wystąpić w welonie i w białej, jedwabnej sukni, a Helena ubierze się do ślubu na granatowo. Nie mam wątpliwości, kochana pani doktorowo, że to słuszne postanowienie, ale jeśli o mnie chodzi, to gdybym kiedykolwiek miała wyjść za mąż, założyłabym welon i białą suknię. Na własnym ślubie trzeba wyglądać jak panna młoda.

Nawet Ani trudno było wyobrazić sobie Zuzannę w welonie i białej sukni.

- Co do pastora Mereditha, to już same zaręczyny go zmieniły. Nie jest nawet w połowie tak roztargniony i zamyślony, jak bywał, możesz mi wierzyć, Aniu złociutka. Poczułam prawdziwą ulgę, kiedy dowiedziałam się, że na czas miodowego miesiąca zamknie plebanie, a dzieci i ciocia Marta będą gościć u naszych parafian. Gdyby zostawił je pod opieką cioci Marty, moglibyśmy obudzić się pewnego ranka i stwierdzić, że plebania poszła z dymem.

- Stara Marta i Jerry zamieszkają tutaj - powiedziała Ania. - Karol pójdzie do państwa Clow. Nie wiem tylko, co z dziewczynkami.

- Och, dziewczynki spędzą ten czas u mnie - odrzekła panna Kornelia. - Oczywiście, zaprosiłam je z przyjemnością, zwłaszcza, że Mary Vance nie dawała mi chwili spokoju. Koło Pań robi na plebanii generalne porządki przed powrotem młodej pary, a Norman Douglasa zadba o to, by piwnica była pełna zapasów na zimę. Takiego Normana Douglasa nikt tu jeszcze nie widział, możesz mi wierzyć, Aniu złociutka. Wprost szaleje ze szczęścia, że poślubi tę samą Helenę West, o której marzył całe życie. Gdybym była na jej miejscu...

no, ale nie mam co gdybać, bo nie jestem na jej miejscu i nigdy nie będę, a ona wygląda na szczęśliwą. Pamiętam, jak mówiła jeszcze w szkole, że nigdy nie chciałaby za męża pantoflarza. No, Norman na pewno nim nie jest, możesz mi wierzyć.

Nad Doliną Tęczy zachodziło słońce. Woda w stawie mieniła się purpurą, złotem, zielenią i fioletem, niczym fantastyczna tkanina. Nad wzgórzem widać było leciuteńką, niebieskawą mgłę, w której pławił się, niczym srebrna bańka mydlana, olbrzymi, okrągły księżyc.

Siedzieli wszyscy razem na niewielkiej polance - Faith i Una, Jerry i Karol, Jim i Walter, Nan i Di, i Mary Vance. Był to uroczysty, pożegnalny wieczór - ostatni wieczór Jima w Dolinie Tęczy. Nazajutrz wyjeżdżał do Charlottetown, gdzie miał wstąpić do Akademii Królewskiej. Po raz pierwszy ich magiczny krąg miał zostać przerwany i, choć świetnie się bawili z okazji tego święta, w każdym z tych młodych, radosnych serc była kropelka smutku.

- Popatrzcie, na niebie widać wielki, złocisty pałac - powiedział Walter, wskazując na zachodzące słońce. - Widzicie te połyskujące wieże? Wypływają z nich szkarłatne wstęgi. Może właśnie dziś wraca po zwycięskiej bitwie pan tego zamczyska. To na jego cześć zawieszono girlandy.

- Och! - zawołał Jim -jaka szkoda, że dawne czasy już nigdy nie wrócą. Bardzo bym chciał być żołnierzem, wielkim i sławnym generałem. Wszystko oddałbym za to, żeby zobaczyć choć jedną wielką bitwę!

Cóż, za kilka lat Jim zostanie prawdziwym żołnierzem i zobaczy bitwy większe niż te, które widział dotąd świat. Była to jednak odległa przyszłość. Dziś matka, której był pierworodnym synem, patrzyła na swoich chłopców, ciesząc się, że „dawne czasy”, za którymi tęsknił Jim, minęły bezpowrotnie, a młodzi Kanadyjczycy nigdy już nie będą musieli stawać do walki „w obronie ziemi swych dziadów i świątyń swych bogów”.

Cień wielkiej wojny nie zawisł jeszcze nad światem, powietrze nie niosło jeszcze złowrogich znaków przyszłej zawieruchy. Żołnierze, którzy mieli walczyć na polach Francji, Flandrii, Palestyny i Gallipoli, i z których wielu miało nigdy nie powrócić do swoich domów, byli dziś psotnymi chłopcami, przed którymi otwierał się właśnie szeroki, wielki świat. Dziewczęta, których serca porani wielka wojna, były dziś małymi, grzecznymi dziewczynkami, marzącymi o pięknej przyszłości.

Szkarłatne wstęgi złotego miasta powoli zaczęły blednąć i rozplýwać się. Zwycięski rycerz kończył swój triumfalny pochód. Dolinę Tęczy zaczął otulać mrok, a grupka przyjaciół zamilkła. Walterowi, który czytał dziś swoje ulubione baśnie, przypomniało się, jak kiedyś

wyobrażał sobie, że Szczurołap przywędruje do Doliny Tęczy i zagra tu na swoim instrumencie. Mogło się to zdarzyć tylko w taki wieczór, jak ten.

Zaczął mówić sennym, rozmarzonym głosem, trochę po to, aby przestraszyć swych przyjaciół, ale bardziej dlatego, że coś - jakby ktoś inny - kazało mu mówić.

- Szczurołap nadchodzi - mówił - jest bliżej niż tamtego wieczora, gdy zobaczyłem go po raz pierwszy.

Jego długa, obszerna peleryna łopocze na wietrze. Gra. Gra na swojej fujarce. Wzywa nas. Pójdziemy za nim, musimy. Wszyscy musimy - Jim, Jerry, Karol i ja - pójść za nim, aż na koniec świata. Słyszycie? Czy słyszycie? To zaczarowana muzyka. Słuchajcie. Dziewczęta zadrżały.

- Sam wiesz, że tylko udajesz - zbuntowała się Mary Vance - a mnie się ta zabawa ani trochę nie podoba. To brzmi, jakbyś mówił naprawdę. Nienawidzę tego twojego Szczurołapa!

Jim zerwał się z głośnym śmiechem. Stanął na małym pieńku, wysoki i zgrabny, z jasnym czołem i szczerymi oczyma, w których nie było cienia lęku. Takich, jak on, były w krainie klonów tysiące.

- Gdy nadejdzie Szczurołap, powitamy go! - zawołał, wymachując ręką. - Pójdę za nim bez wahania! Pójdę aż na koniec świata!